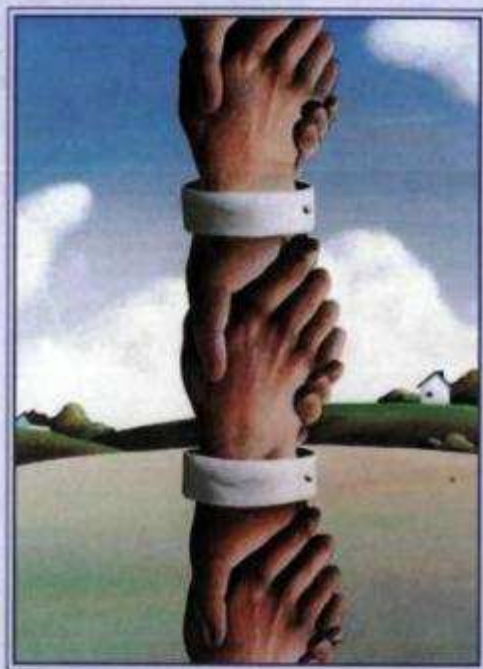


JOHN IRVING



Czwarta ręka

Prószyński i S-ka

BIBLIOTEKA INTERESUJĄCEJ PROZY
BIP

John Irving (ur. 1942), prozaik amerykański. Jego twórczość uważana jest na całym świecie za jedno z najciekawszych zjawisk literackich ostatnich trzydziestu lat. Autor m.in. *Świata według Garpa*, *Hotelu New Hampshire*, *Jednorocznej wdowy*, *Regulaminu tłoczni win*. Miłośnicy kina wysoko sobie cenią ekranizacje jego powieści.

Lew z indyjskiego cyrku odgryza dłoń dziennikarzowi telewizyjnemu na oczach milionów widzów. W Bostonie wybitny chirurg czeka na sposobność przeprowadzenia pierwszej w Stanach Zjednoczonych transplantacji dłoni. Jednoręki reporter jest idealnym pacjentem, trzeba tylko znaleźć odpowiedniego dawcę. „Czwarta ręka” to niepoprawna politycznie komedia, satyra i erotyczna farsa – a nade wszystko wzruszająca opowieść o potędze miłości, pozwalającej odkupić dawne winy i zacząć życie od nowa. W bezdusznym świecie Irving z właściwym sobie ironicznym humorem poszukuje fundamentalnych wartości, pozwalających nie stracić wiary w człowieka.

Patronat medialny:

**PRZE
KROJ**

**MAXIM
ESPİK**

**VIVA!
onet.pl**

www.merlin.pl

Cena 34,90 zł

Informacje o naszych książkach
można znaleźć w witrynie internetowej
www.prozysnki.pl

ISBN 83-7337-169-9



9 788373 371699 >

JOHN IRVING

Czwarta ręka

Przełożył
Maciej Świerkocki

Prószyński S-ka

Tytuł oryginału: THE FOURTH HAND

Copyright © 2001 by Garp Enterprises, Ltd All rights reserved

Ilustracja na okładce: © George Abe

Projekt okładki:

Dorota Malinowska, Barbara Wójcik

Redakcja:

Wiesława Karaczewska

Redakcja techniczna:

Elżbieta Urbańska

Łamanie:

Elżbieta Rosińska

Korekta:

Grażyna Nawrocka

ISBN 83-7337-169-9

Warszawa 2002

Biblioteczka Interesującej Prozy

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca S.A.

30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

*Richardowi Gladsteinowi
i Lasse Halstrômowi
poświęcam*

„...człowiek, który czegoś szuka,
nie śpieszy się w podróży”.

Konserwator linii telefonicznych
w „Stuarcie Malutkim” E.B. White'a

Rozdział pierwszy

Facet od lwów

Wyobraźcie sobie młodzieńca mającego ulec wypadkowi, wypadkowi trwającemu krócej niż trzydzieści sekund, w którego wyniku straci lewą dłoń, i to na długo przed wejściem w tak zwany wiek średni.

W szkole dał się poznać jako uczeń obiecujący, uczciwy i lubiany, choć niezbyt oryginalny. Koledzy z ławy szkolnej, którzy późniejszego biorąc dłoni pamiętali z czasów podstawówki, pod żadnym pozorem nie określiliby go mianem śmiałka. Później, w liceum, cieszył się wprawdzie powodzeniem u dziewcząt, rzadko jednak wykazywał zuchwałość, a już na pewno nie lekkomyślność. Był niewątpliwie przystojny, choć jego dawne dziewczyny wspominały, że najbardziej lubiły w nim uległość wobec kobiet.

Na studiach nikt potrafiłby przewidzieć, że jego przeznaczeniem jest sława.

- Według mnie był strasznym asekurantem - oświadczyła jedna z jego byłych dziewczyn.

Inna młoda kobieta, która poznała go przelotnie na studiach podyplomowych, potwierdziła powyższą opinię, ujmując ją nieco inaczej.

- Brakowało mu pewności siebie, jaką powinien odznaczać się ktoś, komu pisana jest niezwykła przyszłość.

Uśmiech nosił przyklejony do twarzy, był to jednak uśmiech konsternacji, nadający mu wygląd człowieka, który kojarzy, że gdzieś już się kiedyś spotkaliście, choć nie potrafi przypomnieć sobie dokładnie, w jakich okolicznościach. Sprawiał wrażenie, jak gdyby próbował zgadnąć,

czy wasze ostatnie spotkanie miało miejsce na pogrzebie, czy raczej w burdelu, co tłumaczyło zapewne widoczne w jego uśmiechu niepokojące zespolenie smutku i zażenowania.

Romansował z promotorką swojej pracy magisterskiej, a spotkanie z tą kobietą było albo wynikiem, albo przyczyną jego zagubienia na studiach. Później, już jako rozwódka, obarczona niemal dorosłą córką, promotorką stwierdziła:

- Na takich przystojniakach nigdy nie można polegać. Poza tym był klasycznym nieudacznikiem, choć nie tak beznadziejnym, jak można by sądzić na pierwszy rzut oka. Chciało się mu pomagać, chciało się go zmienić i, oczywiście, chodzić z nim do łóżka.

W oczach kobiety pojawił się nagle blask, którego przedtem nie dało się zauważyć - przybywał i oddalał się niby migotliwe barwy kresu dnia, jak gdyby mógł pokonywać najdłuższe dystanse. Napomykając o „braku odporności” swojego kochanka „na drwiny”, podkreślała, że „było to bardzo wzruszające”.

A jego decyzja, by poddać się chirurgicznemu zabiegowi transplantacji dłoni? Czy ryzyka zdobycia nowej ręki w taki sposób nie podjęłby jedynie żądny przygód zawadiaka albo idealista?

Nikt, kto go znał, nie powiedziałby nigdy, że był idealistą albo zawadiaką, choć kiedyś bez wątpienia wyznawał idealistyczne poglądy. W dzieciństwie na pewno snuł marzenia i wytyczał sobie jakieś cele, nawet jeśli były na tyle intymne, że wolał zachowywać je dla siebie.

Promotorką jego pracy magisterskiej, dobrze się czując w roli eksperta, uważała, że pewne znaczenie dla przyszłych losów naszego bohatera miała śmierć jego rodziców, którzy odeszli, kiedy był jeszcze studentem. Zapewnili jednak synowi godziwą egzystencję, toteż mimo ich śmierci był finansowo zabezpieczony na przyszłość. Mógł zostać na uczelni, dopóki nie uzyskałby bezterminowego kontraktu akademickiego, i mógł też poświęcić resztę życia na studia podyplomowe. Był dobrym uczniem i studentem, nigdy jednak nie sprawił na żadnym ze swoich nauczycieli

wrażenia osoby szczególnie umotywowanej do nauki. Nie wykazywał własnej inicjatywy - przyjmował po prostu z dobrodziejstwem inwentarza to, co podsuwał mu los.

Wszystkie znamiona jego osobowości wskazywały, że pogodzi się z utratą dłoni i pomimo kalectwa będzie prowadził w miarę normalne życie. Znajomi zdecydowanie uważali go za faceta, który zadowolony jest ostatecznie jedną ręką.

Poza tym był dziennikarzem telewizyjnym. A czy w tej pracy jedna dłoń nie wystarczy?

Wmówił sobie jednak, że chce mieć nową dłoń, i pilnie usiłował zrozumieć wszystko, co z medycznego punktu widzenia mogło się nie powieść podczas przeszczepu. To, czego nie rozumiał, tłumaczyło, dlaczego nie przepadał dotąd za eksperymentami - brakowało mu bowiem wyobraźni, aby zabawiać się irytującą myślą, że przeszczepiona dłoń nie będzie jego absolutną własnością, jako że należała kiedyś do całkiem obcego człowieka.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności był dziennikarzem telewizyjnym, a dziennikarze są na ogół bystrzy: szybko kojarzą i instynktownie umieją trafić w sedno. W telewizji nie ma czasu na zwłokę. No, a facet, który decyduje się na transplantację dłoni, chyba nie pęka, co?

Tak czy inaczej, nasz bohater nazywał się Patrick Wallingford i bez wahania zamieniłby swoją sławę na nową lewą dłoń. Do wypadku doszło, kiedy zaczął piąć się w górę w świecie dziennikarstwa telewizyjnego. Początkowo pracował dla kilku wielkich stacji telewizyjnych, skarżył się jednak ciągle na złowrogi wpływ wyników oglądalności na formułę dziennika. Ileż to razy jakiś ważniacki kierownik, znacznie lepiej obznajomiony z męską toaletą niż ze studiem, wydawał dziwne „decyzje marketingowe”, które kładły potem cały program! (Zdaniem Wallingforda, szefowie działu prasowego ulegali bez reszty marketingowym mądrałom).

Mówiąc wprost, Patrick uważał, że finansowe oczekiwania telewizji wobec działu informacyjnego niszczą wiadomości. Niby dlaczego programy informacyjne miałyby przynosić takie dochody, jak to, co w telewizji nazywano rozrywką? Dlaczego w ogóle wywiera się naciski na dział

informacyjny, żeby przynosił zysk? Wiadomości to nie doniesienia z Hollywood albo bejsbolowe czy futbolowe mistrzostwa kraju. Wiadomości (a Wallingford rozumiał przez to słowo prawdziwe wiadomości, czyli pogłębioną relację z danego wydarzenia) nie powinny rywalizować w rankingu oglądalności z komediami albo tak zwanymi dramatami.

W listopadzie 1989 roku, gdy runął mur berliński, Wallingford pracował jeszcze dla jednej z wielkich ogólnokrajowych sieci telewizyjnych. Cieszył się, że towarzyszy w Niemczech tak ważnemu historycznemu wydarzeniu, ale teksty, które przysyłał z Berlina, nieustannie przeredagowywano, skracając je niekiedy o połowę, a jakiś urzędnik powiedział mu później w nowojorskiej redakcji:

- Wszystkie wiadomości dotyczące polityki zagranicznej są gównem warte.

Kiedy wspomniana sieć zaczęła zamykać swoje zagraniczne biura, Patrick poszedł za przykładem wielu innych dziennikarzy i zatrudnił się w stacji emitującej wyłącznie wiadomości i programy informacyjne. Stacja nie była zbyt renomowana, choć miała zasięg międzynarodowy i nadawała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Czy okazał się na tyle naiwny, by sądzić, że stacje informacyjne nie śledzą wyników swojej oglądalności? A rzeczywistość okazała się gorsza, niż przypuszczał, bo w jego nowym miejscu pracy o zasięgu międzynarodowym uwielbiano badać oglądalność minuta po minucie, żeby dokładnie wskazać, kiedy uwaga widzów słabnie albo ulatnia się zupełnie.

Wśród jego kolegów po fachu panowała cicha zgoda co do tego, że przeznaczeniem Wallingforda jest zostać prezenterem. Był bezsprzecznie przystojny, jego ostro zarysowana twarz wybornie nadawała się do telewizji, a Patrick zapłacił już frycowe jako reporter. Żeby było zabawniej, na cenę, jaką zapłacił za reporterski etat, składała się w znacznej mierze niezyczliwość ze strony jego małżonki.

Wtedy już byłej małżonki. Zdaniem Wallingforda, rozkład pożycia nastąpił wskutek jego częstych wyjazdów w teren, ówczesna żona naszego bohatera twierdziła jed nak, że prawdziwym problemem były kochanki

Patricka, który - prawdę mówiąc - lubił szybkie przygody seksualne i żywił do nich pociąg bez względu na to, czy gdzieś wyjeżdżał, czy nie.

Niedługo przed wypadkiem musiał stanąć przed sądem w procesie o ustalenie ojcostwa. I chociaż sprawę umorzono, ponieważ test DNA wypadł ujemnie, proces wzbudził gniew małżonki Wallingforda, która oprócz dowodu jawnej niewierności swojego ówczesnego męża miała dodatkowy powód do zdenerwowania: choć bowiem ona od dawna pragnęła mieć dzieci, Patrick stanowczo nie wyrażał zgody na potomstwo. (I w tym wypadku usprawiedliwiał się częstymi wyjazdami).

Byłej żonie Wallingforda, Marilyn, zdarzało się wyrażać żal, że jej były małżonek nie stracił żadnej innej części ciała oprócz lewej ręki. Szybko wyszła ponownie za mąż, znalazła się w błogosławionym stanie, urodziła dziecko i... znów się rozwiódła. Lubiała powtarzać, że bez względu na chęć posiadania dziecka bóle porodowe przewyższają cierpienia, jakich zaznał Patrick, tracąc lewą dłoń.

Wallingford nie był porywczy - równowaga ducha, jaką okazywał na co dzień, stanowiła jego znak firmowy w tym samym stopniu, co zabójcza uroda. Jednak ból towarzyszący utracie ręki był najwścieklej strzeżoną własnością Patricka. Dostawał szewskiej pasji, kiedy Marilyn trywializowała jego męczarnie, utrzymując, że nie dorównywały bólowi „zwykłego” porodu, jak lubił mawiać Patrick.

Nie zawsze zachowywał także równowagę ducha w obliczu oświadczeń swojej byłej żony, w których nadawała mu miano nałogowego kobieciarza. Uważał, że nie ugania się za kobietami, albowiem ich nie uwodzi, a tylko pozwala im uwodzić siebie. Nie wydzwaniał do kobiet - to one dzwoniły do niego. Był chłopięcym odpowiednikiem dziewczyny, która nie potrafi powiedzieć „nie”, przy czym, jak twierdziła jego była żona, należałoby tu położyć nacisk na słowie „chłopięcym”. (Dobiegał trzydziestki, kiedy się rozwiedli, ale Marilyn była zdania, że w duchu pozostał chłopcem).

Wciąż nie mógł zasiąść na fotelu prezentera, na który wydawał się przeznaczony, a po wypadku jego szanse na objęcie tego stanowiska

zmały jeszcze bardziej. Ktoś z kierownictwa powołał się wtedy na „czynnik przeczulenia”. Kto chciałby oglądać poranne czy wieczorne wiadomości, prowadzone przez frajera i ofiarę, której odgryzł rękę zgłodniały lew? Sam incydent trwał może nawet krócej niż trzydzieści sekund, a cały materiał filmowy z wypadku liczył zaledwie trzy minuty, ale żaden posiadacz telewizora nie mógł go nie widzieć, bo telewizje całego świata powtarzały go nieustannie przez kilka tygodni.

Patrick bawił wtedy w Indiach. Jego macierzysta stacja informacyjna, z uwagi na zamiłowanie do katastrofizmu zwana przez snobów z medialnej elity „Kataklizmem, spółką z o.o.” albo „kanałem nieszczęść”, wysłała go do indyjskiego cyrku w stanie Gudżarat. (Żadna rozsądna stacja informacyjna nie wysyła reporterów z Nowego Jorku do cyrku w Indiach).

Kiedy Wielki Cyrk Ganesh występował w Dżunagadh, jedna z akrobatek, młoda kobieta, spadła z trapezu podczas występu bez siatki asekuracyjnej. Dziewczyna słynęła z umiejętności „latania”, jak nazywa się pracę powietrznych akrobatek. Nie zginęła, choć spadła z wysokości osiemdziesięciu stóp, życie stracił natomiast jej trener i mąż w jednej osobie, który próbował ją złapać. Zginął wskutek uderzenia pikującego z góry ciała żony, udało mu się jednak osłabić jej upadek.

Rząd indyjski natychmiast zabronił wykonywania akrobacji powietrznych bez siatki asekuracyjnej, ale Ganesh i inne mniejsze cyrki zaprotestowały przeciwko tej decyzji. Pewien minister, nadgorliwy obrońca praw zwierząt, już od wielu lat próbował zabronić ich wykorzystywania w indyjskich cyrkach, które z tej przyczyny stały się wyczulone na punkcie wszelkich rządowych interwencji w swoje wewnętrzne sprawy. Poza tym, jak powiedział Wallingfordowi przed kamerą egzaltowany aranżer programu Wielkiego Cyrku Ganesh, widzowie wypełniają tłumnie namiot każdego popołudnia i wieczoru właśnie dlatego, że ich akrobaci występują na trapezie bez asekuracji.

Wallingford zauważył jeszcze przed rozmową, że siatki asekuracyjne i tak znajdują się w pożałowania godnym stanie. Stojąc na suchym, ubitym

klepisku, tworzącym „podłogę” namiotu, podniósł wzrok i ujrzał, że tworzące deseń siatki oczka są poszarpane i rozdarte. Uszkodzona siatka przypominała olbrzymią pajęczynę, rozerwaną przez ogarniętego paniką ptaka. Wątpliwe, czy utrzymałaby ciężar spadającego dziecka, a co dopiero dorosłego człowieka.

Fakt faktem, że wśród artystów cyrkowych znajdowało się wiele dzieci, w większości dziewcząt. Do cyrku sprzedawali je rodzice, by mogły wieść lepsze (czyli bezpieczniejsze) życie, choć ich praca była niesłychanie niebezpieczna. Egzaltowany aranżer mówił prawdę: widzowie tłoczyli się w namiocie po południu i wieczorem, by oglądać wypadki, których ofiarami padały zazwyczaj dzieci. Jako artystów można było je nazwać utalentowanymi amatorami albo dobrymi akrobatami dziecięcymi, ale trenowano je niedbale.

Pytanie, dlaczego większość dzieci stanowią dziewczynki, zainteresowałoby każdego rasowego dziennikarza, a Wallingford, bez względu na to, czy wierzyć wystawionemu przez byłą żonę świadectwu jego charakteru, był dobrym dziennikarzem. Podstawową cechą jego inteligencji stanowił dar obserwacji, telewizja natomiast nauczyła go, jak ważna bywa czasami umiejętność uprzedzania nieszczęśliwych wypadków.

Wymóg uprzedzania wypadków okazał się zresztą zarówno wspaniałą zaletą, jak i główną wadą telewizji, napędzaną przez dramatyczne wydarzenia, a nie żadne procesy przyczynowe. W pracy dla całodobowej stacji informacyjnej Patrickowi nie podobano się przede wszystkim to, że redakcja często lekceważy i odpuszcza materiały bardziej interesujące od zamówionych. Na przykład na marginesie sprawy w Dżunagadh dowiedział się, że większość artystów w indyjskich cyrkach stanowią dziewczynki, ponieważ rodzice chcą im oszczędzić życia prostytutek, podczas gdy chłopców, których rodzina nie sprzedaje do cyrku, czeka w najgorszym razie żebrania - albo śmierć głodowa.

Patricka Wallingforda nie posłano jednak do Indii, by zajął się tym tematem. Dla kierownictwa stacji ważniejsze było to, że akrobatka,

dorośla kobieta, spadając z trapezu z wysokości osiemdziesięciu stóp, wylądowała w ramionach męża, powodując jego śmierć. W sprawę wtrącił się indyjski rząd, a wszystkie cyrki w Indiach protestowały przeciwko zarządzeniu zobowiązującemu akrobatów do korzystania z siatek asekuracyjnych. Do protestów przyłączyła się nawet owdowiała artystka - ta sama, która spadła z trapezu.

Wallingford przeprowadził z nią wywiad w szpitalu, gdzie powracała do zdrowia, złamała bowiem kość biodrową i odniosła bliżej nieokreślone obrażenia śledziona. Mówiła, że akrobacje nabierają szczególnego charakteru tylko wtedy, kiedy artyści rezygnują z asekuracji. Oczywiście, będzie opłakiwać zmarłego męża, ale on również był akrobatą, który sam przeżył kiedyś upadek z trapezu. Możliwe jednak, sugerowała wdowa po zmarłym artyście, że jego śmierć to w istocie konsekwencja tamtego pierwszego błędu, a jej zabójczy w skutkach upadek na męża stanowił tylko ostateczną konkluzję owego wcześniejszego, jak gdyby niedomkniętego incydentu.

Wallingford uważał, że to ciekawa wypowiedź, ale redaktor wydania, człowiek, którym wszyscy serdecznie pogardzali, był zawiedziony wywiadem, innym natomiast pracownikom nowojorskiej redakcji wydawało się, że owdowiała artystka mówi „zbyt spokojnie”, woleli bowiem, aby ofiary tragedii zachowywały się bardziej histerycznie.

Powracająca do zdrowia akrobatka oświadczyła ponadto, że jej zmarły mąż wpadł „w ramiona bogini, której oddawał cześć”, co zabrzmiało również dość kusząco. Okazało się, że zmarły był wyznawcą Durgi, przedstawianej na ogół z dziesięciorgiem rąk bogini zniszczenia, do której modliła się większość akrobatów.

- Durga ma tyle rąk, żeby móc złapać i uratować spadającego człowieka - wyjaśniła wdowa.

Wallingforda zaintrygowała i ta informacja, na pracownikach redakcji nowojorskiej nie zrobiła jednak żadnego wrażenia, orzekli bowiem, że „rzygają religią”. Redaktor wydania poinformował Patricka, jakoby emitowali ostatnio zbyt wiele materiałów religijnych. Wallingford pomyślał,

że straszny z niego wał, ale nawet fakt, że imię redaktora, Dick, istotnie budziło uzasadnione skojarzenia z męskim narządem płciowym, nie poprawił mu szczególnie humoru.

Redaktor wysłał tymczasem Patricka do Wielkiego Cyrku Ganesh po raz drugi, by zebrał „dodatkowe informacje, składające się na koloryt lokalny”. Dick doszedł ponadto do wniosku, że aranżer programu jest bardziej elokwentny niż akrobatka.

Patrick zaprotestował.

- Lepszy byłby materiał o młodocianych cyrkowcach - powiedział, ale w Nowym Jorku najwyraźniej „rzygano” także dziećmi.

- Daj mi więcej tego aranżera i siedź cicho - poradził Wallingfordowi Dick.

Dostosowując się jakby do egzaltacji aranżera, zamknięte w klatkach lwy, które stanowiły tło wywiadu, zachowywały się niespokojnie i hałaśliwie. W języku telewizji materiał, który Wallingford nadawał z Indii, miał być kończącym program „kopem”, który tym lepiej nadawał się na zakończenie reportażu, im głośniej ryczały lwy.

Był dzień mięsny, a zaopatrujący cyrk w mięso muzułmanie spóźnili się z dostawą. Wóz transmisyjny, kamera, sprzęt dźwiękowy oraz operator i dźwiękowiec, którym była kobieta, onieśmielali ich, toteż zastygli w bezruchu na widok takiej ilości wytworów nieznaney im technologii. Przede wszystkim wbił ich jednak w ziemię widok kobiety-dźwiękowca.

Była wysoką blondynką w obcisłych błękitnych dżinsach. Na uszach miała słuchawki, a wokół bioder pas narzędziowy, zawierający zestaw typowo męskich, zdaniem mięsnych zaopatrzeniowców, przyborów, jak obciążki, kombinerki, pęki klamer i kabli, a także coś, co przypominało tester do baterii. Na dobitkę miała na sobie koszulkę, pod którą nie nosiła stanika.

Wallingford wiedział, że jest Niemką, ponieważ przespał się z nią poprzedniej nocy. Opowiadała mu o swojej pierwszej podróży do stanu Goa - spędzała tam wakacje z koleżanką z Niemiec i obie uznały, że Indie są jedynym krajem, w którym chcą mieszkać na stałe.

Koleżanka rozchorowała się i wróciła do domu, ale Monika znalazła rozwiązanie, które pozwoliło jej pozostać w Indiach. Miała na imię Monika.

- Przez „k” - jak powiedziała Patrickowi. - Dźwiękowiec może przecież mieszkać wszędzie. Wszędzie, gdzie są dźwięki.

- Zamieszkać w Nowym Jorku - podsunął jej Wallingford. - W tym mieście nie brak dźwięków, a można tam pić nieprzegotowaną wodę.

Po chwili bezmyślnie dodał:

- Niemieckie dziewczyny cieszą się teraz w Nowym Jorku ogromną popularnością.

- Dlaczego właśnie teraz? - zapytała.

Patrick Wallingford popadał zwykle w konflikty z kobietami w powyższy i symptomatyczny dlań sposób - to zaś, że pewne rzeczy mówił tylko dlatego, żeby coś powiedzieć, przypominało nieco jego technikę ustępliwości wobec awansów czynionych mu przez kobiety. Nie było żadnej przyczyny, dla której powiedział, że niemieckie dziewczyny cieszą się w Nowym Jorku ogromną popularnością, chciał bowiem jedynie podtrzymać konwersację. Ta jego anemiczna uległość wobec kobiet i milcząca zgoda na ich zaloty najbardziej wyprowadzała z równowagi żonę Wallingforda, która przypadkiem zatelefonowała do męża, kiedy różną się z Moniką przez „k” w pokoju hotelowym.

Różnica czasu między Nowym Jorkiem a Dżunagadh wynosiła dziesięć i pół godziny, ale Patrick udawał, że nie wie, czy w Indiach jest dziesięć i pół godziny wcześniej, czy później, toteż kiedy dzwoniła Marilyn, pytał nieodmiennie:

- Która tam u was godzina, kochanie?

- Rzniesz się z kimś, prawda? - zapytała jego żona.

- A skąd - skłamał.

Leżąca pod nim Niemka znieruchomiała. Wallingford także starał się nie ruszać, chociaż bezruch podczas aktu miłosnego trudniej jest chyba jednak zachować mężczyźnie.

- Pomyślałam, że pewnie chciałbyś znać wyniki swoich badań genetycznych w sprawie o ojcostwo - powiedziała Marilyn i Patrick w końcu

zmartwiał. - Test wypadł ujemnie. Nie jesteś ojcem. Wykręciłeś się sianiem, co?

Jedyna odpowiedź, jaka przyszyła na myśl Patrickowi, brzmiała:

- Nie powinni byli dawać ci wyników moich badań krwi. To moja krew i moje wyniki.

Monika przez „k” zeszywniała pod ciężarem kochanka, a wszystkie zakamarki jej ciała, w których czuła ciepło, zalał nagle chłód.

- Jakie badanie krwi? - szepnęła Patrickowi do ucha.

Ale Wallingford zastosował kondom, więc niemiecka technik dźwięku była zabezpieczona przed większością, a kto wie, może nawet przed wszystkimi przykrymi niespodziankami, mogącymi przenosić się drogą płciową. (Zawsze używał kondomów, nawet gdy kochał się z żoną).

- Kto to jest tym razem? - wrzasnęła w słuchawkę Marilyn. - Z kim się teraz rżniesz?

Wallingford doskonale zdawał sobie sprawę z dwóch spraw: po pierwsze, że jego małżeństwa nie da się uratować, a po drugie, że on ratować go nie chce. Jak zawsze jednak w stosunkach z kobietami, uległ.

- Co to za jedna? - krzyknęła znów jego żona, ale Wallingford, zamiast odpowiedzieć, przyłożył słuchawkę do ust Niemki.

Zsunął jej z ucha lok jasnych włosów, a potem szepnął:

- Powiedz, jak się nazywasz.

- Monika... Przez „k” - powiedziała Niemka do słuchawki.

Wtedy Wallingford przerwał połączenie. Nie sądził, żeby Marilyn zadzwoniła powtórnie - i rzeczywiście, więcej nie zadzwoniła. On jednak miał wiele do opowiadania Monice przez „k”, toteż oboje nie spali tej nocy najlepiej.

Początek dnia w cyrku nie był efektowny. Nieprzerwany potok utyskiwań aranżera na indyjski rząd nie był w żadnym wypadku równie uroczy, jak przedstawiona przez upadłą z trapezu artystkę charakterystyka dziesięcioramiennej bogini, w którą wierzą wszyscy akrobaci.

Czy pracownicy redakcji nowojorskiej byli głusi i ślepi? Ranna wdowa w szpitalu to naprawdę był wspaniały materiał! Ponadto Wallingford

chciał zrelacjonować kontekst upadku akrobatki, która nie korzysta z siatki asekuracyjnej, stanowili go zaś artyści dziecięcy, czyli sprzedane do cyrku dzieci.

A jeśli ta kobieta także została za młodu sprzedana do cyrku? I może jej zmarłemu mężowi oszczędzono życia bez przyszłości tylko po to, by zginął pod wielkim namiotem, kiedy z wysokości osiemdziesięciu stóp spadła mu w ramiona jego własna małżonka? To byłoby szalenie interesujące.

Tymczasem przeprowadzał wywiad z powtarzającym się w kółko aranżerem, stojąc na tle klatki z lwami, ten to bowiem powszedni obrazek cyrkowy miał na myśli Nowy Jork, mówiąc o „dodatkowym kolorycie lokalnym”.

Nic zatem dziwnego, że wywiad wydawał mu się nieatrakcyjny w porównaniu z nocą spędzoną z niemiecką panią dźwiękowiec. Monika przez „k”, która nie nosiła stanika pod koszulką, zrobiła wyraźne wrażenie na muzulmańskich dostawcach mięsa, wzburzonych strojem Niemki bądź też jego brakiem, a ich strach, ciekawość i oburzenie moralne składały się na o wiele ciekawszy i prawdziwszy koloryt lokalny niż wystąpienie męczącego aranżera.

Wstrząśnięci muzulmanie stali niedaleko klatki, ale wydawali się zbyt przestraszeni, oszołomieni albo oburzeni, by podejść bliżej. Na drewnianych wozach, którymi przyjechali, piętrzyły się stosy słodko pachnącego mięsa, będącego źródłem najwyższego obrzydzenia wśród w przeważającej części wegetariańskiej (hinduskiej) społeczności cyrku. Lwy oczywiście także zwietrzyły karmę i były poirytowane opóźnieniem.

Kiedy zaczęły ryczeć, operator ujął je w zbliżeniu, a Patrick Wallingford, spostrzegłszy, że dzieje się coś autentycznie spontanicznego, wyciągnął mikrofon w stronę klatki mniej więcej na długość ramienia. I wtedy dostał „kopa”, którego popamiętał na całe życie.

Błysnęła wysunięta z klatki łapa i lwie pazury zahaczyły o przegub lewej dłoni Wallingforda, który upuścił mikrofon. Nie dłużej niż dwie sekundy potem lew wciągnął lewe ramię Patricka do klatki aż po łokieć.

Wallingford uderzył barkiem o pręty, a jego lewa dłoń, o cal lub dwa powyżej nadgarstka, zniknęła w paszczy lwa.

W powstałym zamieszaniu do walki o przegub i dłoń Patricka przystąpiły dwa kolejne lwy. Poskramiacz lwów, który zawsze kręcił się w pobliżu swoich podopiecznych, wkroczył do akcji, waląc zwierzęta szpadlem po pyskach. Wallingford zachował przytomność na tyle długo, by zapamiętać szpadel, używany na co dzień do usuwania lwich odchodów. (Widział go zresztą w użyciu zaledwie kilka minut wcześniej).

Zemdlał wśród wozów z mięsem, gdzie zasłała też z wdziękiem Monika przez „k”. Niemka straciła przytomność, osuwając się, ku niejakiej konsternacji dostawców, na wóz, a odzyskawszy zmysły, stwierdziła, że kiedy leżała bez czucia na wilgotnych połciach mięsa, ukradziono jej pas narzędziowy.

Niemiecka technik dźwiękowiec dowodziła ponadto, że kiedy padła zemdlna, ktoś obmacywał jej biust, co potwierdzały siniaki pozostawione przez obce palce na obu jej piersiach, choć między plamami krwi na koszulce brakowało śladów zakrwawionych rąk. (Krew pochodziła ze świeżego mięsa). Było jednak bardziej prawdopodobne, że sińce na piersiach stanowiły pamiątkę po całonocnym seksie z Patrickiem Wallingfordem, a komuś, kto ośmielił się jej buchnąć pas narzędziowy, zabrakło zapewne odwagi, by dotknąć piersi dziewczyny. Złodziej nie tknął też słuchawek.

Kiedy Wallingforda odciągnięto spod klatki, nie zauważył z początku, że brak mu lewej dłoni wraz z nadgarstkiem, choć zorientował się, że lwy wciąż o coś walczą między sobą. Dopiero gdy dobiegł go słodki zapach baraniny, zobaczył, że muzułmanie wpatrują się jak zahipnotyzowani w jego zwisające bezwładnie lewe ramię. (Siła lwiego szarpnięcia wyrwała mu bark ze stawu). Rzuciwszy okiem na rękę, spostrzegł, że nie ma zegarka. Nie żałował go, bo był to prezent od Marilyn, a jego utracie i tak nie mógł zapobiec, gdyż brakowało mu całej lewej dłoni i przegubu.

Nie widząc żadnego znajomego oblicza wśród muzułmańskich zaopatrzeniowców, miał bez wątpienia nadzieję zlokalizować gdzieś do głębi

wstrząśniętą, lecz nie mniej oddaną mu Monikę przez „k”. Niestety, dziewczyna z twarzą odwróconą w drugą stronę leżała bez czucia na wznak na wozie z baraniną.

Gorzkiej otuchy dodał mu natomiast widok nie twarzy wprawdzie, lecz jedynie profilu niewzruszonego operatora, który ani na chwilę nie przestał wywiązywać się ze swoich obowiązków. Zdeterminowany zawodowiec przysunął się w pobliże klatki z lwami, filmując je na gorącym uczynku, gdy niezbyt zgodnie dzieliły się marnymi resztkami dłoni i nadgarstka Patricka. Lepszego „kopa” trudno było sobie wymarzyć!

Co najmniej przez cały następny tydzień Wallingford oglądał w nieskończoność film, na którym lew odgryzał i pożerał jego dłoń. Zastanawiał się, dlaczego atak zwierzęcia przypominał mu zadziwiającą uwagę, jaką obdarowała go na zakończenie romansu promotorka jego pracy magisterskiej:

- Przez pewien czas pochlebiało mi, że jestem z mężczyzną, który zatracę się we mnie całkowicie, ale z drugiej strony, tak mało jesteś sobą, że według mnie, mógłbyś się zatracić w każdej kobiecie.

Nie miał pojęcia, o co jej, u licha, chodziło ani dlaczego pożarta przez lwy dłoń przywiodła mu na myśl skargi dawnej kochanki.

Wallingforda jednak dotknęło głównie to, że w materiale filmowym, trwającym niecałe trzydzieści sekund, których potrzebował lew, aby pozbawić go dłoni i nadgarstka, przykuwające uwagę zdjęcia jego osoby nie przypominały znanego dotąd wizerunku Patricka Wallingforda. Nigdy przedtem nie znalazł się w stanie krańcowego przerażenia - ale najgorszy ból miał dopiero nadejść.

Wspomniany minister indyjskiego rządu, będący członkiem ruchu obrony praw zwierząt, wykorzystał incydent z pożartą ręką dziennikarza do nasilenia krucjaty przeciwko okrucieństwu wobec zwierząt cyrkowych, choć Wallingford nigdy nie pojął, dlaczego zjedzenie jego dłoni miało uwłaczać lwom.

Najbardziej jednak przejął się tym, że cały świat widział, jak zwija się i krzyczy z bólu i strachu. Narobił na wizji w spodnie, chociaż na szczęście

telewizyście nie mogli tego zobaczyć, bo spodnie były ciemne. Ale i tak stał się obiektem współczucia milionów widzów, na których oczach został oszpecony.

Jednakże po pięciu latach, kiedy przypominał sobie albo śnił o wypadku, na pierwszy plan powracało zawsze wspomnienie skutków pewnego środka przeciwbólowego, który mu wtedy zaaplikowano. Lek ów był niedostępny w Stanach Zjednoczonych, a w każdym razie tak powiedział mu indyjski lekarz, Wallingford zaś od tamtej pory nieustannie usiłował się dowiedzieć, co to takiego było.

Bez względu na nazwę, specyfik uwznioślał świadomość bólu, jednocześnie całkowicie odcinając od niego Patricka, któremu zdawało się, że obserwując siebie, obserwuje w istocie kogoś obcego. Jeśli chodzi zaś o uwznioślenie świadomości, to działanie leku bynajmniej się do niego nie ograniczało.

Lekarz, który zapisał mu specyfik, podawany w postaci kobaltowo-błękitnej kapsułki („Proszę brać tylko po jednej, co dwanaście godzin, panie Wallingford”) - był Parsem i opiekował się Patrickiem po ataku lwa w Dżunagadh.

- Lekarstwo wywoła najwspanialsze sny w pana życiu i uśmierzy ból - dodał doktor Chothia. - Tylko niech pan nie bierze dwóch kapsułek naraz. Amerykanie zawsze łykają wszystko w podwójnych dawkach, ale tego leku nie wolno przedawkować.

- Jak to się nazywa? Ma chyba jakąś nazwę? - zapytał podejrzliwie Wallingford.

- Po zażyciu tej kapsułki i tak pan zapomni, jak się nazywa - odpowiedział wesoło doktor. - A w Ameryce nie usłyszysz pan nazwy preparatu, bo wasza komisja leków nie zgodzi się dopuścić go do obrotu!

- Dlaczego? - zapytał Wallingford, który wciąż jeszcze nie zażył pierwszej kapsułki.

- Jak pan ją weźmie, to się pan przekona - odpowiedział lekarz. - Nie ma nic lepszego.

Pomimo bólu Patrick nie chciał odpłynąć na wywołanym działaniem leku haju.

- Zanim to połknę, chcę wiedzieć, dlaczego amerykańska komisja

czywności i leków nie dopuści tego specyfiku do obrotu.

- Bo to lekarstwo dostarcza za dużo frajdy! - zawołał doktor Chothia.
- A przyjemność na ogół nie znajduje zrozumienia wśród członków waszej komisji. Więc niech pan wreszcie weźmie to lekarstwo, bo dam panu coś innego i cała uciecha przejdzie panu koło nosa.

Po zażyciu pigułki Patrick zapadł w sen - ale czy naprawdę był to sen? Bo jak na sen, zachował nazbyt pobudzoną świadomość. Czy jednak mógł wtedy wiedzieć, że znajduje się w proroczym uniesieniu? Jak człowiek może rozpoznać sen z przyszłości?

Unosił się nad małym, ciemnym jeziorem. Musiał nad nie wzlecieć samolotem, bo przecież w innym wypadku nie mógłby latać, ale we śnie nie słyszał ani nie widział maszyny. Zniżał po prostu lot, zbliżając się do jeziora otoczonego ciemnozielonymi jodłami i sosnami. Gęstwiną sosen kanadyjskich.

Nie było natomiast widać żadnych odsłoniętych skał, więc okolica nie przypominała stanu Maine, dokąd wyjeżdżał w dzieciństwie na wakacyjne obozy. Nie było to także Ontario, gdzie jego rodzice wynajmowali domek letniskowy w Georgian Bay nad jeziorem Huron. Nie znał jeziora ze snu.

Tu i ówdzie w wodę wcinały się pomosty, przy których cumowało kilka łodzi. Zobaczył też przystań, ale pierwszym fizycznym doznaniem we śnie było dotknięcie szorstkich desek pomostu, które wyczuwał przez ręcznik nagimi plecami. Nie widział ręcznika, tak jak i samolotu, wyczuwał tylko tkaninę pomiędzy swoim grzbietem i deskami przystani.

Słońce nad jeziorem musiało zajść niedawno, bo chociaż Wallingford nie widział, jak zachodziło, pomost był jeszcze przesycony promienistym ciepłem. Nie licząc niemal niezmaconego widoku ciemnego jeziora i jeszcze ciemniejszych drzew, sen składał się głównie z doznań dotykowych.

Patrick wyczuwał też wodę, choć nie miał wrażenia, że się w niej zanurza. Wydawało mu się raczej, że właśnie wyszedł z kąpieli i teraz schnie na pomoście, odczuwał jednak chłód.

Potem odezwał się kobiecy głos, nie przypominający żadnego kobiecego głosu, jaki dotąd zdarzyło mu się słyszeć: najseksowniejszy głos na świecie.

- Zimno mi w mokrym kostiumie. Zdejmę go. A może i ty zdejmiesz kąpielówki?

Od tej chwili był świadom swojej erekcji we śnie. Usłyszał także głos bardzo podobny do własnego, który powiedział „tak”, na potwierdzenie, że on też chce się rozebrać.

W tle słychać było cichy szum wody, która lizła pomost i ściekała z kostiumów kąpielowych pomiędzy deskami, wracając do jeziora.

Nieznajoma i Patrick byli już nadzy. Czuł dotyk jej najpierw wilgotnego i chłodnego, a potem ciepłego już ciała. Gorący oddech kobiety owiewał mu szyję. Czuł zapach mokrych włosów i zapach słońca, wydzielany przez silne ramiona nieznajomej, a kiedy wsunął jej język do ucha, rozpoznał smak jeziora.

Oczywiście Wallingford posiadał tę kobietę - i kochał się z nią bez końca na przystani nad przepięknym, ciemnym jeziorem. Kiedy obudził się osiem godzin później, okazało się, że zaznał sennych polucji, a mimo to wciąż utrzymywał najpotężniejszą erekcję w swoim życiu.

Ból minął. Powrócił dopiero po dziesięciu godzinach od zażycia pierwszej kobaltowo-błękitnej kapsułki. Dwie godziny, które musiał odczekać, żeby połknąć drugą, wydawały mu się wiecznością. Podczas tej nieszczęsnej przerwy we śnie rozmawiał z doktorem Chotchią wyłącznie o tajemniczym leku.

- Co on zawiera? - zapytał rozbawionego lekarza.

- To miało być lekarstwo na impotencję, okazało się jednak nieskuteczne.

- Nieprawda. Działa aż miło - nie zgodził się Wallingford z doktorem Chotchią.

- No... W każdym razie nie leczy impotencji - powtórzył Pars. - Uśmierza ból, owszem, ale to odkryto przez przypadek. Niech pan pamięta, co powiedziałem, panie Wallingford. Proszę nigdy nie brać dwóch tabletek naraz.

- Wezmę trzy albo cztery - powiedział Patrick, ale jego uwaga nie wydała się zabawna skłonnemu zazwyczaj do żartów lekarzowi.

- Niech pan tego nie robi, proszę mi wierzyć, że nie wolno - ostrzegł znów doktor.

Wallingford zażywał więc po jednej pigułce co dwanaście godzin, zgodnie z zaleceniem. Dwie kobaltowo-błękitne kapsułki połknął jeszcze w Indiach, a trzecią dostał od lekarza na drogę. Zauważył, że lot z Indii do Nowego Jorku będzie trwał dłużej niż dwanaście godzin, ale na złagodzenie bólu, który następował, kiedy mijało działanie polucyjnego snu, doktor nie chciał dać mu już nic mocniejszego niż tylenol z kodeiną.

Wallingford śnił czterokrotnie ten sam sen - po raz ostatni w samolocie lecącym z Frankfurtu do Nowego Jorku. Tylenol z kodeiną wykorzystał na początku długiej podróży lotniczej, czyli na trasie z Bombaju do Frankfurtu, ponieważ pomimo bólu chciał pozostawić na koniec to, co najlepsze.

Stewardesa, która tuż przed lądowaniem w Nowym Jorku zbudziła go ze snu błękitnej kapsułki, mrugnęła do niego porozumiewawczo.

- Jeżeli pan cierpiał, to chciałabym cierpieć z panem - szepnęła. - Nikt nie powiedział mi jeszcze tyle razy „tak”!

Nie zadzwonił do niej, choć podała mu swój numer telefonu, a tak wspaiałego seksu, jak seks ze snu błękitnej kapsułki, Wallingford nie zaznał przez pięć lat. Musiało jednak minąć więcej czasu, zanim zrozumiał, że kobaltowo-błękitna kapsułka doktora była czymś więcej niż środkiem przeciwbólowym i afrodyzjakiem w pigułce - miała bowiem również działanie profetyczne.

Ale najważniejsze okazało się to, że dzięki kapsułce nie śnił częściej niż raz w miesiącu oczu lwa, który ucałił go wtedy za rękę. Ogromne, pomarszczone czoło bestii, jej płowe, wygięte w łuk brwi, muchy brzęczące w lwiej grzywie i wielkie, podłużne, skrwawione chrapy, naznaczone bliznami po pazurach - te szczegóły nie wryły mu się tak głęboko w pamięć i w tkankę jego snów, jak żółto-brązowe ślepie, w których dostrzegął coś jakby odległy smutek. Nie mógł zapomnieć tych oczu, spoglądających niby z chłodnego naukowego dystansu, ani ich obojętnego spojrzenia, mierzącego badawczo jego twarz.

Bez względu na to, co pamiętał albo śnił Wallingford po wypadku, widzom tak zwanego trafnie kanału katastrof długo jeszcze przypominała się i śniła każda wstrząsająca sekunda filmu, na którym zarejestrowano akt pożarcia dłoni Patricka.

„Kanał nieszczęść”, wyśmiewany powszechnie za upodobanie do dziwnych zgonów i idiotycznych wypadków, wykreował właśnie taki idiotyczny wypadek, który zaszedł podczas prezentacji materiału dotyczącego dziwnego zgonu, w ten bezprecedensowy sposób umacniając swoją sławę. W dodatku tym razem nieszczęście przytrafiło się dziennikarzowi! (Bo nie należy sądzić, że fakt ten nie przyczynił się do antenowej popularności, trwającej krócej niż trzydzieści sekund amputacji).

Na ogół dorosłym widzom było bardzo żal ręki, a czasem i jej nieszczęsnego właściciela. Dzieci częściej sympatyzowały z lwem. Telewizja oczywiście ostrzegała, że dzieci nie powinny oglądać reportażu, w przedszkolach rozklejały się bowiem całe grupy, a starszaki, uczące się płynnego czytania ze zrozumieniem, cofały się do stadium analfabetycznego, strictly obrazkowego stanu umysłu.

Rodzice, których dzieci uczęszczały już do podstawówki, na długo zapamiętali przekazywane im ze szkół ostrzeżenia, jak na przykład: „Usilnie zalecamy, aby nie pozwalali państwo oglądać dzieciom telewizji, dopóki heca z tym facetem od lwów nie zniknie z ekranów”.

Była promotorka pracy magisterskiej Patricka wyjechała w podróż ze swoją jedyną córką, kiedy telewizja po raz pierwszy wyemitowała film, na którym lew konsumował rękę jej niegdysiejszego kochanka.

Córcie udało się zejść w ciążę w ostatniej klasie liceum, co nie było wprawdzie zbyt oryginalnym wyczynem, ale w żeńskiej szkole z internatem dość nieoczekiwanym. Wskutek wstrząsu poaborcyjnego przerwała na pewien czas naukę. Czuła się przybita. Jej gruboskórny chłopak rzucił ją, jeszcze zanim dowiedziała się, że nosi w łonie dziecko, a poza tym musiała powtarzać maturalną klasę.

Dla matki los też nie był zbyt łaskawy. Wallingforda, chłopaka młodszego od niej o dziesięć lat, acz najprzystojniejszego wśród absolwentów,

uwiodła, będąc po trzydziestce. Teraz, przekroczywszy czterdziesty rok życia, była w trakcie drugiego rozvodu, którego przebieg utrudniało ujawnienie przykrego dla niej faktu - przespała się bowiem niedawno z innym swoim studentem, pierwszym w jej życiu studentem pierwszego roku.

Był pięknym i, co smutne, jedynym chłopcem w feralnej grupie, której wykładała poetów metafizycznych. Feralnej dlatego, że powinna była wiedzieć, iż taka „rasa pisarzy”, jak wyraził się Samuel Johnson, gdy nazwał ich po raz pierwszy „poetami metafizycznymi”, budzić będzie przede wszystkim zainteresowanie młodych kobiet.

Feralną decyzją okazało się także dopuszczenie chłopaka do grupy składającej się wyłącznie z dziewcząt, na co nie był psychicznie przygotowany. Zadeklamował jednak w jej gabinecie „Do cnotliwej damy” Andrew Marvella, myśląc się tylko raz, w dwuwierszu „Miłość ma, większa niż królów krainy, roślaby wolno wszakże - jak rośliny”.

Zamiast „rosłaby” powiedział „jęczałaby”, i promotorka pracy Patriczka słyszała niemal jego jęki, kiedy recytował następne linijki.

Wtedy by trzeba było stu lat zgoła,
By oczy chwalić twe i piękność czoła;
Dla każdej piersi lat dwustu, nie więcej;
Dla reszty - chyba trzydziestu tysięcy*.

* Przekład Jerzego Pietrkiewicza (przyp. tłum.).

O, Boże, pomyślała, wiedząc, że student ma na myśli jej piersi oraz inne części ciała, i dlatego przyjęła go do grupy.

Kiedy dziewczyny zaczęły z nim flirtować, poczuła, że musi go przed nimi bronić. Z początku wmawiała sobie, że chce tylko matkować studentowi. Kiedy z nim zerwała, nie mniej bezceremonialnie niż beziemienny chłopak z jej ciężarną córką, student przestał przychodzić na zajęcia i telefonicznie powiadomił o wszystkim swoją matkę.

Matka chłopaka, członek zarządu innego uniwersytetu, napisała do dziekana wydziału: „Czy uwodzenie studentów nie należy do zajęć z

zakresu turpizmu moralnego?”. Skutek tego pytania była taki, że dawna promotorka i kochanka Patricia sama złożyła podanie o urlop naukowy na okres jednego semestru.

Nieplanowany urlop, drugi rozwód, wstyd porównywalny z tym, jakiego zaznała jej córka... na litość boską, co mogła w tej sytuacji zrobić była promotorka Wallingforda?

Mąż, który miał się wkrótce stać jej drugim byłym mężem, zgodził się, acz niechętnie, nie anulować kart kredytowych żony przez kolejny miesiąc i gorzko pożałował tej decyzji, albowiem jego małżonka pod wpływem nagłego impulsu zabrała swoją urlopowaną ze szkoły córkę do Paryża, gdzie w hotelu „Le Bristol” panie wynajęły sobie apartament. Był dla nich o wiele za drogi, ale promotorka Wallingforda dostała kiedyś pocztówkę z wizerunkiem tego hotelu i od tamtej pory chciała w nim zamieszkać. Widokówkę przysłał jej pewnego dnia pierwszy były mąż, który bawiąc w Paryżu ze swoją drugą żoną, chciał po prostu dokuczyć eksmałżonce.

Hotel „Le Bristol” stoi przy rue du Faubourg Saint Honoré w otoczeniu eleganckich sklepów, na zakupy w których nie stać byłoby nawet awanturnicy. Przybywszy na miejsce, matka i córka nie śmiały wyjść do miasta ani zrobić cokolwiek. Ekstrawagancji hotelu było im aż nadto. Czują się nie dość elegancko ubrane, zarówno w recepcji, jak i w barze, gdzie siedziały oczarowane ludźmi najwyraźniej czującymi się w „Le Bristol” znacznie swobodniej od nich. Nie chciały jednak przyznać, że wyprawa do Paryża nie była dobrym pomysłem - a w każdym razie nie pierwszego wieczoru.

Tuż koło hotelu, na jednej z bocznych ulic, mieściło się miłe bistro, gdzie obowiązywały przystępne ceny, wieczór był jednak deszczowy i ponury, a one chciały położyć się wcześniej spać, ulegając skutkom zmiany czasu. Postanowiły zjeść wczesną kolację w hotelu, a prawdziwy Paryż pozostawić na następny dzień, ale okazało się, że hotelowa restauracja jest bardzo popularna. Na stolik mogły liczyć dopiero po dziewiętej, a miały przecież nadzieję, że o tej porze będą już smacznie spać.

Przejechały szmat drogi, by powetować sobie niesprawiedliwie doznane, jak sądziły, krzywdy, choć w rzeczywistości padły ofiarami cieleśnych rozczarowań, na które złożyły się miriady osobistych powodów obu niezadowolonych pań. Zasłużenie czy nie, „Le Bristol” miał im wynagrodzić przykrości, tymczasem zaś musiały wycofać się w zacisze apartamentu, zdegradowane do kontaktów ze służbą hotelową.

Służba hotelowa w „Le Bristol” nie była przy tym w najmniejszym stopniu nieelegancka - po prostu panie inaczej wyobrażały sobie wieczór w Paryżu. Dlatego i matka, i córka, na przekór swoim charakterom, usiłowały robić dobrą minę do złej gry.

- Nawet mi się nie śniło, że pierwszy wieczór w Paryżu spędzę w pokoju hotelowym z własną matką! - wykrzyknęła córka, śmiejąc się z przymusem.

- Ze mną przynajmniej nie zajdziesz w ciążę - zauważyła matka, po czym obie wybuchnęły nieszczerym śmiechem.

Była promotorka Wallingforda zaczęła odmawiać litanię mężczyzn swojego życia, na których się zawiodła. Córka słyszała niektóre nazwiska wcześniej, pracowała już jednak nad własną, choć na razie nieporównywalnie krótszą listą. Panie znalazły wino w minibarku i wypily po dwie półlitrowe butelki na głowę, zanim przyniesiono im do pokoju czerwone bordeaux, które zamówiły do kolacji i wypily także co do kropli. Potem zatelefonowały po kelnera i poprosiły o następną flaszkę.

Wino rozwiązało im języki, może nieco bardziej niż to uchodzi za przystoi w rozmowie matki z córką. Dla każdej matki, i to nawet w Paryżu, świadomość, że jej zbląkana córka z łatwością mogła zajść w ciążę z Bóg wie iloma nieodpowiedzialnymi chłopakami, zanim spotkała kanałkę, która ją zapłodniła, stanowiłaby gorzką pigułkę do przełknięcia. Z drugiej strony, nawet córka zaczynała rozumieć, że niepoprawna promotorka pracy Patricka Wallingforda jest seksualnie agresywna, a erotyczny gust nakazuje jej zadawać się z coraz młodszymi mężczyznami, wśród których znalazł się w końcu nastolatek, co dla żadnej córki nie mogłoby być miłą wiadomością.

Podczas chwilowej, ale długo oczekiwanej przerwy w powodzi matczynych zwierzeń, kiedy przeszło czterdziestoletnia wielbicielka poetów metafizycznych podpisywała rachunek za drugą butelkę bordeaux, bezwstydnie podrywając kelnera, córka, w poszukiwaniu wytchnienia od niechcianych a intymnych wyznań, włączyła telewizor. Jak przystało na niedawno i stylowo odrestaurowany hotel, „Le Bristol” oferował mnóstwo wielojęzycznych kanałów telewizji satelitarnej, w tym angielskich i francuskich, a traf losu chciał, że kiedy tylko podchmielona matka zamknęła drzwi za kelnerem i odwróciła się do córki oraz stojącego w głębi pokoju telewizora, ujrzała na ekranie swojego dawnego kochanka, tracącego dłoń za sprawą lwa. Ot, tak po prostu!

Oczywiście wrzasnęła, co skłoniło do wrzasku także córkę. Druga butelka bordeaux wypadłaby matce z ręki, gdyby nie ścisłała kurczowo flaszki za szyjkę. (Możliwe, że butelka wydawała jej się dłonią znikającą w paszczy lwa).

Dopiero kiedy scena pożarcia ręki Patricka dobiegła końca, matka mogła podzielić się z córką pełną bólu opowieścią o swoim związku z okaleczonym dziennikarzem. O całą godzinę później międzynarodowy kanał informacyjny powtórzył materiał z Indii, choć co piętnaście minut pojawiały się tak zwane zajawki, czyli zapowiedzi najbliższych programów. Zwiastuny trwały od dziesięciu do piętnastu sekund, a prezentowano w nich kolejno: lwy walczące w klatce o ostatni, bezkształtny ochłap ludzkiego ciała, pozbawione dłoni ramię, zwisające bezwładnie ze stawu barkowego, oszołomienie malujące się na twarzy Wallingforda na chwilę przed utratą przytomności i przelotne ujęcie nie noszącej stanika blondynki ze słuchawkami na uszach, która zdawała się spać na czymś, co wyglądało na półcie surowego mięsa.

Matka i córka wytrzymały przed telewizorem następną godzinę, żeby obejrzeć całe zdarzenie ponownie. Tym razem na widok blondynki bez stanika matka zauważyła:

- Założę się, że ją przerznął.

Siedziały dalej razem, dopóki nie osuszyły następnej flaszki wina. Wypadek oglądany po raz trzeci pobudził je do okrzyków lubieżnej radości, jak gdyby kara, jaka w ich mniemaniu spotkała Wallingforda, należała

się wszystkim znanym im mężczyznom.

- Tylko że zamiast dłoni powinno mu się odgryźć coś innego - powiedziała matka.

- Właśnie - zgodziła się córka.

Oglądając jednak ponure zdarzenie po raz trzeci, pożegnalny widok pożeranej przez lwa ludzkiej kończyny panie powitały już tylko smutnym milczeniem, a matka odwróciła nawet wzrok, żeby nie widzieć wyrazu twarzy Patricka, który za chwilę miał stracić przytomność.

- Biedny skurwysyn - mruknęła pod nosem córka. - Idę spać.

- A ja chyba obejrzę to jeszcze raz - oświadczyła matka.

Córka, nie mogąc zasnąć, leżała w sypialni, gdzie przez szparę pod drzwiami sączyło się migotliwe światło z saloniku. Słyszała, że matka wyłączyła fonię i płacze.

Potulnie dołączyła do siedzącej na kanapie matki. Nie włączając fonii, wzięły się za ręce i ponownie obejrzały straszliwy, lecz stymulujący materiał. Nie zwracały uwagi na zgłodniałe lwy, bo okaleczały przecież mężczyzn.

- Dlaczego są nam potrzebni, skoro tak bardzo ich nienawidzimy? - spytała zmęczona córka.

- Nienawidzimy ich dlatego właśnie, że są nam potrzebni - odpowiedziała bełkotliwie matka.

Na ekranie pojawiła się wykrzywiona twarz Wallingforda. Osuwał się na kolana, a z przedramienia tryskała mu krew. Jego przystojne oblicze oblekło się w cierpienie, ale Wallingford działał na kobiety w taki sposób, że zarówno pijana, przymulona zmianą czasu matka, jak i jej niewiele mniej nietrzeźwa córka poczuły ból w ramionach, które wyciągały do padającego na ziemię Patricka.

Patrick Wallingford nigdy sam nie inicjował zbliżeń, wzniecał jednak seksualny niepokój i nienaturalne ciągoty w kobietach nawet wtedy, kiedy publicznie karmił swoją lewą dłonią lwa. Działał na kobiety w każdym wieku i typie niczym magnes i nawet zemdlony zagrażał płci niewieściej.

Jak bywa w rodzinie, córka powiedziała na głos to, co zauważyła wcześniej matka, która zatrzymała jednak tę obserwację dla siebie.

- Popatrz na lwice - powiedziała córka.

Ani jedna samica nie tknęła ręki Patricka. W smutku ich spojrzeń kryła się niemała miara tęsknoty, i nawet kiedy Wallingford stracił przytomność, lwice nie spuszczały z niego oka. I one sprawiały wrażenie jakby niepocieszonych.

Rozdział drugi

Były pomocnik

Szefem bostońskiego zespołu chirurgicznego był doktor Nicholas M. Zajac, specjalista w dziedzinie chirurgii ręki w firmie Schatzman, Gingeskie, Mengerink & Spółka, najlepszym ośrodku terapii dłoni w Massachusetts. Doktor Zajac pracował ponadto jako adiunkt w klinice chirurgicznej na Harvardzie. To on wpadł na pomysł poszukiwania ewentualnych dawców i biorców dłoni przez Internet (www.needahand.com).

Doktor Zajac był starszy od Patricka Wallingforda o pół pokolenia. Do Deerfield i Amherst przyjmowano jeszcze wyłącznie chłopców, kiedy Zajac uczył się w tych placówkach edukacyjnych, co jednak niedostatecznie tłumaczyło jego zainteresowanie wyłącznie jedną płcią, towarzyszące osobie doktora równie wyraziście, jak zapach kiepskiej wody po goleniu.

Z czasów Deerfield ani z czterech lat, które spędził w Amherst, nikt go nie pamiętał. Grał w lacrossa w drużynie szkolnej, zarówno w gimnazjum, jak i na uczelni, gdzie został jednym z założycieli zespołu, ale nie pamiętali go nawet trenerzy. To rzadkość być kimś tak anonimowym w drużynie sportowej, ale Nick Zajac spędził całe dzieciństwo i młodość na nieprawdopodobnie bezbarwnej, choć zakończonej sukcesem pogoni za doskonałością, nie mając przyjaciół i ani jednego doświadczenia seksuального za sobą.

Jego kolega ze studiów w akademii medycznej, z którym przyszły doktor Zajac przeprowadzał kiedyś na ćwiczeniach sekcję kobiecych

zwłok, zapamiętał na zawsze pełen wzburzenia wstrząs, jakiego doznał Nick na widok denatki.

- Nie chodziło o to, że od zgonu minęło sporo czasu - wspominał jego partner z laboratorium. - Nicka poruszył po prostu widok nagiej kobiety, prawdopodobnie pierwszej, jaką w życiu widział.

Drugą pierwszą kobietą miała stać się dla Zajaca żona, doktor należał bowiem do tych mężczyzn, którzy z nieumiarkowanej wdzięczności wobec płci pięknej żenią się z pierwszymi kobietami, jakie im się oddają. Zarówno Zajac, jak i jego żona mieli pożałować tego kroku.

Wspomniane kobiece zwłoki przyczyniły się też do podjęcia przez Zajaca decyzji o specjalizacji w dziedzinie chirurgii dłoni. Jak twierdzi jego dawny partner z laboratorium, dłonie denatki były jedynymi częściami jej ciała, które Zajac był w stanie zbadać.

Naturalnie o doktorze Zajacu musimy się dowiedzieć czegoś więcej. A więc odchudzał się nałogowo i nigdy nie był zadowolony ze swojej szczupłej sylwetki. Uprawiał biegi maratońskie, obserwował ptaki i żywił się nasionami, którego to zwyczaju nabrał, podpatrując zięby. Poza tym odczuwał nadprzyrodzony pociąg do ptaków i sławnych ludzi, został więc chirurgiem, który operował dłonie gwiazd.

Były to głównie gwiazdy sportu, kontuzjowani zawodnicy, jak miotacz Boston Red Sox z zerwanym tylnym ścięgnem łokciowym w rękę, którą na co dzień rzucał piłkę. Owego miotacza sprzedano potem do Toronto Blue Jays za dwóch zawodników z pola, którym nie wychodziła nigdy żadna akcja, i za nominalnego pałkarza, przejawiającego jednak głównie talent do bicia żony, nie uderzania piłki. Po jakimś czasie Zajac zoperował również i jego. Usiłując zamknąć się w samochodzie, żona damskiego boksera przytrzasnęła mu dłoń drzwiami, przy czym najciężej kontuzjowana została kość środkowego palca i kości śródreżca.

Gwiazdom sportowym zdumiewająco znaczna liczba kontuzji przytrafiała się z dala od boisk, kortów czy lodowisk - jak bramkarzowi hokeistów Boston Bruins, który zakończył karierę, ponieważ przeciął sobie

ścięgnęo poprzeczne w lewej dłoni, kiedy zbyt mocno ścisnął kieliszek z winem i zgruchotał go o ślubną obrączkę. Podobna historia przydarzyła się karaniem często za nieczystą grę wolnemu obrońcy z drużyny futbolowej New England Patriots, który rozerwał sobie tętnicę palcową i kilka nerwów, próbując otworzyć ostrygę szwajcarskim scyzorykiem. Byli zagorzałymi sportowcami - ryzykantami narażonymi stale na kontuzje, ale cieszyli się zasłużoną sławą, więc doktor Zajac przez pewien czas oddawał im boską cześć, a opatrzone autografami fotografie sportowców emanujących fizyczną wyższością nad resztą społeczeństwa spoglądały na niego z góry ze ścian lekarskiego gabinetu.

Jednakże nawet kontuzje odnoszone przez sportowców w pracy bywały niejednokrotnie przypadkowe. Na przykład któregoś dnia zwrócony tyłem do kosza center Boston Celtics usiłował popisać się wsadem, choć czas na oddanie strzału minął już na zegarze, przy czym stracił po prostu panowanie nad piłką i roztrzaskał sobie powięź dłoni o obręcz.

Mimo to doktor Zajac kochał wszystkich swoich pacjentów. Wcale nie tylko sportowców.

Wokaliści rockowi wydawali się szczególnie podatni na dwa rodzaje kontuzji hotelowych. W klasyfikacji Zajaca dzierżąca palmę pierwszeństwa kategoria obrażeń zwana była kategorią „niezadowolenia z obsługi”, prowadzącego do ran klutych ciała, oparzelin od gorącej kawy i herbaty oraz licznych losowych konfrontacji ofiar z różnymi obiektami nieożywionymi. Tuż za nią, na miejscu drugim, plasowały się niezliczone nieszczęśliwe wypadki w zalanych wodą łazienkach, dotykające nie tylko gwiazdy rocka, lecz i filmu.

Gwiazdom filmowym zdarzały się także wypadki w restauracjach, najczęściej podczas opuszczania ich gościnnych progów. Z punktu widzenia chirurga lepiej jest uderzyć fotoreportera niż jego aparat, a ze względu na dłoń bijącego wszelkie manifestacje wrogości wobec przedmiotów z metalu, szkła, drewna, kamienia lub plastiku są oczywistą pomyłką. Mimo to akty przemocy, jakich dopuszczali się sławni ludzie na przedmiotach martwych, stanowiły główne źródło kontuzji, z którymi

spotykał się Zajac w pracy chirurga.

Przyglądając się potulnym obliczom swoich sławnych pacjentów, doktor często zdawał sobie sprawę, że ich sukcesy i pozorne samozadowolenie są jedynie nakładanymi na użytek publiczny maskami.

Tak wyglądało więc pole zainteresowań doktora Zajaca, którym z kolei interesowali się jego koledzy po fachu od Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka & Spółki. Wprawdzie w oczy nie nazywali go gwiazdorską dziwką, ale wiedzieli, kim jest, i traktowali go z góry, choć był najlepszym chirurgiem w firmie. O tym także wiedzieli, a ta świadomość grała im na nerwach.

O ile lekarze od Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka & Spółki powstrzymywali się od komentarzy na temat gwiazd, z którymi pieprzył się Zajac, o tyle pozwalali sobie krytykować chudość swojego gwiazdorskiego kolegi. Fama głosiła, że małżeństwo Zajaca rozpadło się, ponieważ schudł bardziej od żony, a mimo to nikomu od Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka & Spółki nie udało się namówić Zajaca, żeby się lepiej odżywił, co mogło uratować jego związek. Dlatego trudno było przypuszczać, że koledzy zdołają odnieść sukces i przekonać go do przybrania na wadze teraz, kiedy był już po rozwodzie.

Sąsiadów Zajac doprowadzał do szału głównie swoim uwielbieniem dla ptaków. Z powodów niepojętych nawet dla okolicznych ornitologów doktor żywił bowiem przekonanie, że obfitość psich odchodów szkodzi miejskim ptakom w okręgu bostońskim.

Słynna była scena z udziałem Zajaca, którą delectowali się wszyscy jego koledzy, choć tylko jeden widział ją na własne oczy. Oto któregoś niedzielnego poranka na zaśnieżonym podwórzu swojego domu przy Brattle Street sławny chirurg dłoni, ubrany w buty z cholewami do kolan, czerwony flanelowy szlafrok i idiotyczną czapeczkę narciarską z logo New England Patriots, trzymając w jednej ręce papierową torbę, a w drugiej dziecinną raketę do lacrossa, przepatrywał teren w poszukiwaniu psich kup. Doktor Zajac nie miał wprawdzie psa, ale miał za to kilku

bezczelnych sąsiadów, a Brattle Street należała do najpopularniejszych psich tras spacerowych w Cambridge.

Rakieta przeznaczona była pierwotnie dla jedyne go dziecka Zajaca, syna, który nie zdradzał żadnych zainteresowań sportowych i odwiedzał ojca w co trzeci weekend. Sfrustrowany, niedożywiony sześciolatek, którym wstrząsnął rozwód rodziców, uparcie nie jadł - całkiem możliwe, że za poduszczeniem matki, której nieskomplikowaną misją życiową stało się doprowadzanie Zajaca do utraty zmysłów.

Była żona doktora, Hildred, wypowiadała się na ten temat lekceważąco.

- A dlaczego mały miałby jeść? Przecież jego ojciec nie je. Syn głodzi się, bo widzi, że głodzi się ojciec!

Dlatego podczas rozprawy sądowej ustalono, że Zajac może widywać syna tylko co trzy tygodnie, na czas nie dłuższy niż weekend. A w Massachusetts dają rzekomo rozwody bez orzekania o winie! (Rozwód bez orzekania o winie Wallingford nazywał swoim ulubionym oksymorem).

Prawda wyglądała jednak tak, że doktor Zajac biadał nad zaburzeniami żywienia, które dotknęły jego ukochane dziecko, i poszukiwał zarówno medycznych, jak i praktycznych sposobów poprawy stanu zdrowia syna. (Hildred ledwie raczyła zauważyć, że wygłodzony i wychudzony chłopak ma problemy z jedzeniem). Nazywał się Rudy - a kiedy odwiedzał ojca w weekendy, Zajac często odgrywał przed nim przedstawienie, wmuszając w siebie ogromne ilości jedzenia, które następnie zwracał, pogrążony w prywatnym, zdyscyplinowanym milczeniu. Ale tak czy inaczej, za przykładem czy też wbrew postępowaniu ojca, Rudy prawie nie jadł.

Pierwszy pediatra gastroenterolog proponował zwiadowczy zabieg chirurgiczny, żeby wykluczyć chorobę okrężnicy. Drugi zapisał chłopcu syrop zawierający niestrawny cukier o działaniu moczopędnym. Trzeci był zdania, że Rudy z tego wyrośnie, i była to jedyna opinia gastroenterologiczna, jaką doktor Zajac i jego była żona przyjęli do wiadomości.

Tymczasem odeszła też stała gosposia doktora, która nie mogła już patrzeć na niezliczone produkty żywnościowe, wyrzucane co trzeci

poniedziałek. Irma, nowa gosposia, która, podobnie jak jej poprzedniczka, zamieszkała u doktora na stałe, czuła się mianem „gosposi” urażona, Zajac nazywał ją więc swoją asygentką, choć do obowiązków Irmy należało głównie pranie i sprzątanie. Ostatecznie jej ducha złamało, być może, codzienne poszukiwanie psich kup na podwórzu - hańba papierowej torby, niezdarność, z jaką posługiwała się dziecinną rakieta do lacrossa, i poddańczy charakter wykonywanej pracy.

Irma była swojską, przysadziście zbudowaną dziewczyną około trzydziestki i nie spodziewała się, że praca dla „doktora nauk medycznych”, jak nazywała Zajaca, obejmować będzie zadania tak poniżające, jak walka z defekacyjnymi zwyczajami psów na Brattle Street.

Czuła się tym bardziej urażona, że sądziła, iż doktor Zajac uważa ją za nowo przybyłą do Ameryki imigrantkę, dla której angielszczyzna nie jest językiem ojczystym. W rzeczywistości angielski był ojczystym i jedynym językiem, jaki знаła, a nieporozumienie wzięło się stąd, że Zajac niewiele rozumiał z jej prowadzonych zrozpaczonym głosem rozmów telefonicznych, które zdarzało mu się podsłuchiwać.

Dysponowała własnym telefonem w sypialni za kuchnią i często rozmawiała po całych nocach z matką albo którąś z sióstr, podczas gdy Zajac plądrował lodówkę. (Łasunek chudego jak skalpel chirurga ograniczał się jednak do surowych marchwi, przechowywanych w misie topniejącego lodu).

Zajacowi wydawało się, że dziewczyna rozmawia w obcym języku. Wprawdzie chrzęst surowej marchewki i szaleńcze trele ptaków śpiewających w rozstawionych po całym domu klatkach niewątpliwie nasilały omamy słuchowe doktora, ale najbardziej mylił go histeryczny płacz Irmy, którym nieodmiennie wybuchała, rozmawiając z matką lub siostrami, opowiadała im bowiem o ciągłych upokorzeniach, doznawanych od uporczywie niedoceniającego jej zdolności Zajaca.

Irma umiała gotować, ale doktor rzadko jadał regularne posiłki. Umiała szyć, ale obowiązkiem naprawy swojej służbowej i szpitalnej

odzieży Zajac obarczył pralnię chemiczną, reszta natomiast jego garderoby, nadająca się do zwyczajnego prania, składała się głównie z przepocynych dresów, w których biegał. Biegał rano, czasem jeszcze w ciemnościach, przed śniadaniem, a potem, często po zmroku, biegał jeszcze raz pod koniec dnia.

Należał do większej grupki chudzielców około pięćdziesiątki, którzy biegają brzegami rzeki Charles jak gdyby w bezustannej rywalizacji sprawnościowej z mrowiem studentów biegających bądź spacerujących w okolicach Memorial Drive. Śnieg, deszcz ze śniegiem, błotna breja, letnie upały ani nawet burze nie zniechęcały wiotkiego chirurga do biegania. Przy wzroście pięciu stóp i jedenastu cali doktor Zajac ważył zaledwie sto trzydzieści pięć funtów.

Irma, mierząca pięć stóp i sześć cali, wążąca zaś około stu pięćdziesięciu funtów, wmawiała sobie, że nienawidzi doktora. Opowiadała, jak Zajac ją obraża, zawodziła swoją litanię krzywd i łkała w słuchawkę, a podsłuchujący jej rozmowę chirurg zastanawiał się:

- Czeski? Polski? Litewski?

Kiedy pewnego razu zagadnął ją, skąd pochodzi, Irma odburknęła, że z Bostonu, lekarz zaś pomyślał, że to wspaniałe, bo nie ma jak poczucie patriotyzmu wdzięcznego za swój los imigranta z Europy. Dlatego postanowił pogratulować Irmie „mimo wszystko” świetnej angielszczyzny, a potem, nocą, gosposia wyplakiwała się znów do telefonu.

Powstrzymała się od komentarza na temat żywności, którą kupował co piątek, a doktor Zajac nie uzasadniał nigdy polecenia, aby co trzeci poniedziałek wyrzucać ją do śmietnika. Po prostu wykladał wszystko na kuchenny stół - kurczaka, szynkę, owoce, warzywa i topniejące lody - a obok kładł kartkę z wystukany na maszynie napisem: „Wyrzucić”. Nic więcej.

Irma sądziła, że sprawa jedzenia ma związek z obrzydzeniem, jakie Zajac żywi dla psich kup. Z nieopisaną prostodusznością przypuszczała, że jej chlebodawca cierpi na obsesję przejawiającą się wyrzucaniem rozmaitych przedmiotów. Nie mogła się bardziej mylić. Nawet na poranne i wieczorne treningi maratońskie Zajac zabierał rakiętę do lacrossa,

teraz już dla dorosłego gracza, którą dzierzył tak, jak gdyby podtrzymywał wymaginowaną piłkę.

Rakiet do lacrossa Zajac miał w domu wiele. Oprócz przypominającej zabawkę rakiety Rudy'ego posiadał liczne rakiety dla dorosłych, znajdujące się w różnym stanie zużycia i rozkładu. Była wśród nich nawet poobijana, drewniana rakietka ze szkolnych lat właściciela w Deerfield. Przypominała coś w rodzaju prymitywnej broni, odznaczała się bowiem popękanymi i powiązаныmi naprędcami rzemiennymi strunami, a poza tym była owinięta brudną taśmą i oblepiona błotem. Jednakże w zręcznych dłoniach doktora stara rakietka ożywała nerwową energią jego niespokojnej młodości, kiedy to neurasteniczny chirurg dłoni był niedożywionym, jakkolwiek niezwykle utalentowanym pomocnikiem.

Kiedy biegł nad brzegiem rzeki Charles, z anachronicznej, drewnianej rakiety do lacrossa emanowała gotowość żołnierskiego karabinu. Niejeden wioślarz odprowadzał czasem wzrokiem psie kupy, śmigające nad rufą jego kajaka, a pewien student Zajaca z akademii, dawniej sternik wyścigowej ósemki na Harvardzie, utrzymywał, że kiedyś udało mu się zgrabnie uchylić przed psią kupą, wycelowaną jakoby w jego głowę.

Doktor Zajac zaprzeczał, jakoby usiłował trafić kupą sternika. Jego zamiarem było jedynie oczyścić Memorial Drive z ewidentnego nadmiaru psich odchodów, dlatego zgarniał je rakieta do lacrossa i ciskał potem do rzeki. Ale były sternik i student medycyny miał szalonego pomocnika na oku po tym pierwszym, pamiętnym spotkaniu, a rychło znaleźli się kolejni wioślarze i sternicy, gotowi przysiąc, że widzieli, jak Zajac wprawnie podrzuca psią kupę na swojej starej rakiecie, po czym strzela wprost w nich.

By nie uchybić faktom, należy dodać, że były pomocnik Deerfield zdobył dwie bramki w meczu przeciwko niepokonanej wcześniej drużynie z Andover i dwukrotnie strzelił po trzy gole zespołowi z Exeter. (Nie pamiętali go koledzy z drużyny, ale zapamiętało go paru przeciwników. Bramkarz Exeter ujął to najzwyczajniej: „Nick Zajac dysponował zajebiście kąśliwym strzałem”).

Jego koledzy od Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka & Spółki słyszeli ponadto, jak krytykował okrutnie „totalną głupotę sportów, które uprawia się tyłem”, co miało rzekomo dowodzić pogardy Zajaca dla wioślarzy. Ale czy to ważne? Czy ludzie nadmiernie ambitni nie bywają często ekscentrykami?

Dom przy Brattle Street rozbrzmiewał ptasim śpiewem niby leśna dolina. Wykuszowe okna jadalni pokrywały nadające domostwu Zajaca piętno wandalizmu wymalowane farbą w aerozolu wielkie, czarne krzyże w kształcie litery X, dzięki którym ptaki nie tłukły się o szyby. W klatce stojącej w kuchni, gdzie ku narastającemu w Irmie żalowi zdechła niedawno jemiołuszka cedrowa z przetrąconą szyją, wracał do zdrowia strzyżyk ze złamanym skrzydłem.

Do codziennych zadań Armii należało zamiatanie rozsypanego wokół ptasich klatek i na podłodze ziarna, ale pomimo jej wysiłków odgłos rozgniatanej pod stopami karmy czynił dom Zajaca nieroztropnym celem dla włamywaczy. Rudy lubił jednak ptaki - choć jak dotąd matka niedożywnego chłopca nie chciała kupić mu żadnego zwierzęcia - Zajac natomiast zamieszkałby nawet w ptaszarni, gdyby miało to uszczęśliwić syna... lub skłonić go do jedzenia.

Z kolei Hildred wytrwale obmyślała nowe tortury dla byłego małżonka, nie była bowiem w pełni zadowolona, że czas, jaki Zajac spędza z chłopcem, udało jej się zredukować do mizernych dwóch dni i trzech nocy w miesiącu. Dlatego, w mniemaniu, że znalazła sposób, by jeszcze bardziej zatruć im krótkie spotkania, kupiła Rudy'emu psa.

- Ale będziesz musiał trzymać go u ojca - powiedziała sześciolatce matka. - U nas nie może mieszkać.

Kundla, który pochodził z humanitarnego schroniska dla zwierząt, nazywano wielkodusznie „półnowofundlandem”, a Zajac zastanawiał się, czy dlatego, że zwierzę tu i ówdzie porasta czarna sierść. Pies był wysterylizowaną, mniej więcej dwuletnią suką o niespokojnym, nickszemnym pysku i zbyt przysadzistym oraz pękatym jak na nowofundlanda tułowiu. Jej górne fafle zwisały nad dolną szczęką, przywodząc na myśl ogara,

czoło natomiast, raczej brunatne niż czarne, wykrzywiała permanentna zmarszczka. Chodziła z nosem przy ziemi, często przydeptując sobie uszy, a sztywny ogon mieszańca drżał często jak ogon pointera. (Hildred kupiła porzuconego kundla w nadziei, że będzie polować na ptaki u Zajaca).

- Jeżeli my nie zatrzymamy Medei, uśpią ją, tato - oświadczył patetycznie Rudy ojcu.

- Medea - powtórzył Zajac.

Weterynarz powiedziałby, że Medea cierpi na „nieumiarkowanie pokarmowe” - zjadała patyki, buty, kamienie, papier, metal, plastik, piłki tenisowe, zabawki i własne odchody. (Ową pokarmową niepowściągliwość odziedziczyła niewątpliwie po nowofundlandzkich przodkach). To właśnie zapal, z jakim zjadała psie kupy, bynajmniej nie tylko własne, skłonił jej pierwotnych właścicieli do oddania Medei do schroniska.

Hildred przeszła samą siebie, znajdując w celi śmierci psa hołdującego zwyczajom, które niemal z pewnością mogły doprowadzić jej byłego męża do obłądu albo wręcz nasilić jego szaleństwo. Imię Medei, mitycznej czarodziejki, która zamordowała własne dzieci, pasowało do psa idealnie. Gdyby żarłoczna „półnowofundlandzka” suka urodziła szczeniaki, z pewnością by je pożarła.

Po jakimś czasie Hildred odkryła ze zgrozą, że doktor Zajac pokochał jednak psa. Medea poszukiwała psich kup równie pilnie, jak on, zostali więc bratnimi duszami, a Rudy miał teraz psa, z którym mógł się bawić, dzięki czemu chętniej odwiedzał ojca.

Doktor Nicholas M. Zajac był chirurgiem gwiazd, ale przede wszystkim rozwidzionym ojcem. Irmę wzruszyła miłość lekarza do syna, co początkowo stało się jej tragedią, która przerodziła się następnie w triumf. Jej własny ojciec porzucił matkę przed urodzeniem Irmy i nie zaprzętał sobie później głowy, by utrzymywać kontakt z nią albo z jej siostrami.

Pewnego poniedziałkowego poranka, kiedy Rudy wrócił już do matki, Irma zaczęła dzień pracy od próby posprzątania pokoju chłopca. Przez trzy tygodnie, kiedy Rudy'ego nie było, jego pokój utrzymywany był w

czystości niczym świątynia. Zresztą, prawdę rzekłszy, była to świątynia, bo Zajac często przesiadywał w pokoju sześciolatka z jakby nabożną czcią. Ale pokój Rudy'ego przyciągał także ponurego psa. Medea zdawała się tęsknić za chłopcem równie mocno, jak Zajac.

Tego ranka Irma zdumiała się jednak na widok doktora Zajaca, śpiącego nago w łóżku nieobecnego syna. Nogi lekarza zwisały za kraniec posłania, a koldrę Zajac odrzucił, bo niewątpliwie ogrzewało go dostatecznie ciepłe cielsko ważącego sześćdziesiąt funtów psa. Medea leżała z chirurgiem pierś w pierś, wtuliwszy mordę w jego szyję i pieszcząc łapą obnażone ramię śpiącego doktora.

Irma przypatrywała mu się bacznie. Nigdy dotąd nie przyglądała się tak spokojnie i bez przeszkód nagiemu mężczyźnie. Były pomocnik szkolnej drużyny lacrossa dziwił się raczej, niż dąsał, że jego wspaniała kondycja fizyczna nie pociąga kobiet, ale choć w żadnym wypadku nie można było o nim powiedzieć, że nie jest przystojny, jego krańcowe wariactwo było mimo wszystko widoczne równie dobrze, jak kości. (Mniej rzucające się w oczy, kiedy spał).

Żyjący głównie myślą o przeszczepach chirurg był obiektem pogardy, jak i zazdrości kolegów. Obsesyjnie uprawiał biegi długodystansowe, nie jadał niemal nic, miał bzika na punkcie ptaków, a niedawno spodobało mu się nieumiarkowanie pokarmowe wyjątkowo neurotycznego psa. W dodatku wegetował w niewymownych męczarniach, jakich przysparzał mu rzadko widywany syn. Irma zauważyła jednak teraz w doktorze coś, co przeważało szalę. Dostrzegła nagle jego heroiczną miłość do dziecka, którą dzielił z psem. (W przypiływie nieznaney dotąd Irmie słabości Medea też ją wzruszyła).

Irma nigdy dotąd nie widziała Rudy'ego, nie pracowała bowiem podczas weekendów. Wiedzę na jego temat czerpała wyłącznie z fotografii, których przybywało po każdej kolejnej niebiańskiej wizycie syna. Co prawda, wyczuwała przez skórę, że pokój Rudy'ego jest ojcowską świątynią, nie spodziewała się jednak ujrzeć Zajaca połączonego uściskiem z Medeą w łóżku chłopca. Boże, jak ja bym chciała, żeby mnie ktoś tak kochał! - pomyślała.

Dokładnie w tej chwili, w tej sekundzie Irma zakochała się w bezspornych zdolnościach miłosnych, jakie zdradzał zacny doktor Zajac, choć nie objawiał ich dotąd wobec niej. Irma została jednak niewolnicą Zajaca bez dalszego namysłu, mimo że chirurg nieprędko to zauważył.

W tym egzystencjalnym punkcie zwrotnym Medea otworzyła pełne żalu nad samą sobą oczy, unosząc ciężki łeb, a z jej obwisłego fafla spłynęła nitka śliny. Irma zaś, która z niepohamowanym entuzjazmem dopatrywała się wróżbiarskich znaków w najzwyczajniejszych zdarzeniach, uznała, że ślina psa odznacza się niepokojącą, perłową barwą.

Domyśliła się także, że doktor Zajac zaraz się obudzi. Kutas doktora nie ustępował grubością jego ręce w nadgarstku, a był długi niczym... Dość powiedzieć, że jak na chudzielca, Zajac wyposażony był w pokaźną fajurę, w związku z czym Irma postanowiła, że ona też będzie szczupłą.

Decyzja ta okazała się reakcją nie mniej gwałtowną niż miłość, jaką odkryła w sobie do doktora Zajaca, który obudził się, gdy tylko niezgrabna dziewczyna, blisko dwadzieścia lat młodsza od rozwiedzionego lekarza, zniknęła na chwiejnych nogach w przedpokoju. Żeby uprzedzić Zajaca o swojej obecności, przywołała psa. Ponura suka niechętnie opuściła pokój Rudy'ego, ale ku jej zdumieniu, Irma obsypała ją piieszczotami, więc kiedy zdziwienie minęło, zaczęła się do niej łąsić.

Nic nie dzieje się bez przyczyny, pomyślała prostoduszna dziewczyna, wspominając, jaka była dotąd nieszczęśliwa. Zrozumiała, że to Medea wprowadziła ją na drogę wiodącą do serca doktora Zajaca.

- Chodź, słodziutka, chodź ze mną - dobiegł po chwili lekarza głos gosposi-asystentki. - Pojemy sobie dzisiaj same pyszności!

Jako się rzekło, koledzy Zajaca prezentowali żałośnie niższy poziom umiejętności zawodowych, dlatego zazdrościliby mu i gardziliby nim jeszcze bardziej, gdyby nie czuli wyższości nad chirurgiem w innych dziedzinach życia. Kolegów Zajaca z firmy bardzo cieszyło i podnosiło na duchu, że nieulekłego przodownika okaleczyła miłość do nieszczęsnego,

marniejącego w oczach syna. Poza tym wydawało im się cudowne, że z miłości do Rudy'ego najlepszy chirurg dłoni w Bostonie zamieszkał pod jednym dachem z psem-gównojadem.

Uciecha, jaką stanowiło dla nich nieszczęście, które dotknęło sześciolatniego syna Zajaca, była przejawem okrutnego braku wielkoduszności ze strony ludzi pośledniejszych od niego. Koledzy zacnego chirurga nie mieli też racji, twierdząc, że chłopak „marnieje”, Rudy pochłaniał bowiem mnóstwo witamin i soku pomarańczowego. Pijał koktajle owocowe (najczęściej z mrożonych truskawek i zmiksowanych bananów) i zjadał codziennie jabłko albo gruszkę. Ponadto żywił się jajecznicą z grzankami i jadał ogórki, choć wyłącznie z keczupem. Nie pił natomiast mleka i nie spożywał mięsa, ryb ani sera, chociaż zdarzało mu się wykazywać ostrożne zainteresowanie jogurtem, o ile tylko nie zawierał grudek.

Rudy wprawdzie był niedożywiony, ale gdyby regularnie podejmował niewielki wysiłek fizyczny albo odżywił się nieco zdrowiej, wyglądałby normalnie, jak każdy chłopiec w jego wieku. Był wyjątkowo rozkosznym malcem, nie po prostu przysłowiowym „fajnym dzieciakiem”, lecz także wzorem poczucia sprawiedliwości i dobrej woli. Rudy'emu pieprzyła jednak w głowie matka, której udało się niemal zatruć uczucia, jakie żywił dla ojca. Ostatecznie Hildred mogła urabiać słabego sześciolatka po trzy tygodnie z rzędu bez przerwy, podczas gdy Zajac miał co trzeci tydzień tylko niewiele ponad czterdzieści osiem godzin, by przeciwdziałać zgubnym wpływom swojej byłej żony. A ponieważ Hildred doskonale wiedziała o bałwochwalczym uwielbieniu Zajaca dla wyczerpujących ćwiczeń fizycznych, zabraniała Rudy'emu grać w piłkę nożną i chodzić po szkole na łyżwy, przez co chłopiec stał się wideomaniakiem.

Hildred, która podczas małżeństwa z Zajacem wychodziła ze skóry, żeby zachować szczupłą sylwetkę, hołdowała teraz obfitym kształtom. Mawiała, że w tym stanie czuje się „bardziej kobietą”, na samą myśl o czym Zajacowi robiło się niedobrze.

Matka Rudy'ego przejawiała jednak największe okrucieństwo, starając się przekonać syna, że ojciec go nie kocha, co prawie się jej udało.

Z radością wytykała byłemu mężowi, że po weekendach z ojcem chłopak wraca do domu przygnębiony - nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że Rudy popada po powrocie w depresję, ponieważ to ona, Hildred, zaczynała go wtedy mordować dociekliwymi pytaniami.

- Była w domu jakaś kobieta? Poznałeś jakąś panią u ojca? - zaczynała, ale u ojca w domu mieszkała tylko Medea i niezliczone ptaki.

Kiedy człowiek całymi tygodniami nie widzi swojego dziecka, chęć obsypywania go prezentami staje się wielce kusząca, gdy jednak Zajac robił Rudy'emu prezenty, Hildred mówiła chłopcu, że ojciec chce go przekupić - choć czasami jej rozmowy z synem na ten temat rozwijały się po innej linii:

- No i co on ci kupił? Wrotki! Przydadzą ci się jak psu piąta noga... Widocznie chce, żebyś rozwalil sobie łeb. I pewnie nie pozwolił ci obejrzeć ani jednego filmu. Na litość boską, zajmuje się tobą tylko przez dwa dni i trzy noce, więc powinien się zachowywać jak człowiek. Moim zdaniem, mógłby się bardziej postarać!

Problem jednak polegał oczywiście na tym, że Zajac za bardzo się starał. Przez cały pierwszy dzień odwiedzin u ojca jego frenetyczna energia przytłaczała chłopca.

Medea, podobnie jak Zajac, szalała z radości na widok Rudy'ego, ale dzieciak zachowywał się apatycznie, w każdym razie w porównaniu z oszalałym psem. Pomimo widocznych w całym domu śladów tkliwych przygotowań, jakie podejmował doktor, by zapewnić synowi dobrą zabawę, Rudy zdawał się przejawiać otwartą wrogość wobec ojca. Chłopcu przykazano szukać symptomów braku ojcowskiej miłości, a ponieważ nie potrafił ich znaleźć, u progu każdego wspólnego weekendu z Zajacem czuł się zagubiony.

Na szczęście polubił jednak pewną grę, zajmującą ich nawet w rozpaczliwe piątkowe wieczory, kiedy Zajacowi wydawało się, że pozostało mu już tylko bolesne zadanie podtrzymywania rozmowy o niczym ze swoim jedynakiem - toteż z ojcowską dumą zawsze podkreślał, że tę grę wymyślił osobiście.

Sześcioletnie dzieci uwielbiają powtarzalność i przewidywalność zdarzeń, a grę Zająca można by zapewne nazwać „powtarzalnością do kwadratu”, choć ani ojciec, ani syn nie zaprzętała sobie głowy nadaniem zabawie nazwy. Kiedy zaczynali wspólny weekend, oddawali się tej grze bez reszty.

Zabawa polegała na tym, że Rudy i Zając chowali kolejno w salonie kuchenny minutnik, nastawiony zawsze na jedną minutę. Powiedzieć „chowali” to jednak pewna nieścisłość, albowiem jedyna zasada gry głosiła, że minutnik musi pozostawać na widoku. Nie wolno było wsunąć go pod poduszkę czy ukryć w szufladzie (albo zagrzebać w kopcu ptasiej karmy w klatce ze szkarłatnymi ziębami). Minutnik spoczywał zatem w widocznym miejscu, ale ponieważ charakteryzował się beżową barwą i niewielkimi rozmiarami, trudno było go dostrzec, szczególnie w salonie, który, podobnie jak cały stary dom przy Brattle Street, został niedawno pośpiesznie - a Hildred powiedziała by zapewne, że niegustownie - przemeblowany. (Hildred zabrała po rozwodzie wszystkie ładne meble). Salon sprawiał wrażenie rupieciarni, w której zasłony nie pasują do tapicerki i tapet, i wyglądał tak, jak gdyby mieszkały w nim i pomarły trzy albo cztery pokolenia Zajaków, którzy nigdy niczego nie wyrzucali.

W tak zagraconym pokoju łatwo było więc schować niewinny minutnik w widocznym miejscu. Rudy rzadko znajdował go przed upływem minuty, zanim rozległ się brzęczyk, a Zając, nawet jeśli udało mu się spostrzec poszukiwany przedmiot w dziesięć sekund, nigdy nie przyznawał się do tego przed czasem, oczywiście ku uciesze syna. Potem Zając udawał, że przeżywa gorycz porażki, a Rudy się śmiał.

Przełom pozwalający im wykroczyć poza nieskomplikowaną przyjemność zabawy z minutnikiem zaskoczył zarówno syna, jak i ojca. A przełom ten przyniosła lektura - prawdziwa, niewyczerpana rozkosz głośnej lektury - gdy doktor Zając postanowił przeczytać Rudy'emu książki, które sam pokochał kiedyś w dzieciństwie. Były to powieści „Stuart Malutki” i „Pajęczyna Charlotty”, obie autorstwa E.B. White'a.

Wilbur, świnia z „Pajęczyny Charlotty”, zrobił na Rudym takie wrażenie, że chciał przemianować Medeę na „Wilbura”.

- Wilbur to imię dla chłopca, a Medea przecież jest dziewczynką - zauważył Zajac. - Ale może nic by się nie stało. Mógłbyś też przemianować Medeę na Charlotte, jeżeli chcesz, bo jak wiesz, Charlotta to imię żeńskie.

- Ale Charlotta umiera - zaproponował Rudy. (Charlotta była pajęczyną). - Zaczynam się bać, że Medea też umrze.

- Medea będzie jeszcze długo żyła - zapewnił syna Zajac.

- Mama mówi, że często tracisz panowanie nad sobą, a wtedy możesz ją zabić.

- Daję słowo, że nie zabiję Medei, Rudy - powiedział Zajac. - I że nie będę się na nią denerwował. (Hildred nigdy go nie rozumiała - z tego, że wytrącały go z równowagi psie kupy, nie wynikało, że nie znosi psów!).

- Opowiedz mi jeszcze raz, dlaczego dali jej na imię Medea - poprosił chłopiec.

Nielatwo jest przedstawić starożytny grecki mit sześciolatкови - spróbujcie choćby wyjaśnić, co to jest czarodziejka. Łatwiej już opowiedzieć, jak Medea pomogła Jazonowi w zdobyciu złotego runa, niż wytłumaczyć, co uczyniła własnym dzieciom. Doktor Zajac zastanawiał się nieraz, jak komuś mogło przyjść do głowy, żeby dać psu na imię Medea.

W ciągu sześciu miesięcy, które minęły od jego rozstania z Hildred, Zajac przeczytał kilkanaście książek traktujących o problemach, jakie dotyczą dzieci z rozbitych małżeństw. Autorzy, psychiatrzy dziecięcy, kładli szczególny nacisk na poczucie humoru rodziców, co nie było najmocniejszym punktem chirurga.

Swawolny nastrój nachodził go tylko wtedy, kiedy podrzucał psią kupę rakieta do lacrossa. Ale pobierając nauki w Deerfield, Zajac nie tylko grał w lacrossa na pozycji pomocnika, lecz śpiewał też w chórze szkolnym. I choć ostatnio podśpiewywał jedynie pod prysznicem, doznawał spontanicznych erupcji dobrego humoru, kiedy kąpał się z Rudym, toteż wspólna kąpiel znalazła się także na krótkiej, acz coraz bardziej wydłużającej się liście rzeczy, jakie Rudy lubił robić z tatą.

Któregoś dnia doktor Nicholas M. Zajac zaintonował nagle piosenkę, na melodię „I Am the River”, której Rudy nauczył się w przedszkolu - a jak większość dzieci, chłopiec lubił śpiewać.

Ja jestem Medea,
co zjada swoje bobki.
A w sta-ro-ży-tności
Zabiła swoje dziatki!

- Co? - zapytał Rudy. - Zaśpiewaj to jeszcze raz! (O starożytności już kiedyś rozmawiali).

Kiedy ojciec powtórnie odśpiewał piosenkę, Rudy zaczął pokładać się ze śmiechu. Sześcioletnie dzieci uwielbiają skatologiczny humor.

- Tylko nie śpiewaj tego przy matce - ostrzegł ojciec.

W ten sposób zyskali wspólną tajemnicę, co stanowiło kolejny krok na drodze do wytworzenia między nimi ojcowsko-synowskiej więzi.

Po jakimś czasie powędrowały z Rudym do domu dwa egzemplarze „Stuarta Malutkiego”, ale Hildred nie chciała czytać chłopcu. Gorzej, wyrzuciła nawet obie książki. Rudy powiedział o tym Zajacowi, dopiero kiedy podpatrzył, jak matka wyrzuca „Pajęczynę Charlotty”, co umocniło więź między ojcem a synem.

W każdy weekend, który spędzali razem, Zajac czytał Rudy'emu całego „Stuarta Malutkiego” albo „Pajęczynę Charlotty”, bo chłopiec nigdy nie miał dosyć tych książek. Płakał za każdym razem, kiedy Charlotta umierała, i śmiał się zawsze, kiedy Stuart rozbijał niewidzialny samochód dentysty. Jeśli chciał pić, oznajmiał ojcu słowami Stuarta, że ma „druzgocące pragnienie”. (Oczywiście za pierwszym razem musiał zapytać, co znaczy „druzgocący”).

Tymczasem, choć doktor Zajac poczynił poważne postępy w przeciwdziałaniu propagandzie Hildred i chłopiec stopniowo nabierał przekonania, że ojciec jednak go kocha, małoduszni koledzy chirurga wciąż byli przekonani, iż z uwagi na rzekomą frustrację i niedożywienie jego sześciolatniego syna górują nad Zajacem.

Z początku koledzy doktora czuli się lepsi od niego również ze względu na Irmę. Uważali, że tylko frajer mógł wybrać taką gospozię, ale kiedy Irma zaczęła się przeobrażać, zwrócili na nią uwagę na długo przedtem, nim zachowanie Zajaca zdradziło, że podziela ich zainteresowanie.

Niezdolność dostrzeżenia zachodzących w Irmie przemian stanowiła kolejny dowód, że doktor Zajac był obłąkańcem z gatunku niedowidzących. Dziewczyna zrzuciła dwadzieścia funtów i zaczęła chodzić na siłownię. Biegała trzy mile dziennie - krokiem szybszym niż trucht - a jeśli nawet jej nowa garderoba nie była gustowna, to zgodnie z intencjami właścicielki uwydatniała jednak figurę. Irma nigdy nie zasłużyłaby na miano pięknej, była natomiast świetnie zbudowana. To Hildred puściła plotkę, że Zajac zaczął spotykać się ze striptizerką. (Rozwódki po czterdziestce nie okazują zazwyczaj życzliwości dobrze zbudowanym kobietom przed trzydziestką).

Pamiętajmy, że Irma była zakochana i nie zważała na nic. Pewnej nocy przebiegła na palcach, naga, ciemnym korytarzem na piętrze. Postanowiła, że jeśli Zajac nie poszedł jeszcze spać i zobaczy ją teraz bez ubrania, wytłumaczy mu, że jest lunaticzką, a do jego pokoju przyciągnęła ją jakaś niepojęta siła. Pragnęła, by doktor Zajac zobaczył ją nago - choć oczywiście przypadkiem - albowiem wzbogaciła się nie tylko o wspaniałe ciało, lecz także o niezachwianą pewność siebie.

Ale gdy przebiegała na palcach przed zamkniętymi drzwiami sypialni doktora, zatrzymała ją zaskakująca myśl, że Zajac się modli. Nie będąc osobą religijną, Irma uznała modlitwę za podejrzenie nienaukowe działanie ze strony chirurga dłoni. Nasłuchiwała pod drzwiami jeszcze przez chwilę, po czym stwierdziła z ulgą, że Zajac się nie modli, lecz czyta po prostu „Stuarta Malutkiego” rozmodlonym głosem.

- „W porze kolacji wziął siekierę, ściął mlecz, otworzył puszkę ostro przyprawionej szynki i spożył lekką kolację, złożoną z szynki i mleczowego mleczka” - czytał doktor Zajac.

Irma była zaszokowana miłością Zajaca do syna, ale na samo wspomnienie ostro przyprawionej szynki zbierało jej się na wymioty, zrejterowała

więc do sypialni za kuchnią, gdzie przystanąła na chwilę, by schrupać kilka surowych marchewek, pływających w misie topniejącego lodu w lodówce.

Czy ten samotny mężczyzna wreszcie zwróci na nią uwagę?

Irma spożywała dużo orzechów i suszonych owoców, jak również świeże owoce i kopy surowych warzyw. Przyrządzała wyborną rybę na parze, z imbirem i czarną fasolą, a danie to tak zaimponowało Zajacowi, że zdumiał Irmę (i wszystkich swoich znajomych), wyprawiając zaimprovizowane przyjęcie dla studentów z akademii medycznej.

Wyobrażał sobie, że któryś z chłopców z Harvardu zaprosi Irmę na randkę. Sądził, że - podobnie jak większość studentów - jest samotna, nie miał jednak pojęcia, że dziewczyna marzy wyłącznie o nim. W dodatku, kiedy przedstawił Irmę młodym adeptom sztuki lekarskiej jako swoją „asystentkę”, studenci uznali, że doktor ją posuwa (po części dlatego, że była ewidentnie świetną dupą), porzucili więc wszelką nadzieję na podryw. (Studentki Zajaca natomiast utrzymywały zapewne, że Irma pod każdym względem wygląda równie rozpaczliwie, jak on).

Mniejsza z tym. Ryba gotowana na parze z imbirem i czarną fasolą wszystkim bardzo smakowała, a Irma знаła też przepisy na inne dania. Do psiej karmy Medeï dodawała wzmacniacz smaku, bo w poczekalni u dentysty wyczytała w jakimś piśmie, że wzmacniacze smaku czynią psi kał nieapetycznym, nawet dla psa - ale wzmacniacz zdawał się nęcić Medeę jeszcze bardziej.

Ziarno dla ptaków w karmniku na dworze doktor Zajac posypywał płatkami czerwonej papryki. Jak powiedział Irmie, dzięki temu ptasiej karmy nie mogą wyżerać wiewiórki. Dlatego Irma próbowała posypywać czerwoną papryką także psie odchody, i chociaż efekt jej starań był wizualnie interesujący, szczególnie na tle świeżo spadłego śniegu, papryka zniechęciła Medeę do konsumpcji kału tylko za pierwszym razem.

Zajac natomiast nie był zadowolony, że psie bobki na podwórku zwracają coraz większą uwagę osób postronnych. Jego sposób na powstrzymanie Medeï przed spożywaniem własnych kup był daleko

prostszy, choć wymagał umiejętności sportowych. Doktor, z rakieta do lacrossa w ręce, uprzedzał sukę i dopadał odchodów pierwszy. Zwykle wrzucał kupy do papierowej torby, z którą się nie rozstawał, choć Irma widziała czasem, jak miota nimi w wiewiórkę przesiadującą na drzewie po drugiej stronie Brattle Street. Zajacowi nie udało się nigdy trafić zwierzątko, ale zachowanie doktora chwyciło Irmę za serce.

Choć było za wcześnie, by stwierdzić, czy dziewczyna, którą Hildred nazywała „striptizerką Nicka”, zdobędzie kiedyś serce doktora Zajaca, firmę Schatzman, Gingeleskie, Mengerink & Spółka trafiło inne zdarzenie: otóż było tylko kwestią czasu, by doktor Zajac, mężczyzna wciąż zaledwie czterdziestokilkuletni, został uwzględniony w nazwie spółki, zatrudniającej najlepszych chirurgów dłoni w Bostonie. Firma miała nazywać się bowiem wkrótce Schatzman, Gingeleskie, Mengerink, Zajac & Spółka.

Nie należy sądzić, że nie irytowało to wspomnianego Schatzmana, choć był już na emeryturze, jak również nie należy sądzić, że z tego samego powodu krew nie zalewała żyjącego jeszcze brata pana Gingeleskiego. Dawniej, kiedy starszy Gingeleskie jeszcze żył, spółka nosiła nazwę Schatzman, Gingeleskie & Gingeleskie, dopóki na scenie nie zjawił się Mengerink. (Doktor Zajac twierdził prywatnie, że nie jest pewien, czy doktor Mengerink potrafiłby wyleczyć zanokcicę). Mengerink miał romans z Hildred, kiedy była jeszcze żoną Zajaca, pogardzał nim jednak za rozwód, chociaż na pomysł rozwodu wpadła Hildred.

Doktor Zajac nie wiedział, że jego była żona postanowiła doprowadzić do szaleństwa także doktora Mengerinka, któremu wydawało się niezwykłym okrucieństwem losu, że już niedługo nazwisko Zajaca wystąpi za jego nazwiskiem na papierze firmowym oraz tabliczce z nazwą szacownej firmy chirurgicznej. Jednak jeśli Zajac zdołałby przeprowadzić pierwszy udany przeszczep dłoni w kraju, wszyscy udziałowcy mieliby szczęście, gdyby nazwy firmy nie przemianowano na *Zajac, Schatzman, Gingeleskie, Mengerink & Spółka*. (A mogło być jeszcze gorzej. Uniwersytet bez wątpienia miał podstawy mianować doktora Zajaca profesorem).

Na dobitkę gosposia-asystentka Zajaca przekształciła się niedawno w maszynę do wywoływania natychmiastowych erekcji, choć Zajac był zbyt popieprzonym facetem, żeby zdawać sobie z tego sprawę. A przecież nawet stary Schatzman, emeryt, zauważył zmiany, jakie zaszły w Irmie. Ba, Mengerink, który dwukrotnie zmieniał numer telefonu, by była żona Zajaca nie mogła do niego wydzwaniać - nawet i on zaczął dostrzegać Irmę. Jeżeli chodzi o Gingeleskiego, to powiedział tylko, że Irmę w tłumie wyłowilby także starszy Gingeleskie, mając na myśli, oczywiście, swojego nieżyjącego brata.

Tak więc nawet spoczywający w mogile denat nie mógł nie zauważyć, co stało się z gosposią-asystentką, która przeobraziła się ostatecznie w wulkan seksu. Przypominała striptizerkę, za dnia pracującą jako instruktorka gimnastyki. Jak Zajac mógł nie spostrzec tej przemiany? Nic dziwnego, że taki człowiek ukończył szkołę i studia, nie zapisując się w niczyjej pamięci.

Gdy jednak doktor Zajac rozpoczął w Internecie poszukiwania potencjalnych dawców i biorców dłoni, nikt od Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka & Spółki nie nazwał go głupim jak but i nie powiedział, że www.need-a-hand.com to cokolwiek niedelikatny pomysł. Pomimo psagównojada, obsesji na punkcie sławy, wyniszczającej chudości, sfrustrowanego syna i niepojętej ślepoty na „asystentkę” o stalowych posładkach - na pionierskim polu transplantacji dłoni doktor Nicholas M. Zajac pozostawał niekwestionowanym liderem.

A dla jego jedyne go syna nie liczyło się to, że najzdolniejszy chirurg dłoni w Bostonie uchodzi za bezpłciowego dupka. Zresztą czy sześciolatek chłopiec może przejmować się seksualnymi albo zawodowymi sukcesami ojca? Szczególnie kiedy zaczyna dostrzegać, że ojciec go kocha?

Na eksplozję uczuć pomiędzy Rudym a jego skomplikowanym wewnątrznie ojcem złożyło się wiele czynników. Po części była to zasługa głupiego psa, zjadającego własne odchody, a także chóru chłopięcego z Deerfield, gdzie Zajac po raz pierwszy nabral fałszywego przekonania, że potrafi śpiewać. (Po wstępnej zwrotce piosenki „Ja jestem Medea” ojciec i syn ułożyli jeszcze wiele dalszych, z których wszystkie okazały się zbyt

dziecinnie skatologiczne, by można je w tym miejscu odnotować). Poza tym należy wspomnieć jeszcze, oczywiście, zabawę z minutnikiem oraz E.B. White'a.

Nie wolno też pominąć znaczenia figlów dla relacji między ojcem i synem. Były pomocnik po raz pierwszy w życiu obudził w sobie skłonność do wyglupów, zgarniając rakieta do lacrossa psie kupy, które wyrzucał następnie do rzeki Charles. Wprawdzie początkowo Zajacowi nie udało się zainteresować Rudy'ego lacrosse, po pewnym czasie jednak zacny lekarz zdołał zwrócić uwagę syna na co piękniejsze aspekty tego sportu, kiedy spacerowali z Medeą brzegiem historycznej rzeki.

Wyobraźcie sobie taki widok: oto polujący na psie kupy pies ciągnie za sobą doktora Zajaca, szarpiąc się na smyczy. (W Cambridge, jak wiadomo, prawo nakazuje wyprowadzać psy na smyczy). Przodem, przed rozbuchanym półnowofundlandem, biegnie natomiast - tak, naprawdę biegnie, naprawdę zażywa ruchu! - sześćioletni Rudy Zajac, trzymając w wyciągniętej ręce dziecinną rakieta do lacrossa, zwieszoną tuż nad ziemią.

Podnieść psią kupę taką rakieta, szczególnie w biegu, jest trudniej niż podnieść piłkę. (Kupy bywają rozmaitych rozmiarów, zdarzają się zaplątane w trawę albo rozdeptane). Rudy jednak miał dobrego trenera, a determinacja Medei, która gwałtownie szarpała się na smyczy, zapewniała chłopcu to, co niezbędne do opanowania tajników dowolnej dyscypliny sportu, a zwłaszcza „lacrossa psich kup”, jak nazywali to zajęcie ojciec i syn. Medea mianowicie zapewniała chłopcu współzawodnictwo.

Zagarnąć psią kupę rakieta do lacrossa umiałby zapewne byle amator, ale spróbujcie dokonać tej sztuki, mając za rywala psa-gównojada. Nie istnieje dyscyplina sportu, w której przeciwnik nie byłby równie ważnym nauczycielem, jak dobry trener. Poza tym Medea ważyła co najmniej dziesięć funtów więcej od Rudy'ego i z łatwością mogła go zwalić z nóg.

- Odwróć się do niej plecami... Zuch chłopak! - wrzeszczał Zajac. - Kołysz rakieta, kołysz, przez cały czas! I pamiętaj zawsze, gdzie masz rzeke!

Ich celem była bowiem historyczna rzeka Charles. Rudy opanował już nieźle dwa uderzenia, które pokazał mu ojciec: strzał z wysokości barku, a zatem łob lub drajw o stosunkowo płaskiej trajektorii, i uderzenie z biodra, po którym pocisk leciał nisko nad wodą. Był to najlepszy sposób na puszczenie kaczek psimi kupami, co Rudy uwielbiał. Uderzenie z biodra było jednak o tyle ryzykowne, że rakietą sunęła nisko nad ziemią, Medea mogła zatem w każdej chwili zablokować strzał i pośpiesznie skonsumować stolec.

- Na środek rzeki, na środek! - udzielał były pomocnik wskazówek synowi. Albo: - Celuj pod most! - wołał innym razem.

- Tato, pod mostem płynie łódź.

- To celuj w łódź - powiedział ciszej Zajac, zdając sobie sprawę, że jego stosunki z wioślarzami są już i tak mocno napięte.

Następujące później krzyki i wrzaski wzburzonych kajakarzy wprowadzały element rubasznosci do surowych zasad współzawodnictwa sportowego. Doktora Zajaca bawili szczególnie sternicy, pobekujący cienko przez megafony, choć musiał uważać, bo przyszły takie czasy, że sternikami bywały dziewczęta.

Zajac z niechęcią odnosił się do kajakarek z mniejszych i większych kajaków wyścigowych - bez względu na to, czy były wioślarkami, czy sterniczkami. (Niewątpliwie ujawnił w ten sposób kolejne znamię uprzedzeń, jakie wykształcił wskutek edukacji w otoczeniu osób wyłącz- nie jednej płci).

Co do skromnego wkładu Zajaca w postępujące zanieczyszczenie rzeki Charles... Cóż, bądźmy sprawiedliwi, doktor nigdy nie należał do zwolenników poprawności ekologicznej. W jego beznadziejnie staroświeckiej opinii, do rzeki Charles wrzucano codziennie rzeczy znacznie gorsze niż psie kupy. Co więcej, mały Rudy Zajac i jego ojciec ciskali odchody do rzeki w słusznej sprawie, albowiem w imię miłości między rozwiezionym ojcem a jego synem.

Należy także oddać sprawiedliwość Irmie, choć była to dziewczyna prozaiczna. Pewnego dnia, oglądając w towarzystwie Zajaca nagrany na

wideo wypadek z lwami, powiedziała:

- Nie miałam pojęcia, że lew potrafi żreć tak szybko.

Doktor Nicholas M. Zajac, który o dłoniach wiedział niemal wszystko, oglądając nagranie, nie mógł powstrzymać okrzyków:

- Boże, o mój Boże... Już po niej! Słodki Jezu, już jej nie ma! Przepadła!

Szans Patricka Wallingforda, pierwszego wybrańca Zajaca spośród potencjalnych biorców dłoni, nie umniejszał w żadnym wypadku fakt, że Patrick był sławny - ostatecznie jego przerażający wypadek oglądała wielomilionowa widownia. Tysiące dzieci i nieprzeliczone rzesze dorosłych cierpiały ciągle na koszmary nocne, choć Wallingford stracił dłoń przed przeszło pięciu laty, a telewizyjna relacja z wypadku trwała krócej niż trzydzieści sekund.

- Trzydzieści sekund to mnóstwo czasu, zwłaszcza kiedy człowiek traci własną dłoń - orzekł Patrick.

Znajomi Wallingforda, szczególnie przy pierwszym z nim spotkaniu, nie mogli powstrzymać się od komentarzy na temat jego chłopięcego wdzięku. Kobiety wspominały zwłaszcza jego oczy. Mężczyźni kiedyś zazdrościli mu powodzenia u kobiet, ale kalectwo Patricka położyło kres temu uczuciu z ich strony, a zatem nawet mężczyźni, płęć bardziej skłonna do zazdrości, nie byli w stanie okazywać jej Wallingfordowi. Po wypadku nie potrafili mu się oprzeć ani kobiety, ani mężczyźni.

Doktor Zajac nie potrzebował Internetu, by skontaktować się z Patrickiem, który od początku był pierwszym biorcą na liście bostońskiego zespołu chirurgicznego. Ciekawsze było to, że na adres www.needahand.com zgłosił się wśród potencjalnych dawców zdumiewający kandydat. (Mówiąc o dawcach, Zajac miał na myśli świeże zwłoki). Wspomniany dawca jednak nie tylko żył, lecz nie wybierał się nawet na tamten świat!

Jego żona, pani Clausen, napisała z Wisconsin do Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka & Spółki: „Mój mąż wymyślił sobie, że zapisze swoją lewą dłoń Patrickowi Wallingfordowi... Wiecie, temu facetowi od lwów”.

List zastał doktora Zajaca w ogniu kłopotów z psem, Medea połknęła bowiem spory kawałek węża ogrodowego i trzeba było ją poddać operacji żołądka. Nieszczęsny pies powinien był spędzić weekend, dochodząc do siebie u weterynarza, ale w weekend wypadały kolejne odwiedziny Rudy'ego i zachodziła obawa, że z braku towarzystwa Medei sześciolatnia ofiara rozwodu może znów zamknąć się w sobie - lepszy wydawał się zatem pies oszołomiony narkozą niż pies nieobecny. Gra psimi kupami w lacrossa była naturalnie wykluczona, musieli jednak zadbać o to, żeby Medea nie zjadła swoich szwów, a poza tym pozostawała zawsze niezawodna zabawa z minutnikiem i tym bardziej niezawodny geniusz E.B. White'a. Ponadto moment wydawał się sprzyjający, aby poświęcić trochę czasu na konstruktywną stabilizację wiecznie eksperymentalnej diety Rudy'ego.

Mówiąc wprost, chirurg był wtedy nieco rozkojarzony. Jeśli w uroczym liście pani Clausen było coś nieszczerego, Zajac nie dostrzegł w nim obłudnej nuty. Rozgorączkowanie, jakie wzbudził w doktorze medialny potencjał operacji, przeważyło wszystko, albowiem niewymuszony wybór Patricka Wallingforda na godnego biorcę ręki pana Ottona Clausena stanowił smakowity kąsek dla środków masowego przekazu.

Zajacowi nie wydało się ani trochę dziwne, że zamiast Clausena napisała do niego jego żona, by zaferować dłoń małżonka. Sam Otto Clausen podpisał jedynie krótkie oświadczenie, towarzyszący mu list ułożyła natomiast pani Clausen.

Załączała pozdrowienia z Appleton i wspominała z dumą, że Otto jest już zarejestrowany w Kole Dawców Organów Wewnętrznych w Wisconsin. „Ale ręka to co innego - to znaczy, nie to samo, co organy wewnętrzne” - zauważyła.

Doktor Zajac wiedział, że w rzeczy samej organy wewnętrzne różnią się od dłoni. Ale Otto Clausen liczył sobie zaledwie trzydzieści dziewięć lat i najwyraźniej nie stał w bezpośredniej bliskości bram śmierci, dlatego chirurg uważał, że świeże zwłoki dawcy z odpowiednią ręką znajdują się znacznie szybciej niż trup Ottona Clausena.

Co do Wallingforda, to Patrick pragnął i potrzebował lewej dłoni tak bardzo, że doktor Zajac być może umieściłby go na pierwszym miejscu wśród zgłoszonych biorców, nawet gdyby nie był sławny, ponieważ chirurg nie należał do ludzi całkiem wyzbytych współczucia. Był natomiast jednym z milionów widzów, którzy nagrali na wideo trzyminutowy film z wypadku z lwami, a dla Zajaca materiał ten stanowił połączenie ulubionego w środowisku chirurgicznym horroru i zwiastuna jego przyszłej sławy.

Wystarczy zatem powiedzieć, że Patrick Wallingford i doktor Nicholas M. Zajac poruszali się kursem na zderzenie, co od początku nie wróżyło nic dobrego.

Rozdział trzeci

Przed spotkaniem z panią Clausen

Czy wiecie, na co naraża się bezręki prezenter telewizyjny, który ukrywa swoje kalectwo pod biurkiem? Pierwsze listy protestacyjne zaczęły napływać od widzów z amputowanymi kończynami. Dlaczego Patrick Wallingford się wstydzi?

Pretensje zgłaszały także osoby dwuręczne. „Bądź mężczyzną, Patrick - pisała jakaś kobieta. - Pokaż nam tę rękę”.

Ponieważ pierwsza proteza sprawiała mu kłopoty, użytkownicy sztucznych kończyn krytykowali go za to, że niewłaściwie się nią posługuje. Wallingford obchodził się następnie równie niezręcznie z całym szeregiem kolejnych urządzeń protetycznych, ale tymczasem jego żona wniosła pozew o rozwód, nie miał więc czasu, by ćwiczyć.

Marilyn po prostu nie zdzierżyła jego „zachowania”. Tym razem nie chodziło jej o inne kobiety - rzecz dotyczyła postawy Patricka podczas wypadku z lwem.

- Wyglądałeś tak... niemięsko - powiedziała, dodając, że jego atrakcyjność fizyczna miała zawsze „charakter nieagresywny, bliski nijakości”.

W istocie chodziło jej o to, że do tej pory ciało męża nie budziło w niej obrzydzenia. („W zdrowiu i chorobie, ale nie w kawalkach” - doszedł wtedy do wniosku Wallingford).

Patrick i Marilyn mieszkali w apartamentowcu na Manhattanie przy Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy Wschodniej, między Lexington Avenue i

Park Avenue. Mieszkanie zatrzymała oczywiście Marilyn. Od Wallingforda nie odwrócił się tylko nocny portier, człowiek do tego stopnia zdezorientowany, że często nie był pewien, jak ma na imię. Czasami nazywał się Vlad albo Vlade, czasami zaś Lewis. Nawet jednak kiedy używał imienia Lewis, jego akcent, będący mieszaniną angielszczyzny z Long Island i jakiegoś języka słowiańskiego, opierał się wszelkim próbom deszyfracji.

- Skąd pochodzisz, Vlade? - pytał go Wallingford.

- Mam na imię Lewis. Jestem z Nassau - odpowiadał Vlad.

Innym razem Wallingford zapytał:

- No... więc skąd pochodzisz, Lewis?

- Z Nassau. Ale na imię mam Vlad, panie O'Neill.

Portier był jedyną osobą, która myliła Patricka Wallingforda z Paulem O'Neillem, od 1993 roku zawodnikiem zespołu New York Yankees. (Obaj odznaczeni ciemną karnacją i wysokim wzrostem, a ich przystojną aparycją podkreślały wysunięte podbródki, ale na tym kończyło się podobieństwo między Paulem O'Neillem a Patrickiem Wallingfordem).

Zdezorientowany portier żywił wyjątkowo niewzruszone przekonania - po raz pierwszy pomylił Patricka z O'Neillem, kiedy Paul był jeszcze stosunkowo nieznanym i niewyróżniającym się graczem Cincinnati Reds.

- Może faktycznie jestem trochę podobny do Paula O'Neilla - powiedział Wallingford Vladowi, Vlade'owi albo Lewisowi. - Ale nazywam się Patrick Wallingford i jestem dziennikarzem telewizyjnym.

Ponieważ Vlad, Vlade albo Lewis był portierem nocnym, widywał Patricka w ciemnościach, zazwyczaj o późnych porach.

- Proszę się nie martwić, panie O'Neill - szepnęła konspiracyjnie. - Ni komu nie powiem.

Nocny portier był zatem przeświadczony, że Paul O'Neill, uprawiający zawodowo bejsbol w Ohio, ma w Nowym Jorku romans z żoną Patricka Wallingforda - a w każdym razie Wallingford nie umiał sobie inaczej wytłumaczyć zachowania nieszczęsnego portiera.

Pewnego wieczoru, kiedy Patrick wrócił do domu - miał wtedy jeszcze dwie ręce, było to bowiem na długo przed rozwodem - Vlad, Vlade albo Lewis oglądał w telewizji dogrywkę meczu z Cincinnati, gdzie drużyna nowojorskich Metsów grała przeciwko miejscowym.

- Spójrz tylko, Lewis - powiedział Wallingford do zaskoczonego portiera, który dysponował małym, czarno-białym telewizorem w szatni za recepcją. - To Cincinnati Reds. Grają w Cincinnati! A ja jestem tu i stoję obok ciebie, więc nie mogę grać jednocześnie tam, prawda?

- Proszę się nie martwić, panie O'Neill - odparł z sympatią portier. - Nikomu nie powiem.

Po wypadku z lwem Patrick Wallingford stał się sławniejszy od Paula O'Neilla. Co więcej, stracił lewą dłoń, a O'Neill uderzał i rzucał piłkę właśnie lewą ręką. Vlad, Vlade albo Lewis musiał wiedzieć, że Paul O'Neill został w 1994 roku pałkarskim mistrzem Ligi Amerykańskiej - zdobył 359 punktów w zaledwie drugim sezonie gry w zespole Yankees, a poza tym doskonale spisywał się w obronie.

- Przyjdzie taki dzień, kiedy klub wyśle gracza z numerem dwadzieścia jeden na emeryturę - zapewniał uparcie portier Patricka Wallingforda. - Może pan być te go pewien, panie O'Neill.

Po utracie ręki Patrick wrócił do mieszkania przy Sześćdziesiątej Drugiej tylko raz, żeby zabrać swoje ubrania, książki i to, co prawnicy nazywają „rzeczami osobistymi”. Dla wszystkich mieszkańców budynku, nie wyłączając portiera, było jasne, że Wallingford się wyprowadza.

- Niech pan się nie martwi, panie O'Neill - powiedział portier. - Rehabilitacja działa dzisiaj takie cuda, że aż trudno uwierzyć. Szkoda tylko, że nie stracił pan raczej prawej ręki, bo mańkutowi będzie teraz ciężko, ale nie wątpię, że lekarze coś wykombinują.

- Dzięki, Vlade - powiedział Patrick.

Jednoreki dziennikarz czuł się słaby i zagubiony w swoim dawnym mieszkaniu. Marilyn zaczęła je przemeblowywać już w dniu, w którym się rozstali. Wallingford co chwila niespokojnie odwracał się przez ramię, bo wydawało mu się, że coś czai się za jego plecami - była to wprawdzie tylko

kanapa przesunięta z innego kąta mieszkania, ale w oczach Patricka jej tkwiąca na nowym miejscu sylwetka przypominała prężącego się do skoku lwa.

- Myślę, że uderzanie przysporzy panu mniej problemów niż rzuty na bazę z prawego skrzydła - mówił portier o trzech imionach. - Będzie pan musiał tylko mocniej blokować kij, brać krótszy zamach i odpuszczać długie piłki. Nie zawsze, po prostu dopóki nie przyzwyczai się pan do nowej ręki.

Wallingford jednak nie miał nowej ręki, do której mógłby się przyzwyczaić - wszelkie urządzenia protetyczne obezwładniały go, podobnie jak nieustające impertynencje ze strony byłej żony.

- Nigdy nie byłeś seksowny - kłamała Marilyn. (Zgrzeszyła pobożnym życzeniem, wielkie rzeczy). - A teraz... bez ręki... Jesteś tylko bezradnym kaleką!

Całodobowa stacja informacyjna nie dała Wallingfordowi czasu, by mógł się sprawdzić w roli prezentera. Nie zdobył uznania jako prezenter nawet na osławionym kanale katastroficznym. Jego program przesunięto szybko z wczesnego rana na przedpołudnie, potem na późne godziny nocne, a wreszcie do ramówki przed świtem, kiedy, jak sądził Patrick, oglądali go jedynie ludzie cierpiący na bezsenność lub pracujący w nocy.

Wallingford w swym telewizyjnym wizerunku wydawał się zbyt bojaźliwy jak na człowieka, który stracił lewą dłoń na rzecz króla zwierząt. Widzowie chcieli zobaczyć więcej przekory w jego postawie, z której emanowało raczej upokorzenie i aura nieśmiałej afirmacji losu. Choć nie był złym człowiekiem, lecz jedynie złym mężem, jednoręczność Patricka, która w oczach widowni skłaniała kalekiego dziennikarza do uzalania się nad sobą, wykreowała go na cichego męczennika.

Mimo że powierzchowność ofiary właściwie nie odbiła się na kontaktach Wallingforda z kobietami, teraz w jego życiu obecne były wyłącznie „inne kobiety”, czyli kochanki. A kiedy sprawa rozwodowa dobiegła końca, producenci uznali, że Patrick otrzymał już i zaprzepaścił szansę na objęcie stanowiska prezentera, co miało uchronić ich przed ewentualnymi zarzutami dyskryminacji niepełnosprawnych, po czym przywrócili

go do pracy na mniej eksponowanym stanowisku reportera. Co gorsza, jednoręki dziennikarz został etatowym redaktorem od wywiadów z rozmaitymi dziwakami i półgłówkami, a że całodobowy kanał informacyjny o zasięgu międzynarodowym cieszył się sławą stacji wyspecjalizowanej w destrukcji i kalectwie, umacniało to tylko wizerunek Patricka jako człowieka nieodwracalnie ułomnego.

Wiadomości telewizyjne koncentrowały się, oczywiście, wokół najrozmaitszych nieszczęść, czy stacja mogła zatem nie oddelegować okaleczonego Wallingforda do brukowego śmiecia, do spraw z informacyjnego dna? Niezawodnie podsuwali mu afektowane, pieprzne kąski, jak małżeństwo, które nie przetrwało nawet jednego dnia, małżeństwo, które rozpadło się przed końcem podróży poślubnej, albo męża, który po ośmiu latach pożycia odkrył, że pojął za żonę mężczyznę.

Patrick Wallingford został więc w stacji informacyjnej specjalistą do katastrof i reporterem ze scen najstraszliwszych (czytaj: najdziwaczniejszych) wypadków. Był na przykład na miejscu zderzenia autobusu turystycznego i rikszy w Bangkoku. Obie śmiertelne ofiary tego wypadku okazały się tajskimi prostytutkami, które udawały się do pracy rikszą, a Wallingford przeprowadził wywiady z ich rodzinami i byłymi klientami. Krewnych było niepokojąco trudno odróżnić od klientów, ale rozmówcy Patricka bez wyjątku jak urzeczeni wgapiali się przed kamerą w kikut albo protezę, wieńcząc lewe przedramię dziennikarza.

Kikut i proteza przyciągały uwagę publiczności. Nie cierpiał jednego i drugiego, podobnie jak Internetu. Zdaniem Patricka, Internet służył głównie podtrzymywaniu lenistwa właściwego ludziom jego profesji, prowadząc do nadmiernego zaufania wobec źródeł z drugiej ręki i innych dróg na skróty. Dziennikarze zawsze zapożyczali się u innych dziennikarzy, teraz jednak pożyczanie stało się śmiesznie łatwe.

Dobrym przykładem takich zapożyczeń była zawodowa działalność jego impulsywnej ekszony. Dumą Marilyn stały się „charakterystyki” najbardziej literackich literatów oraz najpoważniejszych aktorów bądź

aktorek. (Nie trzeba dodawać, że dziennikarstwo prasowe stało w jej mniemaniu daleko wyżej od telewizyjnego). Prawda wyglądała jednak tak, że przygotowując się do rozmów z pisarzami, była żona Patricka nie czytała ich książek (choć na jej usprawiedliwienie przyznać należy, że niektóre z tych dzieł były zdecydowanie za długie), ograniczając się do wywiadów, jakich autorzy udzielili wcześniej innym dziennikarzom. Nie trudziła się też, aby obejrzeć filmy, w jakich grali aktorzy i aktorki, z którymi rozmawiała, czytała natomiast bezwstydnie recenzje z tych obrazów.

Z uwagi na uprzedzenie do Internetu, Wallingford nie śledził przebiegu kampanii reklamowej pod adresem www.needahand.com i nigdy nie słyszał o Schatzmanie, Ginegeleskiem, Mengerinku & Spółce, dopóki nie zadzwonił do niego doktor Zajac. Zajac słyszał już o kilku niefortunnych przygodach Patricka, związanych z protezami, nie tylko o wypadku w SoHo, który zyskał spory rozgłos publiczny, Wallingford bowiem przytrzasnęła sobie sztuczną rękę w taksówce, taksjarsz natomiast, jak gdyby nigdy nic, przejechał z zakleszczoną w drzwiach protezą aż do następnego skrzyżowania. Doktor wiedział też o żenującym incydencie podczas podróży lotniczej do Berlina, kiedy to Wallingford zaplątał się w pas bezpieczeństwa, śpiesząc na wywiad z umysłowo chorym, aresztowanym pod zarzutem zdetonowania psa przy Potsdamer Platz - w proteście przeciwko nowej kopule gmachu Reichstagu łotr przymocował psu bombę do obroży.

Patrick Wallingford został więc dziennikarzem telewizyjnym, obsługującym działania palca bożego i przypadkowe absurdy. Ludzie często wołali na niego z przejeżdżających taksówek:

- O, facet od lwów!

A kurierzy rowerowi, wypluwszy gwizdki z ust, witali go okrzykiem:

- Te, katastrofiara!

Na domiar złego Patrick darzył swoją pracę tak niewielką sympatią, że stracił wszelkie współczucie dla ofiar i ich rodzin - co dało się zauważyć, kiedy przeprowadzał z nimi wywiady.

Wallingforda nie można było zwolnić - wypadek z lwem miał miejsce w czasie pracy, mógł zatem podać pracodawcę do sądu - ale jego pozycja uległa takiej marginalizacji, że następnemu zadaniu Patricka zabrakło nawet waloru katastrofizmu. Kierownictwo wydelegowało go bowiem do Japonii na obsługę pewnej konferencji, sponsorowanej przez konsorcjum kilku japońskich gazet. Obrady odbywały się pod dziwnie brzmiącym hasłem „Przyszłość kobiet”, niewątpliwie niepachnącym jednak katastrofą.

Mimo wszystko pomysł, żeby akurat Patrick Wallingford pojechał na tę konferencję, był... No, dość powiedzieć, że wszystkie kobiety w redakcji nowojorskiej aż zaświerzyły języki.

- Będziesz miał niezłe branie, Pat - docięła mu jedna z nich. - To znaczy większe niż zwykle.

- Czy Patrick może mieć jeszcze większe branie? - zapytała inna, co podbechtalo znowu wszystkie pracownice.

- Podobno w Japonii traktuje się kobiety jak śmiecie - zauważyła któraś z koleżanek Wallingforda. - A Japończycy jeżdżą do Bangkoku i zachowują się tam po prostu obrzydliwie.

- Wszyscy faceci zachowują się obrzydliwie w Bangkoku - powiedziała kobieta, która odwiedziła kiedyś Bangkok.

- Byłeś w Bangkoku, Pat? - spytała pierwsza kobieta, wiedząc doskonale, że Patrick w Bangkoku był, pojechał tam bowiem właśnie w jej towarzystwie, postanowiła mu jednak przypomnieć o czymś, o czym wiedzieli wszyscy obecni w redakcji.

- A w Japonii byłeś? - spytała znów inna kobieta, kiedy ucichły chichoty.

- Nigdy - odparł Wallingford. - I nigdy nie spałem z Japonką.

Zgodnie nazwały go za tę odpowiedź świnią, choć większość z nich raczej w pieśczośliwym tonie. Potem rozeszły się do swoich zajęć, zostawiając Patricka w towarzystwie Mary, jednej z najmłodszych pracownic redakcji - i jednej z niewielu, z którymi jeszcze nie spał.

Mary, widząc, że zostali sami, delikatnie dotknęła jego lewego ramienia, tuż nad blizną po utraconej ręce. Jedynie kobiety dotykały go w to miejsce.

- One tylko tak ci dokuczają - powiedziała. - A każda poleciałaby z tobą jutro do Tokio, gdybyś tylko zechciał którąś zaprosić.

Patrick myślał już wcześniej, żeby przespać się z Mary, ale jak dotąd, realizacji tych planów zawsze coś stawało na przeszkodzie.

- A gdybym zaprosił ciebie, poleciałabyś ze mną do Japonii?

- Jestem mężatką.

- Wiem.

- Spodziewam się dziecka - powiedziała Mary i wybuchnęła płaczem.

Wybiegła w ślad za pozostałymi pracownicami redakcji, zostawiając Wallingforda sam na sam z jego myślami, które mówiły mu, że zawsze lepiej jest pozwolić zrobić pierwszy krok kobiecie. I w tym momencie zadzwonił doktor Zajac.

Przedstawiając się w rozmowie telefonicznej, Zajac przybierał, najkrócej rzecz ujmując, chirurgiczne maniery.

- Dostanie pan pierwszą dłoń, która wpadnie mi w ręce - oświadczył Zajac. - Jeżeli pan naprawdę tego chce.

- Dlaczego nie? To znaczy, jeśli ręka będzie zdrowa...

- Jasne, że będzie zdrowa! - odparł Zajac. - Sądzi pan, że mógłbym panu przeszczepić chorą dłoń?

- Kiedy? - zapytał Patrick.

- W poszukiwaniu idealnej ręki pośpiech nie jest wskazany - poinformował go Zajac.

- Ręka kobiety albo starca chyba nie bardzo by mi odpowiadała - zastanawiał się głośno Patrick.

- Dlatego na razie ja pozostaję pańską prawą ręką.

- Przecież szukamy lewej! - przypomniał mu Wallingford.

- Naturalnie! Chodziło mi o to, że jako pański pełnomocnik biorę odpowiedzialność za znalezienie odpowiedniego dawcy.

- Dobrze, ale chcę dostać tę dłoń bez żadnych zobowiązań. Nie życzę sobie ręki na sznurkach, za które mogliby pociągać obcy ludzie.

- Na jakich sznurkach? - zapytał zaskoczony Zajac. O co, u Boga Ojca,

chodziło reporterowi? I jakie zobowiązania mogłyby się wiązać z przekazaniem pacjentowi dłoni dawcy?

Tymczasem jednak Wallingford wyjeżdżał do Japonii, a właśnie dowiedział się, że będzie musiał wygłosić przemówienie inauguracyjne. Zaczął je już obmyślać, pisanie odłożył jednak na czas podróży.

Nie zastanawiał się więcej nad kuriozalnością swojej uwagi o „zobowiązaniach”. Była wynikiem typowej reakcji katastrofiary, odruchem faceta od lwów - ot, głupstwem, jakie mówił czasem tylko po to, żeby coś powiedzieć, frazesem w rodzaju stwierdzenia: „Niemieckie dziewczęta cieszą się teraz w Nowym Jorku ogromną popularnością”.

Doktor Zajac natomiast był zadowolony - bo sprawę, by tak powiedzieć, oddano w jego ręce.

Rozdział czwarty

Japońskie interludium

Czy na moich wyjazdach do Azji ciąży jakaś klątwa? - zastanawiał się później Wallingford. W Indiach stracił rękę, a w Japonii?

Podróż do Tokio przybrała niepomyślny obrót, zanim się zaczęła, jeśli liczyć gruboskórny propozycję, jaką złożył Mary. W każdym razie Wallingford osobiście uważał, że to był właśnie złego początek. Próbował poderwać młodą, ciężarną mężatkę, której nazwiska nigdy nie pamiętał. Co gorsza, było w niej coś, co nie dawało mu spokoju, i to coś więcej niż bezsprzeczna uroda, Mary była bowiem urodziwa. Dało się jednak zauważyć, że potrafi zapewne skrzywdzić czymś gorszym niż plotka oraz że tkwi w niej jakaś trudna do okiełznania zajadłość i zdolność siania zamętu, na razie bliżej nieokreślonego.

Potem, już w samolocie, Patrick mordował się nad przemówieniem. Oto on, rozwodnik nie bez powodu, który ze względu na ciężarną Mary poczuł się jak przegrany drapieжник seksualny, ma przemawiać na temat „przyszłości kobiet” w Japonii, cieszącego się złą sławą kraju, gdzie kobiety trzyma się za twarz.

Wallingford nie pisywał przemówień, a w telewizji posługiwał się tekstem scenariusza, który odczytywał z czytnika, tablicy świetlnej, zwanej telesuflerem (scenariusz pisał zazwyczaj ktoś inny). Może jednak, jeśli przejrzy spis uczestniczek konferencji (w której brały udział wyłącznie kobiety), przyjdą mu do głowy jakieś pochlebstwa, które mogłyby

wyłosić pod ich adresem, wyczerpując w ten sposób mowę inauguracyjną.

Odkrycie, że nic mu nie wiadomo na temat dorobku żadnej uczestniczki, było dla niego poważnym ciosem. Niestety, znał tylko jedną z kobiet biorących udział w sympozjum, a największym pochlebstwem, na jakie mógł się zdobyć w stosunku do niej, była deklaracja, że chciałby się z nią przespać, choć widział ją wcześniej tylko w telewizji.

Patrick lubił Niemki, czego dowodem była pani dźwiękowiec bez stannika z ekipy telewizyjnej w Gudżaracie, owa blondynka, która zemdlala na wozie pełnym mięsa, przedsiębiorcza Monika przez „k”. Niemka natomiast biorąca udział w konferencji tokijskiej nosiła imię Barbara, które nie nastrożało problemów ortograficznych, i podobnie jak Wallingford, pracowała w telewizji. W przeciwieństwie do Patricka nie była sławna, odnosiła jednak sukcesy na niwie zawodowej.

Barbara Frei była prezenterką porannych wiadomości w stacji ZDF. Miała rezonujący głos o profesjonalnym brzmieniu, bojaźliwy uśmiech i wąskie usta. Sięgające ramion ciemnoblonde włosy nosiła zreżymowane za uszami. Wyróżniała się piękną, szczupłą twarzą o wysoko osadzonych kościach policzkowych - twarzą, która w świecie Wallingforda uchodziła za idealne oblicze telewizyjne.

Na wizji Barbara Frei nosiła wyłącznie męskie w kroju garsonki, czarne bądź granatowe, a spod szeroko rozchylonych kołnierzyków jej marynarek nie wystawały bluzki ani koszule. Miała kształtne obojczyki, które, co zrozumiałe, chętnie eksponowała. Z biżuterii nosiła małe kolczyki, wysadzone kamieniami, na ogół szmaragdami albo rubinami, jak zauważył Patrick, który znał się na damskiej biżuterii.

Choć jednak perspektywa spotkania z Barbarą Frei w Tokio budziła w Wallingfordzie nierealistyczne ambicje seksualne, rozciągające się na cały pobyt w Japonii, ani pani Frei, ani żadna inna uczestniczka konferencji nie mogła mu pomóc w pracy nad przemówieniem.

Wśród gości znalazła się na przykład rosyjska reżyserka filmowa, niejaka Ludmilla Slovaboda. (Pisownia tego nazwiska jest zaledwie przybliżonym zapisem fonetycznych domysłów Patricka na temat jego

ewentualnej wymowy, nazywajmy zatem Rosjankę Ludmiłą). Wallingford nie widział żadnego jej filmu.

Kolejną uczestniczką konferencji była duńska pisarka, Bodille, Bodile albo Bodil Jensen, której imię w materiałach, jakie przysłali Patrickowi japońscy gospodarze, podano w trzech różnych wersjach. Bez względu na pisownię, Wallingford sądził, że imię Dunki wymawia się „Boudil”, z akcentem na „il”, choć nie był tego pewien.

Dalej widniało nudne, pospolite nazwisko angielskiej ekonomistki: Jane Brown. Następna była chińska genetyczka, potem koreańska specjalistka od chorób zakaźnych, holenderska pani bakteriolog i pewna kobieta z Ghany, której pole zainteresowań obejmowało zarówno „zarządzanie w sytuacji niedoboru żywności”, jak i „likwidację kłęski głodu na świecie”. Wallingford nie łudził się, że zdoła prawidłowo wymówić ich imiona i nazwiska, nie zamierzał zatem nawet próbować.

Spis nazwisk wybitnych przedstawicielek wolnych zawodów ciągnął się bez końca - niewybitna była może tylko pewna amerykańska pisarka, deklarująca się jako radykalna feministka, o której Wallingford nigdy w życiu nie słyszał, i grupka uczestniczek z Japonii, reprezentujących zapewne świat sztuki.

Patrick czuł się skrepowany w otoczeniu poetek i rzeźbiarek. Wyrażać się o nich jako o „paniach poetkach” i „paniach rzeźbiarkach” nie byłoby chyba stosownie, tak jednak nazywał je w myślach. (Zdaniem Patricka, artyści byli w większości oszustami, kupczącymi zmyślnym, nierealnym towarem).

Jak zatem będzie wyglądało jego przemówienie powitalne? Nie był całkiem bezradny - nie darmo mieszkał przecież w Nowym Jorku. Przecierpiał niejedno spotkanie pod krawatem, wiedział więc, jaki kit wstawiają zazwyczaj mistrzowie ceremonii, i sam nauczył się ściemniać. Dlatego uznał, że uwagi wstępne trzeba ograniczyć do medialnie modnej, przemądrzałej paplaniny, ni mniej, ni więcej, nasyconej nieszczerym, pełnym autoironii humorem pozornego luzaka, który wystawia się na pośmiewisko. Nie mógł się bardziej pomylić.

Zagai może w następujący sposób: „Czuję się niezręcznie, zwracając się do tak wybitnego audytorium, albowiem moim jedynym, a w porównaniu z waszymi marnym osiągnięciem, okazało się bezprawne nakarmienie lwa, którego przed pięcioma laty w Indiach poczęstowałem swoją lewą dłonią”.

W ten sposób z pewnością uda się przełamać lody. Podobna wypowiedź wzbudziła już raz śmiechy podczas ostatniego przemówienia, a ściślej mówiąc, toastu, jaki Wallingford wygłosił na obiedzie wydanym na cześć amerykańskich olimpijczyków w Nowojorskim Klubie Sportowym. Kobiety w Tokio miały się jednak okazać bardziej wymagającą publicznością.

Ton nadchodzących wydarzeń wyznaczył przewoźnik, którego samolotem podróżował Wallingford, po drodze zaginął bowiem jego bagaż, czyli wypchana do granic możliwości torba na ubrania. Przedstawiciel linii lotniczych oznajmił:

- Pański bagaż jest w drodze na Filipiny. Jutro będzie z powrotem!

- Już wiecie, że moja torba leci na Filipiny?

- Z całą śmiesznością, proszę pana - odpowiedział urzędnik, a w każdym razie tak się wydawało Patrickowi, choć przedstawiciel przewoźnika odpowiedział w istocie „z całą pewnością”, a Wallingford po prostu się przesłyszał. (Patrick hołdował dziecinnemu i aroganckiemu zwyczajowi wyśmiewania osób posługujących się angielszczyzną z cudzoziemskim akcentem, co było równie antypatyczne, jak nieodparta potrzeba, każąca mu szydzić z człowieka, który w jego obecności potykał się albo przewracał). Chcąc wyjaśnić sprawę do końca, urzędnik dodał: - Bagaż zagubiony w czasie rejsu z Nowego Jorku zawsze trafia potem na Filipiny.

- Zawsze?

- I zawsze wraca następnego dnia.

Następnie czekał go przelot helikopterem z lotniska na dach tokijskiego hotelu, jako że japońscy gospodarze Patricka załatwili dla niego śmigłowiec.

- Ach, Tokio o zmierzchu... Czy coś może się równać z tym widokiem? - zapytała pasażerka o surowym wyrazie twarzy, siedząca w

helikopterze obok Patricka. Kobieta leciała z nim wcześniej z Nowego Jorku, ale Patrick jej nie poznał, zapewne dlatego, że nosiła nieatrakcyjne okulary w szylkretowej oprawie, toteż w samolocie poświęcił ich właścicielce nie więcej niż przelotne spojrzenie. (Była to, oczywiście, owa amerykańska pisarka, deklarująca się jako radykalna feministka).

- Ufam, że pani żartuje - powiedział Wallingford.

- Ja nieustannie żartuję, panie Wallingford - odpowiedziała kobieta i przedstawiła się, wymieniając z Patrickiem krótki, mocny uścisk dłoni. - Nazywam się Evelyn Arbuthnot. Poznałam pana po tej drugiej ręce.

- Czy pani багаż też poleciał na Filipiny? - zapytał Patrick.

- Niech pan mi się przyjrzy, panie Wallingford - zakomenderowała pisarka. - Wszystko, co mam, zabieram ze sobą na pokład, więc linie lotnicze nie gubią mojego багаżu.

Zapewne nie docenił talentu Evelyn Arbuthnot - powinien chyba zdobyć, a może nawet przeczytać którąś z jej książek.

Ale tymczasem w dole rozciągało się Tokio. Patrick widział lądowiska na dachach licznych hoteli i biurów oraz podchodzące do lądowania śmigłowce, przywodzące na myśl militarną inwazję na ogromne, spowite mgiełką miasto, które światło zachodzącego słońca zabarwiało mozaiką nieprawdopodobnych barw, od różu po krwistą czerwień. Przyszło mu do głowy, że lądowiska na dachach przypominają tarcze celownicze, i usiłował odgadnąć, w którą z nich mierzy jego helikopter.

- Oto Japonia - powiedziała Evelyn Arbuthnot z rozpaczą w głosie.

- Nie podoba się pani Japonia? - spytał Patrick.

- Mnie się nigdzie nie podoba. Ale relacje między kobietami a mężczyznami są w tym kraju szczególnie uciążliwe.

- Aha - powiedział Patrick.

- Nie był pan nigdy w Japonii? - zapytała. Wciąż kręcił przecząco głową, kiedy panna Arbuthnot zauważyła: - Nie powinien pan być tu przyjeżdżać, panie katastrofiaro.

- A dlaczego pani tu przyjechała?

Z każdym pejoratywnym słowem Evelyn Arbuthnot podobała mu się coraz bardziej. Spodobała mu się kwadratowa twarz pisarki o wysokim czole i szerokiej szczęce. Krótkie, siwiejące włosy wyglądały na jej głowie jak praktyczny kask. Ciało miała przysadziste, mocnej budowy i całkowicie osłonięte odzieżą. Ubrana była w czarne dżinsy i wypuszczoną na wierzch męską dżinsową koszulę, zmięczoną częstym praniem. Wallingford niewiele widział, ale sądząc po tym, co zdołał zobaczyć, piersi feministki były drobne i chyba nieobcisnięte stanikiem. Nosila wygodne, choć brudne adidasy, a stopy wspierała na dużej torbie sportowej, która tylko częściowo mieściła się pod siedzeniem. Torba wyposażona była w pasek na ramię i zapewne ciężka.

Panna Arbuthnot wyglądała na kobietę, która dobiega pięćdziesiątego roku życia albo go niedawno przekroczyła, a w podróż zabiera więcej książek niż ubrań. Nie stosowała makijażu i lakieru do paznokci i nie nosiła pierścionków ani innej biżuterii. Miała drobne palce i bardzo czyste, drobne dłonie o paznokciach poobgryzanych do żywego mięsa.

- Dlaczego ja tu przyjechałam? - powtórzyła. - Jeżdżę wszędzie, gdzie mnie zapraszają, zarówno dlatego, że nie często dostaję zaproszenia, jak i dlatego, że mam pewną misję do spełnienia. Ale o ile się nie mylę, panie Wallingford, pan żadnej misji do spełnienia nie ma. Dlatego za chodzę w głowę, po co przyjechał pan do Tokio, zwłaszcza na konferencję „Przyszłość kobiet”. Od kiedy to telewizja interesuje się przyszłością kobiet? A w każdym razie telewizja zatrudniająca kogoś takiego, jak facet od lwów?

Helikopter podchodził do lądowania. Wallingford, przyglądający się rosnącej w oczach tarczy lądowiska, zapomniał języka w gębie.

- Po co przyjechałem do Tokio? - powtórzył, usiłując zyskać czas na odpowiedź.

- Powiem panu, po co, panie Wallingford. - Evelyn Arbuthnot oparła drobne, ale zaskakująco silne dłonie na jego kolanach i ścisnęła je mocno. - Przyjechał pan, ponieważ pozna pan tu mnóstwo kobiet. Mam rację?

Widocznie pisarka należała do ludzi, którzy nie lubią dziennikarzy, a szczególnie Patricka Wallingforda. Był wyczulony na obie mutacje tej niechęci, z którymi często się spotykał. Miał ochotę powiedzieć, że przyjechał do Tokio, bo jest pierdolonym reporterem i dostał, kurwa, polecenie służbowe, ale powściągnął język, odznaczał się bowiem dość powszechną słabostką, nakazującą mu przekonywać do siebie ludzi, którzy nie darzyli go sympatią. W rezultacie zdobywał licznych, choć wcale nie bliskich przyjaciół, wśród których przedstawiciele płci męskiej można było policzyć na palcach jednej ręki. (Sypiał ze zbyt wieloma kobietami, by utrzymywać zażyłe męskie przyjaźnie).

Helikopter osiadł z lekkim wstrząsem na lądowisku, i otworzyły się drzwi. Żwawy bagażowy, który czekał na dachu hotelu, rzucił się napród z wózkiem, na który nie było co załadować, jeśli nie liczyć torby Evelyn Arbuthnot, chociaż pisarka wołała ją nieść osobiście.

- Żadnej torby? Żadnego bagażu? - wypytywał gorliwy bagażowy Wallingforda, który zastanawiał się ciągle nad odpowiedzią pannie Arbuthnot.

- Moja torba poleciała przez pomyłkę na Filipiny - odpowiedział Patrick, niepotrzebnie cedząc powoli słowa.

- Żadna problema. Jutro będzie z powrotem - odparł bagażowy.

- Panno Arbuthnot, zapewniam panią, że nie muszę jeździć do Tokio ani na żadne konferencje, by zawierać znajomości z kobietami - zdołał odpowiedzieć nieco sztywno Wallingford. - Kobiety mogą poznawać wszędzie.

- Nie wątpię. - Evelyn Arbuthnot chyba nie spodobała się ta myśl. - Nie wątpię również, że poznaje je pan wszędzie i nieustannie, jedną po drugiej.

To suka! - pomyślał Patrick, chociaż przed chwilą zaczęła mu się podobać. Mimo że uważał się zazwyczaj za miłego faceta, ostatnio często czuł się jak dupek, a pannie Arbuthnot najwyraźniej udało się go zapędzić w kozi róg.

W obawie, że zagubiona torba z ubraniami nie wróci z Filipin na czas mowy inauguracyjnej konferencji „Przyszłość kobiet”, Wallingford oddał ubranie, w którym przyleciał do Tokio, do hotelowej pralni, gdzie

obiecano mu przygotować je na jutrzejszy ranek. Nie spodziewał się jednak, że jego japońscy gospodarze (co do jednego koledzy Patricka po fachu) będą telefonować ustawicznie do hotelu z zaproszeniami na drinki i obiady.

Odpowiadał, że jest zmęczony albo że nie jest głodny. Japończycy przyjmowali jego wymówki uprzejmie, choć Wallingford zorientował się, że sprawia im przykrość. Z pewnością nie mogli się doczekać, żeby zobaczyć jego okaleczoną rękę - tę drugą, jak wyraziła się amerykańska pisarka.

Przeglądał nieufnie jadłospis w swoim pokoju, kiedy zatelefonowała panna Arbuthnot.

- Umówił się pan z kimś na obiad? - zapytała. - Czy będzie pan jadł w pokoju?

- Nikt pani nie zaprosił? - zaciekawiał się Patrick. - Mnie chcieli wyciągnąć na obiad Japończycy, ale nie mogłem iść, bo ubranie, w którym przyjechałem, oddałem do pralni, na wypadek gdyby moja torba mimo wszystko nie wróciła z Filipin.

- Nikt mnie nie zaprosił - powiedziała panna Arbuthnot. - Ale nie jestem sławna i nie jestem nawet dziennikarką, więc nikt mnie nigdy nigdzie nie zaprasza.

Wallingfordowi nie było w to trudno uwierzyć, powiedział jednak tylko:

- Cóż, zaprosiłbym panią do siebie, ale moje jedyne okrycie to ręcznik.

- Niech pan zadzwoni do działu gospodarczego i poprosi o szlafrok - poradziła Evelyn Arbuthnot. - Mężczyźni nie umieją siedzieć elegancko z ręcznikiem na biodrach.

Podziała mu numer pokoju, poprosiła, żeby oddzwonił, kiedy dostanie szlafrok, i obiecała przez ten czas przejrzeć jadłospis.

Damski głos z działu gospodarczego oświadczył jednak Wallingfordowi przez telefon:

- Przeplaszamy, szlafrok nie ma - o ile Patrick znowu się nie przesłyszał.

Oddzwonił więc do panny Arbuthnot, aby poinformować ją, co powiedziano mu w dziale gospodarczym, ona zaś zdumiała go ponownie.

- Nie ma szlafloka, nie ma selwisu w pokój.

Patrick pomyślał, że pisarka żartuje.

- Niech się pani nie martwi, zacisnę kolana albo okryję się dwoma ręcznikami.

- To nie o pana chodzi, tylko o mnie. To moja wina - powiedziała Evelyn. - Zawiodłam się na sobie, bo pan mi się spodobał. - Potem dodała: - Przeplaszam - i odłożyła słuchawkę.

Z działu gospodarczego natomiast, w braku szlafroka, przysłano Patrickowi darmową szczoteczkę do zębów i małą tubkę pasty.

Człowiek odziany jedynie w ręcznik nie powinien napytać sobie biedy w Tokio, Wallingfordowi udało się jednak ta sztuka. Nie miał apetytu, więc zamiast po kelnera zadzwonił na numer usługi określonej w hotelowym informatorze jako MASAŻ LECZNICZY. Był to poważny błąd.

- Dwie kobiety - powiedział mężczyzna, przyjmujący zlecenia, którego słowa zabrzmiały w uszach Patricka jak „dwie komety”. Wallingfordowi wydawało się jednak, że rozumie, o co tamtemu chodzi.

- Nie, nie... Nie dwie kobiety, tylko jeden mężczyzna. Jestem samotnym mężczyzną - wyjaśnił Wallingford.

- Dwie komety - powtórzył kategorycznie głos.

- Wszystko jedno - odparł Wallingford. - Czy to masaż shiatsu?

- Dwie komety albo nic - odpowiedział już nieco agresywniej mężczyzna.

- Dobrze, dobrze - zgodził się Patrick. Otworzył piwo, które wyjął z minibaru, i czekał, spowity w ręcznik. Nie minęło wiele czasu, kiedy w drzwiach jego pokoju stanęły dwie kobiety.

Pierwsza dźwigała stół z wyciętym z jednego końca otworem na głowę. Stół przypominał jako żywo narzędzie tortur, a doktor Zajac powiedziałby zapewne, że ręce kobiety, która go przyniosła, przypominały ręce pewnego sławnego futbolisty, grającego na pozycji wysuniętego napastnika. Druga kobieta przyniosła poduszki oraz ręczniki - ta miała przedramiona jak marynarz Popeye z popularnej kreskówki.

- Cześć - powiedział Wallingford.

Japonki spojrzały na niego płochliwie, nie spuszczać oczu z jego rącznika.

- Shiatsu? - spytał Patrick.

- Jesteśmy tu we dwie - oświadczyła jedna z nich.

- Nie ma co do tego wątpliwości - odparł Wallingford, chociaż nie wiedział dlaczego. Czyżby chciał, żeby masaż skończył się jak najszybciej? A może pragnął podwoić jego cenę?

Kiedy głowa Patricka utkwiała w otworze w stole, zaczął się przypatrywać bosym stopom kobiety, która miażdżyła mu łokciem kark, podczas gdy druga wbijała łokieć (a może kolano?) w kręgosłup w okolicy krzyża. W końcu zebrał się na odwagę i spytał wprost:

- Dlaczego przyszłyście we dwie?

Ku jego zdumieniu, muskularne masażystki zachichotały niczym małe dziewczynki.

- Żeby nikt nas nie zgwałcił - powiedziała jedna z nich.

- Dwie komety, nie ma gwałta - usłyszał Wallingford głos drugiej.

Ich kciuki, łokcie i kolana naprawdę zaczynały mu dokuczać, wbijając się głęboko w ciało, ale przede wszystkim doskwierała mu obraźliwa myśl, że istnieją mężczyźni tak odrażający moralnie, że byliby gotowi zgwałcić masażystkę. (Doświadczenia Patricka z kobietami były dość ograniczone, zwykle to on stanowił bowiem obiekt ich pożądania).

Kiedy masażystki wychodziły, był całkiem wyzuty z sił. Ledwo zdołał dowleźć się do łazienki, gdzie oddał mocz i umył zęby, zanim opadł na łóżko. Zauważył, że zostawił na nocnym stoliku piwo, które będzie rano cuchnąć, był jednak zbyt wyczerpany, żeby wstać. Leżał bezwładnie, jak gdyby przejechał go walec drogowy. Rano obudził się w pozycji, w której zasnął - na brzuchu, z ramionami wyciągniętymi po żołniersku wzdłuż ciała i z prawym policzkiem wciśniętym w poduszkę ponad lewym barkiem.

Dopiero kiedy przyniesiono mu śniadanie i wstał, by otworzyć drzwi, okazało się, że nie może ruszyć głową. Wyglądało na to, że dotknął go kręć karku, bo miał głowę wykręconą w lewo i mógł spoglądać tylko w

tę jedną stronę, co groziło niejakiimi problemami na mównicy, gdzie czekała go oracja na otwarcie konferencji. Tymczasem jednak musiał zjeść śniadanie, zwrócony głową w lewo, wpatrzony w swój lewy bark. Na dobitkę, choć i tak trudno było mu umyć zęby prawą, a więc jedyną sprawną ręką, darmowa szczoteczka do zębów okazała się nieco za krótka, biorąc pod uwagę kąt, pod jakim skrzyta była głowa Patricka.

Na szczęście z podróży na Filipiny wrócił багаż, i to w samą porę, bo jego jedyne czyste ubranie „gdzieś się zapodziało”, w związku z czym Patrick odebrał telefon z przeprosinami z hotelowej pralni.

- Nie zagubione, tylko zapodziane! - krzyknął w słuchawkę bliski histerii mężczyzna. - Przeplaszamy!

Kiedy Wallingford otworzył torbę, czego udało mu się dokonać, przyglądając się jej ponad lewym barkiem, poczuł, że torba i wypełniające ją ubrania zalatują ostro moczem, zadzwonił więc ze skargą do biura linii lotniczych.

- Czy może niedawno wrócił pan z Filipin? - zapytał przedstawiciel przewoźnika.

- Ja nie, ale moja torba owszem - odparł Wallingford.

- No, to wszystko jasne! - zawołał radośnie urzędnik. - Psy, których Filipińczycy używają do szukania narkotyków... leją czasem w walizki!

Patrickowi oczywiście wydawało się, że tamten powiedział „leją kwasem w zapiski”, zgadł jednak, co się stało. Filipińskie psy obsikały mu całą garderobę!

- Dlaczego?

- Nie wiadomo - odpowiedział urzędnik. - Tak po prostu. Widocznie im się chce.

Oszołomiony Wallingford rozpoczął poszukiwania koszuli i spodni, względnie nieprzesyconych odorem psiej uryny. Nie bez wahania odesłał resztę ubrań do pralni, napominając mężczyznę przyjmującego zgłoszenia, żeby tych ubrań tym razem nie zgubili, bo poza nimi nie ma już co na siebie włożyć.

- Tamte nie zagubione! - wykrzyknął mężczyzna. - Tylko zapodziane! (Tym razem nie powiedział nawet: „Przeplaszam!”).

Patrick zdawał sobie sprawę, jaką woń wydziela, więc nie był zadowolony, że w drodze na konferencję dzieli taksówkę z Eveleyn Arbuthnot, tym bardziej że kręcz karku zmuszał go do jazdy z głową impertynencko odwróconą od niej w drugą stronę.

- Nie mam pretensji, że pan się na mnie gniewa, ale nie sądzi pan, że unikać mojego wzroku to chyba dziecinada? - zapytała Evelyn, niuchając dookoła, jak gdyby podejrzewała, że gdzieś w taksówce ukrywa się pies.

Wallingford opowiedział jej o wszystkim: o masażu dwóch komet (który nazwał „męczarnią w kobiecym duecie”) o wykręconej szyi i siusiących do walizek psach.

- Mogłabym słuchać pana opowieści całymi godzinami - oświadczyła panna Arbuthnot.

Wallingford nie musiał na nią patrzeć, żeby się domyślić, że żartuje.

Potem nadeszła pora przemówienia, które wygłosił, stojąc na mównicy bokiem i spoglądając wzdłuż lewego ramienia na swój kikut, który widział wyraźniej niż kartki z trudnym do odczytania tekstem. Ponieważ stał zwrócony lewym bokiem do widowni, jego kalectwo rzucało się w oczy jeszcze bardziej niż zwykle, co jakiś dowcipniś skwitował w japońskiej prasie, pisząc, że Wallingford „eksponował brakującą dłoń”. (Zachodnie media odgryzioną rękę Patricka określały mianem „nicości” albo „niebytu”). Pozostali, bardziej wspaniałomyślni dziennikarze japońscy, którzy wysłuchali inauguracyjnej mowy Wallingforda, w większości mężczyźni, nazwali jego podporządkowane lewoskrętnej metodzie oratorskiej wystąpienie „prowokacyjnym” i „niewiarygodnie opanowanym”.

Przemówienie Patricka zrobiło natomiast klapę wśród wybitnych uczestniczek konferencji, które nie po to przyjechały do Tokio dyskutować o „przyszłości kobiet”, by wysłuchiwać odgrzewanych dowcipów wodzireja, którym okazał się mężczyzna.

- Więc pisał pan to przemówienie wczoraj w samolocie? Należałoby raczej powiedzieć, że usiłował pan pisać - zauważyła Evelyn Arbuthnot. - Boże, powinniśmy byli jednak zjeść razem obiad u pana, bo gdyby w

rozmowie pojawił się temat pańskiego wystąpienia, może udałoby mi się zaoszczędzić panu wstydu.

Podobnie jak poprzednio, Wallingford zapomniał w towarzystwie Evelyn języka w gębie.

Sala, w której przemawiał, była konstrukcją ze stali, utrzymaną w odcieniach ultranowoczesnej szarości. Mniej więcej tak właśnie widział Patrick Evelyn Arbuthnot: jako „konstrukcję ze stali, utrzymaną w odcieniach ultranowoczesnej szarości”.

Po przemówieniu pozostałe kobiety trzymały się od niego z daleka - i to nie tylko ze względu na woń psiej uryny, jak wiedział Wallingford.

Nawet Barbara Frei, jego niemiecka koleżanka ze świata dziennikarstwa telewizyjnego, nie chciała z nim rozmawiać. Na ogół dziennikarze przy pierwszym spotkaniu z Patrickiem wyrażali przynajmniej ubolewanie z powodu afery z lwem, ale wyniosła panna Frei wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie ma ochoty zawierać z nim znajomości.

Jedynie duńska powieściopisarka, Bodille, Bodile albo Bodil Jensen, zdawała się spoglądać na Patricka z błyskiem współczucia w bystrych zielonych oczach. Była ładna w pewien sierocy, niepokojący sposób, jak gdyby niedawno wskutek samobójstwa albo morderstwa zginął ktoś z jej bliskich, na przykład mąż albo kochanek.

Wallingford zamierzał zagadnąć pannę Jensen, ale uprzedziła go panna Arbuthnot.

- Ja wypatrzyłam ją pierwsza - powiedziała, lawirując ku pannie Bodille, Bodile albo Bodil Jensen.

To jeszcze bardziej ubodło topniejącą pewność siebie Patricka. Czy o to chodziło pannie Arbuthnot, kiedy powiedziała, że się na sobie zawiodła, bo Wallingford wpadł jej w oko? Czyżby Evelyn Arbuthnot była lesbijką?

Mimo wszystko nie pragnąc szczególnie towarzystwa, dopóki cuchnął paskudnie psimi szczynami, Wallingford wrócił do hotelu, by czekać na czyste ubranie, kazał natomiast pozostać na miejscu swojej dwuosobowej ekipie telewizyjnej i filmować wszystko, co wyda im się interesujące w kolejnych wystąpieniach pierwszego dnia konferencji, w tym także dyskusję panelową na temat gwałtu.

Wróciwszy do pokoju, Patrick znalazł kwiaty przysłane przez dyrekcję hotelu w ramach dalszych przeprosin za „zapodżiane” ubranie oraz dwie nowe masażystki lecznicze, hotel bowiem dodatkowo zaoferował mu darmowy masaż.

- Przeplaszamy za przeklęt pańskiej szyi - powiedziała Patrickowi jedna z kobiet.

Brzmiało to jak „przeklęt pańskiej styi”, Wallingford pojął jednak, w czym rzecz. Skazano go na kolejne męczarnie ze strony dwóch kobiet.

Nowym masażystkom udało się jednak zlikwidować kręcz, a kiedy wciąż miażdżyły go na pulpę, hotelowa pralnia odesłała wypraną garderobę - co do sztuki. Patrick pomyślał, że może oznacza to pomyślny zwrot w jego japońskiej podróży.

Zważywszy, że wprawdzie przed pięcioma laty, ale stracił jednak w Indiach lewą dłoń, że filipińskie psy obsikały mu ubranie, że potrzebował drugiego masażu, aby wyleczyć kontuzję, którą wywołał pierwszy... - i zważywszy dalej, że nie miał pojęcia, iż Evelyn Arbuthnot jest lesbijką, że wygłosił okropnie grubiańską mowę, że nic nie wiedział o Japonii, a zapewne jeszcze mniej o przyszłości kobiet, której nigdy, nawet teraz, nie poświęcił namysłu, rozsądek nie powinien był pozwolić Wallingfordowi mniemać, że jego japońska podróż może przybrać pomyślniejszy obrót.

Każdy, kto spotkałby Patricka w Japonii, domyśliłby się natychmiast, że ma do czynienia z totalnie odmóżdżonym typem faceta, który beztrako wsuwa rękę do klatki z lwami. (A nie zapominajmy przy tym, że gdyby lwy umiały mówić i mówiłyby po angielsku z lwim akcentem, Patrick by je wyśmiał). Z późniejszej perspektywy nawet Wallingford wspominał pobyt w Japonii jako boleśniesz doświadczenie życiowe niż utrata dłoni w Indiach.

Prawdę mówiąc, nie był jedynym mężczyzną, który nie wziął udziału w panelowej dyskusji na temat gwałtu. Na przekór jego opinii, angielska ekonomistka, o której, sądząc po nazwisku (Jane Brown), myślał, że jest nudna, okazała się szalenie interesująca. Dostała amoku na panelowym forum i oświadczyła, że kobiety, które pragną szczerze rozmawiać o gwałcie, muszą występować nago.

Kamerzysta i dźwiękowiec, pracujący dla całodobowej stacji informacyjnej, nagrali tę deklarację, potem jednak angielska ekonomistka zaczęła się rozbierać, by poprzeć słowa czynem, a wówczas kamerzysta, Japończyk, rycersko zaprzestał filmować dalszy ciąg debaty.

Jest kwestią dyskusyjną, czy większość widzów z przyjemnością oglądałaby rozdzielającą się Jane Brown. Powiedzieć, że panna Brown wyglądała jak matrona, byłoby komplementem pod jej adresem - tymczasem wystarczyło tylko, że zaczęła zdejmować ubranie, aby nieliczni obecni na sali mężczyźni opuścili pomieszczenie. Na konferencji poświęconej przyszłości kobiet mężczyzn prawie nie było, z wyjątkiem dwuosobowej ekipy telewizyjnej Patricka Wallingforda, nieszczęśliwie wyglądających gospodarzy sympozjum, czyli japońskich dziennikarzy, i oczywiście samego Patricka.

Japońscy gospodarze poczuli się urażeni, gdyby wiedzieli o wyrażonej w zamiejskowej rozmowie telefonicznej z Patrickiem prośbie redaktora z Nowego Jorku - Dick bowiem nie życzył sobie więcej żadnych materiałów filmowych z konferencji. Oznajmił, że zamiast tego chce „coś, co można byłoby z nią zderzyć”, czyli, inaczej mówiąc, coś, co mogłoby postawić ją na głowie.

Wallingford pomyślał, że to jest właśnie cały Dick. Prosząc o „uboczny materiał”, redaktor wiadomości miał na myśli coś na tyle obcego kobiecej konferencji, żeby szyderczo zakwestionować samo pojęcie „przyszłości kobiet”.

- Podobno w Tokio istnieje przemysł dziecięcej pornografii - poinformował Patricka. - I prostytucja dziecięca. Słyszałem, że sprawa jest wciąż stosunkowo świeża. Pornografia dziecięca dopiero się rozwija... By nie powiedzieć: raczkuje.

- No i co z tego? - zapytał Wallingford, który wiedział, że i w tej propozycji ujawnia się cały Dick. „Przyszłość kobiet” nie interesowała go od samego początku. Japończycy zażyczyli sobie Wallingforda, ponieważ nagranie wideo z udziałem faceta od lwów sprzedawało się w Japonii rekordowo dobrze, a Dick postanowił wykorzystać zaproszenie, zlecając katastrofizerze, by wyciągnęła w Tokio na wierzch jakieś brudy.

- Musisz oczywiście uważać, jak to zrobisz - ciągnął Dick, ostrzegając Patricka, że stacja zostanie obrzucona „oszczerczymi oskarżeniami o rasizm”, jeśli pokaże coś, po obejrzeniu czego Japończyków „mogłaby zalać żółć”.

- Chwytasz? - rzucił Dick w słuchawkę. - Japończyków mogłaby zalać żółć.

Wallingford westchnął, po czym zasugerował, jak zwykle, że istnieje głębszy, bardziej złożony problem. Otóż czterodniowa konferencja na temat przyszłości kobiet odbywała się wyłącznie w dzień. Na wieczór nie przewidziano żadnych spotkań, nawet uroczystego obiadu ani przyjęcia. Patrick był ciekaw dlaczego.

Młoda Japonka, która poprosiła Wallingforda, żeby złożył autograf na jej koszulce z Myszka Miki, wydawała się zdziwiona, że nie odgadł prawidłowej odpowiedzi. Wieczorami nie odbywały się żadne okołokonferencyjne imprezy, ponieważ kobiety „powinny” siedzieć wieczorami w domach, w otoczeniu rodziny. Gdyby zwołana w Japonii kobieca konferencja została przewidziana na godziny nocne, niewiele kobiet wzięłoby w niej udział.

Wallingford zapytał Dicka, czy nie wydaje mu się to interesujące, ale redaktor wiadomości z Nowego Jorku powiedział, żeby Patrick nie zwracał mu głowy - a chociaż młoda Japonka wyglądała przed kamerą fantastycznie, w programach kanału informacyjnego nie wolno było pokazywać koszulek z Myszka Miki, albowiem stacja, dla której pracował Wallingford, była skłócona z wytwórnią Walta Disneya.

Ostatecznie Wallingford otrzymał polecenie przeprowadzenia indywidualnych wywiadów z niektórymi uczestniczkami konferencji, a Patrick domyślił się, że Dick rezygnuje z emisji już zarejestrowanego materiału.

- Po prostu zorientuj się, czy któraś z tych damulek nie zechciałaby się przed tobą otworzyć - powiedział na zakończenie Dick.

Wallingford zaczął oczywiście od próby umówienia się na wywiad w cztery oczy z Barbarą Frei, niemiecką dziennikarką telewizyjną, którą zaczął w hotelowym barze. Sądził, że jest sama, a myśli, że może na kogoś czekać, nie przyszła mu nawet do głowy. Spikerka ZDF okazała się

pod każdym względem równie piękna, jak na małym ekranie, ale uprzejmie odmówiła udzielenia wywiadu.

- Znam pańską stację, a jakże - zaczęła taktownie. - I nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby zechciała po traktować tę konferencję poważnie. Mam rację?

I było po sprawie.

- Współczuję panu z powodu ręki, panie Wallingford - powiedziała Barbara Frei. - To było straszne. Naprawdę bardzo, bardzo panu współczuję.

- Dziękuję - odparł Patrick.

Barbara była szczerą i miała klasę. Całodobowy kanał informacyjny o międzynarodowym zasięgu, dla którego pracował, nie był ośrodkiem poważnego dziennikarstwa telewizyjnego, i to nie tylko zdaniem panny Frei. W porównaniu z Barbarą Patrick Wallingford nie był także poważnym dziennikarzem, o czym wiedzieli świetnie zarówno panna Frei, jak i pan Wallingford.

W hotelowym barze, jak zwykle w hotelowych barach, roiło się od biznesmenów.

- Patrzenie, facet od lwów! - usłyszał Wallingford głos któregoś z nich.

- Katastrofiara! - zawołał inny biznesmen.

- Napije się pan czegoś? - zapytała współczująco Barbara.

- Ach... No dobrze.

Ogarnęła go potężna, ciężka i dotąd nieznana depresja, a kiedy podało mu piwo, do baru podszedł mężczyzna, na którego czekała panna Frei - jej mąż.

Wallingford go znał. Był to Peter Frei, ogólnie szanowany dziennikarz ZDF. Zajmował się kulturą, a jego żona prowadziła programy czysto informacyjne.

- Peter jest trochę zmęczony - powiedziała panna Frei, masując czule kark i barki męża. - Trenuje przed wyprawą na Mount Everest.

- Pewnie zrobi pan o tym jakiś program - powiedział z zazdrością Patrick.

- Tak. Ale żeby zrobić dobry program, będę się musiał trochę popospinać.

- Zamierza pan wejść na Mount Everest?

Peter Frei sprawiał wrażenie niezwykle sprawnego fizycznie. Tworzyli z Barbarą bardzo atrakcyjną parę.

- Och, w dzisiejszych czasach wszyscy pętają się po Evereście - odpowiedział skromnie Peter Frei. - To główny mankament tej góry: włazi na nią zbyt wielu mnie podobnych amatorów!

Jego piękna żona zaśmiała się tkliwie, masując wciąż kark i ramiona męża. Wallingford, który z wysiłkiem popijał swoje piwo, uznał, że Peter i Barbara należą do najsympatyczniejszych małżeństw, jakie zna.

Kiedy się żegnali, Barbara Frei dotknęła tego miejsca na lewym przedramieniu Patricka, którego zwykle dotykała płeć piękna.

- Niech pan spróbuje przeprowadzić wywiad z kobietą z Ghany - podsunęła uczynnie. - Jest wyjątkowo miła i inteligentna, a poza tym ma do powiedzenia więcej ode mnie. Inaczej mówiąc, jest głębiej zaangażowana w działalność publiczną niż ja. (Co, jak wiedział Wallingford, oznaczało, że kobieta z Ghany gotowa jest rozmawiać z byle kim).

- Dziękuję. Świetny pomysł.

- Współczuję panu z powodu pańskiej ręki - powiedział Peter. - To straszne. Myślę, że co najmniej połowa światowej populacji pamięta, gdzie i w jakich okolicznościach zdarzyło im się oglądać ten wypadek.

- Z pewnością - odpowiedział Wallingford. Wypił tylko jedno piwo, ale nie pamiętał, jak wyszedł z baru. W każdym razie, przepelniony obrzydzeniem do siebie, oddalił się w poszukiwaniu Afrykanki, jak gdyby ona była szalupą ratunkową, a on tonącym. Bo, w rzeczy samej, tonął.

Niemiała ironia losu sprawiła, że pani ekspert od głodu była bardzo gruba i Wallingford martwił się, że Dick może wykorzystać jej otyłość w jakiś nieprzewidywalny sposób. Ważyła ze trzysta funtów, a ubrana była w coś przypominającego namiot, uszyty z różnokolorowych skrawków pikowanych kołder. Okazało się jednak, że pierwszy stopień naukowy uzyskała w Oksfordzie, drugi w Yale, a ponadto była laureatką Nagrody Nobla w jakiejś bliżej nieokreślonej dziedzinie, związanej z kwestią światowego żywienia, która, jak zauważyła, jest „tylko kwestią umiejętnego przewidywania kryzysów w Trzecim Świecie... Każdy obdarzony sumieniem półgłówki mógłby robić to, co ja”.

A jednak, choć Wallingford darzył ją wielkim podziwem, potężna kobieta z Ghany nie spodobała się w Nowym Jorku.

- Za gruba - powiedział Patrickowi Dick. - Czarni pomyślą, że się z niej wyśmiewamy.

- Przecież to nie my ją utuczyliliśmy! - zaprotestował Patrick. - A rzecz w tym, że jest inteligentna i ma do powiedzenia coś naprawdę ciekawego!

- Potrafisz chyba znaleźć kogoś innego, kto ma coś ciekawego do powiedzenia, nie? Chryste Panie, znajdź jakąś inteligentną kobietę, która wygląda jak człowiek!

Wallingford miał się jednak przekonać, że na tokijskiej konferencji „Przyszłość kobiet” wykonać to zadanie będzie niezwykle trudno, tym bardziej że mówiąc o znalezieniu kobiety, która „wygląda jak człowiek”, Dick bez wątpienia wykluczał wszystkie grubaski, Murzynki i Japonki.

Patrickowi dość było jednego spojrzenia na chińską genetyczkę, ozdobioną wypukłym, włochatym pieprzykiem na środku czoła, by wiedzieć, że nie spróbuje nawet przeprowadzić z nią wywiadu. Już słyszał, co powiedziałyby o niej ten kutas, Dick, z Nowego Jorku.

- Słodki Jezu, przecież mieliśmy z nikogo nie drwić!

Równie dobrze można by zbombardować chińską ambasadę w jakimś zadupnym kraju i twierdzić, że to wypadek albo coś w tym rodzaju!

Patrick przeprowadził więc rozmowę z koreańską specjalistką od chorób zakaźnych, która wydała mu się dość apetyczna. Okazało się jednak, że kamera peszy Koreankę, przypatrującą się uporczywie kikutowi ręki Wallingforda. Co więcej, pani doktor nie potrafiła, nie jākając się, wymienić nazwy ani jednej choroby zakaźnej. Wydawało się, że na samą myśl o chorobach paraliżuje ją przerażenie.

Co do rosyjskiej reżyserki filmowej („Jej filmów nie widział dosłownie nikt” - oświadczył Wallingfordowi redaktor z Nowego Jorku), którą będziemy nazywać po prostu Ludmiłą, to okazała się brzydka jak ropucha. Poza tym, jak odkrył Patrick pewnej nocy o drugiej nad ranem, kiedy Ludmiła odwiedziła go w pokoju, pragnęła uciec z Rosji, i to

bynajmniej nie do Japonii. Chciała, żeby Wallingford przesznuł ją do Nowego Jorku. Patrick zastanawiał się, jak mógłby tego dokonać. Miał ją może przewieźć w torbie na ubrania, cuchnącej sikami filipińskich psów?

Rosyjska azylantka stanowiłaby niewątpliwie pierwszorzędną informację, nawet w Nowym Jorku. Czy miało jakieś znaczenie, że nikt nie widział jej filmów?

- Ona chce jechać do Sundance - powiedział Patrick. - Rany boskie, Dick, ta kobieta chce poprosić o azyl! To na prawdę interesujący materiał! (Żadna rozsądna stacja telewizyjna nie odrzuciłaby reportażu o rosyjskiej azylantce).

Ale na Dicku ta wiadomość nie wywarła wrażenia.

- Zrobiliśmy właśnie pięć minut o azylancie z Kuby, Pat.

- Masz na myśli tego beznadziejnego bejsbolistę? - zapytał Wallingford.

- Jest nie najgorszym obrońcą, a poza tym facet ma uderzenie - odparł Dick, i na tym się skończyło.

Następnie odmówiła Patrickowi zielonooka powieściopisarka z Danii. Okazało się, że należy do autorów drażliwych, nieudzielających wywiadów dziennikarzom, którzy nie czytali ich książek. Uważała się za nie wiadomo jaką znakomitość, a Wallingford po prostu nie miał czasu, żeby przeczytać jej książki. Odgadł jednak trafnie, jak należy wymawiać jej imię: brzmiało faktycznie „Boudil”, z akcentem na „il”.

Chętnie natomiast rozmawiała z nim roje japońskich artystek, które lubiły w czasie rozmowy współczująco dotykać jego lewego przedramienia nad przegubem odgryzionej ręki, ale redaktor wiadomości z Nowego Jorku „rzygał sztuką”. Dick utrzymywał ponadto, że Japonki rozpowszechniają wśród widzów fałszywe przekonanie, jakoby w konferencji brały udział wyłącznie damy z Kraju Kwitnącej Wiśni.

- Odkąd to martwi nas, że rozpowszechniamy fałszywe przekonania? - odważył się spytać Patrick.

- Słuchaj, Pat - powiedział Dick. - Ta ich kurdupłowata poetka, ta glista o wytatuowanej gębie, wzbudziła niechęć nawet innych poetek.

Wallingford za długo już bawił w Japonii. Tak bardzo przyzwyczał się do tego, że miejscowi przekręcają jego ojczysty język, że tym razem przesłyszał się w rozmowie ze swoim redaktorem. Zamiast „ta glista” usłyszał po prostu „ta pizda”.

- Nie, to ty słuchaj, Dick - odparował, manifestując nietypową dla siebie postawę, sprzeczną z jego tradycyjną przymilnością. - Nie jestem kobietą, ale nawet mnie razi to słowo.

- Które? - zapytał Dick. - Gęba?

- Wiesz które! - zawołał Patrick. - Pizda!

- Powiedziałem „glista”, a nie „pizda” - poinformował go redaktor wiadomości. - Widocznie słyszysz to, co chcesz usłyszeć. Głodnemu chleb na myśli.

Patrick nie miał wyjścia. Musiał przeprowadzić wywiad z Jane Brown, angielską ekonomistką, która groziła, że się rozbierze do naga, albo z Evelyn Arbuthnot, domniemaną lesbijką, która nie mogła go ścierpieć i wstydziła się, że choć przez chwilę czuła do niego pociąg.

Angielska ekonomistką była przykładem klasycznej angielskiej idiotki. Nie miało to jednak znaczenia - Amerykanie uwielbiają brytyjski akcent. Jane Brown szumiała więc jak pozostawiony bez nadzoru czajnik, i to nie na temat światowej gospodarki, lecz groźby rozebrania się na oczach mężczyzn.

- Wiem z doświadczenia, że mężczyźni nigdy nie pozwolą mi skończyć się rozbierać - powiedziała Wallingfordowi panna Brown przed kamerą. Mówiła z manieryczną dykcją charakterystycznych aktorek scen angielskich, pań w określonym wieku i określonego pochodzenia. - Czmychają, zanim dojdę do bielizny, bez wyjątku i za każdym razem! Na mężczyznach można zawsze polegać. To znaczy tylko w tym sensie, że zawsze przede mną uciekną, jak amen w pacierzu!

Dick z Nowego Jorku był zachwycony. Powiedział, że wywiad z Jane Brown „kontrastuje ładnie” z wcześniejszym materiałem, pokazującym egzaltowane wystąpienie ekonomistki pierwszego dnia konferencji w związku z problematyką gwałtu. Całodobowy kanał informacyjny o zasięgu międzynarodowym miał więc już swój reportaż.

Relacja z konferencji była gotowa, a ściślej mówiąc, została spreparowana w typowy dla całodobowej stacji informacyjnej sposób, marginalizujący nie tylko osobę Patricka Wallingforda, lecz także wiadomości. Bo oto kobieca konferencja w Japonii została sprowadzona do reportażu o przypominającej dostojną matronę i skłonnej do teatralnych zachowań Angielce, która groziła, że rozbierze się do naga podczas panelowej dyskusji na temat gwałtu - i to w dodatku w Tokio.

- Milutki reportażyk, nie ma co - powiedziała Evelyn Arbuthnot, obejrawszy półtoraminutową relację telewizyjną w swoim pokoju hotelowym ostatniego dnia tokijskiej konferencji. Tani i zjadliwy kanał Wallingforda nie zaczął nawet na koniec sympozjum.

Patrick leżał jeszcze w łóżku, kiedy zadzwoniła.

- Przepłaszam. - Wallingforda nie było stać na nic więcej. - Nie jestem redaktorem wiadomości, tylko zwykłym reporterem.

- Chce pan powiedzieć, że wykonywał pan tylko cudze polecenia?

Evelyn Arbuthnot stanowiła dla niego za twardey orzech do zgryzienia, tym bardziej że jeszcze nie doszedł do siebie po wieczornej eskapadzie do miasta w towarzystwie japońskich gospodarzy. Miał wrażenie, że nawet jego dusza przesiąknięta jest zapachem sake. Nie pamiętał też, który z jego ulubionych japońskich dziennikarzy podarował mu dwa bilety w obie strony na superekspresowy pociąg do Kioto - „pociąg-pocisk”, jak raczył się wyrazić Yoshi albo Fumi. Japończycy twierdzili, że wizyta w tradycyjnej gospodzie w Kioto może być bardzo krzepiąca dla ducha i ciała - to zapamiętał. „Ale najlepiej pojechać w dzień roboczy”. Niestety, o tej wskazówce Wallingford zapomniał.

Ach, Kioto - miasto świątyń i modlitw. Pobyt w miejscu bardziej sprzyjającym medytacji niż Tokio z pewnością świetnie zrobiłby Patrickowi. Najwyższy czas, żeby trochę pomedytować, jak wyjaśnił Evelyn Arbuthnot, która besztła go ciągle za fiasko reportażu z kobiecej konferencji, nadanego przez „wypraną z wszelkich wiadomości wszawą stację” Patricka.

- Wiem, wiem... - powtarzał Patrick. (A co innego mógłby odpowiedzieć?).

- Więc jedzie pan teraz do Kioto? Po co? Żeby się modlić? Ciekawe, o co? - pytała. - Bo ja się modłę o publiczny, i to możliwie najbardziej upokarzający, upadek pańskiej katastroficzno-komediowej stacji informacyjnej!

- Wciąż mam nadzieję, że spotka mnie jeszcze coś miłego w tym kraju - odpowiedział Wallingford z najwyższą godnością, na jaką potrafił się zdobyć, czyli niewielką.

W słuchawce zapadła na chwilę cisza, bo Evelyn Arbuthnot zamyśliła się. Patrick trafnie odgadł, że zastanawia się nad czymś, co już wcześniej przyszło jej do głowy.

- Chce pan, żeby przydarzyło się panu w Japonii coś miłego? - zapytała panna Arbuthnot. - Hm... To niech mnie pan zabierze ze sobą do Kioto. Pokażę panu coś miłego.

Patrick Wallingford mimo wszystko był Patrickiem Wallingfordem. Zgodził się. Robił to, czego chciały od niego kobiety - w ogóle robił za zwyczaj to, co mu kazano. Sądził jednak, że Evelyn Arbuthnot jest lesbijką! Był zbity z tropu.

- No... Bo myślałem... Chodzi mi o to, co powiedziała pani o tej Dunce. Wydawało mi się, że ta uwaga oznacza... że jest pani lesbijką, panno Arbuthnot.

- Zawsze stosuję tę sztuczkę - powiedziała. - Nie przypuszczałam jednak, że dał się pan nabrać.

- Aha - powiedział Wallingford.

- Lesbijką nie jestem, ale mogłabym być pańską matką. Nie obrażę się, jeżeli zechce się pan nad tym zastanowić i później do mnie oddzwonić.

- Na pewno nie mogłaby być pani moją matką...

- Z biologicznego punktu widzenia jak najbardziej - zapewniła panna Arbuthnot. - Mogłabym pana urodzić, mając szesnaście lat, kiedy, nawiasem mówiąc, wyglądałam na osiemnaście. Jak tam u pana z matematyką?

- Ma pani pięćdziesiąt kilka lat? - zapytał.

- Mniej więcej - powiedziała. - Ale nie mogę wyjechać do Kioto dzisiaj. Nie zrezygnuję z ostatniego dnia tej żalostnej, chociaż naszpikowanej dobrymi intencjami konferencji. Jeżeli może pan poczekać do jutra, pojedę z panem do Kioto na weekend.

- W porządku - zgodził się Wallingford. Nie przyznał się, że ma już dwa bilety na „pociąg-pocisk”. Postanowił poprosić recepcjonistkę, żeby zmieniła daty rezerwacji na pociąg i pokój w gospodzie.

- Na pewno ma pan ochotę na wspólny wyjazd? - zapytała Evelyn Arbuthnot w sposób świadczący o tym, że nie jest zbyt pewna siebie.

- Owszem, na pewno. Spodobała mi się pani, nawet jeżeli naprawdę jestem dupkiem - oświadczył Wallingford.

- Nie potępiaj się za bardzo za swoje dupkostwo - powiedziała Evelyn, a dotąd nic w jej głosie nie przypominało tak bardzo seksualnego pomruku.

Pod względem szybkości, a szczególnie szybkości, z jaką potrafiła zmieniać zdanie, Evelyn wydawała się Patrickowi czymś w rodzaju mknącego jak pocisk pociągu. Zaczął się zastanawiać, czy z taką kobietą warto gdzieś wyjeżdżać.

Evelyn jakby czytała w jego myślach.

- Nie będę zbyt wymagająca - powiedziała nagle. - Po za tym powinieneś nabrać doświadczenia w stosunkach z kobietami w moim wieku. Pewnego dnia, kiedy przekroczysz siedemdziesiątkę, najmłodsze kobiety, jakie uda ci się uwieść, będą miały tyle lat, ile ja dzisiaj.

W miarę upływu reszty dnia i nocy, kiedy Wallingford czekał na „pociąg-pocisk”, mający zawieźć go z Evelyn Arbuthnot do Kioto, jego kac stopniowo ustępował. Kładąc się spać, czuł już smak sake, tylko kiedy ziewał.

Następny dzień w kraju wschodzącego słońca wstał piękny i słoneczny - była to jednak, jak się okazało, zwodnicza obietnica. Wallingford podróżował pędzącym dwieście mil na godzinę pociągiem w towarzystwie kobiety, która mogłaby być jego matką, oraz około pięciu setek rozwrzeszczanych uczennic, podobno bowiem - o ile Patrick i Evelyn poprawnie zrozumieli morderczą angielszczyznę konduktora - rozpoczął się właśnie Weekend Modlitwy Narodowej dla Dziewcząt i chyba dlatego uczennice ze wszystkich zakątków Japonii jechały właśnie do Kioto.

Przez cały weekend łało, a Kioto roilo się od rozmodlonych japońskich uczennic. W każdym razie po najeździe na miasto od czasu do

czasu zapewne się modliły, ale Patrick ani Evelyn nie widzieli ich na własne oczy w trakcie tej czynności. Za to kiedy nie były pogrążone w modlitwie, zachowywały się tak, jak wszystkie uczennice na całym świecie. Śmiały się, wrzeszczały albo wybuchały histerycznym szlochem bez powodu.

- Parszywe hormony - powiedziała Evelyn, jak gdyby i ona знаła ich działanie.

Poza tym dziewczyny słuchały najgorszej zachodniej muzyki, jaką tylko można sobie wyobrazić, i bezustannie się kąpały - tak często, że w tradycyjnej japońskiej gospodzie, w której mieszkali Wallingford i Evelyn Arbuthnot, brakowało często gorącej wody.

- Za dużo dziewcząt, które się wcale nie modlą! - tłumaczył przepraszająco Patrickowi i Evelyn właściciel zajazdu, choć brak gorącej wody nie bardzo ich obchodził - poprzestawali na kąpeli w letniej temperaturze, pieprzy li się bowiem bez przerwy przez cały weekend i wychodzi li tylko sporadycznie, żeby zwiedzać świątynie, dzięki którym Kioto, w przeciwieństwie do Patricka Wallingforda, cieszyło się jak najbardziej zasłużoną sławą.

Okazało się, że Evelyn Arbuthnot lubiła seks w dużych dawkach. Przez te dwie doby... no, mniejsza z tym. Grubiaństwem byłoby wyliczać, ile odbyli stosunków. Wspomnijmy tylko, że pod koniec weekendu Wallingford był całkowicie wyczerpany, a kiedy wracali do Tokio pędzącym dwieście mil na godzinę pociągiem, Patricka tak bolał kutas, że czuł się jak nastolatek, który wytrzepał kapucyna do krwi.

Mokre świątynie bardzo mu się podobały. Wchodząc do ogromnych drewnianych budowli, o które bębnił deszcz, odnosił wrażenie, że jest jeńcem zamkniętym w prymitywnym, przypominającym bęben drewnianym instrumencie, w którym otacza go piskliwy jazgot rozbuchanych dziewcząt.

Wiele z nich nosiło mundurki szkolne, przez co wyglądały monotonnie niczym orkiestra wojskowa. Niektóre były bardzo ładne, większość jednak nie grzeszyła urodą - a poza tym podczas Weekendu Modlitwy Narodowej dla Dziewcząt, choć nie była to zapewne oficjalna nazwa

święta, Wallingforda interesowała wyłącznie Evelyn Arbuthnot.

Lubił się z nią kochać, przede wszystkim dlatego, że tak wyraźnie sprawiał jej przyjemność. Ciało Evelyn, z całą pewnością niepiękne, okazało się jednak niezwykle użyteczne. Posługiwała się nim niby dobrze zaprojektowanym narzędziem, ale na jej drobnej piersi widniała stosunkowo duża blizna, ewidentnie nie będąca skutkiem wypadku. (Była zbyt prosta i wąska, musiała być zatem blizną pooperacyjną).

- Kiedyś wycięto mi guzek - wyjaśniła Patrickowi, kiedy zapytał o pochodzenie zrostu.

- Był chyba spory - zauważył.

- Okazało się, że to nic groźnego. Jestem zdrowa - odparła.

Zaczęła mu trochę matkować dopiero w drodze powrotnej do Tokio.

- Nie chciałbyś wziąć się w garść? - zapytała, trzymając go za zdrową rękę.

- Wziąć się w garść?

- Jesteś wrakiem człowieka - powiedziała, a Patrick dostrzegł w jej twarzy szczerą troskę.

- Jestem wrakiem człowieka - powtórzył.

- Owszem, jesteś, i dobrze o tym wiesz. Praca zawodowa nie przynosi ci żadnej satysfakcji, a co ważniejsze, twoje życie jest puste. Jesteś jak rozbitek na środku oceanu, kochanie. (Słowo „kochanie” było w ich związku elementem nowym i nieatrakcyjnym).

Zaczął bełkotać coś na temat doktora Zajaca, perspektywy przeszczepu ręki i możliwości odzyskania na dobre lewej dłoni po pięciu długich latach.

- Nie o to mi chodzi - przerwała Evelyn. - Twoja lewa dłoń nie ma żadnego znaczenia. Minęło pięć lat, a ty dajesz sobie radę bez ręki. Zawsze znajdziesz kogoś, kto ci pomoże pokroić pomidora, a jeśli nie, najwyżej obejdiesz się smakiem. Nie jesteś przystojną ofiarą losu dlatego, że nie masz ręki, ale dlatego, że wykonujesz pracę, którą wykonujesz, a przede wszystkim dlatego, że w taki a nie inny sposób kierujesz swoim życiem!

- Aha - powiedział Wallingford, usiłując wyrwać dłoń z jej matczynego

uścisku, na co panna Arbuthnot mu nie pozwoliła. Miała, bądź co bądź, dwie zdrowe ręce i mocno przytrzymała w nich rękę Patricka.

- Posłuchaj - zaczęła. - To wspaniale, że doktor Sayzac chce cię wypożyczyć w nową lewą dłoń...

- Doktor Zajac - poprawił ją z rozdrażnieniem Wallingford.

- Niech będzie, doktor Zajac - ciągnęła panna Arbuthnot. - Nie zamierzam odmawiać ci odwagi potrzebnej, by poddać się takiemu ryzykownemu eksperymentowi...

- Byłaby to druga tego typu operacja w historii - poinformował ją wciąż rozdrażniony Patrick. - Pierwsza się nie powiodła.

- Tak, tak, mówiłeś mi o tym - przypomniała panna Arbuthnot. - Ale czy masz odwagę zmienić swoje życie?

Po chwili zasnęła, rozluźniając nieco uścisk na dłoni Patricka. Nie poczułaby chyba, gdyby cofnął rękę, ale nie chciał jej budzić, więc nie zaryzykował.

Evelyn leciała do San Francisco, a Wallingford wracał do Nowego Jorku. W San Francisco miała się odbyć kolejna konferencja, poświęcona problematyce kobiecej.

Nie zapytał, jaką „misję” miała do spełnienia, i nigdy nie przeczytał do końca żadnej książki jej autorstwa. Jedną zaczął czytać, ale nie spodobała mu się. Evelyn Arbuthnot była bardziej interesującym człowiekiem niż pisarką. Podobnie jak wielu inteligentnych, ambitnych ludzi, prowadzących pracowite i świadome życie, nie pisała zbyt dobrze.

W łóżku, gdzie życiowe historie ujawnia się bez żenady, panna Arbuthnot wyznała Patrickowi, że była dwukrotnie mężatką, a pierwszy raz wyszła za mąż w bardzo młodym wieku. Rozwiodła się z pierwszym mężem, natomiast drugi, którego naprawdę kochała, zmarł. Była wdową, miała dorosłe dzieci i kilkoro małych wnucząt. Twierdziła, że w jej życiu najważniejsze są dzieci i wnuki, a podróże i pisarstwo to jedynie „misja”, choć Wallingford nie znalazł jej śladów w tych krótkich fragmentach twórczości panny Arbuthnot, które zdołał przeczytać. Mimo to, ilekroć później o niej myślał, musiał przyznać, że dzięki Evelyn dowiedział się wiele o sobie.

W szybkim jak pocisk pociągu, tuż przed przyjazdem do Tokio, rozpoznało go kilka uczennic i ich nauczycielka. Zbierały się na odwagę, chcąc posłać jedną z dziewcząt na drugi koniec wagonu, by poprosiła faceta od lwów o autograf. Patrick miał nadzieję, że do tego nie dojdzie, rozdając autografy, musiałby bowiem wyciągnąć prawą dłoń spomiędzy palców śpiącej Evelyn.

Żadna z uczennic nie miała dość śmiałości, żeby go zagadnąć, więc do Patricka podeszła nauczycielka. Miała na sobie mundurek przypominający uniformy jej podopiecznych, a chociaż była młoda, w rozmowie emanowała z niej surowość i rezerwa znacznie starszej kobiety. Była jednak uprzedzająco grzeczna - nie chcąc zbudzić Evelyn, starała się mówić tak cicho i łagodnie, że Wallingford musiał się pochylić w stronę przejścia, ponieważ łoskot pędzącego jak pocisk pociągu zagłuszał słowa kobiety.

- Dziewczęta prosiły, żeby panu przekazać, że jest pan bardzo przy stojny i dzielny. Ale ja też mam panu coś do powiedzenia - szepnęła. - Kiedy pierwszy raz widziałam pana z tym lwem, nie przyszło mi do głowy, że jest pan taki sympatyczny, a teraz czuję się głupio. Bo kiedy widzę, jaki pan jest naprawdę... No wie pan, chodzi mi o to, że tak pan sobie gawędzi z matką w podróży... Teraz dopiero rozumiem, że jest pan bardzo, bardzo dobrym człowiekiem.

- Dziękuję - wyszeptał w odpowiedzi Wallingford, mimo że zaboląła go ta pomyłka, a kiedy młoda nauczycielka wróciła na swoje miejsce, Evelyn ścisnęła go za rękę, dając znać, że nie śpi. Rzuciwszy jej spojrzenie, Patrick zobaczył szeroko otwarte oczy i uśmiech.

Przed upływem roku, kiedy dowiedział się o śmierci pisarki („Nastąpił nawrót choroby” - poinformowała Wallingforda jedna z córek Evelyn, gdy zatelefonował z kondolencjami do jej dzieci i wnucząt), przypomniał sobie ten uśmiech panny Arbuthnot z szybkiego jak pocisk pociągu. Guz, który Evelyn zlekceważyła, okazał się jednak groźny. Biorąc pod uwagę długość pooperacyjnej blizny, być może zdawała sobie z tego sprawę już wtedy.

Patrick Wallingford miał w sobie coś niebywale delikatnego. Wszystkie kobiety, z wyjątkiem Marilyn, usiłowały oszczędzać mu przykrości,

choć tego rodzaju szlachetność nie leżała w naturze Evelyn Arbuthnot.

Wallingford uświadomił sobie także, że nie zapytał japońskiej nauczycielki o oficjalną nazwę Weekendu Modlitwy Narodowej dla Dziewcząt, choć miał po temu okazję. Aż trudno uwierzyć, że zawodowy dziennikarz, spędziwszy w Japonii sześć dni, nie dowiedział się o tym kraju absolutnie niczego.

Podobnie jak młoda nauczycielka z pociągu, wszyscy Japończycy, jakich poznał Patrick, byli wyjątkowo dobrze wychowani i uprzejmi, nie wyłączając podejmujących go dziennikarzy. Odnosili się do niego z większym szacunkiem i grzeczniej niż większość kolegów, z którymi Patrick pracował w Nowym Jorku. Nie pytał jednak o nic Japończyków, był bowiem zbyt pochłonięty autoanalizą. Jedyne, czego nauczył się w Japonii, to nieudolnie przedrzeźniać egzotyczny akcent swoich gospodarzy.

Potępiajcie Marilyn, ile wola, ale ekszona Wallingforda miała słuszność przynajmniej w jednej sprawie - Patrick był wiecznie niedojrzałym chłopcem. Było go jednak stać na to, by dorosnąć - a w każdym razie żywił taką nadzieję.

Wszelkie poważniejsze zmiany egzystencjalne bywają inicjowane przez doświadczenia przełomowe dla życia danej osoby. W przypadku Patricka Wallingforda doświadczeniem takim nie była jednak utrata lewej dłoni ani przystosowanie się do życia bez niej. Przeżyciem, które go naprawdę odmieniło, była w znacznej mierze nieudana podróż do Japonii.

- Opowiedz nam, jak było w Japonii, Pat - prosiły pod chwytnie sprytnie pracownice redakcji nowojorskiej, jak zawsze kokieteryjnymi i kuszącymi głosami. (Wiedziały już od Dicka, że Wallingford źle go rozumiał w rozmowie telefonicznej i zamiast „glista” usłyszał „pizda”).

Ale kiedy wypytywały go o Japonię, Patrick uchylał się od odpowiedzi.

- O Japonii mógłbym napisać powieść - ucinał krótko dyskusję.

Już wtedy był przekonany, że to właśnie pod wpływem podróży do Japonii zdecydował się całkowicie odmienić swoje życie, a w imię tej decyzji był gotów na każde ryzyko. Wiedział, że nie będzie mu łatwo,

ufał jednak, że ma dość silnej woli, by podjąć taki wysiłek. I należy zapisać mu na plus, że przy pierwszej okazji, kiedy w redakcji spotkał się w cztery oczy z Mary, której nazwiska nigdy nie pamiętał, powiedział:

- Bardzo przepraszam, Mary. Naprawdę, przepraszam z całego serca za to, co wtedy powiedziałem, i przykro mi, że cię zdenerwowałem...

Dziewczyna wpadła mu w słowo.

- Nie płakałam przez ciebie. Płakałam nad moim małżeństwem. To nieudany związek, a ja zaszłam w ciążę.

- Bardzo mi przykro - powtórzył Patrick.

Telefon do doktora Zajaca z potwierdzeniem, że jest zdecydowany poddać się transplantacji, nie sprawił mu większych problemów.

Następnym razem, kiedy przez chwilę został z Mary sam na sam, popełnił gafę, wynikającą jednak z zacnych intencji.

- Kiedy spodziewasz się rozwiązania, Mary? (Brzucha nie było widać).

- Poroniłam! - wypaliła ta, zalewając się łzami.

- Przykro mi - powiedział znowu Patrick.

- To już moje drugie poronienie - przyznała nieszczęsna młoda kobieta i rozszlochała się na piersi Patricka, zalewając mu koszulę łzami.

Ujrzawszy tę scenę, kute na cztery nogi kobiety z nowojorskiej redakcji wymieniły między sobą wysoce porozumiewawcze spojrzenia. Myliły się jednak, a ściślej mówiąc, myliły się tym razem, ponieważ Wallingford naprawdę próbował się zmienić.

- Szkoda, że nie pojechałam z tobą do Japonii - szepnęła mu do ucha Mary, której nazwiska nie umiał zapamiętać.

- Nie, Mary... O, nie - odpowiedział Patrick. - Nie powinnaś była jechać ze mną do Japonii, a ja postąpiłem niestosownie, wysuwając taką propozycję.

Ale na te słowa młoda kobieta zaczęła lkać jeszcze rzęsiściej.

W obecności płaczących kobiet Patrick Wallingford zachowywał się jak większość mężczyzn w podobnej sytuacji - usiłował myśleć o czymś

innym. Na przykład o tym, jak można czekać na przeszczep, skoro żyje się bez ręki od przeszło pięciu lat?

Wbrew temu, co można by sądzić po jego niedawnych perypetiach z sake, Patrick nie pił wiele. Dziwnie polubił jednak przesiadywać samotnie popołudniami w nieznanych sobie barach - za każdym razem w innym - podjąwszy tę grę pod wpływem nieokreślonego znużenia czy niemocy. Kiedy nadchodziła pora koktajlu, a bar zapelniał się gośćmi przejawiającymi stopniowo coraz większą ochotę do nawiązywania kontaktów towarzyskich, Patrick Wallingford siedział niewzruszenie, popijając piwo, a jego celem było roztaczać wokół aury tak nieprzystępnego smutku, by nikt nie ośmielił się zakłócić jego samotności.

Oczywiście wszyscy wiedzieli, kim jest - być może czasami dochodziły go szeptki w rodzaju: „O, facet od lwów” albo „katastrofiara”, ale nikt się do niego nie odzywał. Oto mu właśnie chodziło w tej zabawie, przypominającej etiudę aktora, który poszukuje odpowiedniej miny. („Współczujcie mi - mówiła mina Patricka. - Współczujcie mi, ale proszę zostawić mnie w spokoju”).

W końcu któregoś popołudnia Wallingford odwiedził bar w okolicy, w której niegdyś mieszkał. Dochodziła dopiero szósta, było więc za wcześnie, by nocny portier z dawnego apartamentowca Patricka mógł już rozpocząć pracę na drugiej zmianie, ale mimo to Wallingford zdziwił się, widząc go w knajpie - tym bardziej że portier był bez uniformu.

- Czołem, panie O'Neill - powitał go Vlad, Vlade albo Lewis. - Widziałem, że był pan w Japonii. Umieją tam grać w bejsbol, nie? To może być dla pana jakieś wyjście, jeżeli tu się panu nie ułoży.

- Jak się masz, Lewis? - zapytał Wallingford.

- Nazywam się Vlade - powiedział ponuro Vlad. - A ten tu to mój brat. Zabijamy czas, zanim pójde do roboty. Nie lubię już robić na nocną.

Patrick skinął głową sympatycznie wyglądającemu młodzieńcowi, który stał przy barze z przygnębionym portierem. Młody człowiek nazywał się Loren albo Goran, a może nawet Zorbid - brat Vlady był nieśmiały i przedstawił się tylko niewyraźnym pomrukiem.

Ale kiedy Vlad, Vlade albo Lewis poszedł do toalety (pił szklankami sok żurawinowy z wodą sodową), jego nieśmiały brat zwrócił się do Patricka:

- On nie chciał powiedzieć nic złego, panie Wallingford. Po prostu nie bardzo zdaje sobie sprawę, co się dookoła niego dzieje. Wie i nie wie zarazem, że nie jest pan Paulem O'Neillem. Miałem najszczerzą nadzieję, że po tej historii z lwami wreszcie wszystko zrozumie. Niestety, nic do niego nie dotarło, dlatego na co dzień jest pan dla niego po prostu Paulem O'Neillem. Przepraszam. Pana to na pewno denerwuje.

- Niech mnie pan nie przeprasza - odpowiedział Patrick. - Lubię pańskiego brata. Nie mam nic przeciwko temu, że uważa mnie za Paula O'Neilla. Jako O'Neill nie mieszkam już przynajmniej w Cincinnati.

Obaj mieli niewyraźne miny winowajców, kiedy Vlad, Vlade albo Lewis powrócił z toalety. Patrick żałował, że nie zapytał normalnego brata, jak naprawdę nazywa się stuknięty portier, ale właściwa chwila na zadanie tego pytania minęła, bo odźwierny o trzech imionach zdążył do nich dołączyć. Przypominał teraz dawnego Vlade'a, Vlada albo Lewisa, ponieważ w toalecie przebrał się w liberię.

Swoje cywilne ubranie wręczył bratu, który schował je do plecaka wspartego o żelazny podnózek pod barem. Patrick przedtem nie zauważył plecaka, zrozumiał jednak, że stanowi ich tradycyjny rekwizyt. Zapewne normalny brat wracał rano po Vlada, Vlade'a albo Lewisa, by odwieźć go do domu. Sprawiał wrażenie bardzo dobrego brata.

Wtem nocny portier wsparł głowę na kontuarze, jak gdyby zmorzyła go senność.

- Daj spokój. Nie rób tego - skarcił go czule brat. - Nie powinienes tak się zachowywać, szczególnie przy panu O'Neillu.

Portier podniósł głowę.

- Czasami po prostu czuję się zmęczony tą pracą na noc - wyjaśnił. - Nigdy więcej nocnej zmiany, błagam. Nie chcę już robić na nockę.

- Słuchaj... Powinieneś się cieszyć, że w ogóle masz robotę - powiedział brat, usiłując podnieść go na duchu.

I jak za sprawą czarodziejskiej różdżki, w mgnieniu oka, Vlad, Vlade albo Lewis wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Jejku, patrzcie tylko, co ze mnie za człowiek - odezwał się. - Użalam się nad sobą, siedząc z najlepszym obrońcą, jakiego znam, a on nie ma przecież lewej ręki! Ręki, którą odbija i rzuca piłkę. Przepraszam najmocniej, panie O'Neill. Nie wypada mi skarżyć się na swój los przy kimś takim jak pan.

Naturalnie Wallingford też się nad sobą litował, ale chciał być Pauliem O'Neillem jeszcze przez krótką chwilę. Tak zaczął się pierwszy etap rozstania z dawnym Patrickiem Wallingfordem.

Oto on, katastrofiara, przybierająca w barze rytualną minę. Jednak facet od lwów zdawał sobie sprawę, że mina to tylko gra, bo współczucia potrzebował naprawdę.

Rozdział piąty

Wypadek w niedzielę finału

Pisząc w liście do Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka & Spółki, że pochodzi z Appleton w Wisconsin, pani Clausen miała na myśli tylko tyle, że tam się urodziła. Po ślubie z Ottonem Clausenem zamieszkała w Green Bay, mieście będącym siedzibą sławnego zawodowego klubu futbolowego. Otto Clausen był kibicem Packersów, zarabiającym na życie jako kierowca ciężarówki. Przewoził piwo, a napis w zielonych barwach Green Bay na złotym polu, zdobiący jedyną nalepkę, jaką pozwolił sobie przykleić na zderzaku wozu, brzmiał: NALEŻĘ DO SEROGŁOWYCH I JESTEM Z TEGO DUMNY!*

* Stan Wisconsin słynie z produkcji serów, a mianem „serogłowych” określają się kibice Green Bay Packers (przyp, tłum.).

W niedzielny wieczór dwudziestego piątego stycznia 1998 roku Otto zamierzał wybrać się z żoną do ich ulubionego baru sportowego w Green Bay. Był to wieczór trzydziestego drugiego finału Super Bowl, w którym Packersi mieli zmierzyć się w San Diego z Denver Broncos. Niestety, pani Clausen przez cały dzień dokuczały nudności - i, jak zwykle w takich wypadkach, podzieliła się z mężem nadzieją, że jest w ciąży. Nie była jednak w ciąży, lecz zapadła na gripę. Szybko dostała gorączki i zwymiotowała dwukrotnie przed rozpoczęciem meczu. Clausenowie nie kryli rozczarowania, że symptomy nie okazały się wywołanymi ciążą mdłościami porannymi. {Choć nawet gdyby pani Clausen była brzemienna,

skończyła menstruować zaledwie przed dwoma tygodniami, było zatem za wcześnie, by mogła już odczuwać poranne nudności).

Nastroje pani Clausen były czytelne - a w każdym razie Otto mniemał, że zwykle wie, co myśli jego żona. Niczego na świecie nie pragnęła bardziej niż dziecka. Mąż także chciał, by urodziła potomstwo, toteż nie miała do niego pretensji w tej kwestii. Była po prostu strasznie nieszczęśliwa, ponieważ nie mieli dzieci, i wiedziała, że z tej przyczyny nieszczęśliwy jest również jej małżonek.

Co do wspomnianego przypadku grypy, to Otto nigdy nie widział żony w tak fatalnym stanie, dlatego zaofiarował się, że zostanie w domu i będzie się nią opiekował. Mecz mogli przecież obejrzeć w telewizji, nie wychodząc z sypialni. Pani Clausen czuła się jednak tak paskudnie, że nie miała siły w ogóle oglądać meczu, choć i ona należała do „serogłowych”, będąc przez całe życie fanką Packersów, co zresztą legło u podstaw jej związku małżeńskiego. Pani Clausen pracowała nawet dla Green Bay Packers. Mogli załatwić sobie bilety na mecz w San Diego, ale Otto nie lubił latać.

Pani Clausen była głęboko wzruszona - Otto kocha ją do tego stopnia, że gotów jest zrezygnować z oglądania finału w barze sportowym. Nie chciała jednak słyszeć, by mąż miał zostać z nią w domu. Choć mdliło ją tak, że nie mogła mówić, zebrała wszystkie siły i w jednym złożonym zdaniu wyraziła często powtarzaną w świecie sportu prawdę, której wielbiciele amerykańskiego futbolu mogliby jedynie przytaknąć w milczeniu, mimo że ludziom niezwiązanym z futbolem wydałaby się ona kolosalną głupotą.

- Nigdy nie wiadomo, czy będzie jeszcze okazja wrócić na Super Bowl - oświadczyła pani Clausen.

Otto rozczulił się jak dziecko. Nawet na łóżu boleści jego żona troszczy się o to, czy mąż miło spędzi czas. Niestety, jeden z ich dwóch samochodów trafił do warsztatu z powodu wgniecionego na parkingu przed supermarketem zderzaka, a Otto nie chciał zostawiać w domu chorej małżonki bez samochodu.

- Pojadę ciężarówką - powiedział. Była pusta, a Otto znał świetnie

całą obsługę baru. Zapewne pozwoliliby mu zaparkować na zapleczu, bo w niedzielę finału nie przewidywano dostawy zaopatrzenia.

- Do boju, Green Bay! - powiedziała słabo jego żona, zapadając w sen.

W goście niewypowiedzianej fizycznej czułości, który na długo miała zapamiętać, Otto położył na łóżku pilota od telewizora i sprawdził, czy nastawiony jest właściwy kanał.

Potem pojechał na mecz. Ciężarówka bez piwnego ładunku była lżejsza niż zwykle, musiał więc uważać, by nie pędzić zbyt szybko, manewrując potężnym pojazdem na niemal wyludnionych w niedzielę ulicach. Od szóstego albo siódmego roku życia nie spóźnił się nigdy na rozpoczęcie żadnego meczu Packersów, nie zamierzał więc spóźnić się i tym razem. Skończył dopiero trzydzieści dziewięć lat, widział jednak wszystkie trzydzieści jeden poprzednich finałów Super Bowl - i finał trzydziesty drugi obejrzał również od początku aż do gorzkiego końca.

Większość dziennikarzy sportowych zgodziłaby się chyba, że trzydziesty drugi finał Super Bowl należał do najlepszych w historii futbolu. Było to wyrównane, emocjonujące spotkanie, w którym zwyciężyła ostatecznie drużyna skazana na porażkę. Jak powszechnie wiadomo, Amerykanie lubią kibicować słabszym, ale w przypadku tego finału Super Bowl mieszkańcy Green Bay w Wisconsin nie solidaryzowali się z drużyną skazaną na porażkę na papierze, albowiem teoretycznie słabsi Denver Broncos pokonali Packersów, wprawiając wszystkich serogłowych fanów w skrajną rozpacz.

Pod koniec czwartej kwarty kibice Green Bay gotowi byli popełnić zbiorowe samobójstwo, w którym Otto chyba nie wziąłby udziału, był bowiem wprawdzie pogrążony w rozpacz, lecz i bardzo pijany. Zasnął jak suseł przy barze, podczas przerwy na reklamę piwa, wyemitowaną na dwie minuty przed końcem meczu, zbudził się zaś w chwili wznowienia gry, udręczony kolejną projekcją najokropniejszego koszmaru sennego, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się śnić. Sen ów śnił mu się już wielokrotnie, a w porównaniu z reklamą zdawał się ciągnąć całymi godzinami.

Był na porodówce. W kącie sali stał jeszcze jeden mężczyzna, któremu znad maseczki chirurgicznej widać było tylko oczy. Dziecko jego żony odbierała lekarka w asyście położnej, której Otto z całą pewnością nie znał, w przeciwieństwie do lekarki będącej ginekologiem pani Clausen. Clausenowie wielokrotnie bywali u niej razem.

Choć śniąc ten sen po raz pierwszy, Otto nie poznał stojącego w kącie sali mężczyzny, teraz już wiedział, kim jest, co nadawało jego fantasmagoriom proroczy charakter.

Radość, jaka wykwiłała na twarzy jego żony po porodzie, była tak zniewalająca, że Otto zawsze zaczynał płakać we śnie, a tamten człowiek zdejmował wtedy maskę. Był to ten uwodziciel, reporter telewizyjny, facet od lwów, katastrofiara. Jak on się, kurwa, nazywa? W każdym razie radosny uśmiech pani Clausen przeznaczony był dla niego, nie dla męża. Można było odnieść wrażenie, że Ottona w ogóle nie ma na porodówce albo że inni nie zdają sobie sprawy z jego obecności na sali.

Coś się tutaj jednak nie zgadzało: otóż facet od lwów miał dwie zdrowe ręce i trzymał w nich noworodka. A pani Clausen nieoczekiwanie usiadła, żeby pogłodzić go po grzbiecie lewej dłoni.

Otto zaczynał wtedy przypatrywać się samemu sobie w poszukiwaniu rąk. Lewej ręki jednak brakowało - nie miał lewej ręki!

Wówczas budził się z płaczem, tym razem ocknął się w sportowym barze w Green Bay, kiedy do końca meczu pozostały niecałe dwie minuty, toteż jakiś bratni kibic Packersów niewłaściwie zinterpretował jego rozpacz.

- Parszywy mecz - powiedział z grubiańskim współczuciem, klepiąc go po ramieniu.

Pijany Otto zebrał wszystkie siły, żeby znów nie zasnąć. Nie dlatego, by nie przegapić zakończenia spotkania, lecz dlatego, że za nic w świecie nie chciał ponownie śnić tego samego snu.

Wiedział oczywiście, skąd wziął się ów sen, tak bardzo wstydził się jednak jego proweniencji, że nigdy nie opowiedział o nim żonie.

Jako kierowca ciężarówki do przewozu piwa, Otto uważał się za wzór do naśladowania dla młodzieży z Green Bay, ponieważ nigdy nie zdarzyło

mu się prowadzić po pijanemu. Pił bardzo rzadko, a kiedy już raczył się alkoholem, nie sięgał po nic mocniejszego niż piwo. Ogarnął go nagle wstyd za upojenie, sen i wynik meczu.

- Upiłem się i nie mogę prowadzić - wyznał Otto barmanowi, który był przyzwoitym człowiekiem i jego zaufanym przyjacielem.

Barman ubolewał, że inni pijacy nie zachowują się podobnie jak Clausen, czyli odpowiedzialnie.

Szybko ustalili, jak najlepiej przetransportować Ottona do domu, wykluczając powrót samochodem w towarzystwie jednego z ich kilku podpitych i przygnębionych znajomych. Otto mógł spokojnie przestawić ciężarówkę pięćdziesiąt jardów dalej, z zaplecza na główny parking, by w poniedziałek rano wóz nie tarasował drogi samochodom dostawczym, a ponieważ parking i wjazd na zaplecze baru sąsiadowały ze sobą, nie musiał wjeżdżać na ulicę ani na chodnik. Barman zamierzał wezwać potem telefonicznie taksówkę, którą Clausen odjechałby do domu.

- Nie, nie, nie - bełkotał Otto. Nie trzeba dzwonić, bo on ma przecież w ciężarówce komórkę, przestawi więc wóz, a potem sam wezwie taksówkę, na którą zaczeka w kabinie. Poza tym chce zadzwonić do żony, zapytać, jak się czuje, i razem z nią opłakać tragiczną porażkę Packersów. Co więcej, chłodne powietrze na pewno dobrze mu zrobi.

Działania chłodnego powietrza nie był tak pewien, jak pozostałych elementów swojego planu, chciał jednak także darować sobie pomeczowy program w telewizji. Widok oszalałych kibiców Denver, gorączkowo świętujących zwycięstwo, wzbudziłby w nim autentyczne obrzydzenie, podobnie jak powtórki akcji Terrella Davisa przebijającego się przez defensywę Packersów. Skrzydłowy biegacz Broncosów sprawiał, że obrona Green Bay wyglądała na miękką i dziurawą niczym... no tak, niczym ser.

Myśl o ofensywnych zagraniach zawodników Denver wzbudziła w nim mdłości, jak gdyby zaraził się od żony grypą. Równie paskudnie nie czuł się od czasu, kiedy oglądał lwy pożerające rękę tego gogusioatego dziennikarza. Jak się ten chujek nazywa?

Nazwisko nieszczęsnego reportera pamiętała natomiast pani Clausen.

- Ciekawa jestem, jak radzi sobie biedny Patrick Wallingford - mówiła czasami bez żadnego widocznego powodu, a wtedy Otto kręcił głową i zbierało mu się na wymioty.

Po pełnej szacunku chwili ciszy pani Clausen dodawała:

- Gdybym wiedziała, że jestem skazana na śmierć, oddałabym temu nieszczęśnikowi swoją dłoń. A ty, Otto?

- Nie wiem. Nawet go nie znam - odpowiadał Otto. - To nie to samo, co oddać obcemu człowiekowi jakiś narząd wewnętrzny. Wewnętrznych organów nie widać, ale ręka... No, to już rozpoznawalna, charakterystyczna część ciała. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Martwemu dawcy byłoby wszystko jedno - powiedziała pani Clausen.

Otto przypomniał sobie wytoczoną Wallingfordowi sprawę sądową o ustalenie ojcostwa, którą relacjonowała telewizja oraz czasopisma i gazety. Pani Clausen śledziła pilnie wszelkie doniesienia na ten temat i wydawała się wyraźnie zawiedziona, kiedy badanie DNA dowiodło, że ojcem dziecka jednak nie jest Patrick.

- A co cię obchodzi, kto jest ojcem dziecka? - zapytał Otto.

- Bo Wallingford wygląda, jakby to on był ojcem - odpowiedziała pani Clausen. - Albo, inaczej mówiąc, wygląda na mężczyznę, który powinien być ojcem.

- Chodzi ci o to, że jest przystojny, tak? - dopytywał się Otto.

- Wygląda jak chodzący pozew o ojcostwo.

- I dlatego chcesz, żebym mu oddał rękę?

- Tego nie powiedziałam. Powiedziałam tylko, że martwemu dawcy byłoby wszystko jedno.

- To zrozumiałem. Ale dlaczego chcesz, żeby moją rękę dostał akurat ten facet?

Trzeba wam coś wiedzieć na temat pani Clausen, zanim dowiecie się, jak wyglądała - otóż kiedy tylko chciała, potrafiła przybrać osobliwy ton głosu, który wzbudzał u jej męża erekcję. Niemal natychmiastową.

- Dlaczego chciałabym oddać twoją rękę do przeszczepu? - zapytała takim właśnie tonem. - No... bo cię Kocham i nikogo innego nigdy nie pokocham. W każdym razie nie tak samo, jak ciebie.

Pod wpływem tych słów Otto rozkleił się zupełnie i omal nie padł trupem. Odjęło mu mowę, a cała krew z mózgu, serca i płuc spłynęła w jego erekcję. Jak zawsze, kiedy słyszał ten głos.

- A dlaczego akurat Wallingfordowi? - ciągnęła pani Clausen, świadoma, że od tej chwili Otto pozostaje całkowicie w jej mocy. - No... bo on po prostu potrzebuje ręki.

Trudno o coś bardziej oczywistego.

Otto zebrał wszystkie siły, żeby udzielić anemicznej odpowiedzi.

- Są inni mężczyźni, którzy stracili rękę,

- Ale my ich nie znamy.

- Jego też nie.

- Występuje w telewizji, więc wszyscy go znają. Poza tym wygląda sympatycznie.

- Powiedziałaś, że wygląda jak chodzący pozew o ustalenie ojcostwa.

- To nie znaczy, że nie jest sympatyczny - odparła pani Clausen.

- Och.

Owo „och” wyczerpało resztki jego topniejących sił, a Otto wiedział, co czeka go za chwilę. I tym razem zniewolił go głos małżonki.

- Co będziesz teraz robił? - zapytała pani Clausen. - Chcesz mi zrobić dziecko?

Wciąż jednak nie mieli dzieci. Pisząc do Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka & Spółki, pani Clausen dołączyła do listu wydruk oświadczenia, o którego podpisanie poprosiła męża. Otto nie protestował. Wydawało mu się, że stracił czucie w palcach i składa podpis dłonią obcego mężczyzny.

- Co będziesz teraz robił? - zapytała go i przy tej sposobności pani Clausen.

Potem zaczęły się sny. A teraz, owej nieszczęsnej finałowej niedzieli, Otto był nie tylko kompletnie pijany, lecz dźwigał także brzemię nieprawdopodobnej zazdrości. Poza tym przestawienie ciężarówki o głupie

pięćdziesiąt jardów okazało się nie takie proste, jak można by sądzić. Świadczyły o tym nieporadne wysiłki Clausena, zmierzające do przekręcenia kluczyka w stacyjce - był zbyt pijany nie tylko, żeby prowadzić, ale nawet uruchomić ciężarówkę. Udało mu się to dopiero po dłuższej chwili, podczas gdy samochodowa dmuchawa rozpuszczała lód, zalegający na przedniej szybie pod śniegiem, choć od momentu rozpoczęcia meczu przybyły zaledwie dwa cale świeżego puchu.

Być może Otto zdarł sobie skórę z palców lewej ręki, ścierając śnieg z bocznych lusterek. (To tylko domniemanie. Nigdy się nie dowiemy, jak do tego doszło, wiadomo jedynie, że zdarł sobie skórę z kostek palców). Kiedy powoli wykręcał i cofał ciężarówkę na krótkim dystansie, dzielącym zaplecze i parking, większość bywalców baru, którzy przyszli na finał, udała się już do domów. Nie minęło jeszcze wpół do dziesiątej, ale Otto dzielił parking już tylko z czterema czy pięcioma autami. Sądził, że ich właściciele zrobili to samo, co on, a mianowicie wezwali radio-taxi. Niestety, pozostali pijacy odjechali własnymi samochodami.

Wtedy przypomniał sobie, że nie zadzwonił jeszcze po taryfę. Numer, który zapisał mu barman, był początkowo zajęty. (W niedzielę finału Super Bowl w Green Bay mnóstwo klientów telefonowało po taksówki, żeby wrócić do domów). Kiedy wreszcie zadzwonił się do firmy, dyspozytor uprzedził, że trzeba będzie czekać co najmniej pół godziny.

- Być może do czterdziestu pięciu minut.

Mówił, jak jest, był bowiem uczciwym człowiekiem.

Otto nie przejął się tą informacją. Na dworze panował łagodny jak na styczeń mróz, a dmuchawa ogrzała także trochę wnętrze kabiny. I chociaż wkrótce znów miał zapanować w niej chłód, czym była nieznacznie ujemna temperatura i lekko prószący śnieg dla faceta, który wyłopał osiem czy dziewięć piw w niecałe cztery godziny?

Zadzwonił do żony i domyślił się, że ją obudził. Obejrzała czwartą kwartę meczu, a potem, ponieważ było jej smutno i czuła się fatalnie, znów położyła się spać.

- Ja też nie byłem w stanie oglądać tych pomeczowych komentarzy - przyznał Otto.

- Moja biedna dziecino - powiedziała jego żona.

Zwracali się tak do siebie, kiedy chcieli dodać sobie otuchy, ale ostatnio, w związku z nieskutecznymi staraniami pani Clausen, by zajść w ciążę, zastanawiali się nad innymi wyrazami czułości. Niemniej jednak to określenie utkwiło w zamroczonym sercu Ottona niby sztylet.

- Urodzisz dziecko, skarbie - przyrzekł jej nagle Otto, albowiem kochany mąż, chociaż pijany i przybity, nie utracił uczuciowej wrażliwości i rozumiał, że jego strapiona żona wolałaby dostać porannych mdłości niż grypy. To nie jałowy program pomeczowy ani nawet rozdzierająca serce porażka Packersów martwiły ją najbardziej.

Było rzeczą absolutnie zrozumiałą, że we śnie Ottona występowała lekarka pani Clausen, ginekolog położnik. Nie tylko dlatego, że pani Clausen regularnie konsultowała się z nią w kwestii problemów z zajściem w ciążę, lecz także dlatego, że radziła Clausenom, by Otto dał się „przebadac”. (Jak podejrzewał, chodziło prawdopodobnie o test na ilość plemników). Zarówno lekarka, jak i pani Clausen przypuszczały, że to Otto jest przyczyną problemów rozplodowych, żona jednak kochała go tak bardzo, że bała się potwierdzić te domysły. Otto zresztą też - dlatego, jak dotąd, nie dał się „przebadac”.

Zbieżność stanowisk w tej kwestii scementowała Clausenów jeszcze bardziej, ale w milczeniu, które zapadło teraz między nimi, również pojawiło się poczucie solidarności małżeńskiej. Otto nie potrafił przestać wspominać ich pierwszego aktu miłosnego. Nie był to jedynie wyraz jego romantycznej natury, choć należał do mężczyzn głęboko romantycznych. W przypadku Clausenów ich pierwsze zespolecie cielesne stanowiło zarazem oświadczyzny.

Rodzina Ottona dysponowała letnią posiadłością nad jeziorem. W północnej części stanu Wisconsin jest wiele małych jezior, a Clausenowie byli właścicielami czwartej części linii brzegowej jednego z nich. Kiedy pani Clausen pojechała tam po raz pierwszy, tak zwana posiadłość okazała się skupiskiem domków kempingowych, z których największy był domek na przystani. W niewykończonym domku, górującym nad

cumującymi przy przystani łodziami, znalazło się miejsce na zagospodarowanie niewielkiego mieszkanca, a chociaż nad jeziorem nie było elektryczności, w wyposażeniu znalazła się łódówka (a nawet dwie) oraz bojłery gazowe, zapewniające mieszkańcom ciepłą wodę.

Wodę do domku doprowadzano z jeziora. Nie nadawała się do picia, Clausenowie używali jej jednak do kąpieli, a także do spłukiwania dwóch muszli klozetowych. Pompowali wodę za pomocą spalinowego silnika od kosiarki i dysponowali własnym, okazałej pojemności szambem. (Z religijną nabożnością dokładali starań, aby nie zanieczyszczać jeziora).

W któryś weekend, kiedy rodzice Ottona nie mogli przyjechać nad jezioro, ich syn zaprosił do domku swoją przyszłą żonę. Tuż przed zachodem słońca pływali w pobliżu przystani, więc woda z ich kostiumów ściekała do jeziora przez szpary między deskami. Panowała cisza, przerywana jedynie krzykami nurów, a oni siedzieli w całkowitym milczeniu, na tle którego kąpiąca z kostiumów woda przywodziła na myśl nie do końca zakręcony kran. Słońce, które zaszło zaledwie kilka minut wcześniej, przez cały dzień ogrzewało deski pomostu, a Otto i jego przyszła małżonka czuli ich ciepło, kiedy ściągnęły z siebie mokre kostiumy, żeby położyć się razem na suchym ręczniku. Pachniał słońcem, a wysychająca na ich ciałach woda też wydzielala zapach słońca i jeziora.

Nie padło ani jedno: „Kocham cię” albo czy „Wyjdiesz za mnie?”. Chwila, kiedy leżeli w swoich objęciach na ręczniku, na ciepłym pomoście, wtuleni w siebie chłodnymi i ciągle mokrymi ciałami, wymagała silniejszej deklaracji. Wtedy właśnie przyszła pani Clausen po raz pierwszy użyła wobec Ottona owego szczególnego tonu głosu i podniecającego pytania: „Co będziesz teraz robił?”, i wtedy też po raz pierwszy Otto poczuł, że nie ma siły, żeby odpowiedzieć.

- Chcesz mi zrobić dziecko? - zapytała.

Tamtego dnia kochali się po raz pierwszy.

To były jej oświadczyzny, a Otto odpowiedział „tak”, doświadczając erekcji - wzdodu nabrzmiałego krwią tysiąca słów.

Po ślubie wybudował w domku na przystani dwa osobne pokoje, przylegające do wspólnego korytarza. Były wyjątkowo wąskie i długie - „jak kręgielnie”, drażniła się z nim pani Clausen - ale zaprojektowane w taki sposób, żeby lokatorzy obu pomieszczeń widzieli brzeg jeziora. Pierwszy pokój został przeznaczony dla małżonków, a niemal całą jego szerokość zajmowało łóżko stojące na wysokości okna, co zapewniało optymalny widok na jezioro. W drugim pokoju, przeznaczonym dla dziecka, stały dwa łóżka.

Zbierało mu się na płacz, kiedy myślał o tym niezamieszkanym pokoju, górującym nad łagodnie rozkołysanymi łodziami. Dźwięk, którego najbardziej lubił słuchać wieczorem, ledwie dosłyszalny chłopot wody, obmywającej przycumowane łodzie i przystań, gdzie kochali się pierwszy raz, dziś przypominał mu tylko o pustce tamtego nieużytkowanego pomieszczenia.

Zmysłowe doznania schyłku tamtego dnia - mokre kąpielówki, które wtedy zdjął, oraz zapach słońca i jeziora na wilgotnej skórze jego żony - wydawały się teraz unieważniać niespełnione nadzieje. Byli małżeństwem od przeszło dziesięciu lat, ale od dwóch czy trzech nie odwiedzali już domku nad jeziorem. Wspólne życie w Green Bay zabierało im coraz więcej czasu i coraz trudniej było im się wyrwać z miasta - a w każdym razie tak oboje twierdzili. Prawda wyglądała jednak tak, iż coraz trudniej przychodziło im pogodzić się z myślą, że zapach nadbrzeżnych sosen należy do przeszłości.

A dzisiaj Packersi musieli na dobitkę przerznąć z tymi jebanymi Broncosami! - lamentował Otto. Nieszczęśliwy, pijany mężczyzna początkowo nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego rozplakał się w stojącej na parkingu, wychłodzonej ciężarówce do przewozu piwa. Ach, tak, żona nazwała go „biedną dzieciną”, które to określenie działało na niego ostatnio porażająco. Zwłaszcza kiedy wypowiadała je tym swoim niesamowitym głosem... Och, świat jest okrutny! Co ją napadło, żeby powiedzieć coś takiego w chwili, kiedy nie mogło dojść do fizycznego kontaktu między nimi, bo rozmawiali tylko przez telefon? A teraz Otto płakał, doznając zarazem erekcji. W dodatku martwił się, że nie pamięta, jak

i kiedy skończył rozmowę z żoną.

Minęło pół godziny, odkąd powiadomił dyspozytora z firmy taksówkarskiej, żeby kierowca szukał go za barem, na parkingu. („Będę w ciężarówce do transportu piwa... Nie można jej nie zauważyć”). Wyciągnął rękę, by otworzyć schowek pod deską rozdzielczą, gdzie wcisnął ostrożnie komórkę, nie chcąc pognieść nalepek reklamowych i tekturowych podstawek, które tam trzymał. Rozdawał je napastującym go dzieciakom, kiedy rozwoził piwo. Dzieci z osiedla Clausenów nazywały Ottona „Podstawką” albo „Nalepką”, najbardziej pożyły jednak plakatów reklamowych, które woził z tyłu, na platformie, razem z piwem.

Nie widział nic złego w tym, że chłopcy zdobili ściany swoich sypialni plakatami reklamującymi piwo, choć byli zdecydowanie za młodzi, by pić. Poczulby się urażony do żywego, gdyby ktoś go oskarżył, że sprowadza młodych ludzi na złą, wiodącą do alkoholizmu drogę - lubił po prostu sprawiać dzieciom przyjemność, a podstawki, nalepki i plakaty rozdawał z tą samą troską o ich pomyślność i zdrowie, która zabraniała mu prowadzić po pijanemu.

Ale jak udało mu się zasnąć, sięgając do schowka w kabinie? Był na całe szczęście zbyt pijany, by śnić, a w każdym razie tak mu się wydawało, w rzeczywistości śnił jednak, tyle tylko, że wskutek upojenia nie zdawał sobie z tego sprawy. Poza tym ten sen był całkowicie oryginalny - zbyt oryginalny, by mógł go rozpoznać jako sen.

Poczul, że prawym ramieniem obejmuje ciepły, śliski od potu kark żony. Całował ją, wsuwając język głęboko w jej usta, a lewą ręką (Otto był mańkutem) dotykając nieustannie. Była bardzo wilgotna między nogami i unosiła podbrzusze, przywierając do napiętka jego dłoni. Palce Ottona muskały ją szalenie delikatnie, bo starał się, jak mógł, by jego pieszczoty były ledwie wyczuwalne. (Żona nauczyła go, jak powinien to robić).

Nagle, we śnie, o którym nie wiedział, że jest snem, pani Clausen chwyciła lewą dłoń męża, podniosła ją do ust i zaczęła ssać jego palce, obejmując je wargami, które Otto cały czas całował. Oboje poczuli smak

jej genitaliów, a wtedy Otto położył się na pani Clausen i wszedł w nią. Podtrzymał głowę żony wtuloną w jego szyję, czując wciąż bliski zapach palców swojej lewej dłoni, wplątanych w jej włosy. Na łóżku, na wysokości lewego barku pani Clausen, widać było prawą rękę Ottona, zaciskającą się na prześcieradle. Otto jednak nie rozpoznał ręki - bo była obca! W porównaniu z jego dłońmi była zbyt mała i drobnokoścista, by nie powiedzieć: krucha. Lewa ręka natomiast należała do niego - co do tego nie miał wątpliwości.

Potem zobaczył leżącą pod nim żonę - ale z oddali. Bo pani Clausen nie leżała pod Ottonem: nogi tego mężczyzny były za długie, a ramiona zbyt wąskie. Otto rozpoznał z profilu twarz faceta od lwów - jego żonę posuwał bowiem Patrick Wallingford!

Ocknął się kilka sekund później, w rzeczywistości nie więcej niż dwie minuty od momentu utraty świadomości. Leżał zgięty wpół na prawym boku, w poprzek skrzyni biegów, której drążek uwierał go w żebra. Głowę wspartą miał na prawym ramieniu, a nos wciśnięty w wychłodzony fotel pasażera. Co do erekcji, bo sen oczywiście pobudził go erotycznie, to lewą ręką mocno ścisnął wzwiedzionego członka. Na parkingu! - pomyślał zawstydzony. Szybko wciągnął koszulę w spodnie i zapiął pasek.

Wpatrywał się uważnie w otwarty schowek. Jego oczom ukazał się najpierw telefon komórkowy, a potem, w głębi, w kącie z prawej strony, zadarty nochal rewolweru Smith&Wesson, kaliber trzydzieści osiem. Broń była załadowana i skierowana lufą mniej więcej w okolice przedniej prawej opony ciężarówki.

Otto zapewne dźwignął się na łokciu albo znajdował się już w pozycji siedzącej, kiedy usłyszał, że do ciężarówki włamuje się od tyłu kilku nastolatków. Były to jeszcze dzieci, choć nieco starsze niż chłopcy z osiedla, którym Otto Clausen rozdawał podstawki, nalepki i plakaty - a w dodatku owi młodzieńcy szykowali się do popełnienia przestępstwa. Jeden zajął pozycję przy wejściu do baru, więc jeśli jakiś gość (którym mogła być również kobieta) wyszedłby na parking, stojący na czatach chłopak zdołałby ostrzec swoich dwóch towarzyszy, włamujących się do ciężarówki.

Otto Clausen nie woził naładowanego rewolweru w schowku pod deską rozdzielczą dlatego, że był kierowcą ciężarówki do transportu piwa, a ciężarówki z piwem często okradano. Nie śniłoby mu się nawet, żeby zastrzelić człowieka, nawet broniąc piwa. Ale Otto, jak wielu zacnych mieszkańców stanu Wisconsin, był amatorem broni palnej i generalnie lubił broń. Polował między innymi na jelenie i kaczki. Używał nawet łuku i strzał, gdy rozpoczynał się okres łuczniczych polowań na jelenie, i chociaż żadnego rogacza nie uśmiercił z łuku, niejednego ustrzelił ze sztucera, w większości w okolicy domku nad jeziorem.

Był także wędkarzem i w ogóle zwolennikiem wszelkich form rekreacji na świeżym powietrzu. A chociaż nabity rewolwer trzymał w schowku wbrew prawu, żaden kierowca ciężarówki do przewozu piwa nie uczyniłby mu z tego zarzutu - browar natomiast, który zatrudnił Ottona, najprawdopodobniej przyklasnąłby jego odwadze, przynajmniej nieoficjalnie.

Musiał wyciągnąć rewolwer ze schowka prawą ręką - zza kierownicy nie dosięgnął by go lewą - a będąc mańkutem, niemal na pewno przełożyłby broń z prawej ręki do lewej, zanim zdecydowałby się działać w obliczu trwającego już włamania.

Był wciąż bardzo pijany i być może mroźny chłód rewolweru sprawił, że broń wydała mu się obca w dotyku. Poza tym został wyrwany ze snu, niepokojącego niczym wcielenie śmierci - jego żona kochała się przecież z panem katastrofiarą, który dotykał jej lewą dłonią Ottona! Nigdy się nie dowiemy, czy Otto odwiódł kurek rewolweru prawą ręką, zanim spróbował przełożyć go do lewej, czy też niechcący odbezpieczył broń, wyciągając ją ze schowka.

Wiadomo tylko tyle, że rewolwer wypalił, a kula przebiła gardło Ottona o cal poniżej podbródka. Nie zmieniając trajektorii, przeszła głowę szlachetnego kierowcy i opuściła ją przez sklepienie czaszki, rozsiewając wokół plamki krwi, okruchy kości i strzępy tkanki mózgowej, która na ułamek sekundy oślepiła małżonka pani Clausen, a której ślady znaleziono później na tapicerce pod sufitem kabiny, bo kula przebiła dach.

Otto zginął na miejscu.

Huk przeraził młodocianych złodziei do imentu. Wychodzący akurat z baru gość usłyszał strzał, błagających o litość, wystraszonych chłopaków i stukot łomu, który porzucili na parkingu, czmychając w ciemną noc. Szybko zatrzymała ich policja, a chłopcy przyznali się do włamania, opowiadając szczegółowo o wszystkim, co przydarzyło im się w życiu do momentu ogłuszającego wystrzału. Nie wiedzieli, skąd padł strzał ani że ktoś został postrzelony.

W chwili, kiedy zaniepokojony świadek wrócił do baru, a barman telefonował na policję z informacją, że słychać było strzał i przypadkowy przechodzień widział uciekających chłopców, na parking wjechała takśówka. Kierowca od razu zauważył ciężarówkę. Podszedł do wozu, zastukał w szybę szoferki, otworzył drzwi i ujrzał wspartego bezwładnie o kierownicę Ottona Clausena. Rewolwer leżał na kolanach denata.

Jeszcze zanim powiadomiono o wypadku panią Clausen, która smacznie spała, kiedy zadzwonił telefon, policjanci byli niemal w pełni przekonani, że śmierć Ottona nie nastąpiła wskutek samobójstwa, a w każdym razie nie wskutek „samobójstwa z premedytacją”, jak to się mówi w policyjnym żargonie. Ich zdaniem, było jasne, że kierowca nie zamierzał odebrać sobie życia.

- To nie w jego stylu - oświadczył barman.

Prawda, nie miał zielonego pojęcia, że Otto Clausen od ponad dziesięciu lat bezskutecznie próbował zapłodnić żonę, i nawet mu się nie śniło, że pani Clausen chciała, by Otto oddał swoją lewą dłoń facetowi od lwów, Patrickowi Wallingfordowi. Był jednak pewien, że Otto nie zabiłby się z powodu porażki Packersów w finale Super Bowl.

Trudno zgadnąć, w jaki sposób pani Clausen zdołała opanować się na tyle, by zatelefonować do Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka & Spółki jeszcze tamtej finałowej nocy. W każdym razie telefonistka od razu przekazała wiadomość doktorowi Zajacowi, który przypadkiem był akurat w domu.

Zajac kibicował Broncosom. To znaczy, ściśle biorąc, był kibicem zespołu Patriots z Nowej Anglii, niech Bóg ma go w swojej opiece, ale

podczas finału kibicował Broncosom, drużyna z Denver występowała bowiem w tej samej konferencji, co zespół z Nowej Anglii. Prawdę mówiąc, kiedy zadzwoniła telefonistka, Zajac próbował wytłumaczyć się przed swoim sześciolatkiem synem z pokrętej logiki, która kazała mu pragnąć zwycięstwa Broncosów. Zdaniem Rudy'ego, jeżeli Patriotsowie nie grali w finale, a nie grali, było zupełnie obojętne, kto wygra.

W trakcie meczu raczyli się zdrową przekąską w postaci schłodzonych łydąg selera naciowego i pokrojonej w słupki marchwi, które maczali w maśle orzechowym. Pomysł „sztuczki z masłem orzechowym” podsunęła Zajacowi Irma, by skłonić Rudy'ego do częstszego jedzenia surowych warzyw. Zajac usiłował właśnie zakarbować sobie w pamięci, że powinien podziękować dziewczynie za tę sugestię, kiedy zadzwonił telefon.

Brzęczyk wypłoszył siedzącą w kuchni Medeę, która chwilę wcześniej zeżarła rolkę taśmy izolacyjnej. Nie miała jeszcze mdłości, tylko wyrzuty sumienia, telefon zaś najwidoczniej upewnił ją, że została przyłapana na gorącym uczynku - choć o tym, że zżarła taśmę, Rudy i jego ojciec dowiedzieli się dopiero, kiedy szli już spać, bo wtedy suka zarzygała chłopcu całe łóżko.

Taśmę izolacyjną zostawił w domu monter, który zainstalował Zajacowi najnowszy krzyk techniki o wdzięcznej nazwie Psi Nadzór. Była to podziemna blokada elektryczna, dzięki której Medea nie mogła sama opuszczać dziedzińca przed domem. Dzięki niewidzialnej zaporze elektrycznej Zajac, Rudy i Irma nie musieli ciągle pilnować psa, ale ponieważ nikt jej nie pilnował, Medea znalazła i zjadła taśmę izolacyjną.

Dostała nową obrozę, z dwoma skierowanymi do wewnątrz metalowymi bolcami, które wciskały się jej w gardło. (W obroży zamontowana była bateria). Kiedy pies wybiegał poza obręb niewidzialnej bariery, bolce raziły zwierzę silnym elektrowstrząsem. Medea otrzymywała najpierw ostrzeżenie, ilekroć bowiem podchodziła zbyt blisko niewidzialnego płotu, obroża wydawała ostrzegawczy dźwięk.

- Co to za dźwięk? - zapytał Rudy.

- Ludzie go nie słyszą. Tylko psy - wyjaśnił doktor Zajac.
- A jaki jest ten wstrząs?
- Och, to nic wielkiego. Medea prawie nie czuje bólu - skłamał chirurg.
- A mnie by zabolalo, gdybym wlozył obrozę i wybiegl za dziedziniec?
- Nie wolno ci tego robic, Rudy! Rozumiesz? - zapytal doktor Zajac, jak zwykle nieco zbyt agresywnie.
- Czyli to boli - odpowiedzial chłopiec.
- Psa nie - upieral się Zajac.
- A ty probowales nosic taką obrozę?
- Rudy, obroze nie są dla ludzi, tylko dla psów!

Potem rozmowa zesła na finał Super Bowl i powody, dla których Zajac życzył zwycięstwa klubowi z Denver.

Kiedy zadzwonił telefon, Medea czmychnęła pod stół, ale wiadomość, jaką przekazała Zajacowi telefonistka („Dzwoniła pani Clausen z Wisconsin”), kazała mu zapomnieć o głupim psie. Rozgorączkowany chirurg natychmiast oddzwonił do wdowy, a chociaż pani Clausen nie wiedziała, w jakim stanie znajduje się ręka dawcy, opanowanie rozmówcy ni zrobiło na doktorze duże wrażenie.

Pani Clausen nie była już równie spokojna w rozmowie z policjantami z Green Bay i lekarzem. Choć chyba rozumiała, w jakich okolicznościach doszło do „najprawdopodobniej przypadkowej śmierci wskutek strzału z rewolweru”, na jej zapłakanej twarzy niemal natychmiast zagościł wyraz niepewności.

- Więc on naprawdę nie żyje? - zapytała z dziwną, jakby futurystyczną miną, jakiej nie widzieli dotąd ani policjanci, ani lekarz. Upewniwszy się, że mąż „naprawdę nie żyje”, pani Clausen po krótkiej chwili zadała następne pytanie. - A w jakim stanie jest lewa ręka Ottona?

Rozdział szósty

Zobowiązania

Zarówno w „Green Bay Press-Gazette”, jak i w „The Green Bay News-Chronicle” pomeczowa śmierć Ottona Clausena, którą sam sobie zadał, została zepchnięta na trywialny koniec omówień przebiegu finału Super Bowl. Pewien sprawozdawca sportowy z Wisconsin okazał się na tyle niedelikatny, by zauważyć: „Po niedzielnym finale zapewne niejeden kibic Packersow zastanawiał się, czy nie palnąć sobie w łeb, ale niejaki Otto Clausen z Green Bay naprawdę pociągnął za spust”. Mimo to nawet najbardziej nietaktowne i grubiańskie komentarze na temat śmierci Ottona nie nadawały jej miana samobójstwa.

Patrick Wallingford po raz pierwszy usłyszał nazwisko Clausena w pokoju hotelowym w Mexico City. Oglądał półtoraminutowy reportaż o jego śmierci na swoim kanale o zasięgu międzynarodowym i zastanawiał się mgliście, dlaczego ten kutas Dick nie kazał mu zrobić wywiadu z wdową po Clausenie - bo zwykle właśnie jemu przydzielano tego rodzaju wypadki.

Ale całodobowa stacja informacyjna posłała na tę obsługę Stubby'ego Farrella, starego wyjadacza sportowego, który pojechał na finał do San Diego. Stubby był w Green Bay wielokrotnie, a Patrick nie widział finału Super Bowl ani razu, nawet w telewizji.

W tamten poniedziałkowy poranek oglądał wiadomości w biegu, ponieważ śpieszył się na samolot do Nowego Jorku, nie zwrócił więc niemal uwagi, że kierowca piwnej ciężarówki zostawił po sobie wdowę.

- Pani Clausen była jednak dla nas nieosiągalna - do nosił wiekowy rutyniarz dziennikarski.

Pośpiesznie przelitykując kawę, Patrick myślał, że Dick mógłby kazać jemu skontaktować się z wdową, jego umysł zarejestrował jednak dziesięciosekundowe ujęcie ciężarówki na prawie pustym parkingu. Prószyący śnieg pokrywał porzucony pojazd zwiewnym całunem.

- Tu właśnie dokonał żywota rzeczony kibic Packersów - oświadczył śpiewnie Stubby.

Niesmaczne, pomyślał Patrick Wallingford. (Pomimo tego gastro-nomicznego skojarzenia nie wiedział wtedy jeszcze, jaki związek istnieje między drużyną z Green Bay a serowarstwem).

Był jedną nogą za drzwiami, kiedy zadzwonił telefon. Mało brakowało, żeby go nie odebrał, bo bał się, że nie zdąży na samolot. Dzwonił doktor Zajac z Massachusetts.

- To pana szczęśliwy dzień, panie Wallingford - zaczął chirurg.

Czekając na przesiadkę do Bostonu, Wallingford oglądał swój własny materiał na całodobowym kanale informacyjnym. Był ciekaw, co zostało z reportażu, który kazano mu zrobić w Mexico City - albowiem w niedzielę finału Super Bowl nie wszyscy Meksykanie oglądali mecz.

Na przykład rodzina i przyjaciele sławnego połkacza mieczy nazwiskiem Jose Guerrero zgromadzili się w szpitalu pod wezwaniem Marii Magdaleny, żeby modlić się o jego powrót do zdrowia. Guerrero podczas występu w hotelu turystycznym w Acapulco potknął się na scenie i upadł, kalecząc sobie wątrobę. Jako że klute rany wątroby krwawią bardzo powoli, podjęto ryzyko przewiezienia rannego samolotem z Acapulco do Mexico City, gdzie połkacz mieczy trafił w ręce specjalisty. W małym, prywatnym szpitaliku zgromadziła się ponad setka przyjaciół i członków rodziny, budynek otoczyło zaś kilkaset innych życzliwych rannemu osób.

Wallingford czuł się tak, jak gdyby przeprowadził wywiad z nimi wszystkimi. Teraz jednak, w drodze do Bostonu na spotkanie swojej lewej dłoni, ucieszył się, że jego trzyminutowy materiał został skrócony

równy o połowę, i czekał z niecierpliwością na powtórkę reportażu Stubby'ego Farrella, który zamierzał tym razem obejrzeć uważniej.

Doktor Zajac powiedział, że Otto Clausen był mańkutem, ale jakie to właściwie miało znaczenie? Wallingford był przecież praworęczny. Do dnia wypadku z lwem trzymał zwykle mikrofon w lewej ręce, a prawą podawał na przywitanie rozmówcom. Kiedy została mu tylko jedna dłoń, w zasadzie przestał się witać przez uścisk ręki.

Czy coś się stanie, jeżeli praworęcznemu człowiekowi przeszczepi się rękę mańkuta? Czy leworęczność Clausena nie była po prostu funkcją jego mózgu? Skłonność do leworęczności z pewnością nie tkwi w ręce. Patrick wymyślał mnóstwo podobnych pytań, które chciał postawić doktorowi Zajacowi.

Przez telefon lekarz powiedział tylko, że na skutek „szybkiej interwencji pani Clausen” służby medyczne w Wisconsin podjęły natychmiastowe działania w celu odpowiedniego przechowania dłoni. Zajac mówił niewyraźnie, co zazwyczaj mu się nie zdarzało, ale prawie całą noc zajmował się wymiotującym psem, potem zaś, z nadgorliwą pomocą Rudy'ego, usiłował zbadać tajemniczą substancję, którą zwróciła Medea. Rudy był zdania, że częściowo strawiona taśma to szczątki mewy. Zajac z kolei uważał, że jeśli Rudy ma rację, to ptak zdechł dawno temu i był już w stanie kleistego rozkładu, kiedy został zjedzony. Analitycznym umysłem ojca i syna nie udało się jednak ostatecznie zgłębić tego problemu, toteż Zajac dowiedział się, co zjadła Medea, dopiero w poniedziałek rano, gdy zatelefonował monter Psiego Nadzoru. Chciał się dowiedzieć, jak działa niewidzialna bariera, i przeprosić za to, że zostawił na podwórzu rolkę taśmy.

- Był pan w piątek moim ostatnim klientem, czyli musiałem zostawić taśmę u pana - powiedział monter, jak gdyby był detektywem. - Ale pewnie się pan na nią nie natknął.

- W pewnym sensie, owszem, znaleźliśmy ją. - Doktor Zajac nie zdobył się na nic więcej.

Nie doszedł jeszcze całkiem do siebie, tego ranka zobaczył bowiem nagą Irnę, która chwilę wcześniej wyszła spod prysznica. Siedziała goła

w kuchni, wycierając sobie włosy ręcznikiem. Wróciła po weekendzie wcześniej rano w poniedziałek, poszła pobiegać, a potem wzięła prysznic. Nie krępowała się, ponieważ sądziła, że oprócz niej nikogo nie ma w domu - nie należy jednak zapominać, że tak czy owak chciała, by Zajac zobaczył ją nago.

Zazwyczaj w poniedziałek o tej porze doktor Zajac odwoził Rudy'ego do matki, żeby Hildred zdążyła odprowadzić chłopca do szkoły. Jednak Zajac i Rudy zaspali, bo prawie przez całą noc musieli się opiekować Medeą. Dopiero kiedy zadzwoniła była żona Zajaca, oskarżając go o porwanie syna, chirurg chwiejnym krokiem wtoczył się do kuchni, żeby zaparzyć kawę, a Hildred wrzeszczała dalej, nawet kiedy Zajac oddał słuchawkę Rudy'emu.

Irma nie zauważyła Zajaca, on jednak widział ją w całej okazałości, jeśli nie liczyć głowy przesłoniętej niemal w całości ręcznikiem, którym suszyła włosy. Wspaniale rozwinięte mięśnie brzucha! - pomyślał lekarz, wycofując się z kuchni.

Później okazało się, że nie jest w stanie swobodnie rozmawiać z Irną. Jąkając się, próbował jej podziękować za pomysł z masłem orzechowym, ale Irma nie rozumiała, o co mu chodzi. (I nie spotkała tego dnia Rudy'ego). A kiedy Zajac odwoził chłopca do rozeźlonej matki, zauważył, że między nim a synem pojawił się znamienny duch męskiej solidarności, matka Rudy'ego skrzyzczała bowiem ich obu.

Zajac był w euforii, kiedy telefonował do bawiącego w Meksyku Wallingforda, i to nie tylko dlatego, że ucieszyło go nieoczekiwane pozyskanie lewej dłoni Ottona Clausena, lecz i dlatego, że spędził cudowny weekend ze swoim synem. Widok nagiej Irny również nie okazał się nieefektywny, choć Zajac, jak to Zajac, przede wszystkim zwrócił uwagę na jej mięśnie brzucha. Ale czy tylko one sprawiły, że zaczął się jąkać? W każdym razie właśnie z powyższych powodów stojący u progu sławy chirurg zdołał przekazać Patrickowi przez telefon jedynie wiadomość o „szybkiej interwencji pani Clausen” i inne, czysto formalne informacje.

Nie powiedział natomiast ani słowa, że wdowa po Ottonie Clausenie wykazywała niesłychaną gorliwość w sprawie przekazania ręki dawcy do

przeszczepu. Nie tylko towarzyszyła zwłokom męża w podróży z Green Bay do Milwaukee, gdzie Clausenowi amputowano lewą dłoń i większość organów wewnętrznych, ale uparła się także, że poleci razem z obłożoną lodem ręką z Milwaukee do Bostonu.

Wallingford nie miał, oczywiście, najmniejszego pojęcia, że w Bostonie czeka na niego nie tylko nowa ręka, lecz także wdowa po jej poprzednim właścicielu.

Doktorowi Zajacowi i pozostałym członkom bostońskiego zespołu chirurgicznego więcej kłopotów sprawiła jednak jeszcze bardziej niezwykła, choć nie mniej impulsywna prośba pani Clausen. Otóż ostateczne przekazanie ręki dawcy miało nastąpić jednak pod pewnymi warunkami, z którymi doktor Zajac zapoznawał się dopiero teraz. Zapewne postąpił mądrze, nie mówiąc Patrickowi o nowych żądaniach wdowy.

Wszyscy od Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka & Spółki żywili nadzieję, że Wallingford życzliwie ustosunkuje się do pomysłów pani Clausen, które na pozór przysły jej do głowy dopiero w ostatniej chwili. Będąc osobą lubiącą najwyraźniej wykladać kawę na ławę, poprosiła prosto z mostu o prawo do wizytowania przeszczepionej dłoni po operacji.

Czy jednoręki reporter mógł odmówić tej prośbie?

- Przypuszczam, że będzie chciała tylko ją zobaczyć - powiedział doktor Zajac Wallingfordowi w swoim bostońskim gabinecie.

- Zobaczyć? - zapytał Patrick, po czym na chwilę zapadła niezręczna cisza. - Ale chyba nie dotykać? Mam nadzieję, że nie przyjdzie jej ochota trzymać mnie za rękę albo coś w tym rodzaju.

- Nikomu nie będzie wolno dotykać przeszczepionej dłoni! I to przez dłuższy czas po operacji - zapewnił opiekuńczo doktor Zajac.

- Ale czy chodzi jej tylko o jedną wizytę? Dwie? Czy może zamierza odwiedzać rękę przez cały rok?

Zajac wzruszył ramionami.

- Żąda praw do odwiedzin na czas nieokreślony. Takie są jej warunki.

- Zwariowała? - zapytał Patrick. - Jest załamana, zrozpaczona czy niepczytalna?

- Sam się pan zaraz przekona - powiedział doktor Zajac. - Ona chce pana poznać.

- Przed operacją?

- Tak, teraz. Wysunęła również i takie żądanie. Twierdzi, że musi się upewnić, czy rzeczywiście chce oddać panu tę dłoń.

- Myślałem, że to jej mąż chciał mi oddać rękę! - zawołał Wallingford. - To w końcu jego kończyzna!

- Niech pan posłucha... Mogę powiedzieć tylko tyle, że w tym wypadku to wdowa dyktuje warunki - poinformował doktor Zajac. - Użerał się pan kiedyś z etyką medycznym? (Pani Clausen zdążyła także skonsultować się z etyką).

- Ale dlaczego ona chce mnie poznać? - dopytywał się Patrick. - Zanim dostanę tę rękę?

Zajac przypuszczał, że ten pomysł, nie wspominając już o żądaniu prawa do odwiedzin, mógł podsunąć pani Clausen tylko etykę medyczną. Nie ufał im - był zdania, że powinni trzymać się z dala od chirurgii eksperymentalnej. Wtrącali się do wszystkiego, dokładając bezprzykładowych starań, by nadać chirurgii „bardziej ludzki” charakter.

Marudzili, że ręce nie są człowiekowi niezbędne do życia, a leki immunosupresyjne, które biorca musi zażywać bezterminowo, wywołują rozmaite groźne skutki' uboczne. Utrzymywali również, że transplantacji w pierwszej kolejności należy poddawać pacjentów, którzy utracili obie dłonie, ostatecznie bowiem ludzie pozbawieni obu rąk mają więcej do zyskania niż ci, którzy postradali tylko jedną.

Z niewiadomych względów etyką życzenia pani Clausen nad wyraz przypadły do gustu - aprobowali nie tylko nieco makabryczne prawo do odwiedzin ręki, ale i prośbę o spotkanie z Patrickiem przed operacją, w ten bowiem sposób wdowa zyskałaby pewność, czy Wallingford jest odpowiednim biorcą, zanim ona definitywnie zgodzi się na przeszczep. (Trudno o „bardziej ludzkie” podejście do sprawy).

- Pani Clausen chce się tylko przekonać, czy jest pan... sympatyczny - tłumaczył dalej Zajac.

Był to kolejny despekt, który Patrick odebrał jako obelgę i wyzwanie. Czuł się obrażony i wywołany do tablicy jednocześnie. Czy jest sympatyczny? Tego nie wiedział. Miał nadzieję, że tak, ale ilu ludzi mogłoby o sobie uczciwie powiedzieć coś takiego?

Doktor Zajac, na przykład, zdawał sobie sprawę, że szczególnie sympatyczny nie jest, ale z ostrożnym optymizmem myślał, że Rudy go kocha. Specjalista w dziedzinie chirurgii dłoni kochał z kolei Rudy'ego, to oczywiste, nie miał jednak złudzeń co do swojej osoby, bo zwykle nie był miły dla otoczenia, jeśli nie liczyć syna.

Przeszył go krótki, ostry ból na wspomnienie przelotnego widoku mięśni brzucha Army. Ta dziewczyna musi całymi dniami ćwiczyć „brzuszek”!

- Zostawię pana teraz samego z panią Clausen - powiedział doktor Zajac, w nietypowym dla siebie geście kładąc Patrickowi rękę na ramieniu.

- Mam z nią zostać sam? - zapytał Wallingford. Chciał zyskać na czasie, żeby przygotować się na spotkanie i przetestować rozmaite sympatyczne miny. Po chwili wyobraził sobie jednak dłoń Ottona - kto wie, być może Patrick ustąpił pod jej wpływem.

- Zgoda, zgoda, zgoda - powtórzył trzykrotnie.

Doktor Zajac i pani Clausen zamienili się miejscami w gabinecie, jak gdyby wykonywali układ choreograficzny. Kiedy Wallingford powiedział „zgoda” po raz trzeci, zorientował się, że siedzi już w towarzystwie owdowiałej niedawno kobiety. Na jej widok przeszył go niespodziewany dreszcz - wspominał później, że doznał uczucia przypominającego kąpiel w chłodnym jeziorze.

Nie zapominajmy, że pani Clausen miała grypę. Kiedy wieczorem w dniu finału zwlokła się z łóżka, trawiła ją gorączka. Włożyła czystą bieliznę, leżącą na krześle przy łóżku džinsy i spraną zieloną bluzę ze złocnym nadrukiem w barwach zespołu Green Bay. Tak była ubrana, kiedy dopadła ją choroba. Potem włożyła na wierzch starą, ciepłą kurtkę z kapturem.

Nosiła ten spłowiwały ciuch z logo Green Bay Packers, odkąd zaczęła jeździć z Ottonem do letniej posiadłości Clausenów. Kolor starej bluzy przybierały o zachodzie słońca jodły i sosny, porastające drugi brzeg jeziora. Czasami w sypialni domku na przystani używała bluzy zamiast poszwy na poduszkę, ponieważ prac można było tylko w jeziorze.

Także i teraz, kiedy wkroczyła do gabinetu Zajaca, krzyżując ramiona na piersi, jak gdyby było jej zimno albo jakby chciała ukryć przed Wallingfordem zarys swojego biustu, pani Clausen poczuła roztaczający się wokół zapach sosnowych igieł i odniosła wrażenie, że Otto jest obok niej.

Ciekawe, że ani Patrick, ani pani Clausen nie zwracali uwagi na przypominające galerię ściany gabinetu chirurga, obwieszone fotografiami jego sławnych pacjentów. Oboje byli zbyt zajęci sobą, choć początkowo nie nawiązali kontaktu wzrokowego.

Pani Clausen jeszcze w Wisconsin przemoczyła w śniegu adidasy, które Wallingfordowi wciąż wydawały się mokre. Być może dlatego wpatrywał się w jej stopy.

Zdjęła kurtkę i usiadła na krześle obok niego. Wallingford pomyślał, że wdowa zwraca się do jego jedynej dłoni.

- Otto bardzo panu współczuł z powodu... tej drugiej ręki - zaczęła, nie spuszczać wzroku ze zdrowej dłoni Patricka.

Wallingford słuchał jej ze skrytym niedowierzaniem doświadczonego dziennikarza, który zazwyczaj wie, kiedy rozmówca kłamie - a pani Clausen kłamała.

- Ja, prawdę mówiąc, próbowałam o tym nie myśleć - ciągnęła wdowa. - A kiedy pokazywali w telewizji lwy pożerające pańską dłoń, nie mogłam spokojnie patrzeć. Do dzisiaj robi mi się niedobrze na samo wspomnienie całej tej historii.

- Mnie też - odpowiedział Wallingford, uznawszy, że teraz wdowa powiedziała prawdę.

Trudno powiedzieć cokolwiek o wyglądzie kobiety ubranej w luźną sportową bluzę, ale pani Clausen wydała mu się osobą krępej budowy. Jej ciemnokasztanowe włosy nie były świeżo umyte, Patrick wyczuł jednak,

że, ogólnie rzecz biorąc, jest kobietą czystą i zadbaną.

Światło sufitowych jarzeniówek nie było łaskawe dla jej twarzy. Nie miała makijażu, nie uszmkowała nawet ust, a jej dolna warga była spierzchnięta i poraniona, zapewne dlatego, że ciągle ją przygryzała. Sińce pod brązowymi oczami podkreślały ich mroczny odcień, a kurze stopki w kącikach powiek wskazywały, że pani Clausen jest mniej więcej w wieku Patricka. (Wallingford był tylko o kilka lat młodszy od Ottona Clausena, który nieznacznie przewyższał wiekiem żonę).

- Pewnie uważa mnie pan za wariatkę - powiedziała pani Clausen.

- Ależ nie! Skądże! Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, w jakim pani jest stanie. To znaczy... Wiem tylko, że musi pani być strasznie nieszczęśliwa.

Po prawdzie pani Clausen przypominała mu tak wiele wycieńczonych emocjonalnie kobiet, z którymi przeprowadzał wywiady (ostatnio z żoną połkacza mieczy w Mexico City), że miał wrażenie, jakby ją skądś znał. Zdumiał się jednak, kiedy wdowa skinęła głową i wskazała okolice jego krocza.

- Mogę zobaczyć? - zapytała.

Zapadła niezręczna cisza, a Wallingford wstrzymał oddech.

- Rękę... Tę, która panu została.

Wyciągnął prawą dłoń, jak gdyby niedawno mu ją przeszczepiono. Pani Clausen chciała ją uścisnąć, ale zawahała się, i ręka Patricka zawiązała bezwładnie w powietrzu.

- Trochę za mała - powiedziała wdowa. - Otto miał większe ręce.

Patrick cofnął dłoń, czując się jak człowiek godny pogardy.

- Mój mąż rozplakał się, widząc, w jaki sposób stracił pan lewą dłoń. Płakał rzewnymi łzami!

My, oczywiście, wiemy, że Clausenowi zrobiło się wtedy niedobrze, popłakała się natomiast jego żona, której udało się teraz przekonać Wallingforda, że łzy współczucia jej męża stanowią dla niej nadal źródło zadziwienia.

(Oto ile jest warta kompetencja doświadczonego dziennikarza, pozwalająca rzekomo rozpoznać kłamstwa rozmówcy. Na opowieść pani Clausen o rzekomym wzruszeniu Ottona Wallingford pozwolił się nabrać jak dziecko).

- Widzę, że bardzo kochała pani męża - zauważył Pa trick.

Przygryzła dolną wargę i przytaknęła głową energicznie, a w jej oczach zaczęły zbierać łzy.

- Chcieliśmy mieć dziecko. Bardzo się staraliśmy, ale nic z tego nie wyszło. Nie wiem dlaczego.

Zwiesiła głowę, dotykając niemal piersi podbródkiem, a potem ukryła twarz w kurtce z kapturem i rozszlochała się. Zielona kurtka, chociaż nie spłowiła, przypominała odcieniem bluzę o klubowych barwach Green Bay Packers. Z tyłu, na plecach, zdobiło ją logo drużyny - złoty kask z białą literą G.

- Dla mnie ta ręka na zawsze pozostanie dłonią Ottona - powiedziała pani Clausen niespodziewanie głośno, odkładając kurtkę. Po raz pierwszy podczas tego spotkania spojrzała Patrickowi prosto w twarz. Zrobiła taką minę, jak gdyby nagle zmieniła zdanie i podjęła ostateczną decyzję.

- Ile pan ma lat? - zapytała. Znała Patricka tylko z telewizji, więc może wydawał jej się teraz starszy albo młodszy, niż sądziła.

- Trzydzieści cztery - odpowiedział defensywnie Wallingford.

- Czyli jest pan dokładnie w moim wieku - oznajmiła.

Patrick dostrzegł w jej twarzy ślad leciutkiego uśmiechu, jak gdyby, pomimo rozpaczki albo wskutek niej, naprawdę straciła zmysły.

- Nie będę się panu naprzykrzać... Znaczący, po operacji - ciągnęła pani Clausen. - Ale widzieć jego dłoń... Dotykać jej później... To chyba nie będzie dla pana zbyt wielkim ciężarem, prawda? Jeżeli pan będzie mnie szanował, ja uszanuję pana.

- Ma się rozumieć! - powiedział Patrick, nie domyślając się, do czego zmierza wdowa.

- Ja mimo wszystko chcę mieć dziecko Ottona.

Wallingford nadal nie rozumiał.

- Czy to znaczy, że może być pani w ciąży? - zawołał rozgorączkowany. - Dlaczego nie powiedziała pani tego od razu? To wspaniale! Kiedy będzie pani miała pewność?

Po twarzy pani Clausen znów przemknął cień szalonego uśmiechu. Patrick nie zauważył, że zrzuciła buty. Po chwili rozpięła dżinsy i ściągnęła je razem z figami, zawahała się jednak, zanim zdjęła bluzę.

Wallingforda dodatkowo rozbroiło to, że nigdy nie spotkał kobiety, która rozbierałaby się w taki sposób - to znaczy najpierw od dołu, górną część garderoby zostawiając na koniec. Pomyślał, że pani Clausen jest żenująco niedoświadczona seksualnie. Potem usłyszał jej głos, w którym coś się zmieniło, ale nie było to tylko natężenie. Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że ma erekcję, i to nie dlatego, że pani Clausen stoi przed nim półnaga, lecz wskutek działania jej głosu.

- Drugiej okazji nie będzie - powiedziała. - Jeżeli mam urodzić dziecko Ottona, powinnam już być w ciąży. Po operacji nie byłby pan w stanie tego zrobić. Będzie pan w szpitalu, będzie pan brał miliardy różnych lekarstw, będzie pan cierpiał ból...

- Pani Clausen! - zawołał Wallingford. Wstał raptownie i równie raptownie usiadł. Nie zdawał sobie sprawy, jak potężny ma wzwód, dopóki nie wstał. Jego erekcja była równie oczywista, jak to, co po chwili powiedział:

- Ale to będzie przecież moje dziecko, nie pani męża.

Tymczasem jednak pani Clausen pozbyła się już bluzy.

Chociaż nie zdjęła stanika, Wallingford spostrzegł, że ma ciekawsze piersi, niż sobie wyobrażał. Zauważył w jej pępku jakiś błysk - nie spodziewał się, że wdowa może nosić w takim miejscu kolczyk. Nie przyjrzał mu się jednak zbyt uważnie z obawy, że klejnocik może mieć coś wspólnego z klubem Green Bay Packers.

- Została mi już tylko jego ręka - powiedziała pani Clausen z niezłomną determinacją. Nieustępliwość jej woli można było z łatwością pomylić z požądaniem, ale tym, co działało na Patricka i czemu nie umiał się oprzeć, był jej głos.

Siedział na krześle o prostym oparciu. Pani Clausen przytrzymała go, uklękła, rozpinając Patrickowi pasek od spodni, a potem ściągnęła mu je

jednym ruchem. Kiedy pochylił się, nie chcąc pozwolić, by pozbawiła go slipów, było za późno. Zanim zdołał wstać albo chociaż wyprostować grzbiet, pani Clausen usiadła mu okrakiem na kolanach, ocierając się biustem o jego twarz. Poczynała sobie tak szybko, że nawet nie zauważył, kiedy rozpięła stanik.

- Przecież ja jeszcze nie mam jego ręki! - zaprotestował.

Ale czy Patrick kiedykolwiek umiał odmówić kobiecie?

- Proszę, niech mnie pan szanuje - błagała go szeptem. Ach, co to był za szept!

Poczuł na udach ciepłe, gładkie, drobne i sprężyste pośladki pani Clausen, a przelotny widok tajemniczej błyskotki w pępku wdowy w jeszcze większym stopniu niż uroda jej piersi podziałał na niego tak, że doznał czegoś w rodzaju wzwodu wzwodów. Rosiła mu szyję łzami, wprowadzając w siebie jego członek.

Chwyliła go za rękę i przycisnęła ją do piersi - nie prawą, zdrową dłoń, tylko kikut lewej - mrucząc coś niewyraźnie, co brzmiało jak: „Co właściwie chciałeś teraz robić? Nic równie ważnego, prawda?”. A potem zapytała:

- Nie chce mi pan zrobić dziecka?

- Szanuję panią, pani Clausen - zająknął się Patrick, porzucając nadzieję, że zdoła się jej oprzeć.

Oboje wiedzieli, że już skapitulował.

- Mów mi Doris - powiedziała pani Clausen przez łzy.

- Doris?

- Szanuj mnie, szanuj. To wszystko, o co proszę - szlochała.

- Szanuję, szanuję cię... Doris - odparł Patrick.

Instynktownie namacał ręką kark wdowy, jak gdyby od lat sypiał co noc obok niej i nawet w ciemnościach potrafił znaleźć dokładnie tę część jej ciała, której pragnął dotknąć. Mógłby przysiąc, że miała mokre włosy - mokre i zimne, jakby przed chwilą pływała.

Domyślił się później, że pani Clausen wiedziała, że tego dnia jajeczkuje - kobieta, która od lat próbuje zajść w ciążę, musi niewątpliwie wiedzieć takie rzeczy. Doris Clausen z pewnością zdawała sobie także sprawę, że winę za trudności związane z jej zapłodnieniem ponosił wyłącznie Otto.

- Czy jesteś sympatyczny? - szeptała pani Clausen, której biodra unosiły się nieustępliwie, przewyciężając nacisk jego jedynej ręki. - Czy jesteś dobrym człowiekiem?

Choć ostrzegano Patricka, że będzie chciała to wiedzieć, nie przypuszczał, że zada mu to pytanie wprost, tak jak nie spodziewał się, że dojdzie między nimi do aktu seksualnego. Z czysto erotycznego punktu widzenia seks z Doris Clausen zawierał większy ładunek tęsknoty i pożądania niż wszystkie wcześniejsze doświadczenia płciowe Wallingforda. Nie liczył polucyjnego snu po zażyciu kobaltowo-błękitnej kapsułki, którą dostał w Dżunagadh, ale ten nadzwyczajny środek przeciwbólowy nie był już dostępny na rynku, nawet w Indiach, a poza tym nie wypadało go porównywać z autentycznym seksem.

A w sferze autentycznego, realnego seksu spotkanie Patricka z wdową po Ottonie Clausenie, choć osobliwe i krótkie, usuwało w cień cały weekend w Kioto z Evelyn Arbuthnot. Seks z panią Clausen przyćmił nawet jego burzliwy związek z wysoką blondynką dźwiękowcem, na której oczach lew zaatakował Patricka.

Nieszczęsna Niemka, która wróciła na stałe do rodzinnego Hamburga, wciąż przechodziła terapię psychologiczną z powodu tych lwów, choć Wallingford podejrzewał, że Monika przez „k” doznała większego wstrząsu wskutek omdlenia, a następnie odzyskania przytomności na wozie z surowym mięsem, niż na widok biednego Patricka z odgryzioną ręką i nadgarstkiem.

- Jesteś sympatyczny? Jesteś dobrym człowiekiem? - powtarzała Doris, oblewając łzami jego twarz.

Jej drobne, mocne ciało wysysało Wallingforda coraz głębiej, toteż nie słyszał niemal własnych odpowiedzi, w przeciwieństwie do doktora Zajaca i kilku członków zespołu chirurgicznego, zbierającego się właśnie w poczekalni, których z pewnością dochodziły żalosalne krzyki Patricka.

- Tak! Tak! Jestem sympatyczny! Jestem dobrym człowiekiem! - kwiłił Wallingford.

- Dajesz słowo? - spytała go szeptem Doris. I znowu ten szept - powalający szept!

Wallingford i tym razem odpowiedział tak głośno, że słyszał go doktor Zajac i jego koledzy.

- Tak! Tak! Daję słowo! Naprawdę, tak!

Stukanie do drzwi gabinetu rozległo się nieco później, kiedy w środku zapadła na chwilę cisza.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał szef bostońskiego zespołu chirurgów.

W pierwszej chwili Zajac nie zauważył w ich wyglądzie nic niezwykłego. Patrick Wallingford był ubrany i siedział wciąż na krześle, pani Clausen natomiast, również kompletnie ubrana, leżała na plecach na dywanie gabinetu Zajaca. Palce obu dłoni miała splecione pod głową, a uniesione nogi i stopy wspierała na siedzisku pustego krzesła, sąsiadującego z tym, które zajmował Wallingford.

- Cierpię na kręgosłup - powiedziała Doris.

Oczywiście była to nieprawda. Usiłując zajść w ciążę, przeczytała w swoim czasie wiele poradników, z których kilka zalecało właśnie tę pozycję po stosunku jako ułatwiającą zapłodnienie.

- Prawo ciąży - powiedziała tylko tytułem wyjaśnienia Patrickowi, który uśmiechał się do niej, oczarowany.

Doktor Zajac pomyślał, że oboje zwariowali, bo poczuł unoszący się w pokoju zapach seksu. Etyk medyczny zapewne nie pochwaliby tego, co się stało, Zajac był jednak chirurgiem, a jego zespół aż się palił do roboty.

- Skoro poczuli się państwo tak swobodnie... - powiedział Zajac, przyglądając się najpierw pani Clausen, która wyglądała bardzo swobodnie, a potem Patrickowi, który wyglądał jak naćpany albo pijany w trupa. - To co? Mamy zielone światło?

- Osobiście nie widzę przeciwwskazań! - oświadczyła donośnie Doris Clausen, jak gdyby chciała, żeby usłyszał ją ktoś na drugim brzegu sporego zbiornika wodnego.

- Z mojej strony też wszystko jest w porządku - odpowiedział Patrick. - Więc chyba rzeczywiście mamy zielone światło.

Wysoki poziom satysfakcji seksualnej, malujący się na twarzy Wallingforda, przypomniał Zajacowi pewną historię. Czy podobnego wyrazu

twarży już gdzieś kiedyś nie widział? Ach, tak, był wtedy w Bombaju, gdzie przed widownią, złożoną ze specjalnie wyselekcjonowanych indyjskich chirurgów pediatrów, przeprowadzał na dzieciach serię wyjątkowo skomplikowanych operacji dłoni. Jeden z zabiegów szczególnie utkwił mu w pamięci - pacjentką była trzyletnia dziewczynka, której zmiażdżyła dłoń jakaś maszyna rolnicza.

Kiedy dziewczynka zaczęła się budzić z narkozy, Zajac czuwał przy dziecku w towarzystwie indyjskiego anestezjologa. Dzieciom po narkozie ogólnej jest zazwyczaj zimno, a poza tym budzą się zdezorientowane i wystraszone. Czasami wymiotują.

Pamiętał, że postanowił pod byle pretekstem wyjść z sali, by nie oglądać nieszczęsnej pacjentki. Oczywiście zamierzał sprawdzić, jak się goi rana, ale mógł to zrobić później, kiedy dziewczynka doszłaby trochę do siebie.

- Proszę zaczekać. Musi pan to zobaczyć - powiedział anestezjolog. - Niech pan tylko rzuci na nią okiem.

Niewinna buzia dziecka wyglądała jak twarz zaspokojonej seksualnie kobiety. Doktor Zajac był zaszokowany. (A smutna prawda wyglądała tak, że Zajac osobiście nigdy nie widział twarzy kobiety równie upojonej seksualnie).

- Mój Boże, człowieku... - zwrócił się do indyjskiego anestezjologa. - Co pan jej podał?

- Ach, zaaplikowaliśmy jej dożylnie coś ekstra. I tylko odrobinę - odparł anestezjolog.

- Ale co takiego? Jak się nazywa ten lek?

- Nie wolno mi tego powiedzieć. W pańskim kraju ten specyfik nie jest osiągalny i nigdy nie będzie. U nas też wkrótce nie będzie można go dostać. Ministerstwo zdrowia zamierza go zakazać.

- Mam nadzieję - rzucił Zajac, wychodząc szybkim krokiem z sali.

Dziewczynka nie cierpiała jednak bólu, a kiedy Zajac przyszedł ją później zbadać, zobaczył, że ręka się goi bez zarzutu, a dziecko leży spokojnie i wypoczywa.

- Boli? - zapytał Zajac, którego słowa tłumaczyła pielęgniarka.

- Mówi, że „wszystko dobrze”. Nie czuje bólu - powiedziała pielęgniarka, podczas gdy dziewczynka trąkotała dalej.

- Co mówi teraz? - zapytał doktor Zajac, a pielęgniarka zawstydzila się jakby albo stropiła.

- Wolalabym, żeby lekarze nie stosowali tego środka podczas znieczulenia - odparła pielęgniarka. Wyglądało na to, że dziewczynka relacjonuje jej jakąś długą historię.

- Co ona opowiada? - zapytał znów Zajac.

- Mówi o swoim śnie - odpowiedziała wymijająco pielęgniarka. - Jest przekonana, że zobaczyła we śnie własną przyszłość. Będzie bardzo szczęśliwa i urodzi dużo dzieci. Jak na mój gust, za dużo.

Dziewczynka uśmiechnęła się tylko do Zajaca, a w jej oczach, jak na trzyletnie dziecko, kryło się coś niestosownie uwodzicielskiego.

A teraz, w bostońskim gabinecie doktora, w podobnie bezwstydnym sposób uśmiechał się szeroko Patrick Wallingford.

Przyglądając się otumanionemu seksualnie wyrazowi twarzy Patriczka, Zajac uznał, że to całkowicie idiotyczny zbieg okoliczności.

Tamtą dziewczynkę z Bombaju nazywał „tygrysią pacjentką”, opowiadała bowiem lekarzom i pielęgniarkom, że kiedy jej dłoń utkwiała w trybach maszyny, mechanizm warczał na nią niczym tygrys.

Bez względu na to, czy był to idiotyczny zbieg okoliczności, czy nie, w twarzy Wallingforda kryło się coś, co skłoniło Zajaca do refleksji. „Lwi pacjent”, jak chirurg od dawna nazywał w duchu Patriczka, potrzebował chyba czegoś więcej niż tylko lewej dłoni.

Zajac nie wiedział jednak, że Wallingford znalazł już to, czego potrzebował - znalazł Doris Clausen.

Rozdział siódmy

Rwący ból

Na pierwszej konferencji prasowej po piętnastogodzinnej operacji doktor Zajac oświadczył, że przez pewien czas życie pacjenta „będzie zagrożone”. Na razie Wallingford pozostawał wprawdzie półprzytomny, ale jego ogólny stan po wyjściu z narkozy można było określić jako stabilny. Podawano mu oczywiście „zestawy leków immunosupresyjnych”, choć Zajac nie uznał za stosowne powiedzieć, jak wiele ich jest i jak długo Patrick będzie je brał. (Nie wspomniał też o sterydach).

Kiedy zwróciły się na niego oczy całego kraju, doktor Zajac zaczął wyraźnie tracić panowanie nad sobą. Poza tym, mówiąc słowami jednego z jego kolegów, tego debila Mengerinka, skretyniałego rogacza, Zajac na konferencji przez cały czas „wybałuszał gały jak przysłowiowy szalony naukowiec”.

Przed przystąpieniem do historycznego przeszczepu chirurg biegał przed świtem, jeszcze w ciemnościach, po szarym bloku na brzegach rzeki Charles. Nagle, w upiornej mgle, ku zdumieniu Zajaca wyprzedziła go jakaś młoda kobieta. Przemknęła obok tak szybko, jak gdyby on stał w miejscu. Sprężyste pośladki dziewczyny w elastycznych trykotach, oddalające się stanowczo od Zajaca, zaciskały i rozprężały się jak dłoń, tworząca pięść, by po chwili znowu się otworzyć. Ach, cóż to była za pięść!

Muskularne pośladki należały do Irmy. Zaledwie na kilka godzin przed przyszyciem lewej dłoni Ottona Clausena do kikuta przedramienia

czekającego cierpliwie na przeszczep Patricka Wallingforda, doktor Zajac poczuł ucisk w sercu. Płuca odmówiły mu posłuszeństwa i poczuł w dołku skurcz, który uniemożliwił mu dalszy bieg, jak gdyby uderzyła go, nie przymierzając, ciężarówka do przewozu piwa. Po chwili Irma wróciła do niego sprintem, bo doktor Zajac, zgięty wpół, padł w błoto.

Zaniemówił z bólu, wdzięczności, wstydu, uwielbienia, pożądania - i tak dalej. Irma zaprowadziła go na Brattle Street jak dziecko, które uciekło z domu.

- Jest pan odwodniony. Trzeba uzupełniać płyny w organizmie - skarciła go Irma. Przeczytała kiedyś całe tomy, poświęcone odwodnieniu i rozmaitym „murom”, na które „wpadają” podobno poważni biegacze, a które muszą nauczyć się „przebijać”.

W języku sportów ekstremalnych Irma „pakowała na maksa” - a w charakterze przydawek używała najczęściej wyrażen określających szaleńczy upór w obliczu katorżniczych sprawdzianów wytrzymałości (powiedzmy, na przykład, „wyprułam z siebie flaki”). Ponadto wyznawała biegową teorię wpływu odżywiania na kondycję - dlatego przed biegiem stosowała konwencjonalne węglowodany, lewatywy z żeńszenia, zieloną herbatę i banany, po biegu zaś różne koktajle na bazie soku żurawinowego.

- W domu przyrządzę panu omlet z białek - powiedziała Zajacowi, którego straszliwie bolały kości goleniowe, to też kuśtykał obok jak okulały rumak wyścigowy; nie dodawało to atrakcyjności jego aparycji, którą jeden z kolegów i tak porównał już do powierzchowności zdziczałego psa.

A zatem w najważniejszym dniu swojej kariery zawodowej doktor Zajac zakochał się bez pamięci w gosposi-asystentce, która przeistoczyła się teraz w jego trenerkę. Nie mógł jej jednak wtedy o tym powiedzieć, bo nie miał siły, żeby się odezwać. Dysząc ciężko, w nadziei, że ukoi promieniujący ból w splocie słonecznym, zauważył, że Irma trzyma go za rękę. Miała silny uścisk - paznokcie krótsze niż przeciętny mężczyzna, ale nie poobgryzane. Doktor Zajac przywiązywał dużą wagę do kształtu kobiecych dłoni. Może to zabrzmia głupawo, ale zakochał się w Irmie, bo spodobały mu się jej mięśnie brzucha, pośladki oraz dłonie - licząc w

kolejności od najmniej ważnego do najbardziej istotnego elementu.

- Dzięki pani Rudy jada teraz więcej surowych warzyw - zdołał wydyścić chirurg.

- Masło orzechowe zrobiło swoje - odpowiedziała Irma, która z łatwością podtrzymała Zajaca, wspartego na niej połową ciężaru ciała. Była w takiej ekstazie, że mogłaby go zanieść do domu na rękach. Doktor Zajac wyraził jej uznanie, więc Irma zrozumiała, że wreszcie ją zauważył i po raz pierwszy zobaczył, jaka jest naprawdę.

- Kiedy Rudy przyjedzie następnym razem, może zostałyby pani u mnie na weekend? - zakrzuszył się Zajac. - Chciałbym, żeby poznała pani mojego syna.

To zaproszenie wydało się Irmie równie rozstrzygające, jak dotyk dłoni Zajaca na jej piersi, który przed chwilą sobie wyobraziła. Zachwiała się nagle na nogach, mimo że Zajac nadal nie wspierał się na niej całym ciężarem, ale triumf nadszedł w tak nieoczekiwanym momencie, że zrobiło jej się słabo.

- Lubię dodawać do omletu z białek wiórki marchewkowe i tofu, a pan? - zapytała, kiedy zbliżali się do domu przy Brattle Street.

Medea oddawała właśnie kał na dziedzińcu przed domem. Na widok przybyszów tchórzliwy pies obrzucił swój stolec ukradkowym spojrzeniem, po czym uciekł pędem, jak gdyby chciał powiedzieć:

- Nie cierpię psich kup. Nie mogę na nie patrzeć!

- To bardzo głupi pies - oświadczyła beznamiętnie Irma. - Ale trochę go kocham - dodała.

- Ja też! - wycharczał Zajac z bólem serca. Owym „trochę” Irma podbiła go już całkowicie, chirurg żywił bowiem wobec Medei identyczne uczucia.

Był zbyt podekscytowany, by zjeść omlet z białek z dodatkiem marchewkowych wiórków oraz tofu, choć podjął próbę spożycia tego dania. Nie dopił też mocnego koktajlu, jaki przygotowała mu Irma z soku żurawinowego, zmiksowanego banana, mrożonego jogurtu, protein w proszku i czegoś ziarnistego, niewykluczone, że gruszki. Połowę napoju wylał do ubikacji, gdzie wyrzucił też niezjedzony omlet, po czym wszedł pod prysznic.

Dopiero w kabinie dostrzegł swój wzwód. Było jasne jak słońce, że erekcja świeci pełnym blaskiem imienia Irmy, choć nie doszło między nimi do żadnego kontaktu fizycznego, nie licząc jej asysty podczas powrotu do domu. Czekał go jednak piętnastogodzinny zabieg chirurgiczny, chwila nie była zatem odpowiednia na seks.

Na pooperacyjnej konferencji prasowej wstydzili się za Zajaca nawet najbardziej zawistni koledzy, którzy w głębi duszy życzyli mu porażki. Doktor wyrażał się zbyt autorytatywnie - prorokował bowiem, że bliski jest dzień, kiedy przeszczep dłoni przejdzie do kategorii błahych zabiegów w rodzaju wycięcia migdałków. Zanudzał też dziennikarzy, którzy czekali z niecierpliwością na etyka medycznego, obiekt pogardy wszystkich chirurgów od Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka & Spółki. Jednak jeszcze podczas jego wystąpienia uwagę przedstawicieli mediów przykuła pani Clausen. Czy można mieć o to pretensje do dziennikarzy? To przecież pani Clausen nadawała sprawie „ludzki wymiar”.

Ktoś zaopatrzył ją w czyste i bardziej kobiece ubranie, pozbawione emblematów klubu z Green Bay. Miała umyte włosy i dyskretnie umalowane usta, w świetle telewizyjnych reflektorów wyglądała jednak wyjątkowo niepozornie i skromnie. Nie pozwoliła też charakteryzatorce zatuszować swoich sińców pod oczami, jak gdyby wiedziała, że jedynym trwałym elementem urody jest jej przemijalność. Wyglądała ładnie, ale jej piękno było w pewnym sensie ułomne.

- Jeżeli przeszczep się przyjmie i rękę Ottona uda się uratować, pewnego dnia odzyskam może równowagę ducha - zaczęła swoim łagodnym i dziwnie przyciągającym uwagę głosem, wyrażając się w taki sposób, jak gdyby pacjentem nie był Patrick Wallingford, lecz dłoń jej zmarłego męża. - Rozumiecie państwo... Mając pewność, że fragment ciała mojego męża żyje, istnieje i znajduje się gdzieś, gdzie mogę go oglądać... dotykać... - Tu głos pani Clausen nagle zamarł. To ona, a nie doktor Zajac ani etyk, wzbudziła na konferencji największe zainteresowanie, ale wdowa nie zamierzała na tym poprzestać. To był dopiero początek.

Dziennikarze tłoczyli się wokół niej, a smutek Doris Clausen zalewał prywatne mieszkania, pokoje hotelowe i bary na lotniskach całego świata. Zdawało się, że wdowa nie słyszy pytań, którymi zasypywali ją reporterzy. Dopiero później doktor Zajac i Patrick Wallingford pojęli, że pani Clausen realizowała swój prywatny scenariusz - i to bez pomocy telesuflera.

- Gdybym tylko wiedziała...

Głos znowu uwiązał jej w gardle. Urwała na chwilę, niewątpliwie z pełną premedytacją.

- Gdyby co pani wiedziała? - zawołał jakiś dzienni karz.

- Czy jestem w ciąży - odpowiedziała pani Clausen.

Nawet Zajac wstrzymał oddech, czekając, co powie wdowa.

- Otto i ja bardzo chcieliśmy mieć dziecko. Więc może jestem w ciąży, a może nie. Po prostu jeszcze nie wiem.

W tym momencie prawdopodobnie wszyscy mężczyźni obecni na konferencji doznali wzrodu, nie wyłączając etyka. (Jedynie Zajac nie był pewien źródła swojej erekcji, uważał bowiem, że mogło wywołać ją nie-słabnące wspomnienie Armii). Wszyscy mężczyźni we wzmiankowanych wyżej mieszkaniach, hotelach i barach lotniskowych na całym świecie odczuli działanie podniecającego głosu Doris Clausen. Jak nie ma wątpliwości, że woda z lubością obmywa przystań, a sosny wypuszczają nowe pędy na czubkach gałązek, tak głos pani Clausen bez najmniejszych wątpliwości pobudził erotycznie wszystkich heteroseksualnych mężczyzn, z zapartym tchem oglądających tę konferencję prasową.

Następnego dnia Patrick Wallingford, leżąc na szpitalnym łóżku w towarzystwie wielkiego, obco wyglądającego bandaża, spowijającego szczerze przeszczepioną dłoń, oglądał panią Clausen w telewizji na kanale informacyjnym, którego był pracownikiem. A prawdziwa pani Clausen siedziała w zaborczej pozie przy jego łóżku.

Wpatrywała się w ledwo widoczne czubki palców (wskazującego, środkowego, serdecznego i kciuka) dłoni swojego zmarłego męża. Mały palec lewej ręki Patricka ginał pod bandażem, pod którym tkwiła też

klamra blokująca nadgarstek. Bandaż sięgał daleko, tak że nie było widać miejsca, w którym przszyto mu dłoń, nadgarstek i fragment przedramienia Ottona.

Reportaż z transplantacji, powtarzany co godzina na całodobowym kanale informacyjnym, rozpoczynała przemontowana wersja wypadku z lwem w Indiach. W spreparowanym na nowo materiale scena odgryzienia i pożarcia dłoni Wallingforda trwała najwyżej piętnaście sekund, co powinno uświadomić Patrickowi, że w dalszej części reportażu zostanie mu wyznaczona marginalna rola.

Patrick naiwnie sądził, że operacja zachwyci widzów, którzy wkrótce zaczną nazywać go „facetem od przeszczepu” albo nawet „człowiekiem od przeszczepu”, a owe zrewidowane czy przerobione przydomki zastąpią „faceta od lwów” i „katastrofiarę” jako nowe, trwałe etykiety, definiujące odtąd jego życie. Tymczasem reportaż obejmował jakieś ponure działania niejasnej, choć niewątpliwie chirurgicznej natury, rozgrywające się w bostońskim szpitalu, oraz pojedyncze ujęcie wózka inwalidzkiego Patricka w głębi korytarza. Po chwili jednak wózek zniknął z pola widzenia wraz z Wallingfordem, którego otoczył ciasny krąg siedemnaściora chirurgów, pielęgniarek i anestezjologów z szaleństwem w oczach - czyli bostoński zespół zabiegowy.

Następnie na ekranie pokazał się Zajac, wygłaszający zwięzłe oświadczenie dla prasy. Oczywiście to, co powiedział o mogącym grozić pacjentowi niebezpieczeństwie, zostało wyrwane z kontekstu, można było zatem odnieść wrażenie, że Wallingford znajduje się w śmiertelnych opalach, natomiast uwaga Zajaca na temat mieszanki leków immunosupresyjnych zabrzmiała jawnie wymijająco, zresztą zgodnie z intencjami jej autora. Wprawdzie wspomniane medykamenty zwiększały liczbę udanych transplantacji, ramię składa się jednak z kilku rodzajów tkanek, co oznacza, że organizm może odrzucić przeszczep na kilku poziomach. Wynikała stąd konieczność zastosowania sterydów, które wraz z lekami immunosupresyjnymi Wallingford musiał odtąd zażywać codziennie do końca życia, względnie tak długo, jak długo będzie posiadać rękę Ottona.

W kolejnym ujęciu pokazano opuszczoną ciężarówkę Clausena na zamiejszym parkingu w Green Bay, ale siedząca przy łóżku Patricka pani Clausen nie mrugnęła nawet okiem na ten widok, wpatrując się wciąż w czubki czterech palców ręki Ottona. Przysunęła się tak blisko dłoni byłego męża, jak tylko mogła, i gdyby Wallingford miał czucie w palcach, poczulby, że wdowa na nie dmucha.

Ale palce jego nowej ręki były ściernięte i miały pozostawać w odrętwieniu przez kilka długich miesięcy. Zaniepokoiło to Wallingforda, choć doktor Zajac bagatelizował jego obawy. Dopiero po ośmiu miesiącach nowa dłoń nauczyła się rozróżniać ciepło i zimno, co oznaczało, że rozpoczęła się regeneracja nerwów, a minął niemal rok, zanim Patrick zaufał sile uścisku przeszczepionej ręki i odważył się zasiąść za kierownicą. (Musiał minąć także blisko rok, zanim po długiej rehabilitacji nauczył się sam zawiązywać buty).

Ale z dziennikarskiego punktu widzenia to właśnie tam, w szpitalnym łóżku, Wallingford przejrzał na oczy i pojął, że jego ewentualny powrót do pełnej sprawności fizycznej bądź odrzucenie przeszczepu nie znajdują się nigdy w centrum publicznego zainteresowania.

Całodobowa stacja informacyjna przeznaczyła więcej czasu antenowego na przemówienie etyka niż na wystąpienie doktora Zajaca.

- W takich przypadkach rzadko spotyka się szczerłość i uczciwość, jaką prezentuje pani Clausen, a jej nieustająca ofiarność wobec dłoni dawcy jest wprost nieoceniona - przemawiał śpiewnie etyk.

Co znaczy *w takich przypadkach?* - zastanawiał się zapewne Zajac, piniąc się ze złości poza kadrem. Przecież była to zaledwie druga na świecie transplantacja dłoni, a pierwsza zakończyła się niepowodzeniem!

Etyk wciąż jeszcze przemawiał, kiedy kamery telewizyjne pokazały panią Clausen w zbliżeniu. Wallingford poczuł falę pożądania i tęsknoty. Bał się, że nigdy jej już nie posiadzie, przypuszczał bowiem słusznie, że wdowa nie będzie zachęcać go do intymnych kontaktów. Początkowo przesunęła punkt ciężkości konferencji z przeszczepu na dłoń zmarłego

męża, potem zaś na dziecko, które, jak miała nadzieję, nosiła w łonie. Telewizja pokazała nawet ręce pani Clausen, splecione na jej płaskim brzuchu. Wdowa rozpostarła palce prawej dłoni, którą nakryła lewą, pozbawioną już obrączki ślubnej.

Jako dziennikarz Patrick Wallingford w jednej chwili odgadł, co się stało: Doris Clausen i dziecko, które pragnęła mieć z Ottonem, przyćmili historię przeszczepu. Dobrze wiedział, że tego rodzaju transpozycje zdarzają się czasem w jego nieodpowiedzialnej profesji - choć oczywiście dziennikarstwo telewizyjne nie jest jedynym nieodpowiedzialnym zawodem na świecie.

Wallingford zdumiał się jednak, stwierdziwszy, że właściwie niewiele go to obchodzi. A niech mnie przyćmiewają, pomyślał, uświadamiając sobie jednocześnie, że kocha się w Doris Clausen. (Ciekawe, jak skomentowałby ten fakt informacyjny kanał telewizyjny albo etyk).

Niestety, nieprawdopodobna miłość Patricka do pani Clausen nie mogła raczej liczyć na wzajemność, albowiem szanse, że Doris go kiedyś pokocha, były nad wyraz znikome. Na podstawie swoich wcześniejszych doświadczeń Wallingford wiedział, że z łatwością oczarowuje kobiety, zwłaszcza w początkowej fazie znajomości, wiedział jednak również, że później jego partnerki z równą łatwością godzą się z jego odejściem.

Była żona Patricka porównała go kiedyś do wirusa grypy.

- Kiedy żyłam z tobą, wydawało mi się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, że zaraz umrę - powiedziała Marilyn. - Ale kiedy odszedłeś, poczułam się tak, jakbyś nigdy nie istniał.

- Dziękuję - odpowiedział Wallingford, którego aż do chwili spotkania z Doris w szpitalu wcale nie było tak łatwo zranić, jak sądziła większość kobiet.

Najbardziej wzruszał go w pani Clausen seksualny składnik jej niecodziennej determinacji: pragnienia wdowy nacechowane były erotyzmem we wszystkich kolejnych fazach jej postępowania. A wszystko zaczynało się od niewielkich zmian w tonie głosu, których przedłużeniem była skumulowana energia drobnego, krępego ciała pani Clausen, napiętego

jak sprężyna gotowa wystrzelić z całą mocą w akcie seksualnym.

Usta miała miękkie i idealnie równo rozchylone, a w znamionujących zmęczenie cieniach wokół jej oczu kryła się uwodzicielska afirmacja świata takiego, jakim jest. Pani Clausen nie wymagałaby od mężczyzny, by zmienił swój charakter - co najwyżej oczekiwalaby, że zmieni niektóre zwyczaje albo zachowania. Nie spodziewała się cudów. Widziały gały, co brały - a w oczach pani Clausen widać było bezgraniczną lojalność. Właśnie dlatego można było sądzić, że nigdy nie przeboleje straty męża i że została złamana na całe życie.

Doris wykorzystała Wallingforda, aby wykonał zadanie, którego Otto nie mógł się już podjąć. To, że w tym celu wybrała właśnie jego, dawało mu cię nadziei, iż pewnego dnia pani Clausen mimo wszystko obdarzy go uczuciem.

Rozpłakała się, gdy Wallingford po raz pierwszy poruszył lekko palcami Ottona Clausena. Pielęgniarkom przykazano, żeby stanowczo zabraniały jej całować ich opuszki, Patrick zaś w pewien gorzki sposób czuł się szczęśliwy, kiedy niektóre pocałunki docierały mimo wszystko do celu.

Na długo zapamiętał moment, gdy po zdjęciu bandażu po raz pierwszy poczuł na grzbiecie przeszczepionej dłoni łzy pani Clausen. Było to pięć miesięcy po operacji. Wallingfordowi udało się przetrwać najtrudniejszy okres, obejmujący, jak twierdzili lekarze, trzy miesiące, licząc od końca pierwszego tygodnia po zabiegu. Zapłakał, kiedy poczuł na ręce jej łzy. (Zregenerowały mu się już wówczas w sumie dwadzieścia dwa centymetry nerwów, od szwu po śródrezcze, co było zdumiewającym wynikiem).

Wprawdzie stopniowo i powoli, znikająca jednak potrzeba stosowania środków przeciwbólowych, ale Patrick ciągle pamiętał sen, który często śnił po ich zażyciu. Śniło mu się mianowicie, że ktoś go fotografuje. Nawet później, kiedy zaprzestał już zażywania uśmierzających ból leków, dźwięk migawki aparatu fotograficznego wydawał mu się niesłychanie realny (we śnie). Błysk flesza był odległy i jakby połowiczny, przypominający nieprawdziwą, teatralną błyskawicę, ale dźwięk migawki

rozbrzmiewał tak wyraźnie, że Patrick niemal się budził.

Środki przeciwbólowe sprawiały, że nie pamiętał, jak długo je zażywał - cztery czy pięć miesięcy? - tak jak nie przypominał sobie, by kiedykolwiek zobaczył we śnie fotografie, które mu robiono, nie mówiąc już o osobie fotografa. Czasami wydawało mu się, że to wcale nie jest sen - a w każdym razie nie był już całkiem pewien, czy potrafi odróżnić go od jawy.

Po sześciu miesiącach, kiedy Doris Clausen wtulała się w jego dłoń, wyraźnie czuł dotyk jej twarzy. Nie dotykała nigdy jego drugiej ręki, a Patrick ze swej strony nie próbował dotknąć wdowy zdrową dłonią. Pani Clausen dawała do zrozumienia jasno i wyraźnie, jaki jest jej stosunek do Patricka. Wystarczyło, że wypowiadał jej imię w pewien szczególnie sposób, by oblewała się rumieńcem i przecząco kręciła głową. Nie chciała rozmawiać o ich jedynym zbliżeniu seksualnym. Powtarzała tylko, że musiała to zrobić. („To był jedyny sposób”).

W Patricku tliła się jednak wątpliwość, że pewnego dnia Doris zechce się zastanowić, czy nie pokochać się z nim jeszcze raz - bez względu na to, że była w ciąży i celebrowała ją zwyczajem kobiet, które musiały długo czekać na wymarzone poczęcie. Ponadto pani Clausen nie żywiła najmniejszych wątpliwości, że nie urodzi nigdy drugiego dziecka.

Fantastycznie kuszący ton jej głosu, który umiała przywoływać wedle woli, a który działał podobnie jak słońce po deszczu, miał bowiem moc otwierania kwiatów, stał się już tylko wspomnieniem, Wallingford uzbroidł się jednak w cierpliwość. Tulił do siebie wspomnienie głosu wdowy niczym poduszkę, a przypominało mu ono sen, na którego pamięć został skazany po zażyciu błękitno-kobaltowej kapsułki.

Nigdy nie kochał kobiety tak niesamolubnie. Kontentował się miłością pani Clausen do jego lewej dłoni, którą uwielbiała kłaść na swoim nabrzmiałym brzuchu, by ręka poczuła, jak porusza się płód.

Wallingford nie wiedział, kiedy pani Clausen przestała nosić ozdobny kolczyk w pępku - nie widział go od chwili, kiedy oboje zapomnieli się w

gabinecie Zajaca. Być może klejnocik był pomysłem Ottona, a może nawet dostała go od niego i dlatego nie chciała teraz nosić tej pamiątki po mężu. Możliwe też, że bliżej niezidentyfikowana metalowa ozdoba zaczęła jej przeszkadzać, kiedy zaszła w ciążę. Jeszcze później, po siedmiu miesiącach od operacji, poczuwszy wyjątkowo silne kopnięcie nienarodzonego dziecka, Patrick zaznał nieznanego wcześniej, rwącego bólu w przeszczepionym nadgarstku. Próbował zatuszować cierpiętniczy grymas, Doris jednak oczywiście dostrzegła, że wykrzywia twarz, bo Patrick niczego nie umiał przed nią ukryć.

- Co się stało? - zapytała, instynktownie przykładając do serca przeszczepioną rękę, choć Wallingford wolał myśleć, że przyciska ją do piersi; pamiętał doskonale, jak przytulała do piersi kikut jego ręki, kiedy dosiadła go przed operacją.

- To był tylko krótki, rwący ból, nic więcej - odpowiedział Patrick.

- Zadzwoń do Zajaca - zażądała pani Clausen. - Nie wygłupiaj się.

Okazało się jednak, że wszystko jest w porządku. Doktor Zajac wydawał się nawet nieco poirytowany pozornie bezproblemowym sukcesem transplantacji. Tylko na początku pojawiły się drobne kłopoty z kciukiem i palcem wskazującym, Patrick nie mógł bowiem poruszać nimi na życzenie. Żył jednak bez ręki i nadgarstka przez pięć lat, toteż jego mięśnie musiały niektórych funkcji uczyć się teraz od nowa.

Nie nastąpił więc kryzys, który należałoby zażegnać, a ręka goiła się równie nieubłaganie, jak nieubłagane były plany wdowy wobec niej. Być może Zajac w duchu czuł się zdegustowany, ponieważ w pewnym sensie przeszczep był w większym stopniu sukcesem pani Clausen niż jego, a najważniejszą wiadomością medialną stała się informacja, że wdowa po dawcy jest w ciąży i utrzymuje kontakt z dłonią po zmarłym mężu. Wallingforda nie nazywano natomiast ani „facetem”, ani „człowiekiem od przeszczepu” - był bowiem i miał pozostać „facetem od lwów” albo „kastrofiarą”.

Później, we wrześniu 1998 roku, międzynarodowy zespół chirurgiczny przeprowadził w Lyonie udany przeszczep ręki i przedramienia. Pacjentem był niejaki Clint Hallam, Nowozelandczyk mieszkający w Australii. Ta informacja również zirytowała Zajaca. Miał swoje powody, Hallam bowiem skłamał. Powiedział lekarzom, że stracił rękę w wypadku na budowie, ostatecznie wyszło jednak na jaw, że rękę odcięła mu piła tarczowa w nowozelandzkim więzieniu, gdzie odsiadywał wyrok dwóch i pół roku pozbawienia wolności za oszustwo. (Doktor Zajac pomyślał oczywiście, że tylko etyk medyczny mógł podjąć decyzję o przeszczepieniu ręki byłemu więźniowi).

Tymczasem Clint Hallam zażywał przeszło trzydzieści tabletek dziennie, a jego organizm nie wykazywał oznak odrzucenia przeszczepu. Wallingford, będący już osiem miesięcy po operacji, łykał codziennie rozmaite preparaty w równie imponujących ilościach, ale jeżeli zdarzyło mu się upuścić na ziemię drobne monety, nie umiał ich podnieść przeszczepioną dłonią. Niejaką pociechę dla chirurgicznego zespołu z Bostonu stanowił natomiast fakt, że lewa ręka Patricka, choć pozbawiona czucia w czubkach palców, była niemal równie silna, jak prawa - a w każdym razie mógł nią przekręcić klamkę i otworzyć drzwi. Doris twierdziła, że Otto był stosunkowo silnym mężczyzną. (Zapewne nabrał krzepy, dźwigając skrzynki z piwem).

Od czasu do czasu pani Clausen i Wallingford spali razem, choć nie kochali się, a nawet nie rozbierali do naga. Doris po prostu sypiała obok Patricka - oczywiście z jego lewego boku. Patrick miał wtedy kłopoty ze snem, głównie dlatego, że było mu wygodnie jedynie na plecach. Kiedy przewracał się na bok albo na brzuch, dokuczala mu przeszczepiona ręka, i nawet doktor Zajac nie umiał wyjaśnić dlaczego. Być może ból miał związek ze zmniejszonym dopływem krwi do dłoni, choć mięśnie, ścięgna i nerwy były niewątpliwie dobrze ukrwione.

- Nie powiedziałbym jeszcze, że się panu udało, ale myślę, że chyba zachowa pan tę mackę - poinformował Zajac Wallingforda.

Trudno było zrozumieć, skąd się wzięła nowo nabyta swoboda bycia doktora, nie mówiąc już o jego upodobaniu do specyficznego idiolektu

Irmy. Pani Clausen i jej płód przyćmili wprawdzie trzy minuty sławy Zajaca, ale chirurg nie wydawał się z tego powodu szczególnie zmar-twiony. (To, że jedynym rywalem Wallingforda na polu transplantacji dłoni był pospolity przestępca, bardziej wkurzało go, niż przygnębiało). Ponadto dzięki kuchni Irmy Zajac przybrał nieco na wadze, albowiem zdrowa żywność, spożywana w odpowiednich ilościach, mimo wszystko także się sumuje. Chirurg zaczął więc folgować apetytowi, odczuwał zaś wilczy głód, ponieważ Irma kochała się z nim codziennie.

Wallingforda niewiele obchodziło, że Irma i jej były chlebobawca stanowili obecnie szczęśliwe małżeństwo, ale w firmie Schatzman, Gingeleskie, Mengerink, Zajac & Spółka lekarze nie rozmawiali o niczym innym. A jeśli najlepszy w ich gronie chirurg z każdym dniem coraz mniej przypominał zdziczałego psa, to kilka funtów przytył także jego dawniej niedożywiony syn, Rudy. Nawet zawistnicy pozostający na marginesie życia doktora Zajaca, którzy kiedyś nikczemnie z niego kpili, musieli przyznać, że ukochany syn swojego ojca wydaje im się teraz, jak zresztą niemal wszystkim, szczęśliwym i normalnym dzieckiem.

Nie mniej zadziwiające było również to, że doktor Mengerink przyznał się Zajacowi, iż romansował niegdyś z mściwą Hildred, pierwszą żoną Zajaca, cierpiącą obecnie na nadwagę. Małżeństwo doktora z Irmą rozwścieczyło Hildred, chociaż Zajac podwyższył jej alimenty. Postawił jednak jasno pewien warunek - Hildred musiała w zamian przyznać Zajacowi równe prawa do opieki nad dzieckiem, czyli zgodzić się, by Rudy oficjalnie pozostawał pod opieką obojga rodziców.

Zamiast wpaść w szal na zaskakujące wyznanie doktora Mengerinka, doktor Zajac zachował się niczym wcielenie wrażliwości i współczucia.

- Ty i Hildred? Biedaku... - powiedział tylko, otaczając ramieniem przygarbionego Mengerinka.

- Popatrzcie tylko, jakie cuda działa zwykłe dupczenie - skwitował za-zdrośnie tę scenę pozostały przy życiu brat Gingeleskie.

Czy pies-gównojad również się odmienił? W pewnym sensie tak. Me-dea stała się prawie porządnym psem, i choć wciąż, jak powiadała Irma, „zapominała się” czasem, psie kupy oraz skutki ich konsumpcji przestały dominować w życiu doktora Zajaca. Lacrosse, uprawiany przy użyciu psich odchodów, stał się jedynie zabawą. Ze względu na serce doktor wypijał teraz codziennie kieliszek czerwonego wina, ale jego serce i tak znajdowało się pod dobrą opieką Rudy'ego i Army. (Co prawda, rosnące upodobanie Zajaca do czerwonego bordeaux sprawiało, że nie ograniczał się do skąpej działki napoju mającego jakoby zbawienny wpływ na jego pikawę).

Niewytłumaczalny ból w przeszczepionej dłoni Patricka Wallingforda nadal nie niepokoił doktora Zajaca, ale którejś nocy, kiedy Patrick spoczywał niewinnie w łóżku z Doris Clausen, wdowa zadała mu pytanie:

- Co masz konkretnie na myśli, mówiąc o bólu? Jaki on jest?

- To jakby rwanie. Z trudnością poruszam palcami, a mimo to bolą mnie koniuszki, w których wciąż nie mam czucia. Dziwne.

- Bolą cię czubki palców, w których nie masz czucia? - zapytała Doris.

- Na to wygląda - odparł Patrick.

- Wiem, w czym problem - powiedziała pani Clausen. Jej zdaniem, nie powinna była kłaść się po niewłaściwej stronie łóżka tylko dlatego, żeby być bliżej lewej ręki Ottona.

- Jak to po niewłaściwej stronie? - zapytał Wallingford.

Wyjaśniła, że Otto sypiał u jej lewego boku, a Patrick miał się wkrótce przekonać, w jaki sposób kwestia spoczynku z niewłaściwej strony wpływa na przeszczepioną dłoń.

Kiedy pani Clausen zasnęła po raz pierwszy po prawej ręce Patricka, zaszło coś na pozór zupełnie naturalnego. Odwrócił się ku niej, ona zaś, jakby z działającego nawet we śnie przyzwyczajenia, wtuliła głowę w jego prawe ramię. Czuł na szyi oddech wdowy i nie śmiał nawet przełknąć śliny, żeby jej nie zbudzić.

Lewą dłoń Wallingforda przebiegł skurcz, tym razem jednak nie był bolesny. Leżał bez ruchu i czekał, co zrobi jego ręka. Wspominał później, że przeszczepiona dłoń, jak gdyby z własnej woli, wsunęła się pod nocną koszulę Doris Clausen, a pozbawione czucia palce ruszyły w górę jej ud. Pod wpływem pieśczości pani Clausen rozsunęła nogi, a jej włosy łonowe laskotały wewnątrz dłoni Patricka, jak gdyby uniesione niedostrzeżalnym wiatrem.

Wallingford wiedział, dokąd zawędrowały jego palce, mimo że ich nie czuł. Zmiana w rytmie oddechu Doris była jednak wyraźna, toteż nie potrafił się powstrzymać - pocałował wdowę w czoło i ukrył twarz w jej włosach. Wtedy Doris ujęła go za sondującą jej kobiecość rękę, którą podniosła do ust. Wstrzymał oddech, oczekując bólu, który nie nastąpił, a pani Clausen drugą ręką chwyciła członek Patricka, po chwili jednak puściła go raptownie.

To nie ten członek! Czar prysł. Pani Clausen przebudziła się. Oboje poczuli zapach palców niesamowitej lewej dłoni Ottona, spoczywającej teraz na poduszce między ich głowami.

- Ból przeszedł? - spytała Doris.

- Owszem - odparł Patrick, choć minął tylko ból w przeszczepionej ręce. - Pojawił się za to inny, nowy ból... - zaczął.

- W tej sprawie nie mogę ci pomóc - oświadczyła pani Clausen, ale kiedy odwróciła się do niego plecami, delikatnie przycisnęła lewą dłoń Patricka do swojego nabrzmiałego brzucha. - Jeżeli masz ochotę sam się dotykać i obejmować mnie, to wiesz... Może jednak trochę ci pomogę.

Łzy miłości i wdzięczności napłynęły Patrickowi do oczu.

Jak należało postąpić, by nie uchybić dobrym obyczajom? Wydawało mu się, że najbardziej elegancko będzie zakończyć samogwałt, zanim dziecko poruszy się w jej łonie, ale pani Clausen mocno przyciskała sobie dłoń do brzucha - nie do piersi - i zanim Patrick dostał orgazmu, który udało mu się osiągnąć wyjątkowo szybko, dziecko dwukrotnie wierzgnęło. Po drugim kopnięciu poczuł znajomy, rwący ból, i wzdrygnął

się, tym razem jednak Doris albo niczego nie zauważyła, albo uznała jego reakcję za dreszcz ejakulacji.

Wallingford myślał później, że najwspanialszym prezentem stał się dla niego jednak w tej sytuacji niezwykle głośno pani Clausen, którego od dawna nie słyszał.

- Nic cię już nie boli? - zapytała.

Ręka Patricka, znowu samoczynnie, zsunęła się z ogromnego brzucha na nabrzmiały sutek, gdzie pani Clausen pozwoliła jej spocząć.

- Dziękuję, nic - szepnęła Patrick, zapadając w sen.

Poczuł zapach, którego początkowo nie rozpoznał. Wydał mu się obcy, nie była to bowiem woń, jaką można poczuć w Nowym Jorku czy w Bostonie. To zapach sosnowych igieł! - zrozumiał nagle.

Słyszał też chłopot wody, nie był to jednak szum oceanu ani ciekący kran, lecz raczej odgłos fal oblewających dziób łodzi albo przystań, ale - tak czy inaczej - plusk działał niczym muzyka na przeszczepioną rękę, wędrującą delikatnie jak woda wokół konturów weszbranej piersi pani Clausen.

Rwący ból (a nawet jego wspomnienie) po chwili zniknął, a później na Patricka spłynął najsmaczniejszy i najgłębszy w życiu sen, chociaż po przebudzeniu nawiedziła go niepokojąca myśl, że nie był całkiem prywatny. Nie przypominał też zwiądów po zażyciu błękitno-kobaltowej kapsułki, a w każdym razie nie w takim stopniu, jak mógłby sobie życzyć Wallingford.

Przed wszystkim brakowało w nim seksu. Patrick nie czuł także słonecznego ciepła na pomoście ani jego desek, choć wydawało mu się, że leży na ręczniku - miał tylko niejasne, jakby odległe poczucie, że ten pomost znajduje się gdzie indziej.

Tym razem nie słyszał we śnie migawki aparatu. Tej nocy można mu było zrobić choćby tysiąc zdjęć, a i tak nie zorientowałby się, że ktoś go fotografuje.

Rozdział ósmy

Odrzucenie przeszczepu i sukces

Wallingford nie protestował, gdy Doris wyraziła życzenie, by dziecko poznało dłoń swojego ojca. Dla Patricka oznaczało to tyle, że prawdopodobnie będzie widywał nadal panią Clausen. Kochał ją z coraz bardziej słabnącą nadzieją na wzajemność, stojącą w niepokojącej sprzeczności z miłością wdowy do przeszczepionej ręki. Przyciskała ją do brzucha, by dłoń czuła natarczywe drgnienia płodu, a chociaż Wallingford czasem krzywił się wtedy z bólu, pani Clausen nie trwożyły już jego nagłe ataki.

- Ostatecznie to nie jest twoja ręka - przypominała wdowa, choć Patrickowi nie trzeba było tego przypominać. - Wyobraź sobie, co musi przeżywać Otto. Czuje kopnięcia dziecka, którego nigdy nie zobaczy, a to z pewnością go boli!

Czy realnego bólu nie odczuwał jednak Wallingford? Dawniej, kiedy był jeszcze mężem Marilyn, jego odpowiedź brzmiałaby zapewne sarkastycznie. („No, w takim razie nie mam się czym przejmować”)- Ale Doris... Ją mógł tylko uwielbiać.

Poza tym teza pani Clausen nie była nieuzasadniona. Przeszczepiona dłoń wyglądała obco i nie miała nigdy wyglądać inaczej. Lewa ręka Ottona nie była dużo większa niż dłoń Patricka, człowiek jednak często przygląda się swoim rękom i trudno jest mu przywyknąć do widoku cudzej dłoni, wieńczącej własne przedramię. Czasami Wallingford

wpatrywał się w przeszczepioną rękę szalenie intensywnie, jak gdyby oczekiwał, że do niego przemówi. Nie mógł także oprzeć się pokusie wężania jej, chociaż pachniała dziwnie. Po tym, jak pani Clausen zamykała oczy, kiedy wężała dłoń, domyślał się, że ręka wydzielala zapach Ottona.

W jego życiu pojawiły się jednak także miłe urozmaicenia. W okresie długiej rekonwalescencji i rehabilitacji rozkwitła kariera zawodowa Patricka, uziemionego na razie w redakcji bostońskiej, by mógł przebywać pod stałą opieką Zajaca i bostońskiego zespołu chirurgicznego. („Rozkwitła” to może nieco przesadne określenie - powiedzmy po prostu, że stacja zostawiła Patrickowi nieco więcej swobody).

Międzynarodowy całodobowy kanał informacyjny stworzył dla niego weekendowe okienko antenowe po wieczornych wiadomościach, których sobotni suplement emitowano z Bostonu. Choć producenci wciąż powierzali Wallingfordowi reportaże dotyczące najdziwniejszych nieszczęśliwych wypadków, pozwalali mu jednak na przedstawianie ich i komentowanie z zaskakującą, nieoczekiwaną godnością, nieobecną przedtem zarówno w komentarzach Wallingforda, jak i programach całodobowej stacji informacyjnej. Nikt w Bostonie ani w Nowym Jorku nie umiał wyjaśnić, skąd się wzięła - ani Patrick, ani nawet Dick.

Wallingford zachowywał się na wizji naturalnie, jak gdyby przeszczepiona ręka była jego własną, przyrodzoną kończyną, i emanował współczuciem dla bohaterów reportaży, którego nie dało się dotąd zauważyć ani w programach stacji, ani w postawie Patricka. Zachowywał się tak, jak gdyby wiedział, że dostał od Ottona Clausena znacznie więcej niż rękę.

Oczywiście poważni reporterzy, czyli dziennikarze przenikliwie i obszernie relacjonujący wiadomości naprawdę istotne, uważali, że sam pomysł emisji suplementu czegoś, co na kanale katastroficznym uchodzi za wiadomości, jest godny pożałowania. W prawdziwych wiadomościach pokazuje się przecież nieletnich uchodźców, których matki i ciotki zgwałcono na ich oczach, choć ani kobiety, ani dzieci nie potwierdzają

na ogół tych informacji. W prawdziwych wiadomościach ogłasza się, że ojcowie i wujowie tychże dzieci zostali pomordowani, choć i te rewelacje mało kto poświadcza. W prawdziwych wiadomościach pojawiają się również reportaże o eksterminacji lekarzy i pielęgniarek, mającej na celu pozbawienie sierot opieki medycznej. Podobnych opowieści o rozmyślnym i planowym działaniu zła w cudzoziemskich krajach tak zwany kanał informacyjny o zasięgu międzynarodowym jednak nie nagłasniał, a Patrickowi Wallingfordowi nigdy nie zlecono reportażu z tego rodzaju wydarzeń.

Oczekiwano od niego raczej, że odnajdzie nieoczekiwaną godność w ofiarach idiotycznych, powiedzmy szczerze, wypadków, jak jego historia z lwem, a także również współczucie dla nich. Jeżeli za rozwodnioną wersją wiadomości całodobowego kanału informacyjnego kryło się coś, co można nazwać myślą, to sprowadzała się ona do skromnego spostrzeżenia, że nawet w makabrze tkwi lub powinien tkwić jakiś element, mogący podnieść widza na duchu, oczywiście, o ile mówimy o makabrze zawierającej dostateczny ładunek kretyzmu.

No to co, że stacja informacyjna nie wysłała Patricka do Jugosławii? Jak to powiedział brat zdeorientowanemu Vladowi, Vlade'owi czy też Lewisowi? („Powinieneś się cieszyć, że w ogóle masz robotę”). No właśnie, czy Wallingford nie powinien się cieszyć, że w ogóle ma pracę?

Mógł latać do Green Bay niemal w każdą niedzielę. Kiedy zaczął się sezon futbolowy, pani Clausen była w ósmym miesiącu ciąży i po raz pierwszy od lat nie mogła obejrzeć ani jednego meczu Packersów na Lambeau Field. Dowcipkowała, że woli nie rodzić na linii czterdziestu jardów, zwłaszcza w trakcie ciekawego meczu. (Chodziło jej o to, że wtedy nikt nie zwróciłby na nią uwagi). Dlatego oglądała mecze Packersów w telewizji, w asyście Wallingforda. Brzmi to niedorzecznie, ale Patrick latał do Green Bay oglądać telewizję.

Pani Clausen wykorzystywała sposobność, jaką stwarzały transmisje meczów Packersów, i gładziła wtedy przeszczepioną rękę albo pozwalała się jej dotykać.

A kiedy w najwyższym skupieniu oglądała mecz, Patrick mógł w najwyższym skupieniu przyglądać się pani Clausen. Koncentrował się, chcąc zapamiętać jej profil albo grymas, z jakim przygryzała dolną wargę, kiedy na boisku rozgrywano „trzecią i długą”. (Doris tłumaczyła, że „trzecią i długą” rozgrywano wtedy, kiedy Brett Favre, rozgrywający Green Bay, mógł zostać zaatakowany przed linią albo podawać piłkę).

Czasami niechcący zadawała Wallingfordowi ból. Kiedy rywale faulowali Favre'a, przerywali jego akcję albo jeszcze gorzej - zdobywali punkty - pani Clausen mocno ścisnęła dłoń zmarłego męża.

- Aaaaaa! - krzychał Patrick, bezwstydnie wyolbrzymiając swoje cierpienia.

Po chwili jednak rękę okrywały pocałunki, a czasem rosły ją łzy. Były warte bólu, zupełnie innego niż ten, który wywoływały ruchy płodu - mrowienie, jakie odczuwał teraz Wallingford, pochodziło bowiem nie z tego świata.

Tak więc bohatercko latał prawie co tydzień do Green Bay. Nie znalazł hotelu, który przypadłby mu do gustu, Doris jednak nie chciała się zgodzić, żeby Patrick mieszkał u niej, w domu, który dzieliła kiedyś z Ottonem. Podczas wizyt w Green Bay Patrick poznał także wielce rozgłębioną i lojalną rodzinę Clausenów, z których większość nie wstydziła się okazywania uczuć dłoni Ottona. Jego ojciec i bracia z trudem powstrzymywali się od płaczu, potężnej postury matka Clausena, której figura bez trudu zapadała w pamięć, szlochala otwarcie, jego jedyna niezamężna siostra natomiast przycisnęła sobie przeszczepioną dłoń do piersi, a zaraz potem zemdląła. Wallingford był w tym momencie odwrócony, toteż nie zdążył podtrzymać panny Clausen. Miał potem do siebie pretensje, ponieważ dziewczyna, padając, złamała sobie ząb o ławę, a trzeba dodać, że i przed tym wypadkiem jej uśmiech nie prezentował się najlepiej.

Choć Clausenowie stanowili klan, którego radosne upodobanie do rekreacji na świeżym powietrzu kontrastowało wyraźnie z rezerwą Wallingforda, Patrick poczuł do nich dziwną sympatię. Odznaczyli się wstrzemięźliwym entuzjazmem posiadaczy biletów sezonowych na mecze

Packersów i wszyscy poślubili osoby przypominające Clausenów powierzchownością. Dlatego nie można było odróżnić wśród nich osobników połączonych więzami krwi od postaci, które weszły do rodziny poprzez małżeństwo. Jedyne wyjątek stanowiła Doris.

Patrick zauważył, jak dobrzy i opiekuńczy byli dla niej Clausenowie. Akceptowali Doris, chociaż różniła się od nich, i kochali ją jak swoją krewną. Oglądane w telewizji rodziny, przypominające Clausenów, przysparzały o mdłości - ale oni byli zupełnie inni.

Wallingford wybrał się też do Appleton, by poznać rodziców Doris, również spragnionych kontaktu z przeszczepioną ręką. Dopiero od ojca pani Clausen Patrick dowiedział się, gdzie Doris pracuje - nie przyszło mu nawet do głowy, że wdowa uchowała się na jednej posiadzie od matury, czyli dłużej, niż on uprawia dziennikarstwo. Pracowała w dziale sprzedaży biletów Green Bay Packers. Klub okazywał pani Clausen ogromne wsparcie i umożliwił jej nawet ukończenie studiów.

- Wie pan, Doris może panu załatwić bilety na mecze - powiedział jej ojciec Patrickowi. - A u nas o bilety jest diabelnie trudno.

Po przegranej z Denver w trzydziestym drugim finale Super Bowl zespół Green Bay Packers czekał trudny sezon. Jak wzruszająco powiedziała Doris do Ottona w ostatnim dniu życia nieszczęsnego kierowcy: „Nigdy nie wiadomo, czy będzie jeszcze okazja, by wrócić na Super Bowl”.

Packersi nie wykorzystali nawet „dzikiej karty”, przegrywając „rozdzierające serce”, wedle słów pani Clausen, spotkanie z San Francisco 49ers w pierwszej rundzie play-off.

- Otto uważał, że umiemy z nimi grać - powiedziała Doris. Była już jednak matką i przyjmowała o wiele bardziej filozoficzną postawę wobec porażek swojego klubu niż kiedyś, za życia męża.

Urodziła duże dziecko: chłopak ważył dziewięć funtów i osiem uncji. Był przenoszony, toteż lekarze proponowali wywołanie sztucznego porodu, ale pani Clausen nie chciała o tym słyszeć, należała bowiem do

osób zdających się na działanie sił natury. Wallingforda nie było przy porodzie - dzieciak miał prawie miesiąc, kiedy Patrick zdołał wreszcie wyrwać się z Bostonu. Wbrew rozsądkowi zdecydował się lecieć w Święto Dziękczynienia i wylądował w Green Bay z opóźnieniem, mimo to zdążył jednak na czwartą kwartę meczu Minnesota Vikings z Dallas Cowboys, w którym zwyciężyła Minnesota. (Doris oświadczyła, że to dobry znak, bo Otto nie cierpiał Dallas). Być może dlatego, że tymczasowo mieszkała u niej matka, która pomagała w opiece nad Ottonem juniorem, pani Clausen tym razem bez obawy zaprosiła Wallingforda, żeby odwiedził ją i dziecko w domu.

Patrick dokładał potem wszelkich starań, żeby zapomnieć o szczegółach jego wystroju - na przykład o licznych zdjęciach Ottona seniora. Trudno było dziwić się istnieniu fotograficznych dowodów, wskazujących, iż Otto senior i Doris chodzili ze sobą za młodu (wdowa mówiła już o tym Wallingfordowi), ale Patrick nie mógł znieść zdjęć z okresu ich małżeństwa. Na tych fotografiach widać było rozkosz, jaką czerpali z każdej wspólnej chwili, lecz także spodziewane, nadchodzące szczęście i niezachwianą nadzieję, że spędzą razem przyszłość, w której będzie także miejsce na dziecko.

Gdzie były robione zdjęcia, które przykuły uwagę Wallingforda? Nie w Appleton ani w Green Bay, lecz oczywiście w domku nad jeziorem! Fotografie przedstawiały nadgryzioną zębem czasu przystań, mroczne jezioro i ciemne, potężne sosny.

Na zdjęciu przedstawiającym domek w budowie widać było suszące się w słońcu na przystani kostiumy kąpielowe. Wody jeziora na pewno obmywały czasem rozkołysane łodzie i pomost, szczególnie przed burzą. Patrick często słyszał ich plusk.

Rozpoznał także w fotografiach źródło swojego powtarzającego się snu, który, jak sądził, nie całkiem należał do niego. A w tle tego snu krył się tamten, pierwszy sen, który przyśnił się Patrickowi pod wpływem wieszczej pigułki - najbardziej erotyczny ze wszystkich snów erotycznych, wywołany bezimiennym indyjskim środkiem przeciwbólowym, obecnie już zabronionym.

Oglądając zdjęcia, Wallingford pojął, że to nie „niemęska” utrata dłoni ostatecznie zwróciła jego byłą żonę przeciwko niemu, albowiem w rzeczywistości utracił Marilyn już wtedy, kiedy oświadczył, że nie chce mieć z nią dzieci. Zrozumiał teraz, że pozew o ojcostwo, którego mu nie udowodniono, był najbardziej gorzką pigułką, jaką musiała przełknąć podczas ich małżeństwa. Bo Marilyn chciała mieć dzieci. Dlaczego nie dostrzegł wtedy doniosłości jej pragnienia?

Teraz, kiedy wziął Ottona juniora na ręce, zastanawiał się, jak mógł nie chcieć mieć dziecka. To cudowne uczucie trzymać w ramionach swojego własnego syna!

Rozplakał się, a Doris i jej matka razem z nim. Musieli jednak szybko osuszyć oczy, ponieważ w domu pani Clausen pojawiła się ekipa dziennikarska stacji telewizyjnej o zasięgu międzynarodowym. Choć to nie jemu zlecono tę obsługę, Wallingford z łatwością przewidział wszystkie kolejne ujęcia.

- Zróbcie mi zbliżenie przeszczepionej ręki, a może ręki i dziecka - usłyszał Patrick głos jednego ze swoich kolegów. - Zróbcie mi matkę, rękę i dziecko razem.

Po chwili ten sam dziennikarz teatralnym szeptem rzucił do kamerzysty na stronie:

- Nieważne, czy kadr obejmuje łeb Patricka, ważna jest jego ręka!

Podczas powrotnego lotu do Bostonu Wallingford wspominał, jak promiennie wyglądała Doris - choć rzadko się modlił, tym razem modlił się o zdrowie dla Ottona juniora. Nie przypuszczał, że po transplantacji stanie się człowiekiem tak uczuciowym, rozumiał jednak, że bodźcem jego przemiany nie jest wyłącznie transplantacja.

Doktor Zajac ostrzegwał, że jakikolwiek regres z trudem nabytej sprawności ręki może być symptomem odrzucenia przeszczepu, podobnie jak zmiany skórne. Patricka bardzo zdziwiła ta informacja. Wiedział oczywiście, że układ immunologiczny może unicestwić przeszczepioną dłoń, dlaczego miałyby jednak atakować skórę? Wydawało się, że jego ofiarą w pierwszej kolejności padną raczej inne, ważniejsze narządy wewnętrzne.

- Skóra to cweluch - odpowiedział Zajac.

„Cweluch” był niewątpliwie Irma-izmem. Irma i Zajac, zwany przez nią Nicky, lubili wypożyczać kasety wideo, które oglądali wieczorami w łóżku. Takie poleganie miało również inne konsekwencje, z których jedną była ciąża Irmy - a w filmie oglądanym ostatnio przez młodą parę wiele postaci zwracało się do siebie per „cweluchu”.

Patrick przekonał się wkrótce, że skóra to rzeczywiście „cweluch”. W pierwszy poniedziałek stycznia, następnego dnia po przegranej Packersów z San Francisco, poleciał do Green Bay. Miasto było pogrążone w żałobie, a hotelowa recepcja przypominała dom pogrzebowy. Wynajął pokój, wziął prysznic, ogolił się i zadzwonił do Doris. Odebrała jej matka. Mały Otto i Doris spali, więc matka pani Clausen obiecała jej powtórzyć, żeby zatelefonowała do hotelu, a Patrick wykazał się wspaniałomyślnością i poprosił starszą panią o przekazanie kondolencji ojcu Doris.

- Z powodu porażki Packersów z San Francisco.

Drzemał jeszcze, śniąc o domku nad jeziorem, kiedy do pokoju weszła pani Clausen, choć wbrew umowie nie zapowiedziała się wcześniej telefonicznie. Jej matka została z chłopcem, a Doris wsiadła w samochód i przyjechała, żeby zawieźć Patricka do domu, na spotkanie z Ottonem juniorem.

Nie był pewien, jak ma to rozumieć. Czyżby pani Clausen szukała okazji, by zostać z nim sam na sam? Czy może pragnęła jakiejś formy fizycznego kontaktu - choćby tylko z przeszczepioną dłonią - do którego nie powinno dojść w obecności jej matki? Ale kiedy pogładził panią Clausen po policzku, oczywiście lewą ręką, wdowa odwróciła twarz. A kiedy przyszło mu do głowy, by dotknąć jej piersi, zorientował się, że Doris czyta w jego myślach, które napawają ją odrazą.

Nie zdjęła nawet płaszcza. Za jej wizytą w hotelu nie krył się żaden ukryty motyw. Widocznie miała po prostu ochotę na przejażdżkę, i tyle.

Podczas tego spotkania można było odnieść wrażenie, że mały Otto poznaje Wallingforda, choć było to wielce nieprawdopodobne - tym bardziej jednak złamał ojcu serce. A w samolocie do Bostonu zaczęło

Patricka dręczyć niepokojące podejrzenie. Doris nie tylko nie dopuściła do żadnego kontaktu fizycznego z przeszczepioną ręką, ale ledwo raczyła zaszczycić ją spojrzeniem. Czyżby Otto junior zawłaszczył bez reszty całą serdeczność i czułość matki?

Zamartwiał się nad tym w Bostonie przez co najmniej tydzień, dumając, co znaczą sygnały, jakie zaczęła mu wysyłać pani Clausen. Powiedziała na przykład, że kiedy Otto podrośnie, może się okazać, że będzie chciał od czasu do czasu widywać albo dotykać ręki ojca. Co miało znaczyć „kiedy podrośnie”? Jaki wiek miała na myśli? I co znaczyło „czasami”? Czy chciała przez to powiedzieć, że zamierza rzadziej spotykać się z Patrickiem? Chłód, jaki okazała ostatnio przeszczepionej ręce, sprawiał, że ten nie mógł spać. Nie licząc kilku pierwszych dni po przeszczepie, nie cierpiał nigdy na tak uciążliwą bezsenność. Coś było nie tak.

Kiedy Wallingfordowi śniło się teraz jezioro, było mu zimno, jak gdyby po zachodzie słońca siedział na pomoście w mokrych kąpielówkach. Choć pośród innych doznań po zażyciu indyjskiego środka przeciwbólowego odczuwał również zimno, nowa wersja snu z mokrymi kąpielówkami nie prowadziła do seksu. Prowadziła donikąd. Patrick czuł tylko chłód - jak gdyby powiew północy.

Któregoś dnia, niedługo po wizycie w Green Bay, obudził się zaskakująco wcześniej z wysoką gorączką. Myślał, że złapał grypę, dopóki w łazienkowym lustrze nie przyjrzał się uważnie przeszczepionej ręce. (Uczył się myć zęby lewą ręką, ponieważ jego specjalista od rehabilitacji twierdził, że to doskonałe ćwiczenie). Dłoń była zielona. Ta nowa dla niej barwa pokrywała ją całą, sięgając aż dwa cale powyżej nadgarstka. Koniuszki palców i czubek kciuka były nieco ciemniejsze, koloru leśnego mchu, przywodzącego na myśl ocienione jezioro pod pochmurnym niebem. Była to zieleń odległych jodeł albo jodeł za mgłą. Albo wpadająca w czerń ciemna zieleń odbitych w wodzie sosen. Wallingford miał bardzo wysoką gorączkę.

Pomyślał, żeby zadzwonić najpierw do pani Clausen, do Zajaca zaś w drugiej kolejności, ale różnica czasu między Bostonem i Green Bay wynosi

godzinę, a Patrick nie chciał obudzić ani młodej matki, ani dziecka. Kiedy skontaktował się z chirurgiem, Zajac zaproponował mu spotkanie w szpitalu i dodał:

- Mówilem, że skóra to cweluch.

- Ale od przeszczepu minął ponad rok! - zawołał Wallingford. - Potrafię już sam zawiązać sobie buty! Mogę prowadzić samochód! Jeszcze trochę, a nauczę się podnosić lewą ręką dwudziestopięciocentówki. Niedawno o mały włos nie podniosłem nawet monety dziesięciocentowej!

- Żegluj pan po wciąż niezbadanych wodach - odpowiedział Zajac, który poprzedniego wieczoru oglądał z Irma na wideo film o żalonym tytule „Niezbadane wody”. - Wiadomo tylko, że w pańskim przypadku szansa wynosi wciąż pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

- Szansa na co? - zapytał Patrick.

- Na przyjęcie albo odrzucenie przeszczepu, koleś - powiedział Zajac. („Kolesiem” Irma zaczęła niedawno nazywać Medeę).

Trzeba było odjąć Patrickowi dłoń przed przyjazdem do Bostonu wdowy z dzieckiem i matką. Zajac musiał uprzedzić panią Clausen, że nie przewiduje się pożegnalnych oględzin, ręka wygląda bowiem zbyt ohydnie.

Wallingford we względnie dobrej formie odpoczywał już po operacji, kiedy przy jego szpitalnym łóżku stanęła Doris. Odczuwał ból, ale nieporównanie mniej dotkliwy niż po transplantacji. Nie biadał też nad ponowną utratą ręki - martwił się raczej, że straci panią Clausen.

- Mimo wszystko będziesz mógł mnie odwiedzać. I małego Ottona - zapewniła Doris. - Miło nam będzie gościć cię czasami. Próbowałeś dać życie dłoni mojego męża! - zawołała. - Zrobiłeś, co w twojej mocy. Jestem z ciebie dumna.

Tym razem nie zwracała uwagi na potężny opatrunek, tak wielki, jak gdyby pod bandażem jednak kryła się ręka. Wallingford bardzo się ucieszył, kiedy pani Clausen przycisnęła do serca jego prawą dłoń, choć tylko na krótką chwilę, cierpiał jednak z powodu graniczącego niemal z pewnością przekonania, że Doris już nigdy w życiu nie przyłoży jego ręki do piersi.

- To ja jestem z ciebie dumny... Z tego, co zrobiłaś - powiedział i zaczął płakać.

- Dzięki twojej pomocy - szepnęła, rumieniąc się, po czym zwołała uścisk.

- Kocham cię, Doris - odpowiedział Patrick.

- Nie wolno ci mnie kochać - odparła nie bez sympatii. - Po prostu nie możesz i już.

Doktor Zajac nie umiał wyjaśnić przyczyn gwałtownego odrzucenia przeszczepu - to znaczy, nie miał nic do powiedzenia poza wskazaniem czynników czysto patologicznych.

Wallingford mógł tylko spekulować, co się stało. Czy przeszczepiona dłoń wyczuła, że miłość, którą darzyła ją pani Clausen, została przelana na dziecko? Otto mógł wiedzieć, że jego dłoń zapewni żonie dziecko, którego tak bardzo pragnęli, ale co na ten temat wiedziała jego ręka? Zapewne nic.

Jak się okazało, Patrick nie potrzebował wiele czasu, żeby pogodzić się z ostatecznym wynikiem rachunku pięćdziesięcioprocentowego prawdopodobieństwa odrzucenia przeszczepu. Był w końcu rozwiedziony, wiedział więc, co znaczy odrzucić i zostać odrzuconym. Z fizjologicznego i psychologicznego punktu widzenia stratę pierwszej dłoni przeżył znacznie boleśniej niż stratę ręki Ottona. A pani Clausen niewątpliwie pomogła mu zrozumieć, że przeszczepiona ręka właściwie nigdy do niego nie należała. (Ciekawe, co na ten temat powiedziałby etyk medyczny).

Kiedy usiłował śnić teraz o domku nad jeziorem, w jego snach czego już nie było: ani zapachu sosnowego igliwia, którego wyobrażenie nie przychodziło mu z początku łatwo, a do którego zdążył już przywyknąć, ani chlupotu wody, ani krzyków nurów.

To prawda, co powiadają, że można odczuwać ból w amputowanej kończynie długo po jej odjęciu, toteż Patricka Wallingforda ból nie dziwił. Czubki palców przeszczepionej ręki, którymi tak delikatnie muskał panią Clausen, były odrętwiałe, a przecież Patrick naprawdę czuł ciało Doris, kiedy jej dotykał. Podnosząc we śnie do twarzy obandażowany kikut, miał wrażenie, że czuje ciągle zapach jej seksu na nieistniejących palcach.

- Ból przeszedł? - spytała go wtedy.

Lecz teraz ból nie mijał - wydawało mu się, że będzie trwał wiecznie, tak jak wiecznie będzie mu brakowało lewej ręki..

24 stycznia 1999 roku, kiedy Patrick Wallingford leżał jeszcze w szpitalu, w Louisville w stanie Kentucky przeprowadzono pierwszą w Stanach Zjednoczonych transplantację dłoni zakończoną sukcesem. Pacjent, nazwiskiem Matthew David Scott, pochodził z New Jersey, a lewą rękę stracił trzynaście lat wcześniej w wybuchu fajerwerków. Jak donosił „The New York Times”, nieoczekiwanie „znalazł się odpowiedni dawca” dla Scotta.

Pewien etyk medyczny nazwał transplantację w Louisville „usprawiedliwionym eksperymentem”, ale, w czym nie ma nic dziwnego, nie wszyscy etycy byli tego zdania. („Ręka nie jest niezbędna człowiekowi do życia”, jak to ujął „Times”).

Szef zespołu chirurgicznego z Louisville zwrócił uwagę na znany nam już fakt, że „istnieje pięćdziesiąt procent szans, iż przetrwa ona rok, a co się stanie potem, nie wiadomo”. Nie da się ukryć, że lekarz z Kentucky był specjalistą w dziedzinie chirurgii dłoni, toteż mówiąc „ona”, podobnie jak Zajac miał na myśli rękę.

Stacja informacyjna, dla której pracował Wallingford, przeprowadziła wywiad z rzecznikiem prasowym Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka, Zajaca & Spółki, kiedy Patrick przebywał wciąż na rekonwalescencji w Bostonie. Zajac domniemywał, że w roli tak zwanego rzecznika wystąpił Mengerink, ponieważ jego oświadczenie, aczkolwiek merytorycznie poprawne, odznaczało się swoistą bezduszością, choć Wallingford stracił przecież lewą dłoń po raz drugi w życiu. Oświadczenie rzecznika głosiło: „Eksperymenty na zwierzętach wykazały, że organizm rzadko odrzuca przeszczep przed upływem siedmiu dni, w dziewięćdziesięciu procentach natomiast odrzucenie następuje w ciągu trzech miesięcy po zabiegu”, co oznaczało, że odrzucenie przeszczepu przez organizm Patricka stoi w sprzeczności z reakcjami zwierząt doświadczalnych.

Nie poczuł się jednak urażony deklaracją rzecznika i z całego serca życzył powodzenia pacjentowi z New Jersey, choć historia przeszczepu

Wallingforda przypominała raczej pierwszą transplantację dłoni na świecie, zakończoną, jak jego zabieg, fiaskiem. Operację przeprowadzono w roku 1964 w Ekwadorze, a organizm pacjenta odrzucił rękę dawcy zaledwie po dwóch tygodniach. „W tamtych czasach możliwa była jedynie bardzo prymitywna terapia, nie mogąca zapewnić tolerancji na przeszczep” - odnotował „Times”. (W 1964 roku medycyna nie dysponowała lekami immunosupresyjnymi, używanymi dziś powszechnie przy przeszczepach serca, wątroby i nerek).

Po wyjściu ze szpitala Wallingford wrócił natychmiast do Nowego Jorku, gdzie jego pozycja zawodowa wyraźnie się umocniła. Zaczął prowadzić wieczorne wiadomości, a popularność Patricka gwałtownie wzrosła. Był kiedyś komentatorem drwiącym pobłażliwie z wypadków podobnych temu, jakiemu sam uległ, i zachowywał się wówczas tak, jak gdyby dziwaczne zgony, wypadki i smutki nie zasługiwały na współczucie tylko dlatego, że były dziwaczne. Teraz natomiast rozumiał, że dziwaczne wypadki wcale nie są dziwaczne, jako że zdarzają się powszechnie. Śmierć, nieszczęście i rozpacz posiadają zawsze ten sam wymiar, niezależnie od tego, jak głupie mogą się zdawać postronnym obserwatorom. W roli prezentera wiadomości Wallingfordowi udawało się jakoś przekazywać widzom tę myśl, dzięki czemu eufemistycznie podnosił publiczność na duchu w obliczu bezdyskusyjnego zła.

W tak zwanym prawdziwym życiu Wallingford nie umiał jednak powtórzyć sukcesów z telewizji. Najbardziej jaskrawym przykładem była w tym kontekście Mary, której nazwiska nigdy nie pamiętał - wszelkie próby wiania w jej serce otuchy spełzały na niczym. Mary przeszła niedawno koszmarny proces rozwodowy, nie zdając sobie sprawy, że rozwody przybierają łagodniejszy przebieg niebywale rzadko, i nadal była bezdzietna. A chociaż stała się najinteligentniejszą kobietą w redakcji nowojorskiej, w której Patrick zaczął znów pracować, nie była równie sympatyczna, jak dawniej. Jej zachowanie zdradzało skłonność do irytacji, a oczy, w których dostrzegał przedtem tylko szczerłość i skrajną delikatność, dawały świadectwo zapalczywości, przebiegłości i zniecierpliwienia.

Były to cechy, które pozostałe pracownice redakcji nowojorskiej posiadały w nadmiarze, toteż Wallingford z przykrością skonstatował, że Mary zniża się do ich poziomu - albo dorasta do niego, jak bez wątpienia wyraziłyby się owe panie.

Mimo to chciał zaprzyjaźnić się z Mary - nic więcej - i z tym zamiarem raz w tygodniu zapraszał ją na kolację. Mary jednak zazwyczaj za dużo piła, wtedy zaś rozmowa zbaczała na temat, którego Patrick czujnie próbował unikać. Jego koleżanka z pracy usiłowała się mianowicie dowiedzieć, dlaczego Wallingford nie chce się z nią przespać.

- Czy aż tak bardzo ci się nie podobam? - zaczynała zwykle.

- Wprost przeciwnie. Jesteś szalenie atrakcyjną dziewczyną.

- No, mowa.

- Mary, proszę...

- Nie proszę przecież, żebyś się ze mną ożenił. Ale wyjedźmy gdzieś razem, choćby na weekend... Chociaż na jedną noc, na miłość boską! Spróbuj tylko! Może wtedy skusisz się na coś więcej.

- Mary, proszę cię...

- Jezu, Pat, pieprzyłeś kiedyś wszystko, co ci weszło pod rękę! Jak myślisz, jak ja się czuję w takiej sytuacji? Dlaczego mnie akurat nie chcesz pieprzyć?

- Chcę być twoim przyjacielem. Bliskim przyjacielem.

- Dobrze, powiem wprost, bo mnie do tego zmuszasz. Chcę zająć z tobą w ciążę. Chcę dziecka, a ty byś spłodził ładne dziecko, Pat. Pożądaj twojej spermy. Jasne? Chcę twojego nasienia.

Łatwo sobie wyobrazić, że Wallingford odniósł się do tej propozycji z niejaką niechęcią. Nie dlatego, żeby nie wiedział, do czego zmierza Mary - po prostu nie miał ochoty przechodzić przez to wszystko jeszcze raz. Pod pewnym względem Mary miała jednak rację: Wallingford mógł spłodzić ładne dziecko. Jedno już nawet spłodził.

Kusiło go, żeby powiedzieć prawdę - że ma syna, którego bardzo kocha, i kocha Doris Clausen, wdowę po kierowcy ciężarówki. Sympatyczna

czy nie, Mary pracowała jednak w redakcji nowojorskiej i była zawodową dziennikarką, Wallingford wiedział więc, że powiedzieć jej prawdę byłoby szaleństwem.

- A co powiesz na bank spermy? - zapytał ją pewnego wieczoru. - Jestem gotów rozważyć oddanie spermy do banku, jeśli naprawdę tak bardzo chcesz urodzić moje dziecko.

- Ty gnoju! - krzyknęła Mary. - Nawet nie dopuszczasz myśli, że mógłbyś mnie zerznąć, co? Boże, Pat... Potrzebujesz obu rąk, żeby ci stanął? Co się z tobą dzieje? A może to moja wina?

Ten wybuch zakończył cykl ich wspólnych cotygodniowych kolacji, przynajmniej na pewien czas. Owego przygnębiającego wieczoru Patrick odwiózł Mary do domu taksówką, ale dziewczyna nie powiedziała mu nawet „dobranoc”.

Wallingford, który, co zrozumiałe, był nieco rozkojarzony, podał następnie kierowcy niewłaściwy adres. Zanim zdał sobie sprawę z pomyłki, taksiarz wysadził go przed apartamentowcem przy Sześćdziesiątej Druhej Ulicy Wschodniej, gdzie Patrick mieszkał kiedyś z Marilyn. Nie pozostało mu nic innego, jak dojść do rogu pobliskiej Park Avenue i złapać kolejną taksówkę, był bowiem zbyt zmęczony, żeby pieszo drałować do domu dwadzieścia przecznic z okładem. Zauważył go jednak zdezorientowany portier, który wybiegł za nim na ulicę, zanim Patrick zdążył się ulotnić.

- Pan Wallingford! - powiedział ze zdumieniem Vlad, Vlade albo Lewis.

- Nazywam się Paul O'Neill - odpowiedział zaniepokojony Patrick, wyciągając na powitanie swoją jedyną rękę. - Mańkut, uderzam i rzucam piłkę lewą ręką, pamiętasz?

- Ach, panie Wallingford, w porównaniu z panem Paul O'Neill to zasrany płomyczek przy rzymskiej pochodni! Rzymskie pochodnie to takie fajerwerki - wyjaśnił portier. - Uwielbiam pański program! Ten wywiad z dzieciakiem bez nóg... wie pan, z tym co to go wepchnęli, albo może sam wpadł, do klatki z niedźwiedziami polarnymi.

- Wiem, Vlade - powiedział Patrick.

- Mam na imię Lewis - powiedział Vlad. - W każdym razie to mi się strasznie podobało! Jak ta nieszczęsna babka, której dali wyniki badań wymazu siostry, kurwa... Nie do wiary!

- Mnie też było trudno w to uwierzyć - przyznał Wallingford. - Wymaz Papanicolau, tak się to nazywa. Badanie na obecność komórek nowotworowych.

- Pańska żona znalazła sobie faceta - zauważył chytrze portier. - Na dzisiejszy wieczór.

- Moja była żona - przypomniał mu Patrick.

- Na ogół wieczorami nikt do niej nie przychodzi.

- Jej sprawa - powiedział Wallingford.

- Tak, wiem. Tylko że pan ją utrzymuje, nie? - odpowiedział portier.

- Nie interesuje mnie, jaki tryb życia prowadzi. Ja mieszkam teraz na górnym Manhattanie, przy Osiemdziesiątej Trzeciej Wschodniej.

- Niech się pan nie martwi, panie Wallingford - powiedział portier. - Nikomu nie powiem!

Co do amputowanej ręki, to Patrick nauczył się znajdować przyjemność w wymachiwaniu kikutem przed kamerą, i demonstrował radośnie najrozmaitsze protezy, którymi nie potrafił się posługiwać.

- Posłuchajcie państwo... Działanie tej maszyny opanowali ludzie o zdolnościach manualnych jedynie bardzo nieznacznie przewyższających moje - rozpoczął z lubością Wallingford. - Widziałem wczoraj, jak jeden facet przycinał czymś takim pazury swojemu psu. I to narowistemu.

Rezultaty tych demonstracji były zawsze podobne, jak również nie-trudne do przewidzenia: Patrick w końcu rozlewał sobie kawę na kolana albo wplątywał protezę w kabel, wrywając mikrofon z kłapy marynarki.

W końcu zdecydował więc pozostać prezenterem jednorękiem i nie korzystać z żadnych sztucznych ułatwień.

- Wiadomości całodobowej stacji informacyjnej o zasięgu międzynarodowym prowadził Patrick Wallingford.

Dobranoc, Doris - mówił Patrick, machając widzom kikutem na pożegnanie. - Dobranoc, mój mały Otto.

Minęło sporo czasu, nim zaczął znów romansować z kobietami. Powrócił na flirciarską scenę, ale nie podobało mu się tempo przedstawień: było albo za wolne, albo za szybkie, a ponieważ czuł, że nie chwyta rytmu, zarzucił miłosne występy. Dawniej sypiał z przygodnymi partnerkami w podróżach służbowych, ale teraz, kiedy został prezenterem, nie wyjeżdżał równie często jak wtedy, kiedy był tylko szeregowym reporterem. Poza tym kopulację trudno nazwać romansem, a Patrick, jak to Patrick, nie przywiązywał do seksu żadnego znaczenia.

W każdym razie nie przeżył dotąd nic porównywalnego z napięciem, jakie odczuwał, kiedy pani Clausen przekreślała się na bok, plecami do niego, i przyciskała sobie przeszczepioną rękę (czyli rękę Ottona), najpierw do boku, a potem do brzucha, w którym czaił się płód, gotowy w każdej chwili kopnąć. Nic nie mogło się równać z tym uczuciem - nic nie smakowało tak, jak kark Doris i nic tak nie pachniało, jak jej włosy.

Patrick Wallingford po dwakroć stracił lewą dłoń, zyskał jednak duszę. Dały mu ją miłość i rozstanie z panią Clausen, tęsknota za Doris i szczerze życzenia pomyślności dla niej, a także transplantacja i utrata przeszczepionej dłoni; pragnienie, by jego syn był synem Ottona Clausena, czego chciał niemal tak bardzo, jak wdowa; i miłość, wprawdzie nieodwzajemniona, zarówno do Ottona juniora, jak i do jego matki. Ból w duszy Patricka uzewnętrzniał się do tego stopnia, że stał się widoczny, także w telewizji. Nawet zdeorientowany portier nie mógłby pomylić teraz Wallingforda z Paulem O'Neillem - już nie.

Nazywano go wciąż facetem od lwów, ale pojawiło się w nim coś, co przerastało jakby jego kalectwo - wciąż nazywano go katastrofiarą, wieczorne wiadomości prowadził jednak w obcej mu dotąd aurze autorytetu i powagi. Do perfekcji opanował postawę, którą ćwiczył kiedyś wieczorami w barach, użalając się nad sobą. Z jego miny nadal można było wyczytać, że oczekuje litości i współczucia, ale ostatnio jego smutek wydawał się przystępniejszy.

Wallingford nie był jednak dumny ze swojego rozwoju duchowego. Jeżeli nawet ktoś dostrzegł jego przemianę, to co z tego? Czy on dzięki temu zdobędzie Doris Clausen?

Rozdział dziewiąty

Wallingford spotyka bratnią duszę

Tymczasem pewna atrakcyjna, fotogeniczna, kulawa kobieta skończyła sześćdziesiąt lat. Jako nastolatka i przez całe dorosłe życie chodziła w długich spódnicach albo sukienkach, kryjących uschniętą nogę. Była ostatnią osobą w swoim rodzinnym mieście, która zachorowała na paraliż dziecięcy, bo dla niej szczepionka Salka pojawiła się na rynku zbyt późno. Niemal odkąd dotknęło ją kalectwo, pracowała nad książką o prowokacyjnym tytule: „Jak o mały włos nie udało mi się uniknąć choroby Heinego-Medina”. W końcu uznała jednak, że koniec wieku jest chyba „równie dobrym momentem, jak każdy inny”, by złożyć tekst u kilkunastu wydawców, którzy jednomyślnie odmówili publikacji.

- Pech pechem, paraliż paraliżem, ale książka faktycznie nie jest dobra - przyznała na wizji chroma kobieta z uschniętą nogą podczas rozmowy z Patrickiem Wallingfordem. W pozycji siedzącej wyglądała bardzo atrakcyjnie. - Sęk w tym, że całe moje życie przebiegłoby inaczej, gdybym zamiast polio dostała na czas tę cholerną szczepionkę.

Po wywiadzie, jaki przeprowadził z nią Wallingford, autorka oczywiście szybko znalazła wydawcę i niemal z dnia na dzień wymyśliła nowy tytuł; „Polio zamiast szczepionki”. Zgłosił się do niej ktoś, kto napisał za nią nową wersję książki, i ktoś, kto postanowił ją sfilmować. Główna rola miała przypaść aktorce zupełnie niepodobnej do chromej kobiety, choć

równie atrakcyjnej i fotogenicznej, jak ona. Oto co mogły zdziałać wywiady z Wallingfordem.

Uwagi Patricka nie uszła też ironia polegająca na tym, że kiedy po raz pierwszy stracił lewą dłoń, oglądał go cały świat. W migawkach filmowych, zawierających największe sensacje mijającego stulecia, stworzone jakby specjalnie dla telewizji, nie brakowało nigdy miejsca dla lwa zżerającego dziennikarską rękę. Ale kiedy Patrick stracił dłoń po raz wtóry, a co ważniejsze, gdy stracił panią Clausen, nie obserwowała go żadna kamera. To, co dla Wallingforda było najważniejsze, nie zostało zarejestrowane na taśmie.

Nowe stulecie, przynajmniej przez pewien czas, pamiętało Patricka jako faceta od lwów. Ale ani wiadomości telewizyjne, ani historia nie odnotowały, że Wallingford zaczął liczyć punkty, jakie udało mu się zdobyć w życiowej rozgrywce, dopiero kiedy spotkał Doris Clausen. A świata taka punktacja nie interesuje.

Patrick Wallingford nie zapisał się w ludzkiej pamięci ze względu na przeszczep ręki. Ponieważ u progu nowego wieku liczą się sukcesy, nie porażki, doktor Nicholas M. Zajac nie osiągnął sławy na polu transplantacji, gdyż chwilę jego niedoszłego triumfu usunął w cień pierwszy w Stanach Zjednoczonych, a drugi w świecie udany przeszczep ręki. Udana, wszystko wskazywało bowiem na to, że „facet od fajerwerków”, jak niewybrednie ochrzczył Zajac Matthew Davida Scotta, zachowa, wedle znanego nam już określenia chirurga, przeszczepioną maskę.

Dwunastego kwietnia 1999 roku, przed upływem trzech miesięcy od operacji, pan Scott lewą ręką uroczyście rzucił piłkę bejsbolową, rozpoczynając pierwszy w sezonie mecz filadelfijskich Phillies. Wallingford właściwie nie czuł zazdrości. (Zawiść... no, może. Ale dość zaskakującego rodzaju). Co więcej, poprosił Dicka, redaktora wiadomości w swojej stacji, żeby pozwolił mu przeprowadzić wywiad z człowiekiem, który miał wszelkie szanse na zachowanie przeszczepu. Patrick argumentował, że byłoby na miejscu, gdyby to właśnie on pogratulował panu Scottowi sukcesu, którego nie dane było zaznać jemu.

Dick jednak, jakby na przekór sobie, uznał ten pomysł za wulgarny. W rezultacie Dicka zwolniono z pracy, choć zdaniem wielu osób, sam prosił się o to od dawna.

Euforia wśród kobiet z redakcji nowojorskiej nie trwała długo. Nowy redaktor wiadomości okazał się takim samym wałem, jakim był Dick, a na dodatek nosił mało ekscytujące imię Fred.

- Jeżeli już ktoś ma mnie opierdalać, to wolę, żeby był to wał w rodzaju Dicka, niż żeby krzywił się na mnie taki Fred - powiedziała Mary, której nazwiska Wallingford nie pamiętał, a której w ostatnich latach wyostrzył się język.

Tuż za progiem nowego stulecia ten sam międzynarodowy zespół chirurgów, który przeprowadził w Lyonie pierwszy na świecie udany przeszczep ręki, przystąpił do przygotowań do kolejnej pionierskiej transplantacji, tym razem obu rąk i przedramion. Anonimowym biorcą była kolejna ofiara przypadkowej eksplozji ogni sztucznych, trzydziesto-trzyletni Francuz, który stracił ręce w 1996 roku, dawcą natomiast dziewnastolatek, który zabił się wskutek upadku z mostu.

Wallingforda interesowały jednak głównie losy pierwszych dwóch biorców dłoni. Były więzień, Clint Hallam, oczekiwał na amputację ręki, którą miał przeprowadzić jeden z chirurgów, asystujących kiedyś przy przeszczepie. Na dwa miesiące przed operacją Hallam przestał zażywać immunosupresyjny lek, będący ważnym elementem kuracji mającej zapewnić tolerancję na przeszczep. Nosił też skórzaną rękawiczkę, by zasłonić dłoń, której wygląd określił jako „ohydny”. (Zaprzeczał później, jakoby przestał zażywać wspomniane lekarstwo). Nie przestał natomiast wchodzić w konflikt z prawem. Policja francuska aresztowała pana Hallama pod zarzutem kradzieży pieniędzy i karty kredytowej American Express na szkodę pacjenta z przeszczepioną wątrobą, z którym Nowozelandczyk zaprzyjaźnił się w szpitalu w Lyonie. I chociaż ostatecznie władze zezwoliły Hallamowi na opuszczenie Francji, gdy zwrócił poszkodowanemu część pieniędzy, groziło mu kolejne aresztowanie w Australii w związku z podejrzeniem o udział w jakiejś aferze paliwowej. (Wygłąda więc na to, że Zajac trafnie ocenił Clinta Hallama).

Matthew David Scott z Absecon w stanie New Jersey, drugi pacjent z przeszczepioną dłonią, był jedyną osobą, której Wallingford otwarcie zazdrościł, choć z pewnego szczególnego powodu. Obiektem zazdrości Wallingforda nie była przeszczepiona ręka pana Scotta, ale podczas transmisji telewizyjnej z meczu drużyny Phillies, który facet od ogni sztucznych rozpoczął rzutem piłki, Patrick zauważył, że Matthew Davidowi Scottowi towarzyszy syn. Wallingford zazdrościł panu Scottowi syna.

Wracając do zdrowia po amputacji ręki Ottona seniora, Patrick miał przeczucie, że kiedyś ogarną go, jak to określał, ojcowskie sentymenty. Nie podawano mu żadnych niezwykłych środków przeciwbólowych, choć może to one skłoniły Patricka do obejrzenia po raz pierwszy w życiu finału Super Bowl. Oczywiście nie znał się na futbolu i nie wiedział, że takiego meczu nie należy oglądać w samotności.

Przez całe spotkanie chciał zatelefonować do pani Clausen, żeby zapytać, o co chodzi w tej grze, ale trzydziesty trzeci finał Super Bowl był symboliczną rocznicą przypadkowej (bądź samobójczej) śmierci Ottona Clausena w kabinie ciężarówki. Co więcej, w tym roku Packersi nie doszli do finału i Doris poinformowała wcześniej Patricka, że zaszyje się gdzieś w samotności, by nie oglądać ani nie słuchać meczu. Wallingford musiał zatem radzić sobie sam.

Wypił kilka piw, nie zrozumiał jednak, co ludzie widzą w futbolu. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że zestaw przeciwników był fatalny: Broncości zwyciężyli po raz drugi z rzędu, toteż ich fani byli bez wątpienia zachwyceni, ale mecz był mniej zacięty i bardziej jednostronny niż przed rokiem. Atlanta Falcons nie mieli czego szukać w finale. (A w każdym razie tak uważali wszyscy mieszkańcy Green Bay, z którymi Patrick miał później okazję rozmawiać).

Jednak oglądając Super Bowl jednym okiem, Patrick po raz pierwszy wyobraził sobie, że idzie na mecz Packersów na Lambeau Field z Doris i Ottonem juniorem. A może tylko z synem, gdy chłopak trochę podrośnie. Zaskoczyła go ta myśl, ale trzydziesty trzeci finał Super Bowl odbył

się w styczniu 1999 roku. W kwietniu, oglądając Matthew Davida Scotta na meczu Phillies, Wallingford nie dziwił się już więcej, mając za sobą kilka kolejnych miesięcy tęsknoty za Ottonem juniorem i jego matką. Bez względu na to, czy na zawsze stracił panią Clausen, obawiał się słusznie, że jeśli nie postara się widywać malca częściej (było to już latem 1999 roku, kiedy Otto junior miał dopiero osiem miesięcy i jeszcze nie zaczął raczkować), nie uda mu się w przyszłości zbudować związku z synem.

Jedyną osobą w Nowym Jorku, której Wallingford zwierzył się z obaw, że może stracić okazję, by zostać ojcem, była Mary, która absolutnie nie nadawała się na zauszniczkę. Kiedy Patrick oświadczył, że chciałby być dla Ottona juniora „bardziej jak ojciec”, Mary przypomniała mu, że może ją pukać, kiedy tylko zechce, i zostać ojcem dziecka, które będzie mieszkać w Nowym Jorku.

- Nie musisz jeździć do Green Bay w Wisconsin, żeby być ojcem, Pat - powiedziała Mary.

Patrick był zdania, że przemiana, jakiej uległa Mary, przeistaczając się z miłej, sympatycznej dziewczyny w kogoś, kto nie owijając w bawełnę, powiada, że pragnie jego nasienia, nie przynosi chwały pozostałym pracownikom redakcji nowojorskiej. Wciąż jednak nie zauważył, że to mężczyźni mieli o wiele większy wpływ na Mary. Bo Mary miała problemy z mężczyznami, a w każdym razie tak się jej wydawało - co zresztą na jedno wychodzi.

W każdy weekend, kończąc program, Wallingford mówił: „Dobranoc, Doris. Dobranoc, mój mały Otto”, nie wiedząc, czy Doris i Otto go oglądają. A pani Clausen nie zadzwoniła ani razu z informacją, że oglądała wieczorne wiadomości.

Nadszedł lipiec 1999 roku. Nad Nowy Jork nadeszła fala upałów. Był piątek. Latem Wallingford jeździł na weekendy do Bridgehampton, gdzie wynajął dom. Nie licząc możliwości kąpieli w basenie (Patrick postanowił nie pływać w morzu z uwagi na swoje kalectwo), pobyt w Bridgehampton nie różnił się niczym od pobytu w mieście. Spotykał tych samych ludzi na takich samych przyjęciach, jak w Nowym Jorku, co zresztą i jemu, i wielu innym nowojorczykom bardzo się podobało w Bridgehampton.

W ten weekend znajomi zaprosili go na Cape Cod - miał lecieć na Martha's Vineyard. Ale jeszcze zanim poczuł delikatne klucie w miejscu, w którym odjęto mu dłoń - bóle zdawały się obejmować pustkę, którą kiedyś wypełniała ręka - zatelefonował do przyjaciół i odwołał podróż pod pierwszym lepszym pretekstem.

Nie wiedział wtedy, jakie miał szczęście, że nie poleciał na Martha's Vineyard w tamten piątkowy wieczór. Potem przypomniał sobie, że na ten weekend podnajął już dom w Bridgeton, gdzie babska zgraja z redakcji nowojorskiej miała zorganizować „pepkówkę” - albo orgię, jak cynicznie myślał Wallingford. Przez chwilę zastanawiał się, czy Mary też tam będzie. (To znaczy zastanawiał się tkwiący w nim ciągle dawny Patrick Wallingford). Nowy Patrick nie spytał jednak Mary, czy znajdzie się wśród kobiet, które podnajmują jego domek na najbliższy weekend. Gdyby ją o to zapytał, domyśliłaby się, że Patrick dysponuje wolnym czasem, i zaproponowałaby, że dla niego zmieni plany.

Wallingford wciąż nie rozumiał, jak bardzo wrażliwe i delikatne są kobiety, zmuszone walczyć o urodzenie potomstwa. Mary nie poszłyby raczej na trwające cały weekend przyjęcie na cześć cudzego dziecka.

W środku lipca, w piątek, Patrick siedział więc samotnie w Nowym Jorku, nie mając żadnych planów weekendowych i nic do roboty. Podczas charakterystyki przed piątkowymi wiadomościami zastanawiał się, czy nie zadzwonić do pani Clausen. Nigdy sam nie wprasał się do Green Bay i zawsze czekał na zaproszenie od Doris. Zarówno ona, jak i Patrick dobrze jednak wiedzieli, że przerwy pomiędzy kolejnymi zaproszeniami od wdowy stają się coraz dłuższe. (Kiedy Patrick był u niej ostatnio, w Wisconsin leżał jeszcze śnieg).

A gdyby po prostu zadzwonić i powiedzieć: „Cześć! Czy ty i mały Otto jesteście zajęci w weekend? A co powiecie na to, żebym wpadł do Green Bay?”. I, o dziwo, nie wahając się dłużej, Wallingford wprowadził swój zamiar w czyn: ni stąd, ni zowąd zatelefonował do Doris.

- Dzień dobry - odezwała się automatyczna sekretarka głosem pani Clausen. - Mały Otto i ja wyjechaliśmy na weekend na północ. Nie mamy

telefonu. Wracamy w poniedziałek.

Patrick nie zostawił dla nich wiadomości, ale zostawił na słuchawce ślady pudru. Głos pani Clausen na automatycznej sekretarce, a zwłaszcza na poły wyobrażenie, na poły marzenie, w którym zobaczył ją w domku nad jeziorem, przyprawiło go o takie roztargnienie, że bezwiednie usiłował wytrzeć słuchawkę z pudru lewą ręką. Zdumiał się, kiedy kikut jego lewego przedramienia wszedł w kontakt z telefonem, i poczuł wtedy pierwsze ukłucia bólu.

Odłożył słuchawkę, ale mrowienie nie ustępowało. Obejrzał uważnie kikut, jak gdyby spodziewał się zobaczyć mrówki lub inne owady, rojące się na zabliznionej ranie, nic jednak nie zauważył. Wiedział, że nie ma również żadnych insektów pod blizną, czuł jednak mrowienie także przez cały czas trwania programu.

Mary wspomniała później, że w jego zazwyczaj pogodne życzenia dobrej nocy dla Doris i małego Ottona wkradła się jakaś apatyczna nuta, ale Wallingford wiedział, że wdowa na pewno nie ogląda programu. W domku nad jeziorem nie było elektryczności - powiedziała mu o tym pani Clausen. (Na ogół nie przejawiała ochoty do rozmów o posiadłości na północy stanu, a jeśli już mówiła na jej temat, to jakby bojaźliwie i niemal niedosłyszalnie).

Mrowienie nie ustąpiło również, kiedy charakteryzatorka zmywała mu twarz - wciąż czuł rojące się na skórze insekty. Ponieważ zastanawiał się nad czymś, co kiedyś powiedział mu Zajac, jedynie mimochodem odnotował w myślach, że jego stała charakteryzatorka jest na urlopie. Przypuszczał, że wpadł jej w oko, ale na razie nie odczuwał pokusy. Pomyślał natomiast, że podoba mu się sposób, w jaki dziewczyna żuje gumę, i zatęsknił nagle za tym widokiem. Dopiero teraz, kiedy jej zabrakło, przelotnie wyobraził ją sobie w nowej wersji - nago. Ale nadprzyrodzone bóle w jego nieistniejącej ręce nie pozwalały mu się na niczym skupić, podobnie jak wspomnienie dosadnej rady Zajaca.

- Niech pan nie kombinuje, jeżeli będzie pan potrzebował mojej pomocy.

Więc Patrick nie kombinował. Zadzwoił do Zajaca do domu, choć sądził, że najslawniejszy bostoński chirurg wyjeżdża latem na weekendy poza miasto.

Doktor Zajac wynajął wprawdzie lotnisko w Maine, ale tylko na sierpień, kiedy Rudy miał być pod jego opieką. Medea, zwana coraz częściej Kolesiem, zżerała tony surowych małży i ostryg z muszelkami, ale najwyraźniej wyrosła już z upodobania do odchodów, więc Rudy i Zajac grali w lacrossa piłką. W pierwszym tygodniu lipca chłopiec uczęszczał nawet do szkoły lacrossa. A kiedy zatelefonował Wallingford, Rudy spędzał weekend z Zajacem w Cambridge.

Odebrała Irma.

- Słucham, o co chodzi? - zapytała.

Wallingford rozważał przez chwilę mało prawdopodobną możliwość, że doktor Zajac wychowuje gburowatą nastoletnią córkę. Wydało mu się to dziwne, wiedział bowiem, że chirurg ma młodsze dziecko, sześć- albo siedmioletniego chłopca w wieku syna Matthew Davida Scotta. Oczami wyobraźni Patrick widział tamtego obcego chłopca w bluzie bejsbolowej i z wzniesionymi w górę rękami, naśladującego gest ojca, gdy obaj cieszyli się ze zwycięskiego rzutu Scotta w Filadelfii. (Zwrotu „zwycięski rzut” użył jakiś dziennikarz).

- Słucham? - spytała znów Irma. Czy nieznajoma jest zgryźliwą, nimfomańską opiekunką dziecka Zajaca? Albo gosposią? Jak na gosposię persony w rodzaju Zajaca zachowywała się jednak zbyt prostacko.

- Zastanawiam się, czy doktor Zajac? - zapytał Wallingford.

- Mówi pani Zajac - odparła Irma. - Z kim mam przyjemność?

- Mówi Patrick Wallingford. Doktor mnie operował...

- Nicky! - usłyszał Patrick krzyk Irmy, chociaż zasłoniła słuchawkę ręką. - Dzwoni facet od lwów!

Wallingford rozpoznał niektóre odgłosy w tle: prawie na pewno dziecko, niechybnie psa i bez wątpliwości głucho dudnienie piłki. Potem rozległ się hurkot odsuwanej krzesła i gorączkowe drapanie psich pazurów, ślizgających się na drewnianej posadzce. Najwyraźniej Zajac bawił się z synem. Czyżby grali z psem w „dziada”? W końcu zdyszany chirurg podszedł do telefonu.

Skończywszy opisywać symptomy swoich dolegliwości, Wallingford dodał z nadzieją:

- Może to tylko pogoda.

- Pogoda? - zapytał Zajac.

- No wie pan... te upały - wyjaśnił Patrick.

- A nie przebywa pan na ogół we wnętrzach? - zapytał Zajac. - Nie macie klimatyzacji w Nowym Jorku?

- To nie zawsze jest ból - ciągnął Wallingford. - Czasami to takie uczucie, jak gdyby miał się zacząć, ale nie następuje. To znaczy wydaje się jakby, że rwanie albo klucie doprowadzi do bólu, ale nie, sensacje po chwili mijają, jakby przerwano ich dopływ... jak dopływ prądu.

- Dokładnie - powiedział Zajac. A czego Wallingford się spodziewał? Lekarz przypomniał mu, że zaledwie pięć miesięcy po przeszczepie jego organizm zregenerował tkankę nerwową na długości dwudziestu dwóch centymetrów.

- Pamiętam - odparł Patrick.

- Więc proszę spojrzeć na sprawę w ten sposób: te nerwy nadal mają coś do powiedzenia - zauważył Zajac.

- Ale dlaczego odzywają się dopiero teraz? - spytał Wallingford. - Minęło pół roku, odkąd odjęto mi dłoń. Odczuwałem przedtem różne sensacje, ale nic równie osobliwego, jak ostatnio. Naprawdę czuję, że dotykam czegoś środkowym albo wskazującym palcem lewej ręki, której przecież nie mam!

- A co poza tym słychać w pańskim życiu? - brzmiała odpowiedź Zajaca. - Zdaje się, że zawód dziennikarza bywa stresujący? Nie wiem, jak przebiega pańskie życie uczuciowe ani czy w ogóle przebiega, przypominam sobie jednak, że było ono przedmiotem pańskiej troski, a w każdym razie tak pan kiedyś twierdził. Proszę więc tylko pamiętać, że nerwy, nawet amputowane, mogą być pobudzane przez najrozmaitsze czynniki.

- Sęk w tym, że moje nerwy nie zachowują się jak „amputowane” - powiedział Wallingford.

- No właśnie - odparł Zajac. - Czuje pan coś, co my, lekarze, nazywamy parestezją. Jest to zwodnicze, nieuchwytnie uczucie. Nerw, który dawniej powodował, że czuł pan ból albo dotyk środkowym czy wskazującym

palcem, został dwukrotnie przecięty, pierwszy raz przez lwa, a drugi przeze mnie! Odcięte włókno tkwi jednak nadal w kikucie pnia wiązki nerwowej w towarzystwie milionów innych nerwów, biegnących we wszystkich kierunkach. Jeśli więc przecięty neuron otrzyma w szczycie kikuta bodziec dotykowy, pamięciowy bądź senny, wyśle ten sam komunikat, który wysyłał zawsze. Doznania rejestrowane rzekomo przez pańską lewą dłoń w rzeczywistości rejestrują włókna i ścieżki nerwowe, łączące kiedyś rękę z resztą ciała. Rozumie pan?

- O tyle, o ile - odpowiedział Patrick. (Powinien był raczej powiedzieć, że „nie za bardzo”). Wpatrywał się w swój kikut, który oblażył znów niewidzialne mrówki.

Zapomniał wspomnieć Zajacowi o uczuciu mrowienia, wywoływanym jakby przez roje owadów, ale chirurg nie dał mu na to czasu.

Zajac odgadł bowiem, że Patrickowi nie wystarczy takie wyjaśnienie.

- Jeżeli ma pan obawy w związku z tą sprawą, proszę przylecieć jutro do Bostonu. Niech się pan zatrzyma w jakimś miłym hotelu i wpadnie do mnie rano.

- W sobotę? - zapytał Patrick. - Nie chcę panu psuć weekendu.

- Nigdzie się nie wybieram. Muszę tylko znaleźć kogoś, kto nam stworzy budynek. Dla mnie to nie pierwszozna, a do swojego gabinetu mam klucze.

Wallingford właściwie przestał się martwić odjętą ręką, ale czy miał w ten weekend coś lepszego do roboty?

- No, wsiądzie pan w samolot i już - mówił dalej Zajac. - Przyjmę pana rano, choćby po to, żeby pana uspokoić.

- O której?

- O dziesiątej - zaproponował Zajac. - Niech pan wynajmie pokój w hotelu „Charles”. To w Cambridge, na Bennett Street przy Harvard Square. Mają świetną salę gimnastyczną i basen.

Wallingford zgodził się.

- Dobra. Zobaczmy, czy uda mi się załatwić rezerwację.

- Zarezerwuję panu pokój - powiedział Zajac. - Znają mnie tam, a Irma należy do miejscowego klubu gimnastycznego.

Irma, jak wydedukował Wallingford, była żoną chirurga - kobietą, którą trudno byłoby nazwać złotoustą.

- Dziękuję. - Wallingford nie zdobył się na nic więcej. W tle słyszał radosne wrzaski syna doktora Zajaca, groźne powarkiwania rozdokazywanego psa oraz odgłos odbijającej się o ściany twardej, ciężkiej piłki.

- Tylko nie na moim brzuchu! - krzyknęła Irma tak głośno, że Patrick też ją usłyszał.

Co „tylko nie na jej brzuchu”? Nie mógł wiedzieć, że Irma jest w ciąży, ani tym bardziej że spodziewa się bliźniąt. Miała rodzić dopiero w połowie września, ale była już pękata niczym największa ptasia klatka w domu Zajaca, i najwidoczniej dlatego nie życzyła sobie, żeby dziecko albo pies hasali po jej brzuchu.

Patrick pożegnał się z pracownikami redakcji - nigdy nie wychodził jako ostatni członek ekipy wieczornego wydania wiadomości i tego wieczoru także ostatni nie wyszedł, bo koło windy czekała na niego Mary. To, co udało się jej podsłuchać z rozmowy telefonicznej Patricka, zrozumiała opacznie, więc zalewała się łzami.

- Kim ona jest? - zapytała Mary.

- Kim jest kto? - odpowiedział pytaniem Wallingford.

- Musi być mężatką, jeżeli umawiacie się na sobotę rano.

- Mary, proszę cię...

- Komu boisz się popsuć weekend? - spytała Mary. - Czy nie jakoś tak się wyraziłeś?

- Mary, lecę do Bostonu do mojego chirurga.

- Sam?

- Owszem, sam.

- To weź mnie ze sobą - powiedziała Mary. - Skoro jedziesz sam, to chyba możesz mnie zabrać? A zresztą ile czasu zajmie ci wizyta u lekarza? Resztę weekendu możesz spędzić ze mną.

Ryzyko było duże, ale postawił wszystko na jedną kartę i powiedział prawdę.

- Nie wezmę cię ze sobą. Nie chcę mieć z tobą dziecka, bo mam już syna, którego za rzadko widuję, i nie chcę drugiego dziecka, któremu też nie mógłbym poświęcić wiele czasu.

- Ach tak - powiedziała, jak gdyby zaskoczyły ją słowa Patricka. - Rozumiem. To wiele tłumaczy. Nie zawsze wyrażasz się tak jednoznacznie, Pat, więc cieszę się, że to zrobiłeś.

- Przykro mi, Mary.

- Chodzi ci o dziecko pani Clausen? Chłopak jest w rzeczywistości twoim synem, tak?

- Tak. Ale to nie jest informacja do wiadomości publicznej. Proszę, nie rozgłaszaj tego.

Zrozumiał, że ją rozzłościł. W holu panował klimatyzacyjny chłód, a nawet ziąb, ale od Mary było teraz jeszcze bardziej przejmujące zimno.

- Jak ci się wydaje, kim ja jestem? - warknęła. - Za kogo ty mnie masz?

- Za koleżankę z pracy - wykrztusił Wallingford.

Przyglądał się krążącej po korytarzu Mary, kiedy zamykały się za nim drzwi windy. Skrzyżowała ręce na drobnych, kształtnych piersiach. Ubrana była w letnią spódnicę cielistego koloru i brzoskwiniowy sweter, zapięty tylko na jeden guzik pod szyją. Słyszał, że jedna z kobiet z redakcji nowojorskiej nazywała takie swetry „antyklimatyzacyjnymi”. Pod swetrem Mary nosiła jedwabny podkoszulek. Miała długą szyję, zgrabną figurę i gładką skórę, a Patrickowi szczególnie podobały się jej usta, na których widok miał czasem ochotę zrewidować decyzję zabraniającą mu iść z nią do łóżka.

Na lotnisku La Guardia musiał czekać na pierwsze wolne miejsce do Bostonu, ale załapał się już na drugi rejs. Zapadał zmrok, kiedy samolot podchodził do lądowania, a nad zatoką bostońską unosiła się delikatna mgiełka.

Patrick wspominał później, że wylądował w Bostonie mniej więcej w tym samym czasie, kiedy John F. Kennedy junior usiłował посадzić swój samolot na nieodległym lotnisku na Martha's Vineyard. A może próbował wypatrzeć w dole wyspę w tym samym mętym świetle, w oparach wodnych, przypominających bostońską mgiełkę?

Wallingford zajął pokój przed dziesiątą i natychmiast poszedł na kryty basen, gdzie samotnie spędził pół godziny, regenerując siły. Chętnie zostałby dłużej, ale basen zamykano o wpół do jedenastej. Dysponując

tylko jedną ręką, lubił dryfować i pływać na stojąco. W zgodzie ze swoim charakterem, dryfował doskonale.

Zamierzał po kąpeli ubrać się i pospacerować po Harvard Square. Trwały zajęcia na różnych letnich kursach, spotka więc studentów, którzy przypomną mu zmarnowaną młodość. Znajdzie także pewnie knajpkę, gdzie zje przyzwoitą kolację i wypije flaszkę dobrego wina. A w jednej z księgarń na placu uda mu się może wyszukać jakąś bardziej zajmującą lekturę niż książka, którą przywiózł ze sobą, czyli gruba jak cegła biografia Byrona. Ale już w taksówce, w którą wsiadł na lotnisku, dokuczał mu uciążliwy upał, a kiedy po kąpeli wrócił do pokoju, zdjął mokre kąpielówki, położył się nago na łóżku i przymknął na chwilę oczy. Widocznie był jednak zmęczony. Obudził się prawie godzinę później, zziębnięty, klimatyzacja działała bowiem bez zarzutu. Włożył szlafrok i wziął się do lektury jadłospisu dań, które można było zamówić do pokoju. Wybrał tylko piwo i hamburgera - nie miał już ochoty wychodzić z hotelu.

Wierny swojemu postanowieniu, nie zamierzał w weekend włączyć telewizora. Jeśli pamiętamy, że alternatywą dla telewizji była biografia Byrona, upór Patricka w tym względzie był zdumiewający. Usnął jednak tak szybko - Byron dopiero przyszedł na świat, a nieudolny tata małego poety znajdował się jeszcze wśród żywych - że biografia nie zdążyła sprawić mu żadnej przykrości.

Rano zjadł śniadanie w skromnej restauracji hotelowej na dole. W sali jadalnej, nie wiedzieć czemu, popadł w irytację. Nie chodziło o dzieci, może więc zauważył zbyt wielu dorosłych, którym obecność dzieci w restauracji wyraźnie przeszkadzała.

Nie oglądał telewizji i nawet nie rzucił okiem na gazetę, ale poprzedniego wieczoru i rano cały kraj żył pewną bulwarową rewelacją telewizyjną. Otóż samolot JFK juniora zniknął i wszystko wskazywało na to, że spadł do oceanu, nie było jednak żadnych materiałów filmowych, dokumentujących to zdarzenie, toteż telewizja pokazywała w kółko zdjęcia młodego Kennedy'ego na pogrzebie ojca. Na filmie John junior, trzyletni

chłopiec w szortach, oddawał honory trumnie ze zwłokami JFK wedle wskazań matki, która udzieliła mu na ucho odpowiednich instrukcji. Wallingford doszedł później do wniosku, że ten widok może być znanym symbolem złotego stulecia w dziejach Ameryki, stulecia, które, podobnie jak JFK, umarło, choć pozostało przedmiotem działań marketingowych.

Po śniadaniu dopijał jeszcze kawę przy stoliku, usiłując nie odwzajemnić uprzejmego spojrzenia nieznajomej kobiety w średnim wieku, siedzącej po drugiej stronie sali. Niestety, kobieta wstała i ruszyła w jego kierunku. Celowo wybrała trasę wiodącą obok stolika Wallingforda, i chociaż przyjęła obojętną minę, Patrick był pewien, że go zagadnie. Wyczuwał takie rzeczy i często domyślał się, co dana kobieta ma do powiedzenia, w tym wypadku pomylił się jednak zupełnie.

Była bez makijażu, ale i tak dało się zauważyć, że twarz nieznajomej musiała być kiedyś ładna. Niefarbowane włosy kobiety pokrywała siwizna, w kącikach jej ciemnobrązowych oczu czaiły się zmarszczki, a w nich zmęczenie i smutek, przywodzące Patrickowi na myśl postarzałą panią Clausen.

- Śmieć... obrzydliwa świnia... jak pan może spać spokojnie w nocy? - zapytała kobieta chrapliwym szeptem. Mówiła przez zaciśnięte zęby i rozchyłała usta tylko na tyle, żeby pluć słowami.

- Słucham? - zapytał Wallingford.

- Przyleciałeś tu jak na skrzydłach, co? - powiedziała kobieta. - Te nieszczęsne rodziny... Nigdy nieodnalezione ciała. Ale to cię nie powstrzymuje, o nie. Żerujesz na cudzym nieszczęściu. Powinniście się nazywać stacją śmierci... nie, kanałem rozpacz! Bo wy nie tylko wkraczacie w prywatne życie tych ludzi, ale kradniecie im rozpacz! Upublicznacie ich prywatną rozpacz, nie dając im nawet czasu, by mogli zacząć rozpaczać!

Wallingford niesłusznie podejrzewał, że kobieta mówi generalnie o jego telewizyjnej przeszłości. Odwrócił wzrok od obsesyjnego spojrzenia nieznajomej, ale wśród śniadaniowych towarzyszy w restauracji nie zauważył nikogo, kto pośpieszyłby mu z pomocą, a sądząc po bez wyjątku

wrogich wyrazach ich twarzy, można było przypuszczać, że podzielają poglądy zdemenciałej baby.

- Staram się podawać informacje ze współczuciem dla ofiar - zaczął Patrick, ale bliska fizycznej agresji kobieta wpadła mu w słowo.

- Współczucie! - zawołała. - Gdybyś miał choć odrobinę współczucia dla tych nieszczęśników, zostawiłbyś ich w spokoju!

Kobieta była najwyraźniej pomyłona, więc jak miał się w tej sytuacji zachować Wallingford? Przyszpilił paragon kikutem lewej ręki, szybko dorzucił napiwek, podał na rachunku numer swojego pokoju i podpisał się, podczas gdy nieznajoma obserwowała go zimno. Patrick wstał, a kiedy na odchodnym skinął jej głową i ruszył w stronę wyjścia, zauważył, że wszystkie dzieci gapią się z otwartymi ustami na jego pozbawione dłoni lewe ramię.

Ubrany od stóp do głów na biało zastępca szefa kuchni z gniewną miną groźnie przyglądał się Wallingfordowi zza bufetu.

- Ty hieno - powiedział.

- Szakał! - zawołał jakiś starszy pan przy sąsiednim stoliku.

Kobieta, która pierwsza napadła na Patricka, rzuciła mu w plecy:

- Ty sępie... Ścierwojadzie...

Wallingford szedł, nie odwracając się, wyczuwał jednak, że kobieta idzie za nim - towarzyszyła mu aż do windy. Wcisnął guzik, a w oczekiwaniu na windę słyszał z tyłu oddech nieznajomej, choć nie śmiała na nią spojrzeć. Kiedy wszedł do środka, stał plecami do wejścia, dopóki drzwi się nie zasunęły. Odwrócił się dopiero, kiedy nacisnął guzik swojego piętra na tablicy rozdzielczej, ale kobieta nie weszła z nim do windy i zdumiony Patrick stwierdził, że jest sam.

Pomyślał, że takie jest Cambridge - roi się tu od różnych intelektualistów z Harvardu i MIT, którzy nie mogą ścierpieć prostactwa mediów. Umył zęby, oczywiście prawą ręką, choć doskonale pamiętał, jak uczył się wykonywać tę czynność przeszczepioną dłonią, zanim nieoczekiwanie zwiędła i zdechła. Wciąż nieświadomy najważniejszej wiadomości

dnia, zszedł do recepcji, wezwał taksówkę i pojechał do doktora Zajaca.

Woń seksu, jaką roztaczał wokół doktor Zajac, a zwłaszcza jego twarz, wprawiała Patricka w głębokie zakłopotanie, albowiem nie interesowały go dowody na istnienie prywatnego życia chirurga, nawet wtedy, kiedy Zajac zapewnił po raz kolejny, że sensacje, jakich Wallingford doznaje w kikucie lewego przedramienia, nie są niczym niezwykłym.

Okazało się, że mrowienie na skórze i pod skórą posiada fachową nazwę.

- To tak zwane mrowienie - powiedział Zajac.

Wallingford przesłyszał się, jak zwykle.

- Pieprzenie? - zapytał.

- Halucynacja dotykowa. Mrowienie - powtórzył lekarz. - Nie pieprzenie.

- Aha.

- Proszę sobie po prostu wyobrazić, że nerwy mają dobrą pamięć - powiedział Zajac. - Tym, co pobudza pańskie nerwy, nie jest amputowana dłoń, a o pańskim życiu uczuciowym wspomniałem tylko dlatego, że kiedyś sam pan o nim opowiadał. Natomiast co do stresu, to mogę sobie tylko wyobrazić, jak ciężki tydzień pana czeka. Nie zazdroścuję panu kilku najbliższych dni. Wie pan chyba, o co mi chodzi.

Wallingford nie wiedział, o co mu chodzi. Dlaczego Zajac wyobraża sobie, że nadchodzący tydzień będzie dla niego ciężki? Ale chirurg zawsze wydawał się Patrickowi szurnięty. Zastanawiał się nawet, czy wszyscy mieszkańcy Cambridge nie są obłąkani.

- Fakt, jeżeli chodzi o życie uczuciowe, nie jestem szczególnie szczęśliwy - przyznał Wallingford i zaraz za milką, nie przypominał sobie bowiem, by kiedykolwiek omawiał z Zajacem swoje sprawy sercowe. (Czyżby środki przeciwbólowe były mocniejsze, niż wydawało mu się po operacji?).

Wallingford popadł w jeszcze większą konsternację, próbując ustalić, co od tamtych dni zmieniło się w gabinecie Zajaca. Gabinet chirurga był dla Patricka święty, a jednak wydawał się zupełnie inny niż pokój, w

którym zniewoliła go kiedyś pani Clausen, na tym samym krześle, na którym siedział teraz, omiatając wzrokiem ściany.

Oczywiście! Zniknęły fotografie sławnych pacjentów Zajaca, ich miejsce zajęły natomiast dziecięce rysunki, a ściślej mówiąc, rysunki jednego dziecka, wszystkie były bowiem autorstwa Rudy'ego. Patrickowi wydawało się, że niektóre z nich przedstawiają pałace w niebie, na innych dopatrzył się zaś dużych tonących statków - nie było wątpliwości, że młody artysta oglądał „Titanica”. (Zajac i Rudy widzieli film dwukrotnie, choć Zajac kazał synowi zamknąć oczy podczas sceny erotycznej).

Co zaś do modelki pozującej do cyklu fotografii, które prezentowały kolejne stadia ciąży młodej kobiety... cóż, trudno się dziwić, że Wallingford poczuł pociąg do jej ordynarnej seksualności. Zapewne była to Irma, czyli pani Zajac, jak przedstawiła się podczas rozmowy telefonicznej z Patrickiem. Że Irma urodzi bliźnięta, Wallingford dowiedział się dopiero wtedy, kiedy zainteresował się pustymi ramkami do zdjęć, porozwieszanymi na ścianach parami.

- Jak tylko się urodzą, powiesimy tu ich fotografie - oświadczył dumnie Zajac.

U Schatzmana, Gingeleskiego, Mengerinka, Zajaca & Spółki nikt nie zazdrościł bliźniąt Zajacowi, chociaż ten kretyń Mengerink twierdził, że dobrze mu tak, bo posuwa żonę co najmniej dwa razy częściej niż „normalni” ludzie. Schatzman nie miał zdania na temat zbliżających się narodzin dzieci doktora Zajaca, ponieważ przeszedł w stan wiecznego spoczynku i zmarł. Gingeleskie natomiast (pozostały przy życiu z dwóch braci) zrobił się jeszcze bardziej złośliwy i przeniósł zazdrość o Zajaca na młodszego kolegę, którego do zespołu chirurgicznego wprowadził właśnie Zajac. Nathan Blaustein okazał się jego najlepszym studentem w klinice na Harvardzie, Zajac jednak ani trochę nie był o niego zazdrosny. W młodym Blausteinie dostrzegał po prostu lekarza lepszego od siebie technicznie - „technicznego geniusza”.

Kiedy pewnemu dziesięcioletkowi z New Hampshire maszyna do odśnieżania odcięła kciuk, doktor Zajac uparł się, żeby zabieg przyszycia

palca przeprowadził Blaustein. Kciuk był w okropnym stanie i na dodatek nierówno zamrożony. Odnalezienie odciętego palca w śniegu zajęło ojcu chłopca niemal godzinę, dojazd do Bostonu z rodziną kolejne dwie, operacja skończyła się jednak sukcesem, i Zajac prowadził już agitację wśród kolegów, aby nazwisko Blausteina umieścić na szyldzie i papierze firmowym. Apel Zajaca sprawił, że Mengerink zakipiał z oburzenia, a Schatzman i Gingeleskie (ten nieżywy) niewątpliwie przewracali się w grobach.

Jeśli idzie o ambicje doktora Zajaca w dziedzinie przeszczepu dłoni, to obecnie nad tego rodzaju zabiegami czuwał młody Blaustein. (Zajac przewidział trafnie, że niedługo coraz częściej będzie się przeprowadzało podobne operacje). Chociaż zadeklarował, że z przyjemnością pozostanie członkiem zespołu chirurgicznego, uważał zarazem, że zabiegami powinien kierować najlepszy chirurg w firmie, czyli Blaustein, i nie odczuwał z tego powodu ani zawiści, ani oburzenia. Całkiem nieoczekiwanie, nawet dla siebie samego, doktor Nicholas M. Zajac stał się szczęśliwym, pełnym spokoju człowiekiem.

Odkąd Wallingford stracił dłoń Ottona Clausena, Zajac kontentował się konstruowaniem rozmaitych urządzeń protetycznych, które projektował i składał na kuchennym stole w domu, słuchając śpiewających w klatkach ptaków. Patrick Wallingford był idealnym zwierzęciem doświadczalnym, na którym mógł wypróbowywać swoje wynalazki, dziennikarz bowiem chętnie je prezentował podczas emisji wieczornych wiadomości, choć sam nie zdecydował się na noszenie protezy. Ale i taka reklama przynosiła Zajacowi korzyści.

Opracowaną przez niego protezę, nazwaną, jak nietrudno zgadnąć, „zajacem”, produkowano już w Niemczech i w Japonii. (Model niemiecki był nieznacznie droższy, obie wersje sprzedawano jednak na całym świecie). Sukces „zajaca” pozwolił chirurgowi przejść na pół etatu. Prowadził ciągle zajęcia w akademii medycznej, ale mógł teraz poświęcić więcej czasu swoim wynalazkom, Rudy'emu, Irmie oraz mającym przyjść wkrótce na świat bliźniętom.

- Powinien pan mieć dzieci - powiedział Zajac Patrickowi. Ponieważ zgasił światło w gabinecie, objali się o siebie w ciemnościach. - Dziecko potrafi zmienić życie człowieka.

Wallingford nie bez wahania wspomniał, jak bardzo zależy mu na zbudowaniu trwałego związku z Ottonem juniorem. Czy doktor Zajac mógłby wskazać mu najlepszy sposób na dotarcie do małego dziecka, szczególnie takiego, którego ojciec nie widuje zbyt często?

- Trzeba mu czytać na głos - odpowiedział Zajac. - Nie ma nic lepszego od głośnej lektury. Niech pan zacznie od „Stuarta Malutkiego”, a potem proszę spróbować „Pajęczyny Charlotty”.

- Pamiętam te książki! - zawołał Patrick. - Uwielbiałem „Stuarta...” i pamiętam, jak moja matka płakała, czytając mi „Pajęczynę”

- Ludzi, którzy nie płaczą, czytając „Pajęczynę...” - należałoby poddać lobotomii - odparł Zajac. - A ile lat ma mały Otto?

- Otto ma osiem miesięcy.

- Ach, no to nie, chłopak zaczyna przecież dopiero raczkować - powiedział Zajac. - Niech pan zaczeka, aż skończy sześć albo siedem lat. Kiedy będzie miał osiem albo dziewięć, sam będzie sobie czytał, a wcześniej może po prostu słuchać, jak czyta mu ojciec.

- Sześć, siedem lat? - powtórzył Patrick. Jak mógłby czekać tak długo, żeby zbudować związek z Ottonem juniorem?

Zajac zamknął gabinet i zjechał z Patrickiem windą na parter. Zaproponował, że podrzuci go z powrotem do hotelu, który i tak mija w drodze do domu. Wallingford zgodził się chętnie - i dopiero z samochodowego radia Zajaca sławny dziennikarz telewizyjny dowiedział się w końcu o zaginięciu samolotu J.F. Kennedy'ego.

Dla niemal wszystkich prócz niego była to wiadomość już nieświeża. JFK junior wraz z żoną i bratową zaginął nad morzem i najprawdopodobniej poniósł śmierć. Za sterami samolotu zasiadał młody Kennedy, niezbyt doświadczony pilot. Wspominano o mgle, wiszącej nad Martha's Vineyard ubiegłej nocy. Odnaleziono kwity bagażowe, potem bagaże, a w końcu szczątki maszyny.

- Oby tylko wydobyli ciała - rzucił Zajac. - Bo jeśli nie znajdą zwłok, zaczną się różne domysły i spekulacje.

Wallingford wyraził przekonanie, że domysły i spekulacje będą się ciągnąć przez co najmniej tydzień bez względu na to, czy ciała zostaną znalezione, czy nie. O mały włos nie poprosił o urlop w nadchodzącym tygodniu i teraz zaczynał żałować, że tego nie zrobił. (Ostatecznie postanowił wziąć tydzień wolnego jesienią, najlepiej, kiedy Packersi będą rozgrywali mecz na Lambeau Field).

Wrócił do hotelu, czując się jak skazaniec. Wiedział już, czego dotyczyć będą bulwarowe wiadomości przez cały następny tydzień. Był to najbardziej nienawistny aspekt profesji Patricka, który musiał w nim, niestety, uczestniczyć.

Kobieta przy śniadaniu mówiła o „kanale rozpaczy”, ale celowe rozbudzanie nastrojów publicznej żaloby nie było w żadnym wypadku znakiem firmowym stacji, w której pracował Wallingford. Nieumiarkowane zainteresowanie śmiercią stało się w telewizji po prostu czymś tak powszechnym, jak prognozy niepogody. Śmierć i niepogoda wypadały w telewizji najbardziej efektownie.

Bez względu na to, czy ciała zostaną odnalezione, czy nie, i bez względu na to, jak długo trzeba będzie ich szukać - aby, jak mówili niezliczeni dziennikarze, „zamknąć” sprawę - nikt nie zamierzał jej zamykać, przynajmniej dopóki nie odgrzeje się na oczach społeczeństwa wszystkich zdarzeń z najnowszych dziejów rodziny Kennedych. Inwazja mediów w ich prywatne życie wcale nie była najobrzydliwszym przejawem sprawy. Zdaniem Patricka, największe zło polegało na tym, że historia Kennedych nie była materiałem informacyjnym, lecz wtórnie przetworzonym melodramatem.

Hotelowy pokój był milczący i chłodny niczym grobowa krypta. Patrick leżał na łóżku, próbując przewidzieć najgorsze, zanim włączył telewizor. Myślał o starszej siostrze JFK juniora, Caroline, którą podziwiał za to, że dystansuje się od prasy. Dom, który Wallingford wynajął na lato w Bridgehampton, nie był odległy od Sagaponack, gdzie Caroline Kennedy Schlossberg spędzała wakacje z mężem i dziećmi. Odznaczała się

pospolitą, choć elegancką urodą, a mimo że miała stać się wkrótce obiektem intensywnego zainteresowania mediów, Patrick wierzył, że uda jej się zachować godność osobistą.

Ogarnęło go nagle takie obrzydzenie i zrobiło mu się tak niedobrze, że nie był w stanie włączyć telewizora. Jeżeli wróci do Nowego Jorku, będzie musiał odpowiedzieć na nagrania na automatycznej sekretarce, a w dodatku telefon będzie się urywał. Jeżeli natomiast zostanie w hotelu „Charles”, w końcu obejrzy jednak telewizję, choć wiedział już, co zobaczy: kolegów-dziennikarzy, samozwańczych arbitrów moralnych, których miny i słowa mają świadczyć o ich rzekomo wyjątkowej uczciwości i szczerości.

Dziennikarski desant z pewnością wylądował już w Hyannisport. Na drugim planie kadru byłoby widać żywopłot, nietrudną do przewidzenia zaporę z zarośli kocierpki. Dalej, za żywopłotem, majaczyłyby jedynie okna na piętrze osłepiająco białego domu. (Okna sypialni, o zaciągniętych zasłonach). Mimo to stojący na pierwszym planie dziennikarz zachowywałby się tak, jak gdyby zaproszono go do środka.

Dalej otrzymalibyśmy, oczywiście, omówienie historyjki zniknięcia killkumiejscowego samolotu z ekranów radarowych i jakiś trzeźwy komentarz, dotyczący domniemanej pomyłki pilota. Wielu kolegów Patriczka po fachu nie omieszkałoby skorzystać z okazji, by zakwestionować rozsądek JFK juniora. Więcej, stawiano by pod znakiem zapytania rozsądek Kennedych w ogóle i bez wątplenia podniesiono by kwestię „genetycznej nadpobudliwości” wśród męskich członków rodziny. Znacznie później natomiast, powiedzmy, pod koniec następnego tygodnia, ci sami dziennikarze oświadczyliby, że reportaże na temat Kennedych przekroczyły granice dobrego smaku, po czym wezwaliby do wstrzymania dyskusji. Zawsze było tak samo.

Zastanawiał się, ile czasu minie, zanim ktoś w redakcji zapyta Mary, gdzie podziewa się Wallingford. A może Mary próbowała się z nim skontaktować osobiście? Wiedziała, że pojechał do lekarza, a kiedy wyniknęła sprawa przeszczepu, nazwisko Zajaca wymieniano często w wiadomościach. Leżąc w bezruchu na łóżku w chłodnym pokoju, Patrick dziwił

się, że nikt ze stacji informacyjnej nie zadzwonił jeszcze do hotelu. Może nie mogli skontaktować się z Mary.

Pod wpływem niewytłumaczalnego impulsu podniósł słuchawkę i wykręcił numer swojego domku w Bridgehampton. Odebrała kobieta o histerycznym głosie, Crystal, po mężu Pitney, Patrick nie pamiętał jednak, jakie nazwisko nosiła, kiedy z nią sypiał. Przypomnił sobie, że w jej zachowaniach seksualnych było coś dziwnego, ale nie kojarzył teraz co.

- Wallingforda nie ma! - wrzasnęła Crystal, zamiast rzucić zwyczajowe „halo”. - I nie wiadomo, gdzie jest!

Patrick słyszał telewizję w tle: znajome, pełne udawanej powagi monotonne mamrotanie przerywały chwilami okrzyki kobiet z redakcji.

- Halo? - powiedziała Crystal Pitney, bo Wallingford nie odezwał się ani słowem. - Coś ty za jeden, palancie? - zapytała. - To zboczeniec... Słyszę, jak dyszy w słuchawkę! - poinformowała pani Pitney pozostałe kobiety.

Wallingford przypomniał sobie, że Crystal miała właśnie kłopoty z oddychaniem. Zanim poszli do łóżka, przestrzegła go, że cierpi na rzadką przypadłość respiratoryjną. Gdy brakowało jej tchu, a mózg nie otrzymywał odpowiedniej dawki tlenu, miewała zwidy i dostawała lekkiego hyzia, choć w jej przypadku był to prawdziwy eufemizm. Tchu zabrakło jej błyskawicznie, a zanim Wallingford spostrzegł, co się święci, Crystal ugryzła go w nos i przypaliła mu plecy lampką nocną.

Nie miał nigdy okazji poznać jej męża, pana Pitneya, podziwiał jednak wytrzymałość faceta. (Wedle norm obowiązujących wśród pracowników redakcji nowojorskiej, małżeństwo Pitneyów trwało już bardzo długo).

- Ty zboczeńcu! - zawołała Crystal. - Gdybyś wpadł mi w ręce, odgryzłabym ci mordę!

Patrick nie miał co do tego wątpliwości, odłożył więc słuchawkę, zanim Crystal zdążyła stracić oddech. Włożył kąpielówki, otulił się szlafrokiem i poszedł na basen, gdzie nie można go było osiągnąć telefonicznie.

Jedyną osobą na pływalni oprócz Wallingforda była kobieta nawracająca po pokonaniu kolejnych długości basenu. Na głowie miała

upodobniający ją do foki czarny czepek, a wodę młóciła ciężkimi uderzeniami ramion i roztrzepotanymi kopniakami. Patrick pomyślał, że jest w niej bezmyślna energia nakręcanej zabawki. Obawiając się nieco dzielić z nią basen, wycofał się do wanny z gorącą wodą, gdzie mógł się pluskać sam. Nie włączył strumieni podwodnych, bo miał ochotę poleżeć w stojącej wodzie. Powoli oswoił się z temperaturą, ale ledwie przybrał wygodną pozycję, będącą stadium pośrednim pomiędzy siedzeniem i dryfowaniem, pływająca tam i z powrotem kobieta wyszła z basenu, włączyła zegar kontrolujący pracę strumieni wody i dołączyła do Patricka w bulgocącej już wannie.

Młodsze lata wieku średniego miała niewątpliwie za sobą. Wallingford obrzucił szybko wzrokiem jej nieapetyczne ciało i uprzejmie odwrócił wzrok.

Rozbrajająco pozbawiona próżności kobieta usiadła w kipiącej wodzie, wysuwając na powierzchnię ramiona i tors, a potem zdjęła czepek i roztrzepała przylizane włosy. Dopiero wtedy ją poznał. To ona przy śniadaniu nazwała go „ścierwojadem” - i ona, dysząc niczym ognistooki pies, ścigała go aż do windy. Rozpoznali się nawzajem w tym samym momencie i oboje nie zdołali ukryć zaskoczenia.

Nieznajoma odezwała się pierwsza.

- Niezręczna sytuacja - powiedziała. Jej głos nie brzmiał już tak nastliwie, jak w restauracji.

- Nie chciałbym pani rozdrażnić - odpowiedział Patrick. - Więc pójdę po prostu na basen. I tak wolę basen od gorącej wanny.

Wsparł się prawą ręką na skrytym pod wodą stopniu i wstał. Z wody wyłonił się kikut jego lewej dłoni, wyglądający jak świeża, ociekająca krwią rana - jak gdyby dłoń odgryzł mu przed chwilą jakiś wodny potwór. Pod wpływem gorącej wody blizna przybrała kolor krwistoczerwony.

Kobieta wstała równocześnie z nim. Nie wyglądała ponętnie w prze-moczonej kostiumie - jej piersi zwisały żałośnie, a brzuch wystawał niczym niewielki pękaty woreczek.

- Niech pan zostanie - poprosiła kobieta. - Chciała bym się wytłuma-czyć z tego, co wtedy powiedziałam.

- Nie musi mnie pani przepraszać - odpowiedział Pa trick. - W zasadzie zgadzam się z panią, tylko po prostu nie rozumiałem kontekstu. Nie przyjechałem do Bostonu z powodu zaginięcia samolotu JFK juniora, a kiedy mnie pani zaczepiła, nie wiedziałem nawet, że młody Kennedy zginął. Przyjechałem do lekarza, w sprawie ręki.

Wallingford instynktownie uniósł kikut, o którym wyrażał się wciąż jak o zdrowej dłoni, ale opuścił go szybko i zanurzył w wodzie, spostrzegłszy, że niechcący wskazał amputowaną ręką jej obwisłe piersi.

Kobieta chwyciła kikut obiema rękami i wciągnęła Patricka z powrotem do gorącej, bulgocącej wody. Przysiedli obok siebie na podwodnym stopniu, a ona wciąż ścisnęła oburącz jego przedramię o cal lub dwa powyżej miejsca, gdzie przed laty lew odgryzł mu dłoń. Silniej w życiu ścisnął go tylko król zwierząt. Znów miał wrażenie, że wraca mu czucie i że czubkami środkowego i wskazującego palca lewej ręki dotyka podbrzusza nieznajomej, choć zdawał sobie sprawę, że lewej ręki nie ma.

- Proszę mnie wysłuchać - powiedziała kobieta, kładąc okaleczone przedramię Patricka na swoich kolanach. Poczul mrowienie, kiedy musnął kikutem niewielką wypukłość jej brzucha. Lewy łokieć Wallingforda spoczywał na prawym udzie kobiety.

- Dobrze - powiedział, zamiast chwycić nieznajomą prawą ręką za kark i wepchnąć jej łeb pod wodę. Naprawdę był bliski przy topienia jej w wannie.

- Byłam dwukrotnie mężatką, a pierwszy raz wyszłam za mąż w bardzo młodym wieku - zaczęła kobieta, której rozjarzone ekscytacją oczy przykuwały uwagę Patricka równie mocno, jak jej uścisk. - I dwa razy zostawałam sama. Pierwszy mąż rozwiódł się ze mną, drugi zmarł. A prawdę mówiąc, kochałam ich obu.

Boże! - pomyślał Wallingford. Czy każda kobieta w pewnym wieku musi mieć własną wersję życiorysu Evelyn Arbuthnot?

- Przykro mi - powiedział, ale kobieta ścisnęła go tak mocno, by zrozumiał, że nie należy jej przerywać.

- Z pierwszego małżeństwa mam dwie córki - ciągnęła. - Kiedy były dziećmi, a później nastolatkami, nie sypiałam po nocach. Byłam pewna,

że przydarzy im się coś strasznego, że stracę jedną lub obie. Przez cały czas się bałam.

Brzmiało to wiarygodnie - a Wallingford zawsze stosował kryterium wiarygodności, oceniając początek każdej opowieści.

- Moje córki nie przeniosły się jednak na tamten świat - dodała kobieta takim tonem, jak gdyby ludzie w większości umierali w dzieciństwie. - Powychodziły za mąż i urodziły dzieci. Mam czworo wnucząt. Trzy dziewczynki i chłopca. Cierpię okrutnie, bo nie widuję ich często, ale kiedy się spotykamy, znowu ogarnia mnie strach. Znowu zaczynam się martwić i nie mogę spać.

Patrick poczuł promieniujący niby-ból w miejscu, z którego wyrastała kiedyś lewa ręka, ale kobieta rozluźniła chwyt i zamiast bólu pojawił się nieznany mu dotąd spokój. Zwłaszcza gdy nieznajoma znów skwapliwie położyła sobie na kolanach okaleczone przedramię, a kikut dłoni Patriczka wcisnął się w jej nabrzmiałe podbrzusze.

- Teraz jestem w ciąży - powiedziała kobieta, na co ramię Patriczka nie zareagowało. - A mam pięćdziesiąt jeden lat i nie powinnam już raczej rodzić dzieci. Przyjechałam do Bostonu, żeby zrobić skrobankę, jak mi poradził lekarz. Ale dzisiaj rano zadzwoniłam z hotelu do kliniki i skłamałam. Powiedziałam, że zepsuł mi się samochód i muszę przełożyć wizytę na inny termin. Mogą mnie przyjąć dopiero w sobotę, za tydzień, zyskałam zatem czas do zastanowienia.

- Rozmawiała pani na ten temat z córkami? - zapytał Wallingford i poczuł znów na przedramieniu lwi uścisk.

- Namawiałyby mnie, żebym urodziła - odparła nieznajoma w kolejnym przyplýwie energii. - Zaproponowałyby, żeby moje dziecko wychowywało się u nich, ale to byłoby przecież moje dziecko, więc nie umiałabym go nie kochać i nie potrafiłabym nie angażować się w jego wychowanie. Tylko że brak mi sił, żeby znów znosić ten strach. Śmiertelność dzieci... To ponad moje siły.

- Wybór należy do pani - przypomniał jej Patrick. - Jakąkolwiek decyzję pani podejmie, będzie z pewnością trafna.

Sądząc po jej minie, kobieta nie była tego taka pewna.

Wallingford zastanawiał się, kim może być ojciec nienarodzonego dziecka - a bez względu na to, czy drzenie jego kikuta było manifestacją tego pytania, kobieta wyczuła dreszcz albo czytała Patrickowi w myślach.

- Ojciec dziecka nic nie wie - powiedziała. - Już się z nim nie spotykam. To tylko kolega z pracy.

Patrick nie słyszał dotąd nikogo, kto wypowiedziałby słowo „kolega” równie lekceważąco.

- Nie powiem swoim córkom, że jestem w ciąży, bo nie chcę, by wiedziały, że nadal prowadzę życie seksualne - wyznała kobieta. - I dlatego nie mogę się zdecydować. Nie sądzę, by należało poddawać się aborcji, żeby ukryć, że poszło się z kimś do łóżka. To nie jest dobrze uzasadniony powód.

- Kto może oceniać, czy powód jest dobrze, czy źle uzasadniony, skoro to pani musi go uzasadnić? Wybór należy do pani - powtórzył Wallingford. - Takiej decyzji nikt nie może i nie powinien podejmować za panią.

- To żadna pocięcha - odparła nieznajoma. - Byłam gotowa poddać się aborcji, dopóki nie zobaczyłam pana przy śniadaniu. Nie rozumiem dlaczego, ale pan jakby coś we mnie obudził.

Wallingford od początku wiedział, że w końcu okaże się, iż to on jest wszystkim winien. Podjął pełne najgłębszych wahań wysiłki, aby wysunąć ramię z uścisku nieznajomej, kobieta jednak nie zamierzała pozwolić mu wymknąć się tak łatwo.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło, kiedy pana zaczepiłam. Nigdy nie mówiłam w ten sposób do nikogo! - ciągnęła. - Nie powinnam pana osobiście obarczać winą za to, co wyprawiają media, ani za to, jakie jest moje zdanie na' ten temat. Po prostu wiadomość o zaginięciu Johna juniora bardzo mnie przybiła, a moja pierwsza reakcja na tę wiadomość jeszcze bardziej. Wie pan, co mi przyszło do głowy, kiedy się dowiedziałam, że jego samolot zaginał?

- Nie. - Patrick pokręcił głową. Na czoło wystąpił mu pot. Widział też krople potu na górnej wardze kobiety.

- Ucieszyłam się, że jego matka już nie żyje... I że nie musi przez to wszystko przechodzić. Było mi go bardzo żal, ale cieszyłam się, że nie

żyje jego matka. Czy to nie straszne?

- To całkiem zrozumiałe - odparł Wallingford. - Sama jest pani matką...

Impuls, który podpowiedział mu, żeby pogłodzić nieznaną pod wodą po kolanie, był szczery, płynący z głębi serca i pozbawiony najmniejszych nawet podtekstów seksualnych. Ponieważ jednak bodziec przebiegł jego lewe ramię, okazało się, że Patrick nie ma czym głaskać, bezwiednie wyszarpnął więc kikut z uścisku kobiety, czując znów mrowienie niewidzialnych insektów.

Pięćdziesięcioletnia kobieta w ciąży, matka dwóch córek i babcia czworga wnuków, nie spieszyła się niekontrolowanym odruchem Wallingforda i spokojnie po raz kolejny dotknęła jego bezrękiego ramienia. Ku swojemu zdumieniu, Patrick tym razem chętnie położył kikut na kolanach kobiety, która objęła jego lewe przedramię, nie czyniąc mu żadnych wyrzutów, jak gdyby po prostu na moment zapodziała gdzieś ukochaną własność.

- Przepraszam, że zaatakowałam pana publicznie - powiedziała szczerze. - Nie powinnam była zachować się w ten sposób. Ostatnio nie jestem sobą.

Kobieta ścisnęła go za ramię tak mocno, że amputowaną rękę Wallingforda przeszył nieznośny ból. Patrick wzdrygnął się.

- O Boże! Zrobiłam panu krzywdę! - zawołała kobieta, puszcżając jego ramię. - A nie zdążyłam nawet pana zapytać, co powiedział lekarz.

- Że wszystko jest w porządku - odpowiedział. - Trochę tylko dokucają mi zregenerowane po przeszczepie nerwy. To one tak harcują. Lekarz uważa, że problem tkwi w moim życiu uczuciowym albo w stresie.

- W pańskim życiu uczuciowym? - powtórzyła obojętnie kobieta, jak gdyby nie zamierzała podejmować tematu, na który Wallingford również nie miał ochoty. - A dlaczego zdecydował się pan tutaj zostać?

Wallingford pomyślał, że chodzi o wannę, i w pierwszej chwili zamierzał odpowiedzieć, że został, ponieważ ona go w niej zatrzymała. Dopiero po chwili pojął, że nieznaną chodzi o to, dlaczego nie wrócił do

Nowego Jorku. Bo jeśli nie w Nowym Jorku, to czy nie powinien znajdować się teraz w Hyannisport albo na Martha's Vineyard?

Bał się powiedzieć, że opóźnia, jak może, nieunikniony powrót do swojej wątpliwej profesji („wątpliwej”, biorąc pod uwagę spektakl wokół Kennedych, do którego miał wkrótce przyłożyć rękę). Pomimo wahania przyznał się jednak do tego przed nieznaną, dodając, że wybierał się jeszcze na Harvard Square po książki, które polecił mu lekarz, rozważał bowiem możliwość oddania się lekturze przez resztę weekendu.

- Bałem się tylko, że na Harvard Square ktoś mnie rozpozna i powie mi mniej więcej coś takiego, jak pani przy śniadaniu. Co zresztą nie znaczy, że mi się nie należało - zakończył Patrick.

- O Boże! - powiedziała znów kobieta. - Proszę mi powiedzieć, jakich książek pan szuka, a ja je panu kupię. Mnie nikt tu nie zna.

- To miło z pani strony, ale...

- Niech mi pan pozwoli kupić sobie te książki! Będzie mi lżej na sercu!

Tu nieznaną zaśmiała się nerwowo, zgarniając z czoła mokre włosy.

Wallingford zażenowany podał jej tytuły.

- Lekarz polecił panu takie książki? Ma pan dzieci?

- Jest pewien chłopiec, którego traktuję jak syna... A raczej chciałbym, żeby był moim synem - wyjaśnił Patrick. - Ale jest jeszcze za mały, żebym mógł mu przeczytać „Stuarta Malutkiego” czy „Pajęczynę Charlotty”. Chcę kupić te książki, żeby móc sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy będę mu je czytał za kilka lat.

- Czytałam mojemu wnuczce „Pajęczynę...” zaledwie kilka tygodni temu. I znowu płakałam. Zawsze płaczę, kiedy czytam tę książkę.

- Nie pamiętam dobrze, o czym to jest, ale moja matka też nad nią płakała - wyznał Wallingford.

- Nazywam się... Sarah Williams. - W głosie kobiety zabrzmiało niezwykle u niej wahanie, gdy przedstawiała się, wyciągając rękę.

Patrick uściskał jej dłoń, a ich ręce spotkały się w pienistych bąbelkach w wannie. W tym momencie automatycznie wyłączyły się strumienie

wodne, a woda natychmiast znieruchomiła i stała się przejrzysta. Był to niepokojący i nazbyt oczywisty znak, który wywołał kolejny wybuch nerwowego śmiechu ze strony pani Williams. Po chwili wstała i wyszła z wanny.

Wallingford zawsze podziwiał sposób, w jaki kobiety, które wychodzą z wody w mokrym kostiumie, odruchowo kciukiem albo palcem wskazującym obciągają majtki.

Gdy nieznajoma wstała, wydawało się, że jej brzusek jest płaski - był tylko lekko nabrzmiały. Z tego, co Patrick pamiętał z ciąży pani Clausen, odgadł, że jest to drugi, najwyżej trzeci miesiąc. Gdyby pani Williams nie powiedziała mu, że jest brzemienna, w ogóle nie spostrzegłby objawów ciąży. Być może zawsze miała lekko wystający brzuch, bez względu na błogosławiony stan.

- Przyniosę panu książki do pokoju. - Sarah Williams owinęła się ręcznikiem. - W którym pokoju pan mieszka?

Podał jej numer, wdzięczny za pretekst, by odwlec znów powrót do pracy, wiedział jednak, że czekając na zamówione książki, będzie musiał mimo wszystko zdecydować, czy wracać do Nowego Jorku jeszcze tego wieczoru, czy raczej w niedzielę rano.

Może Mary dotąd go nie znalazła, dzięki czemu zyskałby nieco na czasie. I może okaże się nawet, że starczy mu stanowczości, aby nie włączyć na razie telewizora, przynajmniej dopóki Sarah Williams nie wróci. Chyba powinna obejrzeć wiadomości razem z nim, bo najprawdopodobniej oboje sądzili, że będą nie do zniesienia. A złych programów informacyjnych, jak finału Super Bowl, lepiej nie oglądać w samotności.

Ale kiedy zamknął się w pokoju, zabrakło mu sił, by mógł się dłużej opierać. Ściągnął kąpielówki, nie zdejmując szlafroka, a zauważywszy pomrużujące światełko kontrolki telefonu, sygnalizujące pozostawioną dla niego w recepcji wiadomość, odszukał pilota od telewizora w szufladzie, w której go ukrył, i włączył w końcu odbiornik.

Zmieniał kanały, aż znalazł wreszcie stację informacyjną, na której obejrzał to, co było do przewidzenia (Johna F. Kennedy'ego juniora i jego dom w Tribeca). Pokazano proste, metalowe drzwi dawnego magazynu

przy ulicy North Moore 20, który nabył kiedyś John junior. Rezydencja Kennedych, mieszcząca się naprzeciwko starej hurtowni, została tymczasem przekształcona w świątynię. Sąsiedzi JFK juniora, a także zapewne zupełnie obcy ludzie, podający się za jego sąsiadów, stawiali przed domem świeczki i kładli wiązanki kwiatów oraz pocztówki, wyglądające na karty z życzeniami powrotu do zdrowia, co w zaistniałych okolicznościach było czystą perwersją. Choć Patrick czuł szczery żal z powodu domniemanej śmierci młodej pary oraz siostry pani Kennedy, brzydził się ludźmi, którzy pławili się w Tribeca w wymaginowanej rozpaczce - wyzwalali bowiem w telewizji to, co w niej najgorsze.

Chociaż oglądał transmisję z najwyższą niechęcią, dobrze rozumiał przyswiecające programowi intencje. Wobec osób publicznych media zajmowały wyłącznie dwie postawy: czciły tych ludzi albo ich niszczyły, a ponieważ żałoba jest najwyższą formą czci, środki przekazu, co w tej sytuacji zrozumiałe, śmierć sławnych ludzi ceniły sobie najwyżej. Śmierć pozwalała bowiem czcić ich i niszczyć jednocześnie - była to zatem sytuacja medialnie wymarzona.

Wyłączył telewizor i schował pilota z powrotem do szuflady - i tak niedługo znajdzie się na wizji, by uczestniczyć w całym tym widowisku. Kamień spadł mu z serca, kiedy zatelefonował do recepcji, by odebrać nagraną wiadomość, okazało się bowiem, że dzwonił pracownik hotelu, chcąc się dowiedzieć, kiedy Wallingford zamierza zwolnić pokój.

Poinformował recepcję, że wyjeżdża rano, po czym wyciągnął się na łóżku w pograżonym w półmroku pokoju. (Zasłony w oknach zostawił zaciągnięte, a pokojówki nie sprzątały, bo Patrick wywiesił na kłamce kartkę z prośbą, żeby mu nie przeszkadzać). Leżał, czekając na panią Williams, bratnią duszę, i cudowne książki pióra E.B. White'a - książki dla dzieci oraz zmęczonych realnym światem dorosłych.

Wallingford, przyczajony w ukryciu prenter telewizyjny, wciąż nie chciał ujawnić miejsca swojego pobytu, choć sprawa zaginięcia samolotu

Kennedy'ego była głośna od dawna. Co pomyśli zarząd stacji o dziennikarzu, który nie pali się do podjęcia takiego tematu? A Wallingford wręcz wzdragał się przed nim - był reporterem, który ociąga się z powrotem do pracy! (Każda rozsądna stacja telewizyjna zwolniłaby go w tych okolicznościach bez wahania).

Czy Wallingford nie wzdragał się jednak ponadto przed czymś więcej? Czy nie ukrywał się również przed tym, co Evelyn Arbuthnot tak nonszalancko nazwała jego życiem?

Kiedy to wreszcie zrozumie? Nie można zobaczyć swojego przeznaczenia inaczej niż w snach - albo w miłosnym uniesieniu. Spotkawszy panią Clausen, Patrick pod żadnym pozorem nie wyobrażał sobie życia u jej boku, a kiedy się w niej zakochał, nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej.

Nie chciał się kochać z panią Williams, choć swoją jedyną dłonią czule dotykał jej obwisłych piersi. Sarah też nie chciała kochać się z Wallingfordem. Być może wolała mu matkować, zapewne dlatego, że jej córki mieszkały daleko i miały własne dzieci. Ale, co bardziej prawdopodobne, wyczuła chyba, że Patrick Wallingford potrzebuje opieki, więc ogarnęło ją poczucie winy za to, że zrugala go publicznie i że tak mało czasu poświęca swoim wnukom.

Poza tym była w ciąży, martwiła się, że nie poradzi sobie ze znanym z przeszłości strachem o życie dziecka - no i nie chciała, aby jej córki wiedziały, że prowadzi nadal życie płciowe.

Powiedziała Wallingfordowi, że jest adiunktem na wydziale anglistyki w Smith College. Rzeczywiście, sprawiała wrażenie nauczycielki, kiedy czystym, pełnym emocji głosem czytała Patrickowi najpierw „Stuarta Malutkiego”, a potem „Pajęczynę Charlotty”, ponieważ „zostały napisane właśnie w tej kolejności”.

Leżała na lewym boku z głową na poduszce Patricka. Lampka na nocnym stoliku stanowiła jedyne źródło światła w zaciemnionym pokoju, bo chociaż było południe, nie odsłoniłi okien.

Pani adiunkt czytała wciąż „Stuarta Malutkiego”, mimo że pora lunchu dawno już minęła, ale ani ona, ani Patrick nie byli głodni. Wallingford leżał nago obok niej, wtulony w jej plecy i pośladki, kolejno dotykając prawą ręką jej piersi. Oboje wiedzieli, że dzieli ich tylko kikut lewego przedramienia Patricka, który on czuł na swoim obnażonym brzuchu, a ona powyżej krzyża.

Wallingford pomyślał, że zakończenie „Stuarta Malutkiego” dostarcza chyba więcej satysfakcji dorosłym niż dzieciom, które stawiają zakończeniom większe wymagania.

Mimo to Sarah orzekła, że „zakończenie jest młodzieńcze i przesyczone optymizmem charakterystycznym dla młodych ludzi”.

Nie było wątpliwości, że wyraża się jak nauczycielka akademicka. Patrick pomyślał, że zakończenie „Stuarta Malutkiego” mogłoby być początkiem innej książki, odniósł bowiem wrażenie, że wyruszającego w kolejną wędrowkę Stuarta czekają nowe przygody.

- To przecież książka dla chłopców - powiedziała Sarah.

A Patrick pomyślał, że mogłaby przypaść do gustu również myszom.

Oboje nie zdradzali ochoty na seks, ale gdyby któreś z nich tego pragnęło, pokochaliby się. Wallingford wolał jednak słuchać głośniejszej lektury, jak gdyby był małym chłopcem, a Sarah Williams czuła się z tego powodu bardziej jak matka niż pobudzona erotycznie kobieta. A zresztą, jak często zdarza się, że dwoje nagich, dorosłych nieznajomych, leżących razem w ciemnym pokoju w środku dnia, czyta na głos utwory E.B. White'a? Nawet Wallingford gotów był przyznać, że niezwykłość sytuacji wzbudziła w nim pewną tkliwość. Ich zachowanie było o wiele bardziej niecodzienne niż kopulacja.

- Nie przerywaj - poprosił Wallingford panią Williams takim tonem, jak gdyby go pieściła. - Proszę, czytaj dalej. Jeżeli zaczniesz „Pajęczynę Charlotty”, ja ją dokończę. Przeczytam ci zakończenie.

Sarah nieznacznie zmieniła pozycję i członek Patricka ocierał się teraz o podudzia jej nóg, a kikut o pośladki. Być może przyszło jej do głowy, żeby bez względu na różnice rozmiarów obu organów sprawdzić,

gdzie spoczywa jego członek, a gdzie okaleczone ramię, ale taki gest skończyłyby się dla nich obojga znacznie bardziej pospolitym przeżyciem.

Telefon od Mary przerwał lekturę sceny z „Pajęczyny Charlotty”, w której Charlotta (pajęczycza) przygotowuje Wilbura (świnie) na swoją zbliżającą się nieuchronnie śmierć.

Czym ostatecznie jest życie? - pyta Charlotta. Rodzimy się, żyjemy przez chwilę i umieramy. A pajęczce życie nie może się nie skończyć katastrofą, skoro polega na ciągłym chwytaniu i jedzeniu much.

Wtedy właśnie zadzwonił telefon. Wallingford nieco silniej ścisnął pierś pani Williams, która zmanifestowała irytację wywołaną brzęczykiem telefonu, podnosząc słuchawkę i pytając ostro:

- Kto mówi?

- Właśnie, kto mówi? Kim pani jest? - krzyknęła Mary na tyle głośno, że Patrick usłyszał ją i jęknął.

- Powiedz jej, że jesteś moją matką - szepnął do ucha pani Williams. (Zawstydził się nieco, przypominając sobie, że kiedy ostatnio stosował tę wymówkę, jego matka jeszcze żyła).

- Mówi matka Patricka Wallingforda, kochanie - rzuciła pani Williams do słuchawki. - Z kim rozmawiam?

Poufałe słówko „kochanie” sprawiło, że Wallingford pomyślał znów o Evelyn Arbuthnot.

A Mary przerwała połączenie.

Pani Williams czytała dalej przedostatni rozdział „Pajęczyny Charlotty”, kończący się zdaniem: „Gdy umierała, nie było przy niej nikogo”.

Sarah, szlochając, oddała książkę Patrickowi, który obiecał, że przeczyta jej ostatni rozdział o knurze Wilburze, który „powrócił do domu, do swojej ukochanej kupy gnoju...”. Czytał bez emocji, jak gdyby nie była to literatura, lecz wiadomości telewizyjne. (Była to literatura lepsza od wiadomości, ale to zupełnie inna sprawa).

Kiedy skończył, oboje zapadli w drzemkę, a na dworze zapadł tymczasem mrok. Wallingford w półśnie zgasił światło na nocnym stoliku, więc w pokoju też panowała ciemność. Leżał bez ruchu. Sarah Williams

wtulila biust w jego łopatki. Elastyczny, aczkolwiek miękki brzuch wcisnęła w łuk pleców Patricka, którego obejmowała jedną ręką w pasie, trzymając go drugą, nieco za mocno, za członek. Mimo to Wallingford jednak zasnął.

Możliwe, że przespaliły tak całą noc. Z drugiej strony równie dobrze mogłyby obudzić się tuż przed świtem i kochać płomiennie w półmroku, być może dlatego, iż wiedzieli przecież, że nigdy więcej się już nie spotkają. Nieważne jednak, jak by się zachowali, bo znów zadzwonił telefon.

Tym razem odebrał Wallingford. Wiedział, kto dzwoni - spodziewał się tego telefonu nawet przez sen. Zwierzył się kiedyś Mary, jak i kiedy umarła jego matka, i dziwił się, że musiało minąć tyle czasu, zanim Mary sobie o tym przypomniała.

- Ona nie żyje. Twoja matka nie żyje! Sam mi mówiłeś! Umarła, kiedy byłeś na studiach!

- Zgadza się.

- Masz kogoś. Zakochałeś się! - zawodziła Mary, a Sarah oczywiście ją słyszała.

- Zgadza się - odpowiedział Wallingford, który nie widział powodu, by wyjaśniać Mary, że jest zakochany, ale nie w pani Williams. Miał tego dosyć. Mary przystawiała się do niego nazbyt natarczywie.

- Czy to ta sama dziewczyna, która dzwoniła wcześniej? - zapytała Sarah, a dźwięk jej głosu, bez względu na to, czy Mary zrozumiała słowa pani Williams, wystarczył, żeby znów zaczęła swoje.

- Sądząc po głosie, ta baba naprawdę mogłaby być twoją matką! - wrzasnęła.

- Mary, proszę cię...

- Ten chujek Fred cię szuka, Pat. Wszyscy cię szukają! Nie wolno ci wyjeżdżać na weekend, nie zostawiając kontaktowego numeru telefonu! Musimy mieć z tobą kontakt! Chcesz, żeby wylali cię z roboty, czy jak?

Wtedy Wallingford pomyślał po raz pierwszy, że powinien właściwie dołożyć wszelkich starań, by zostać zwolnionym z pracy, i ten pomysł rozświetlił nagle ciemny pokój jak tarcza cyfrowego budzika, który stał na stoliku.

- Wiesz chyba, co się stało? - zapytała Mary. - Czy może rznąłeś się przez cały czas i jakoś udało ci się nie oglądać wiadomości?

- Z nikim się nie rznąłem.

Patrick zdawał sobie sprawę, że składa prowokacyjną deklarację, bo ostatecznie Mary była dziennikarką. To, że Wallingford przez cały weekend pieprzył się w hotelu z jakąś kobietą, było w zaistniałych okolicznościach wnioskiem na pozór zupełnie oczywistym, a Mary, jak większość dziennikarzy, szybko nauczyła się wyciągać pozornie bezdyskusyjne wnioski.

- Nie ludzisz się chyba, że ci uwierzę? - zapytała.

- Przestałem się przejmować, czy mi wierzysz, czy nie.

- Ten chujek Fred...

- Powiedz mu, że wracam jutro.

- Ty chyba naprawdę chcesz, żeby cię wyrzucili, co? - zapytała Mary i znowu pierwsza odłożyła słuchawkę.

Wallingford pomyślał po raz kolejny, czy nie powinien dolożyć wszelkich starań, żeby zwolniono go z pracy, nie mając na razie zielonego pojęcia, dlaczego ten pomysł wydał mu się taki olśniewający.

- Nie powiedziałeś mi, że jesteś żonaty albo coś w tym rodzaju - zauważyła Sarah Williams.

Usłyszał, że już wstała, nie widział jednak, jak wkłada po ciemku ubranie.

- Nie jestem żonaty ani nic w tym rodzaju - odparł Patrick.

- Więc to po prostu wyjątkowo zaborcza kochanka, tak?

- Nie jest moją kochanką. Nie spaliśmy ze sobą. Nie łączą nas stosunki erotyczne - oświadczył Wallingford.

- Niech ci się nie wydaje, że w to uwierzę - powiedziała Sarah. (Nie tylko dziennikarze szybko wyciągają pozornie oczywiste wnioski).

- Było mi bardzo miło w twoim towarzystwie - powiedział Patrick, próbując skierować rozmowę na inne tory, co nie zmieniało faktu, że mówił całkiem szczerze. Usłyszał, jak Sarah wzdycha, i mimo ciemności domyślił się, że nie daje mu wiary.

- Jeżeli zdecyduję się mimo wszystko na aborcję, może byłbyś tak miły, żeby pójść ze mną do kliniki? - zaryzykowała Sarah Williams. - Tylko

że w takim wypadku oboje musielibyśmy wrócić tu za tydzień.

Być może chciała przez to powiedzieć, że będzie miał cały tydzień do namysłu, Wallingford pomyślał jednak, że zostałyby zapewne rozpoznany, a wtedy następnego dnia mógł się spodziewać takiego na przykład nagłówek w gazecie: FACET OD LWÓW TOWARZYSZY NIEZIDENTYFIKOWANEJ KOBIECIE W DRODZE DO KOMBINATU ABORCYJNEGO.

- Nie mogę znieść myśli, że miałabym to zrobić sama, choć zdaję sobie sprawę, że nie proponuję ci uroczej randki - ciągnęła Sarah.

- Dobrze, pójdę z tobą - powiedział, ale pani Williams spostrzegła, że się waha. - Jeśli chcesz.

Nie spodobało mu się brzmienie tych słów. Oczywiście, że chce, żeby z nią poszedł! Czy przed chwilą go o to nie prosiła?

- Naturalnie, pójdę z tobą, na pewno - odpowiedział, pogarszając tylko sytuację.

- Nie, nie ma o czym mówić. Przecież my się właściwie nie znamy - powiedziała Sarah.

- Ale ja chcę pójść z tobą - skłamał Patrick, choć pani Williams pogodziła się już z tym, że pójdzie do kliniki sama.

- Nie mówiłeś mi, że jesteś zakochany - rzuciła oskarżycielskim tonem.

- Nieważne. Ta kobieta i tak mnie nie kocha.

Wiedział, że Sarah Williams w to też nie uwierzy.

Skończyła się ubierać. Pomyślał, że szuka po omacku drzwi, zapalił więc stojącą na nocnym stoliku lampkę, która oślepiła go na chwilę, zauważył jednak, że Sarah odwraca twarz od światła. Wyszła, nie patrząc na niego. Zgasił lampkę i położył się nago na łóżku, a w mroku przez cały czas przyświecała mu myśl, że powinien się postarać, by wyrzucono go z pracy.

Wiedział, że panią Williams dotknęły nie tylko telefony od Mary. Czasami najłatwiej zwierzyć się z najbardziej intymnych problemów zupełnie obcej osobie - zdarzyło się to nawet Patrickowi. Czy Sarah nie matkowała mu przez cały dzień? Mógł więc przynajmniej pójść z nią na

ten zabieg. I co z tego, że ktoś by go rozpoznał? Aborcja jest legalna, a Patrick był zwolennikiem jej dopuszczalności. Żałował teraz, że zawałał się przed odpowiedzią.

Dlatego kiedy zadzwonił do recepcji, żeby zamówić budzenie, poprosił również o połączenie z pokojem pani Williams - nie wiedział jednak, w którym pokoju mieszka. Chciał jej zaproponować, żeby pomimo późnej pory wrzucili coś na ruszt. Na Harvard Square na pewno znaleźliby jeszcze jakąś czynną knajpkę, tym bardziej że była sobota. Postanowił przekonać panią Williams, by jednak pozwoliła mu pójść z nią na zabieg, i sądził, że najlepiej będzie namówić ją do tego przy kolacji.

Ale recepcjonistka poinformowała go, że w hotelu „Charles” nie mieszka kobieta nazwiskiem Williams.

- W takim razie musiała zwolnić pokój dosłownie przed chwilą - powiedział Patrick.

Dał się słyszeć stłumiony odgłos palców, stukających w klawiaturę komputera. Wallingford pomyślał, że w nowym stuleciu może to być ostatni dźwięk, jaki człowiek będzie słyszał przed śmiercią.

- Przykro mi, proszę pana - odezwał się znów głos hotelowej recepcjonistki. - Żadna Sarah Williams nigdy nie mieszkała w naszym hotelu.

Wallingforda nie zdziwiła zbyttnio ta wiadomość. Zadzwonił później na wydział anglistyki w Smith College i również niezbyt się zdziwił, że Sarah Williams nie prowadzi tam zajęć. Być może wyrażała się jak wykładowca anglistyki, omawiając „Stuarta Malutkiego”, i może nawet uczyła w Smith College, nie nazywała się jednak Sarah Williams.

Kimkolwiek była, najwyraźniej zbulwersowała ją myśl, że Patrick kogoś zdradza, a raczej, że w jego życiu jest kobieta, która poczuła się skrzywdzona jej obecnością w pokoju. Być może pani Williams sama kogoś zdradzała - a może ktoś kiedyś ją zdradził. Co do aborcji, to prawdopodobnie nie kłamała, podobnie jak w kwestii obaw o życie dzieci i wnuków. Wahanie w jej głosie było słyhać tylko raz - kiedy się przedstawiała.

Wallingforda przygnębiła myśl, że przeistoczył się w kogoś, komu przyzwoite kobiety boją się zdradzić swoje prawdziwe nazwisko. Nie

przypuszczał, że stanie się kimś takim.

Kiedy miał jeszcze obie ręce, eksperymentował czasem z anonimowością, szczególnie w towarzystwie kobiet, którym prawdziwym nazwiskiem woleliby nie przedstawiać się mężczyźni. Jednak po wypadku z lwem nie mógł się już podawać za kogoś innego, tak jak nie mógł uchodzić za Paula O'Neilla - a w każdym razie nie pośród ludzi zdrowych na umyśle.

Zamiast rozmyślać o tym w samotności, popełnił błąd i włączył telewizor. Pewien komentator polityczny, którego specjalnością, zdaniem Wallingforda, były nieodmiennie pretensje intelektualne i spóźniony refleks, rozrzasał właśnie ważki problem „co by było, gdyby” w świetle tragicznie i przedwcześnie zakończonego życia Johna F. Kennedy'ego juniora. Powaga, z jaką perorował komentator, idealnie przystawała do pozornie słusznej tezy, głoszącej, że JFK junior pod każdym względem „wyszedłby” w życiu lepiej, gdyby nie posłuchał rady matki i został gwiazdorem filmowym. (Czy młody Kennedy nie zginąłby w katastrofie lotniczej, gdyby był aktorem?).

To prawda, że matka Johna juniora nie chciała, by został aktorem, ale zarozumiałość i arogancja komentatora politycznego przechodziły wszelkie pojęcie. Najbardziej wierutnym głupstwem wśród jego nieodpowiedzialnych spekulacji było zapewne twierdzenie, że najprostsza i najkrótsza droga, mogąca doprowadzić Johna juniora do prezydentury, wiodła przez Los Angeles! Zdaniem Patricka, głupota tego rodzaju hollywoodzkiego teoretyzowania miała dwa oblicza: po pierwsze, sprowadzała się do twierdzenia, że młody Kennedy powinien być iść w ślady Ronalda Reagana, a po drugie, że w ogóle *chciał* zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Wolał towarzystwo własnych, bardziej osobistych demonów, wyłączył więc odbiornik. W ciemności, poufale, niczym stary przyjaciel, powitał go znów pomysł, żeby zasłużyć sobie na zwolnienie z pracy. Niestety, następna oryginalna myśl, jaka go niedawno nawiedziła, przeszła Wallingforda dreszczem strachu - oto bowiem stał się w końcu mężczyzną,

na którego towarzystwo kobiety godzą się jedynie pod warunkiem, że będą występować *incognito*. Myśl druga zrodziła trzecią: a może powinien przestać opierać się Mary i najzwyczajniej w świecie pójść z nią do łóżka? (Mary przynajmniej nie starałaby się zachować anonimowości).

Tak więc w ciemnym pokoju lśniły już trzy nowe pomysły, odrywając Patricka Wallingforda od refleksji na temat samotności pięćdziesięcioletniej kobiety, która nie chce poddać się aborcji, ale okropnie boi się urodzić dziecko. Oczywiście nie powinno go obchodzić, czy ta kobieta zdecyduje się ostatecznie na skrobankę, czy nie - decyzja należała wyłącznie do niej.

A jeżeli wcale nie była w ciąży? Może miała po prostu tak zwany brzuszek? I lubiła spędzać weekendy w hotelach z nieznanymi, przed którymi odgrywała komedię?

Patrick wybornie znał się na aktorstwie: grał przez cały czas.

- Dobranoc, Doris. Dobranoc, mój mały Otto - wyszeptał w ciemność pokoju. Zawsze to mówił, kiedy chciał się upewnić, że nie odgrywa komedii.

Rozdział dziesiąty

Jak zostać wylanym z pracy

Minał niemal tydzień frenetycznej żałoby, a Wallingford, pomimo usilnych starań, wciąż nie był wewnętrznie gotowy na spontanicznie zaplanowany weekend, który miał spędzić w domku nad jeziorem w Wisconsin razem z panią Clausen i Ottonem juniorem. Wieczorny program w piątek, tydzień po wypadku jednosilnikowego samolotu Johna Kennedy'ego, był ostatnim telewizyjnym występem Patricka przed wyjazdem na północ, choć pierwszy lot z Nowego Jorku do Green Bay miał dopiero rano. Z przesiadką. Nie było dobrych połączeń do Green Bay.

Czwartkowy program też poszedł mu fatalnie. Realizatorom zaczęła brakować wyobraźni, czego dowiedli wywiadem, jaki przeprowadził Patrick z cieszącą się powszechnym brakiem szacunku feministką, panią krytyk. (Lekceważyła ją nawet Evelyn Arbuthnot). Otóż pani krytyk napisała o Kennedych książkę, z której wynikało, że wszyscy mężczyźni to mizogini, w związku z czym nie należało się dziwić, że młody Kennedy zabrał ze sobą do grobu dwie kobiety.

Patrick poprosił, żeby darowali mu ten wywiad, Fred jednak był zdania, że pani krytyk jest wyrazicielką opinii wielu kobiet - choć sądząc z reakcji pracownic redakcji nowojorskiej, wyrazicielką, na przykład, ich opinii feministka nie była. Wallingford, jak zawsze taktowny w roli prowadzącego wywiad dziennikarza, z trudem zachowywał pozory grzeczności.

Pani krytyk wciąż powracała do „feralnej decyzji” młodego Kennedy'ego, jak gdyby jego życie i śmierć były powieścią.

- Wystartowali za późno, po zmroku, lecieli nad wodą, a John-John był niedoświadczonym pilotem.

Patrick pomyślał, że pani krytyk nie mówi nic nowego. Na jego przystojnej twarzy zastygł nieprzekonujący półuśmiech. Nie podobało mu się także, że despotyczna feministka nazywa zmarłego „John-John”.

- Padł ofiarą męskiego sposobu myślenia, syndromu Kennedych płci męskiej - zauważyła. - Zachowaniem John-Johna kierował testosteron, tak jak i tamtych facetów.

- Tamtych... - Wallingford nie zdążył powiedzieć nic więcej.

- Dobrze pan wie, kogo mam na myśli - warknęła pani krytyk. - Wszystkich mężczyzn po mieczu w tej rodzinie.

Zerknął na wyświetlony na telesuflerze tekst, którym miał posłużyć się za chwilę, by sprowokować rozmówczynię do jeszcze bardziej wątpliwych wypowiedzi na temat szefów Lauren Bessette z firmy Morgan Stanley i ich „współodpowiedzialności” za wypadek. Pani krytyk oznajmiła bowiem, iż do tragedii doszło także dlatego, że zwierzchnicy pani Bessette kazali jej w ten „feralny piątek” pracować po godzinach.

Kiedy omawiali scenariusz przed programem, Wallingford zaprotestował przeciwko poleceniu, by jedno z wyświetlonych na telesuflerze pytań odczytał słowo w słowo. Na ogół w telewizji nie stawia się takich wymagań, bo łatwo o pomyłkę. A poza tym nie wszystko, co podpowiada telesufler, brzmi w studio autentycznie.

Ale pani krytyk przyszła z agentem prasowym, któremu z niewiadomych powodów podlizywał się Fred. Agent zaś życzył sobie, by Wallingford zadał pytanie dokładnie w takiej formie, w jakiej zostało napisane - szło bowiem o to, że demonizacja firmy Morgan Stanley była następnym punktem wystąpienia pani krytyk, a Wallingford z udaną, niewinną miną miał ją na ten temat naprowadzić.

Patrick powiedział jednak:

- Nie jestem przekonany, czy zachowaniem Johna F. Kennedy'ego juniora kierował testosteron. Oczywiście, słyszałem już takie opinie, ale ja go nie znałem. I pani też nie, więc skąd ta pewność? Pewne natomiast jest to, że zagadała pani jego śmierć na śmierć. Sądzę, że powinniśmy zachować odrobinę godności i na tym skończyć. Pora wreszcie zająć się czymś innym.

Nie czekał na odpowiedź urażonej pani krytyk. Do końca programu pozostała jeszcze ponad minuta, stacja dysponowała jednak bogatym materiałem filmowym, którym można było wypełnić czas, toteż Patrick szybko zakończył wywiad, życząc, jak to miał w zwyczaju, dobrej nocy Doris i małemu Ottonowi. Potem na ekranie pojawił się wszechobecny filmowy materiał ilustracyjny - przedstawiony wprawdzie nieco chaotycznie, ale czy to ważne?

Widzowie całodobowego kanału informacyjnego o zasięgu międzynarodowym cierpieli już na przemęczenie z rozpaczy, tymczasem wciąż częstowano ich powtórkami z żałobnego maratonu: tego dnia obejrzeni na przykład robione „z ręki” zdjęcia kołyszącego się na falach statku (na którego pokład wyłowiono ciała), a potem wklejone nie wiadomo po co ujęcie kościoła pod wezwaniem świętego Tomasza Morusa i nie wiadomo czyj symboliczny pochówek w oceanie. Ostatnim elementem, który zmieścił się w czasie, było zdjęcie Jackie Kennedy z niemowlęciem, czyli Johnem juniorem, na rękach. Matka podtrzymywała karczek dziecka, a jej kciuk wydawał się trzykrotnie większy od malutkiego uszka. Fryzura Jackie była od dawna niemodna, ale jej perły ponadczasowe, a uśmiech, znak firmowy pani Kennedy, urzekający jak zawsze.

Wallingford pomyślał, że Jackie wygląda na zdjęciu bardzo młodo. (Trudno, żeby było inaczej - fotografia pochodziła z 1961 roku!).

Charakteryzatorka zmywała mu twarz, gdy poszedł do niego Fred. Należał do starszego pokolenia, więc często posługiwał się anachronicznym językiem.

- To nie było klawe, Pat - powiedział i poszedł sobie, nie czekając na odpowiedź Wallingforda.

Prezenter ma prawo do ostatniego słowa, a tekst na telesfluferze nie jest święty. Widocznie Fred miał znowu muchy w nosie - Patrick nie rozumiał jednak, że dla dziennikarzy święte było wszystko, co wiązało się ze śmiercią Kennedy'ego, a ponieważ on nie chciał zajmować się dłużej tą sprawą, zarząd stacji zaczął podejrzewać, że stracił zapał do pracy dziennikarskiej.

- Chyba podobało mi się to, co pan powiedział - zagadnęła Patricia charakteryzatorka. - Właściwie trzeba było to powiedzieć.

Była to owa dziewczyna, którą podejrzewał, że się w nim podkochuje - wróciła już z urlopu. Aromat jej gumy do żucia mieszał się z zapachem perfum, a zapach i bliskość ciała charakteryzatorki przypomniały Wallingfordowi mieszankę zapachów na gorących potańcówkach szkolnych. Nie był taki napalony na seks od czasu, kiedy spał z Doris Clausen.

Patrick nie przypuszczał, że dziewczyna podziąła na niego w ten sposób - zaczął jej nagle pożądać, bez żadnych zahamowań. Z pracy wyszedł jednak w towarzystwie Mary. Pojechali do niej, nie zwracając sobie głowy kolacją- Zrobiłeś mi prawdziwą niespodziankę! - powiedziała Mary, otwierając pierwszy z dwóch zamków w drzwiach swojego mieszkania, z którego roztaczał się widok na East River.

Wallingford nie był pewien, ale wydawało mu się, że są na Pięćdziesiątej Drugiej Wschodniej. Starał się jednak skupić uwagę na osobie Mary, nie na jej adresie. Miał nadzieję, że nareszcie zobaczy gdzieś nazwisko koleżanki, na przykład na skrzynce na listy, bo czułby się nieco bezpieczniej, gdyby je sobie przypomniał. Niestety, Mary nie zajrzała do skrzynki, a w mieszkaniu żadne listy nigdzie się nie walały, nawet na biurku, na którym panował nieład.

Dziewczyna pracowicie krążyła po mieszkaniu - zaciągnęła zasłony i przyćmiła światło. Tapeta w saloniku okazała się pstrokata, a sam pokój klaustrofobicznie ciasny i przystrójony girlandami damskich ciuchów. Jak zwykle w mieszkaniach z jedną tylko sypialnią brakowało wbudowanej w

ścianę szafy, a Mary najwyraźniej lubiła się stroić.

W sypialni, jeszcze bardziej zapchanej ciuchami, uwagę Wallingforda zwrócił kwietny wzorek na narzucie na łóżko, nieco zbyt dziecinny jak na kobietę w wieku Mary. Drzewko kauczukowe, wypełniające niemal całą przestrzeń w maleńkiej kuchni, i stojąca na pękatej komodzie kamionkowa lampa pochodziły zapewne jeszcze z okresu studiów uniwersyteckich właścicielki. W mieszkaniu nie było żadnych fotografii, a ich nieobecność przypominała niejako o wszystkich przedmiotach, których nie wypakowała od czasu przeprowadzki i rozvodu.

Zaprosiła Patricka, by skorzystał z łazienki. Krzyczała do niego zza zamkniętych drzwi, że nie powinien żywić najmniejszych wątpliwości co do niezachwianej powagi jej zamiarów.

- Muszę przyznać, Pat, że jeśli chodzi o termin, to trafiłeś w dziesiątkę. Mam dzisiaj owulację!

Patrick odpowiedział coś nieartykułowanego, ponieważ mył palcem zęby, używając, oczywiście, pasty gospodyni. Otworzył apteczkę w poszukiwaniu robionych na zamówienie leków, do których byłaby przytwierdzona recepta - w ogóle szukał czegoś, co mogło być opatrzone jej nazwiskiem, nie znalazł jednak nic. Jak to możliwe, że niedawno rozwiedziona kobieta, która w dodatku pracuje w Nowym Jorku, obchodzi się bez lekarstw?

Mary zawsze miała w sobie coś bionicznego - Patrick myślał o jej nieskazitelnej skórze, naturalnego koloru blond włosach, niezbyt ekstrawaganckich, ale seksownych strojach, i idealnie równych, małych ząbkach. A także o miłym, sympatycznym sposobie bycia - o ile go zachowała. (Bezpieczniej byłoby chyba mówić o jej dawnym miłym sposobie bycia). Ale żeby nie miała żadnych leków na receptę? Być może, podobnie jak fotografii, nie wypakowała ich od dnia rozvodu.

Mary rozłożyła łóżko i odchyliła koldrę niczym niewidzialna pokojówka. Zostawiła zapaloną jarzeniówkę w łazience i uchylone drzwi. Jedyne inne źródło światła w sypialni była kamionkowa lampa, rzucająca na sufit różowy blask rozedrganymi plamami. W tym otoczeniu

Patrick nie mógł nie widzieć w ruchomych, przypominających pierwotniaki plamistych cieniach symbolu potężniejącej z każdą chwilą płodności Mary.

Ni stąd, ni zowąd powiedziała mu, że wszystkie swoje lekarstwa wyrzuciła.

- Kilka miesięcy temu.

Dzisiaj nie bierze już nic.

- Nawet na bóle brzucha.

A kiedy zajdzie w ciążę, odstawi również gorzałę i papierosy.

Wallingford z trudem zdążył jej przypomnieć, że kocha się w innej kobiecie.

- Wiem. Mniejsza z tym - odpowiedziała Mary.

Zacząła go pieścić z taką stanowczością, że Wallingford szybko się poddał. Nie było to jednak przeżycie porównywalne z oszalamiającym seksem, jakiego zaznał z panią Clausen. Nie kochał Mary, ona natomiast kochała jedynie życie, które, jak miała nadzieję, wkrótce z nim pocznie. Więc może zostaną wreszcie przyjaciółmi.

Nie pojmował, że idzie za głosem swoich starych nawyków, co świadczyło o jego moralnej dezorientacji. Zauważyłby zapewne powrót rozpuśtnych zwyczajów, gdyby w nagłym przypływie pożądania dla charakteryzatorki zaciągnął ją do łóżka, ale w przypadku Mary Patrick jedynie uległ. Chce mieć z nim dziecko, więc dlaczego nie miałby go jej dać?

Znalazł niebioniczną część ciała dziewczyny i uspokoił się - był to pokryty jasnym meszkiem płat skóry nieco powyżej krzyża. Pocałował ją w to miejsce, zanim Mary odwróciła się i usnęła. Spała na plecach, pochrapując lekko, ułożywszy nogi na poduszkach, w których Wallingford rozpoznał pstrokate siedziska z kanapy w salonie. (Podobnie jak pani Clausen, Mary nie lekceważyła siły ciąży).

Patrick nie spał. Leżał, wsłuchany w ruch uliczny na FDR Drive, i powtarzał w duchu to, co zamierzał powiedzieć Doris Clausen. Chce się z nią ożenić i być prawdziwym ojcem dla małego Ottona. Przyzna się, że „oddał przyjaciółce” taką samą przysługę, jak jej - ale doda taktownie, że zapłodnienie Mary nie sprawiło mu większej przyjemności. A choć nie będzie się uchylał od kontaktów z jej dzieckiem, postawi sprawę jasno i

oznajmi, że pragnie żyć i mieszkać z panią Clausen i Ottonem juniorem. Myśl, że taki trójkąt mógłby funkcjonować, była oczywiście z jego strony objawem zaćmienia umysłu.

Jak mógł sobie wyobrazić, że Doris choćby rozważy podobną możliwość? Nie wierzył chyba, że pani Clausen wyprowadzi się z małym Ottonem z Wisconsin, Wallingford zaś, jak wiadomo, nie należał do mężczyzn umiejących podtrzymywać związki z kobietami - zwłaszcza na odległość.

Czy powinien powiedzieć pani Clausen, że postara się, aby zwolniono go z pracy? Nad tym jeszcze się nie zastanawiał i poza tym niewiele w tej sprawie zrobił. Bez względu na anemiczne pogroźki Freda obawiał się, że jest obecnie niezastąpiony w stacji nadającej wszystko - z wyjątkiem ważnych wiadomości.

A jego nieśmiały bunt czwartkowego wieczoru? No, może będzie musiał stawić czoło producentowi - i co najwyżej jakiś pozbawiony własnego zdania urzędas palnie mu mówkę na temat „zasad właściwego zachowania, które obowiązują nas wszystkich” albo będzie się rozwodził nad brakiem zaangażowania Patricka „w pracy zespołowej”. Nie wyrzuca go jednak za odejście od podpowiedzi z telesuflera, przynajmniej dopóki jego program zachowa wysoką oglądalność.

Prawdę mówiąc, zgodnie z przewidywaniami Patricka, potwierdzonymi przez dokładne badania telemetryczne, jego wypowiedź zwiększyła zainteresowanie programem, i to wprost niebotycznie. Podobnie jak charakterizatorka, na samą myśl o której Wallingford doznał niespodziewanego wzwodu w łóżku Mary, publiczność telewizyjna również była zdania, że „pora wreszcie zająć się czymś innym”. To, co powiedział o sobie i swoich kolegach po fachu - że powinni „zachować odrobinę godności i na tym skończyć” - trafiło w czuły punkt opinii publicznej, a Patrick Wallingford nie tylko nie został zwolniony z pracy, lecz znacznie zyskał na popularności.

Rano, kiedy na East River zawyła obscenicznie syrena holownika, Patrick wciąż miał erekcję. (Holownik ciągnął zapewne załadowaną śmieciami barke). Leżał na wznak w różowej sypialni, koloru świeżo zabliznionej

rany, a jego wzwidziony członek unosił nieco koldrę - nigdy nie rozumiał, w jaki sposób kobiety wyczuwają takie rzeczy, w pewnej chwili spostrzegł jednak, że Mary jednym kopnięciem zrzuciła z łóżka siedziska, na których wspierała nogi. Objął ją w biodrach, kiedy dziewczyna usiadła na nim okrakiem i zaczęła kołysać się zapamiętale. Wciąż się kochali, gdy do sypialni wkroczyło dostojnie światło dnia i ohydny róż ścian nieco przyblakł.

- Ja ci pokażę, co znaczy testosteron - szepnęła Mary, o sekundę uprzędając jego orgazm.

Cuchnęło jej z ust, ale to nie miało przecież znaczenia - zostali przyjaciółmi. To był tylko seks, szczery i familiarny jak uścisk dłoni. Mur, dzielący Mary i Patricka, runął. Seks był brzemieniem, które ich kiedyś dzieliło, a teraz okazało się, że to nic takiego.

Mary nie miała w domu nic do jedzenia. Nie gotowała i nie jadła śniadań. Jak oświadczyła, teraz, kiedy spodziewa się dziecka, poszuka większego mieszkania.

- Wiem, że jestem w ciąży - zaćwierkała. - Czuję to.

- No, niewykluczone - powiedział tylko Patrick.

Rzucali się poduszkami i ganiili nago po mieszkanku, dopóki we wzorzystym chaosie salonu nie wyróżnił się w goleń o jakąś cholerną ławę ze szklanym blatem. Potem wzięli wspólnie prysznic, a Patrick oparzył się gorącą wodą, kiedy mydlili sobie nawzajem ciała, stłoczeni w kabinie pierś w pierś.

Poszli na długi spacer do kawiarni, którą oboje lubili, przy Madison Avenue, gdzieś w okolicach Sześćdziesiątej czy Siedemdziesiątej Ulicy. Było tak gwarno, że musieli krzyczeć przez całą drogę, toteż w kawiarni także rozmawiali głośno, jak pływacy, którzy wyszli z wody po kąpieli, nie zdając sobie sprawy, że mają w uszach pełno wody.

- Szkoda, że nie jesteśmy zakochani - mówiła zdecydowanie zbyt donośnie Mary. - Gdybyśmy się kochali, ty nie musiałbyś łamać sobie serca w Wisconsin, a ja nie mu siałabym wychowywać twojego dziecka samotnie.

Pozostali goście, którzy, tak jak oni, przyszedli do kawiarni na śniadanie, zdawali się wątpić, czy to rozsądna uwaga, ale Wallingford nieopatrnie zgodził się z dziewczyną.

Zwierzył się Mary, co chce powiedzieć Doris. Mary zmarszczyła brwi i wyraziła obawę, że to, co mówi Patrick o chęci zwolnienia się z pracy, brzmi nieszczerze. (W żaden sposób natomiast nie odniosła się do pierwszej części jego przemówienia, czyli planów wychowania dziecka u boku Doris Clausen oraz wyznania jej dozgonnej miłości).

- Słuchaj - powiedziała. - Ile zostało ci do końca umowy? Półtora roku? Gdyby cię teraz wylali, próbowaliby negocjować z tobą wysokość odprawy, a ty zgodziłbyś się pewnie na rekompensatę w wysokości dwunastu miesięcznych pensji. Jeżeli osiądziesz w Wisconsin, może upłynąć więcej niż rok, zanim znajdziesz sobie nową robotę... To znaczy taką, która ci się spodoba.

Teraz z kolei Patrick zmarszczył brwi. Jego umowa o pracę obowiązywała jeszcze dokładnie półtora roku, ale skąd wiedziała o tym Mary?

- Co więcej - ciągnęła dziewczyna - będą mieli opory, żeby cię wyrzucić, dopóki jesteś prezydentem. Muszą wywoływać wrażenie, że na fotelu prezydenckim zasiadają wyłącznie osoby, którym to miejsce należy się jednogłośnie.

Wallingford dopiero teraz zrozumiał, że również Mary może być zainteresowana „fotelem prezydenckim”, jak to określiła. Nie brał jej dotąd pod uwagę i nie doceniał jako rywalki, ale kobiety z nowojorskiej redakcji nie były w ciemni bite, a Patrick zauważył, że ostatnio okazują jej niechęć. Myślał, że to dlatego, ponieważ Mary jest najmłodsza, najładniejsza, najinteligentniejsza i pozornie najsympatyczniejsza z nich wszystkich, nie wziął jednak pod uwagę, że może być także najbardziej ambitna.

- Rozumiem - powiedział, ale na tym poprzestał. - Mów dalej.

- Na twoim miejscu poprosiłabym o nową umowę. Na trzy lata... nie, lepiej na pięć. Ale musisz powiedzieć, że nie chcesz być już dłużej prezydentem. Powiedz, że sam chcesz sobie wyznaczać zadania reporterskie i że będziesz brał takie usługi, jakie będzie ci się podobało.

- Mam się sam zdegradować? - zapytał Wallingford. I dzięki temu wyrzucą mnie z pracy?

- Zaraz! Daj mi dokończyć!

Wszyscy goście w kawiarni w zasięgu jej głosu nastavili uszu.

- Nie będziesz brał żadnych obsług. Staniesz się zbyt wybredny!

- Zbyt wybredny - powtórzył Patrick. - Rozumiem.

- Powiedzmy, że zdarza się nagle coś bardzo ważnego. Wiesz, rozpacza, zniszczenie, przerażenie i towarzysząca im żaloba. Kumasz, Pat?

Kumał. Zaczynał rozumieć, skąd brała się hiperbolizacja na telesulfle-rze - nie tylko Fred przykładał do niej rękę. Wallingford nigdy przedtem nie widział Mary w ostrym świetle poranka: nawet błękit jej oczu wiele mu teraz wyjaśniał.

- Mów dalej.

- Nadciągą katastrofa! - powiedziała Mary. Filizanki wokół zastygły w bezruchu albo spoczęły cicho na spodeczkach. - Czas na wielką, przełomową wiadomość... Wiesz, o jakim materiale mówię. Musimy cię gdzieś wysłać, a ty najzwyczajniej w świecie odmawiasz.

- I wtedy mnie wywalają? - zapytał Wallingford.

- Wtedy będziemy musieli cię wywalić.

Nie dał po sobie poznać, ale zauważył, że „oni” zmienili się nagle w pierwszą osobę liczby mnogiej. Rzeczywiście, nie doceniał jej.

- Twoje dziecko na pewno będzie bardzo inteligentne - zauważył.

- Naprawdę rozumiesz? - nie ustępowała Mary. - Powiedzmy, że masz nową umowę, ważną jeszcze cztery albo cztery i pół roku, a oni cię wywalają. Próbują zbić wysokość twojej odprawy, ale jak nisko możesz teraz zejść? Najwyżej do równowartości trzyletnich zarobków, więc płacą ci w końcu za trzy lata z góry i jesteś wolny jak ptak! No, co prawda, fruniesz tylko do Wisconsin, jeżeli naprawdę zechcesz się przeprowadzić.

- Decyzja w tej sprawie nie należy do mnie - przypomniał jej Patrick.

Mary wzięła go za rękę. Podczas rozmowy pałaszowali przez cały czas gigantyczne śniadanie, a zafascynowani goście przyglądali się, jak jedzą bez końca, pokrzykując chwilami z ożywieniem.

- Życzę ci szczęścia w życiu z panią Clausen - powiedziała jak najszczerzej Mary. - Byłaby głupia, gdyby cię nie chciała.

Wallingford spostrzegł obłudę tej uwagi, powstrzymał się jednak od komentarza. Przyszło mu do głowy, że może pierwszy popołudniowy seans w kinie oczyści atmosferę, ale kwestia wyboru filmu okazała się nie do pokonania. Zaproponował „Arlington Road”, wiedząc, że Mary lubi Jeffa Bridgesa, ale thrillery polityczne zbyt ją denerwowały.

- To może „Oczy szeroko zamknięte”? - podsunął Wallingford, dostrzegając jednak w oczach Mary dziwną pustkę. - Ostatni film Kubricka...

- Ten gość niedawno umarł, prawda?

- Owszem.

- Tak właśnie przypuszczałam. Że stąd te wszystkie komplementy dla filmu - powiedziała.

Spryciara, nie ma co. Mimo to sądził, że chyba zdoła ją skusić.

- Główne role grają Tom Cruise i Nicole Kidman.

- Nie mogę ścierpieć myśli, że są małżeństwem - powiedziała Mary.

Milczenie przy ich stoliku zapadło tak raptownie, że każdy, kto tylko mógł, zaczął się na nich gapić. Po części dlatego, że kawiarniani goście rozpoznali Patricka Wallingforda, faceta od lwów, jedzącego śniadanie z niezłą blondyneczką, głównie jednak dlatego, że dotąd przepływał między nimi szaleńczy potok słów, który nieoczekiwanie ustał. Było to tak, jak gdyby goście oglądali kopulujących ludzi, którzy nagle, nie osiągnąwszy orgazmu, po prostu przestali się kochać.

- Nie idźmy do kina, Pat. Pojedźmy do ciebie. Nie wiem nawet, jak mieszkasz. Jedźmy do ciebie jeszcze się trochę popieprzyć.

Lepszego tekstu nie spodziewał się zapewne usłyszeć żaden początkujący pisarz, o ile takowy był wówczas obecny w kawiarni.

- Dobrze - odpowiedział Wallingford.

Wydawało mu się, że Mary nie zauważyła, jak pilnie obserwują ich goście. Osoby nie odwiedzające miejsc publicznych z Patrickiem

Wallingfordem nie zdawały sobie sprawy, że „katastrofiarę” wszyscy rozpoznają, zwłaszcza w Nowym Jorku. Jednak płacąc rachunek, Patrick spostrzegł, że Mary z pewną siebie miną odpiera spojrzenia kawiarnianych bywalców, a na ulicy wzięła go pod rękę i powiedziała:

- Takie incydenciki miewają cudowny wpływ na oglądalność, Pat.

Nie zdziwił się, że jego mieszkanie spodobało się jej bardziej niż własne.

- Zajmujesz to wszystko sam? - zapytała.

- Mam tylko jedną sypialnię, tak jak ty - odparł defensywnie Wallingford.

Choć ściśle biorąc nie mijal się z prawdą, w jego mieszkaniu w pobliżu Osiemdziesiątej Ulicy Wschodniej była kuchnia na tyle duża, aby pomieścić stół, a salon Patrick mógł wykorzystać również jako jadalnię, jeśli przyszedłby mu na to ochota. Z punktu widzenia Mary najważniejsze było jednak to, że jedyna sypialnia w mieszkaniu Patricka okazała się przestronna. Pokój miał kształt litery L, zatem kołyskę i rozmaite dziecięce utensylia można byłoby upchnąć we wnęce z lewej strony.

- Dzieciak mógłby spać tam, a ja miałabym nawet trochę swobody - powiedziała niedwuznacznie Mary, wskazując z łóżka upatrzony na kołyskę ką pokoju.

- Chcesz, żebyśmy się zamienili na mieszkania, czy tak mam to rozumieć?

- No... Skoro i tak przez większą część roku będziesz mieszkał w Wisconsin. Pat, posłuchaj, przecież wychodzi na to, że w Nowym Jorku będzie ci potrzebne tylko *pied-à-terre*, a moje mieszkanie nadaje się do tego idealnie!

Byli już nadzy, ale Wallingford wsparł głowę na jej płaskim, niemal chłopięcym brzuchu raczej z rezygnacją niż z seksualnym entuzjazmem - nie miał serca, żeby się dalej pieprzyć, jak zachęcająco ujęła to Mary w kawiarni. Starał się nie wyobrażać sobie siebie w jej hałaśliwym mieszkanku przy Pięćdziesiątej którejś. Nie cierpiał centrum, gdzie było zawsze głośno. W porównaniu z tamtą dzielnicą okolice Osiemdziesiątej można było uważać za peryferie.

- Przywykniesz do hałasu - zapewniła Mary, masując mu kojąco kark i ramiona. Czytała w jego myślach, bo, jako się rzekło, była mądrą dziewczyną. Wallingford otoczył jej biodra ramionami. Całował drobny, miękki brzuch Mary, próbując wyobrazić sobie zmiany, jakie zajdą w jej ciele za sześć, siedem, a potem osiem miesięcy.

- Musisz przyznać, że twoje mieszkanie byłoby lepsze dla dziecka, Pat - powiedziała, a po chwili jej język zaczął błyskawicznymi suwami penetrować ucho Wallingforda.

Nie wiedział, jak długofalowy jest plan Mary, podziwiał ją więc za to, czego w niej nie docenił. Może nawet nauczy się od niej czegoś, dzięki czemu będzie mógł rozpocząć wymarzone życie z panią Clausen i małym Ottonem. Ale czy naprawdę tego chce? Pewność Patricka załamała się i ogarnęło go poczucie jej braku. A jeśli w rzeczywistości chce jedynie rzucić pracę w telewizji i wyprowadzić się z Nowego Jorku?

- Biedny członeczek - powiedziała uspokajająco Mary, trzymając w dłoni jego penis, który jednak nie reagował na dotyk. - Pewnie jest zmęczony - dodała. - Powinien chyba odpocząć. Oszczędzać się na Wisconsin.

- Miejmy nadzieję, że w Wisconsin wszystko pójdzie dobrze. Ze względu na nas oboje, Mary.

Mary delikatnie pocałowała jego członek, niemal obojętnie, w taki sposób, w jaki większość mieszkanek Nowego Jorku cmoknęłyby w policzek znajomego albo niezbyt bliskiego przyjaciela.

- Mądry z ciebie chłopak, Pat. I w zasadzie jesteś porządnym faceciem, bez względu na to, co się o tobie mówi.

- Moim zdaniem, ostatecznie mam opinię nosiciela genialnych genów - odpowiedział krótko.

Próbował wyobrazić sobie tekst telesuflera na piątkowy wieczór i zastanawiał się, co Fred zdążył już do niego wprowadzić. Zastanawiał się też, co mogłaby dodać do scenariusza Mary, albowiem to, co Patrick mówił na wizji, pisało wiele niewidzialnych rąk, a teraz zrozumiał, że Mary zawsze była ścichapek.

Kiedy stało się jasne, że nie jest w stanie znowu się z nią kochać, zaproponowała, by w takim razie pojechali tego dnia wcześniej do pracy.

- Wiem, że chcesz mieć wpływ na ostateczne brzmienie tekstu - powiedziała. - Mam w związku z tym parę pomysłów - dodała jeszcze, ale dopiero w taksówce, już w drodze do redakcji.

Jej wycucie czasu było niemal magiczne. Patrick słuchał, jak opowiada o „zamknięciu sprawy” i „zakończeniu problemu Kennedy'ego”. Zrozumiał, że scenariusz programu miała od dawna w głowie.

Jakby po namyśle - kiedy minęli stanowisko ochrony i wjeżdżali windą na piętro - Mary we współczującym geście, od którego uzależnienie zdradzało tak wiele kobiet, dotknęła jego lewego przedramienia tuż nad zabliznioną raną po odgryzionej ręce.

- Na twoim miejscu nie przejmowałabym się Fredem - oświadczyła konfidencko. - Nie zawracaj sobie nim głowy.

Początkowo Wallingford pomyślał, że kobiety z redakcji plotkują z takim poruszeniem, ponieważ on i Mary przyszli do pracy razem, a co najmniej jedna z nich widziała wczoraj wieczorem, że razem wychodzą, teraz więc wszystkie wiedziały już, co zaszło. Okazało się jednak, że Fred otrzymał wymówienie z pracy, i właśnie ta nowina była motorem ożywionych rozmów kobiecego personelu redakcji. Nie zdziwiło go, że niecodzienna wiadomość nie zaskoczyła Mary, która z przelotnym niby cień uśmiechem zniknęła w toalecie.

Patrick natomiast zdumiał się, że wita go zaledwie jedna producentka i jeden przedstawiciel kierownictwa, młody człowiek o twarzy przypominającej księżyc w pełni. Nazywał się Wharton i zawsze miał taką minę, jakby wstrzymywał nudności. Czyżby okazał się figurą bardziej wpływową, niż przypuszczał Patrick? Czy i jego także nie docenił? Pozorna niewinność i nieszkodliwość Whartona uderzyła go teraz jako potencjalne zagrożenie. Młodzieniec miał nijaki, bezbarwny wyraz twarzy, a pod tą maską kryło się, być może, oblicze władzy, na mocy której mógł zwalniać pracowników - nawet takich jak Fred albo Patrick Wallingford. Ale Wharton, dwukrotnie używając słowa „niefortunny”, nawiązał do rewolty Wallingforda podczas czwartkowego programu, wskutek

której Fred został zwolniony z pracy, po czym poszedł sobie, zostawiając Patricka w cztery oczy z panią producentką.

Wallingford nie do końca pojął, co to znaczy - dlaczego na rozmowy z nim przysłali tylko jedną producentkę? Wybór jej osoby był jednak do przewidzenia - wykorzystali ją już raz w przeszłości, gdy doszli do wniosku, że potrzeba mu ostrej reprimendy albo jakiejś innej formy nagany.

Miała na imię Sabina. Awansowała, przed laty była bowiem szeregową pracownicą redakcji. Patrick spał z nią kiedyś, ale tylko raz, gdy była znacznie młodsza i pozostawała jeszcze w pierwszym związku małżeńskim.

- Przypuszczam, że miejsce Freda zajmie na okres przejściowy jakiś, by tak powiedzieć, nowy kutas. Nowy redaktor wiadomości... - myślał głośno Wallingford.

- Na twoim miejscu nie mówiłabym o okresie przejściowym - ostrzegła Sabina. (Patrick zauważył, że podobnie jak Mary, używała często zwrotu „na twoim miejscu”). - Powiedziałabym raczej, że ta nominacja wisiała w powietrzu od dawna i że nie będzie w niej nic „przejściowego”.

- Czy to ty masz objąć to stanowisko? - zapytał Patrick, sądząc, że nominację dostanie zapewne Wharton.

- Nie. Shanahan. - W głosie Sabiny dźwięczała nuta gorzkości.

- Shanahan? - Wallingfordowi nic to nie mówiło.

- Dla ciebie Mary - uściśliła Sabina.

A więc nazwisko Mary brzmiało „Shanahan”! Nawet teraz nie mógł go sobie przypomnieć. Mary Shanahan! No tak. Oczywiście.

- Powodzenia, Pat. Zobaczymy się na posiedzeniu komisji scenariuszowej - powiedziała Sabina.

Zostawiła go samego, nie miał jednak wiele czasu do namysłu.

Kiedy pojawił się na posiedzeniu, pracownicy redakcji siedzieli już w pokoju, czujne i impulsywne jak młode, nerwowe psiaki. Jedna podsunęła mu jakiś okólnik, ale kartka o mało nie wyfrunęła jej z rąk. Na pierwszy rzut oka Patrickowi wydawało się, że jest to komunikat prasowy, zawierający znaną mu już wiadomość, ale po chwili zauważył, że

obok stanowiska redaktora wiadomości Mary Shanahan powierzono również stanowisko producenta programu. Sabina, choć także była producentką, miała mu tak niewiele do powiedzenia, bo od chwili nominacji Mary nie była zapewne równie ważna, jak dotąd.

Co do Whartona, to urzędas o księżycowym obliczu nie zabierał głosu na posiedzeniach komisji scenariuszowej. Należał do facetów, którzy wypowiadają się wyłącznie po fakcie, a co za tym idzie, formułował wszelkie komentarze z opóźnieniem. Przychodził na spotkania jedynie po to, żeby się dowiedzieć, kto odpowiada za teksty wygłaszane przez Patricka na wizji, dlatego nie było jasne, czy Wharton jest ważną figurą, czy zwyczajnym zerem.

Najpierw wszyscy obejrzeni materiał filmowy, nie zawierający ani jednego ujęcia, które nie byłoby już zakodowane w społecznej świadomości. Najbardziej bezwstydną była wieńcząca film stop-klatka, przedstawiająca Caroline Kennedy Schlossberg. Zrobione chyłkiem zdjęcie nie było całkiem czytelne, ale wyglądało na to, że Caroline Kennedy próbuje zasłonić syna przed wścibskim obiektywem aparatu. Chłopak grał w koszykówkę, zapewne na podjeździe przed letnią rezydencją Schlossbergów w Sagaponack. Fotograf zastosował teleobiektyw, co można było poznać po nieostrzych gałęziach (chyba kocierpki) na pierwszym planie kadru. (Zdaje się, że podstępny fotograf wcisnął aparat w żywopłot). Syn pani Kennedy nie zdawał sobie sprawy, że mu ktoś robi zdjęcie, albo udawał, że o niczym nie wie.

Caroline Kennedy Schlossberg została zdjęta z profilu. Wyglądała wciąż na kobietę elegancką i pełną godności, ale bezsenność albo rodzinna tragedia wycisnęły na jej wychudzonej twarzy ponury wyraz. Powierzchność Caroline zaprzeczała krzepiącej opinii, że człowiek zapomina w końcu o swojej rozpacz.

- Dlaczego chcemy wykorzystać to zdjęcie? - zapytał Patrick. - Nie jest nam wstyd? Nie jesteście nawet troszeczkę zażenowani?

- Trzeba je tylko opatrzyć odpowiednim komentarzem, Pat - odpowiedziała Mary Shanahan.

- Może coś takiego? Powiem tak: „My, nowojorczyacy, cieszymy się pochlebną opinią ludzi, którzy zapewnijają anonimowość sławnym osobistościom. Od dzisiaj nie za sługujemy jednak na tę opinię”. Co wy na to? - zapytał Wallingford.

Nikt nie odpowiedział. Lodowato błękitne oczy Mary zaiskrzyły, podobnie jak jej uśmiech, a kobiety z redakcji przebiegł dreszcz podniecenia. Nie zaskoczyłoby go, gdyby zaczęły się gryźć między sobą.

- Albo inaczej - ciągnął Wallingford. - Mogę powiedzieć tak: „Wszyscy, którzy znali Johna E Kennedy'ego juniora, twierdzą, że był młodzieńcem skromnym i przyzwoitym. Podobnej skromności i przyzwoitości powinniśmy życzyć również sobie”.

Zapadła cisza, którą można byłoby uznać za przejaw uprzejmości, gdyby nie demonstracyjne westchnienia kilku pracowników redakcji.

- Otóż pozwoliłam sobie osobiście skrobnąć kilka słów - powiedziała Mary niemal bojaźliwie. Scenariusz widniał już na telesuflerze, musiała go więc napisać przed wczoraj albo wczoraj.

„Bywają takie dni, a czasem nawet tygodnie, kiedy los obsadza nas w nieprzyjemnej roli złowieszczego posłańca” - głosił scenariusz.

- Gówno prawda! - powiedział Patrick. - My nie czuje my się nieprzyjemnie w tej roli. My się nią upajamy!

Mary usiadła z afektowaną skromnością, a tekst na tablicy płynął dalej:

„Wolelibyśmy być pocieszycielami strapionych niż posłańcami złych wieści, w ostatnim tygodniu musieliśmy jednak wcielić się w rolę tych ostatnich”.

Po tych słowach, jak głosił scenariusz, powinna nastąpić chwila przerwy.

- Podoba mi się - powiedziała jedna z kobiet.

Wallingford wiedział, że przed tym posiedzeniem panie odbyły naradę we własnym gronie. (Zawsze tak robiły). I uzgodniły zapewne, która z nich powie, że pomysł jej się podoba.

Inna kobieta dotknęła lewego przedramienia Patricka tam, gdzie zawsze dotykały go kobiety.

- Podoba mi się, bo nie sprawia wrażenia, jakbyś przepraszał za to, co powiedziałeś wczoraj, a w każdym razie niezupełnie - oświadczyła. Jej dłoń spoczywała na przedramieniu Patricka nieco dłużej, niż wymagał tego naturalny odruch czy konieczność.

- Nawiasem mówiąc, wczorajsza oglądalność była znakomita - powiedział Wharton.

Patrick wiedział, że nie powinien patrzeć na Whartona, którego okrągła buzia wisiała nad stołem niczym bezbarwna kropka.

- Byłeś wspaniały, Pat - dodała Mary.

Ta uwaga padła w jak najwłaściwszym momencie, cała scenka musiała zatem zostać przygotowana na posiedzeniu poprzedzającym spotkanie komisji, tym bardziej że wśród kobiet z redakcji nie rozległ się ani jeden chichot - wszystkie siedziały z poważnymi minami niczym ława przysięgłych po podjęciu decyzji. Oczywiście jedyną osobą, która nie wiedziała, że Patrick Wallingford pojechał wczoraj do domu z Mary Shanahan, był Wharton, którego, co prawda, i tak by to w ogóle nie obeszło.

Mary dała Patrickowi dość czasu na odpowiedź - tak jak i reszta komisji, pogrążona w pełnym szacunku milczeniu. Kiedy do panny Shanahan dotarło, że odpowiedzi nie będzie, oświadczyła:

- W takim razie, skoro wszystko jest jasne...

Wallingford był już wtedy w drodze do garderoby. Jak sięgał pamięcią, przeprowadził z Mary tylko jedną rozmowę, której nie żałował. Kiedy kochali się rano, opowiedział jej o nagłym i niewytłumaczalnym impulsie pożądania, jakie wzbudziła w nim charakteryzatorka. Mary do jego uczuć odniosła się jednak krytycznie.

- Nie mówisz chyba o Angie?

Patrick dowiedział się dopiero teraz, jak charakteryzatorka ma na imię.

- Mówię o tej, która żuje gumę...

- To Angie! - zawołała Mary. - Koszmarna dziewczucha!

- Ale mnie podnieca. Nie wiem dlaczego. Może przez tę gumę.

- A może po prostu jesteś psem na baby, Pat.

- Niewykluczone.

Na tym się nie skończyło. W drodze do kawiarni na Madison Avenue Mary ni stąd, ni zowąd wykrzyknęła:

- Angie! Jezus, Pat, ta dziewczyna to nikt! Mieszka z rodzicami. Jej stary pracuje w policji celnej czy gdzieś. Na Queensie. Angie jest z Queensu!

- Czy to ważne, gdzie mieszka? - zapytał Patrick.

Z perspektywy czasu zdziwił się, że Mary chce jego dziecka i mieszkania, a jednocześnie doradza mu, jak najkorzystniej powinien stracić pracę - wyglądało na to, że w pewnym starannie wykalkulowanym stopniu chce jednak zostać jego przyjaciółką. Życzyła mu nawet powodzenia w Wisconsin - aczkolwiek przyjęcie tych życzeń za dobrą monetę oznaczało w istocie, że nie zauważył zazdrości Mary o panią Clausen - a mimo to o mało nie trafił jej szlag, kiedy przyznał, że charakteryzatorka budzi w nim pożądanie. Dlaczego tak się tym zdenerwowała?

Siedział w fotelu charakteryzatorskim, kontemplując swoje podniecenie, gdy Angie zabrała się do jego zmarszczek i (szczególnie widocznych tego dnia) sińców pod oczami.

- Nie kimałeś wczoraj dobrze, co? - zapytała, poruszając nieustannie szczękami. Zmieniła gumę, która wczoraj wieczorem pachniała miętą, a dzisiaj owocami.

- Niestety. Znów miałem bezsenność - odpowiedział Patrick.

- Dlaczego nie możesz spać? - zapytała Angie.

Wallingford zmarszczył brwi. Myślał, jak daleko może się posunąć.

- Nie marszcz czoła. Rozluźnij się, rozluźnij! - powie działa Angie, miękką szczoteczką nakładając mu na czoło cielistej barwy puder. - No, tak lepiej. Więc czemu nie sypiasz? Nie chcesz mi powiedzieć?

Ach, do cholery jasnej, niech się dzieje, co chce! - pomyślał. Jeżeli pani Clausen odrzuci jego oświadczyzny, będzie żył własnym życiem. Zapłodnił właśnie swoją nową szefową, i co z tego? Już na posiedzeniu komisji postanowił, że nie zamieni się z nią na mieszkania. A jeśli Doris zgodzi się z nim zamieszkać, dziś spędzi ostatnią noc jako wolny mężczyzna. (Niejeden z nas wie zapewne, że anarchia seksualna poprzedza

czasem niezłomną monogamię). Wstąpił w niego dawny Patrick Wallingford, a jego rozwiązłość doszła znów do głosu.

- Źle sypiam, bo nie mogę przestać o tobie myśleć - wyznał.

Charakteryzatorka rozpostarła palce, wygładzając kciukiem i palcem wskazującym „zmarszczki uśmiechu”, jak je nazywała, kryjące się w kącikach ust Patricka. Czuł, że palce Angie znieruchomiały na jego twarzy, jak gdyby z dłoni dziewczyny uszło nagle życie. Opadła jej szczęka i Angie zatrzymała się na chwilę z na wpół otwartą, znieruchomiłą buzią.

Była ubrana w obcisły sweterek z krótkimi rękawami, w kolorze sorbetu pomarańczowego. Na szyi nosiła na łańcuszku gruby, chyba męski sygnet, był bowiem na tyle ciężki, by wślizgnąć się między jej piersi. Ale nawet biust dziewczyny przestał się poruszać, kiedy wstrzymała oddech - wszystko znieruchomiało.

W końcu odetchnęła, długo wypuszczając z płuc pachnące gumą do żucia powietrze. W lustrze, przed którym siedział, nie było widać jej twarzy, dostrzegał jednak napięte mięśnie szyi, niesforne kosmyki kruczoczarnych włosów i ramiączka stanika, odciskające się pod pomarańczowym sweterkiem, wysuniętym zza paska wąskiej czarnej spódnicy. Skóra Angie była oliwkowa, a jej ramiona porastały ciemne, falujące włoski.

Miała zaledwie dwadzieścia kilka lat. Wallingforda nie poruszyła wiadomość, że podobnie jak wiele innych pracujących dziewcząt z Nowego Jorku, mieszka wciąż z rodzicami. Na własne mieszkania młodych dziewczyn na ogół nie było stać, a na rodzicach można polegać bardziej niż na przypadkowych współlokatorkach.

Myślał już, że dziewczyna w ogóle nie odpowie, kiedy jej delikatne palce zaczęły znów rozprowadzać mu róż na twarzy. W końcu wzięła głęboki oddech i wstrzymała go, jak gdyby zastanawiała się, co powiedzieć, po czym ponownie wypuściła pachnące owocami powietrze. Przeżuwała teraz gumę, ruszając szybko szczękami, a jej oddech był płytki i przesycony słodyczą. Wallingford z zakłopotaniem zrozumiał, że Angie wpatruje się w jego twarz, szukając w niej czegoś więcej niż tylko przyszczy i zmarszczek.

- To ma być zaproszenie na randkę czy jak? - szepnęła, spoglądając w otwarte drzwi garderoby, w której oprócz nich nie było nikogo. Fryzjerka przed chwilą zjechała windą na parter, żeby wypalić na ulicy papierosa.

- Postawmy sprawę w ten sposób - szepną Wallingford pobudzonej, zadyszanej dziewczynie. - Jeżeli dobrze rozegrasz swoje karty, molestowanie seksualne masz jak w banku.

Ucieszył się, że przyszedł mu do głowy pomysł, dzięki któremu mógł zostać zwolniony z pracy, i że nie wpadła na niego Mary Shanahan, Angie nie wiedziała jednak, że Wallingford mówi serio, i myliła się, sądząc, że to żarty. Poza tym, jak słusznie odgadł Patrick, charakteryzatorka podkochiwała się w nim.

- Ha! - powiedziała, posyłając mu swawolny uśmiech.

Po raz pierwszy zobaczył wtedy jej gumę - była ciemnofioletowa. (Zapewne nasycona naturalnym albo syntetycznym aromatem winogronowym). Sięgnęła po pincetę i wbiła wzrok pomiędzy oczy Patricka. Gdy pochyliła się nad nim, wciągnął w nozdrza jej zapach - perfum, włosów i guma do żucia. Pachniała cudownie, jakby domem towarowym.

Widział w lustrze palce swojej prawej ręki - rozcapierzył je z premedytacją na wąskim pasie ciała Angie, pomiędzy stanem spódnicy i podciągniętym sweterkiem, jak gdyby muskał klawiaturę fortepianu przed koncertem. W tym momencie poczuł się bezwstydnie, niczym emerytowany wirtuoz, który nie ćwiczył od dawna, nie stracił jednak talentu.

Nie było w Nowym Jorku adwokata, który na ten widok nie zechciałby z radością występować przed sądem z pełnomocnictwa Angie. Wallingford modlił się tylko, żeby dziewczyna nie dziabnęła go pincetą w twarz.

Ale kiedy dotknął jej ciepłego ciała, Angie wygięła plecy, napierając... nie, wtulając się raczej w jego dłoń. Delikatnie wyrwała zbędny włos, rosnący Patrickowi u nasady nosa, a potem lekko rozchyłonymi wargami pocałowała go w usta. Poczuł smak jej gumy.

Chciał powiedzieć coś w rodzaju „Angie, na litość boską, powinnaś mnie podać do sądu!”, nie zmusił się jednak, żeby cofnąć rękę. Jego

palce instynktownie wślizgnęły się pod sweter i powędrowały w górę kręgosłupa, ku zapince stanika.

- Uwielbiam tę twoją gumę - powiedział, bo dawny Patrick doskonale wiedział, co powiedzieć w takiej sytuacji.

Angie pocałowała go raz jeszcze, tym razem wpychając mu do ust swój prężny język.

Gdy zaskoczony Patrick chwycił zębami śliski rulonik gumy, przez krótką, niepokojącą chwilę myślał, że odgryzł dziewczynie język. Nie spotkał się po prostu z tego rodzaju grą wstępną, bo rzadko romansował z nałogowymi gumożujkami. Nagie plecy Angie wily się pod jego dłonią, a jej okryte delikatnym swetrem piersi ocierały się o jego tors.

W progę dało się słyszeć chrząknięcie jednej z pracownic redakcji. Plan Wallingforda omal się nie powiódł - Patrick miał nadzieję, że to Mary Shanahan zobaczy go całującego i obmacującego charakteryzatorkę, i tak nie wątpił jednak, że informacja o tym dotrze do Mary, zanim on wejdzie na wizję.

- Zostało pięć minut, Pat - powiedziała kobieta z redakcji.

Angie zostawiła gumę w ustach Patricka i obciągała jeszcze sweter, kiedy wróciła fryzjerka, skończywszy palić papierosa na chodniku przed wejściem. Była to otyła, pachnąca grzankami z cynamonem i rodzynekami czarnoskóra kobieta, która zawsze udawała irytację, jeśli włosy Patricka nie wymagały zabiegów pielęgnacyjnych. Czasami spryskiwała mu włosy sprejem, a czasem wcierała w nie odrobinę żelu - tym razem jednak poklepała go tylko po głowie i wyszła znów z pokoju.

- Jesteś pewien, że jarzysz, w co się pakujesz? - zapytała Angie. - Mam zakręcone życie - ostrzegła. - Jestem chodzącym problemem, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

- A co masz na myśli?

- Jeżeli chcemy gdzieś dzisiaj razem wyskoczyć, powinnam najpierw załatwić parę spraw - powiedziała. - Na początek muszę dryndnąć w kilka miejsc.

- Nie chcę ci sprawiać żadnych kłopotów, Angie.

-

Zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu, jak sądził, Wallingford, notesu z telefonami. Mylił się jednak - Angie szukała gumy.

- Posłuchaj. - Znów zaczęła żuć. - Chcesz się umówić ze mną na wieczór, no nie? To żaden kłopot. Po prostu muszę zacząć telefonować.

- Tak, chcę się z tobą umówić.

A dlaczego nie? Dlaczego nie dziś wieczorem? Nie był przecież mężem pani Clausen, która nie dała mu zresztą żadnej nadziei. Nie miał powodu myśleć, że kiedyś się z nią ożeni - na razie zamierzał tylko poprosić ją o rękę, a w tych okolicznościach anarchia seksualna była zarówno zrozumiała, jak i wręcz wskazana. (Zdaniem dawnego Patricka Wallingforda, oczywiście).

- Masz chyba telefon w domu - powiedziała Angie. - To lepiej kopsnij numer. Nie podam go nikomu, jeżeli nie będę musiała.

Zapisywał jej numer swojego telefonu, kiedy w drzwiach stanęła ta sama kobieta, która widziała, jak całuje się z charakteryzatorką. Tym razem zauważyła, że podaje Angie jakąś karteczkę, i Wallingford pomyślał, że sprawa nabiera rumieńców.

- Dwie minuty, Pat - przypomniała spostrzegawcza kobieta.

Mary czekała na niego w studio. Wyciągnęła rękę, w której trzymała chusteczkę higieniczną.

- Wypluj tę gumę, dupku - zażądała krótko, a Patrick nie bez przyjemności umieścił w jej dłoni śliski ciemno-fioletowy wałeczek.

- Dobry wieczór - rozpoczął piątkowy program bardziej oficjalnie niż zazwyczaj.

„Dobry wieczór” nie pojawiło się na telesuflerze, ale Wallingford chciał sprawiać wrażenie nieszczerze ponurego i smutnego - wiedział bowiem doskonale, ile nieszczerości kryje tekst, który miał za chwilę przeczytać.

- Bywają dni, a czasem i tygodnie, kiedy los obsadza nas w nieprzyjemnej roli złowieszczego posłańca. Woleli byśmy być pocieszycielami strapionych niż posłańcami złych wieści, w ostatnim tygodniu musieliśmy się jednak wcielić w rolę tych ostatnich.

Zdawał sobie sprawę, że - tak jak chciał - jego słowa zabrzmiały niczym plaśnięcia spadających na ziemię ciężkich, mokrych szmat. Gdy ruszył film, Patrick, już poza kadrem, poszukał wzrokiem Mary, która jednak opuściła wcześniej studio wraz z Whartonem. Nudny jak flaki z olejem materiał filmowy ciągnął się w tempie rozwlekłej ceremonii pogrzebowej. Nie trzeba było geniusza, żeby przewidzieć oglądalność tej edycji programu.

W końcu pojawiło się wmontowane ni w pięć, ni w dziewięć ujęcie Caroline Kennedy Schlossberg, osłaniającej syna przed teleobiektywem, a kiedy zastygło w stop-klatce, Patrick przygotowywał się do wygłoszenia końcowego komentarza. Będzie miał czas, żeby powiedzieć jak zwykle: „Dobrej nocy, Doris. Dobranoc, mały Otto”. Albo inny tekst podobnej długości.

Choć nie uważał wcale, że zdradza panią Clausen, nie byli bowiem parą, mimo wszystko sądził, że jeśli wygłosi zwyczajowe pozdrowienia dla Doris i jej syna, zbecześci w jakimś sensie swoją miłość do niej. Pamiętając, co robił poprzedniej nocy z Mary, i sądząc, że wie, co czeka go dzisiejszej nocy z Angie, nie miał ochoty choćby wspominać nazwiska pani Clausen.

Poza tym chciał powiedzieć coś innego. Kiedy materiał filmowy wreszcie dobiegł końca, spojrział wprost w kamerę i oświadczył:

- Mijmy nadzieję, że to koniec.

Była to wypowiedź zaledwie o jedno słowo krótsza niż pozdrowienia dla Doris i Ottona juniora, brakowało jednak przerwy na kropkę, nie wspominając już o dwóch przecinkach. Dlatego trwała jedynie trzy sekundy zamiast czterech, o czym Patrick wiedział, ponieważ zmierzył czas.

Choć jego uwaga końcowa nie zwiększyła oglądalności programu, wieczorne wiadomości zyskały dzięki Patrickowi dobrą prasę. Felieton w „The New York Times”, sprowadzający się do kostycznego podsumowania telewizyjnych reportaży o tragicznej śmierci JFK juniora, pochwalił Patricka za, jak to określił autor, „trzy sekundy uczciwości w długim tygodniu plugastwa”. Tak więc, wbrew wysiłkom Patricka, wydawało się, że teraz tym bardziej stacja nie zechce go zwolnić.

Oczywiście po zakończeniu piątkowego programu Mary Shanahan wpadła jak kamień w wodę. Zniknął także Wharton i Sabina, odbywający zapewne kolejne posiedzenie. Kiedy Angie zmywała mu makijaż, Patrick na tyle demonstracyjnie zaczął okazywać jej fizyczną czułość, że fryzjerka z obrzydzeniem opuściła pokój. Więcej, Wallingford zaczął z opuszczeniem garderoby w towarzystwie Angie do chwili, gdy przy drzwiach do windy zaczęła szeptać niewielka, ale wielce elokwentna grupka pracownic redakcji.

Ale czy naprawdę chce spędzić noc z Angie? Czy przygoda seksualna z dwudziestoparoletnią charakteryzatorką stanowi postęp w żmudnym procesie samodoskonalenia? Czy nie jest oczywiste, że dawny Wallingford znowu próbuje swoich starych sztuczek? Ile razy mężczyzna może powtarzać własną przeszłość seksualną, nim całkowicie pozwoli jej sobą zawładnąć?

Poczuł się jednak jak nowo narodzony. Wydawało mu się, że jest na dobrej drodze, choć nie potrafił wytłumaczyć tego poczucia nawet samemu sobie. Miał misję do spełnienia, podążał więc wciąż krętą jak labirynt trasą do Wisconsin, chociaż natrafił na objazd. Podobnie jak wczoraj. Nakładał drogi, owszem, ale objazdy stanowiły jedynie pierwszy etap przygotowań przed spotkaniem z panią Clausen i zwycięską walką o jej serce - a w każdym razie tak sobie to Patrick tłumaczył.

Zaprosił Angie do restauracji przy Trzeciej Alei gdzieś powyżej Osiemdziesiątej Ulicy. Po zakrapianej kolacji wrócili pieszo do mieszkania Patricka, przy czym Angie nieco chwiejnym krokiem. Pobudzona erotycznie dziewczyna znów wsunęła mu do ust gumę, której śliska wymiana trwała tyle, ile długi francuski pocałunek, jakim uraczyła go natychmiast, ledwie zdążył otworzyć drzwi i zaryglować je od wewnątrz.

Była to guma o nowym smaku, ultrachłodnym i jakby srebrzystym. Oddychając przez nos, czuł klucie w nozdrzach, a kiedy oddychał ustami - zimno na języku. Gdy Angie pod jakimś pretekstem wyszła do łazienki, Patrick wypluł gumę na swoją jedyną dłoń. Połyskliwa, metaliczna guma opalizowała jak kałuża rtęci. Wyrzucił ją i umył rękę nad kuchennym

zlewem, zanim odziana jedynie w ręcznik Angie wyloniła się z łazienki i padła mu w ramiona. Bezpośrednia dziewczyna. Czekąca go ciężka noc. Nie będzie miał wiele czasu, żeby się spakować przed wyjazdem do Wisconsin.

Na domiar złego przez całą noc akompaniowały im telefony, których treść rejestrowała automatyczna sekretarka. Patrick chciał wyciszyć urządzenie, Angie uparła się jednak, by wysłuchiwać nagrań, bo na wszelki wypadek w pierwszej kolejności podała numer telefonu Patricka członkom swojej rodziny. Ale serię telefonów rozpoczęła nowa redaktorka wiadomości w stacji Patricka, Mary Shanahan.

Najpierw Wallingford usłyszał w tle kakofonię rozmów kobiet z redakcji, piskliwej wesołości, z jaką świętowały spotkanie towarzyskie, a także kontrastującego z nią barytonu kelnera, który recytował nazwy „specjalności dnia”. Dopiero potem odezwała się Mary. Wallingford wyobraził sobie, że Mary pochyla się nad telefonem komórkowym, jak gdyby chciała go zjeść. Jedną drobnokościstą dłonią osłaniała zapewne ucho, drugą - usta. Na twarz opadł jej kosmyk jasnych włosów, zakrywając, być może, jedno z szafirowobłękitnych oczu. Naturalnie kobiety z redakcji wiedziały, że dzwoni do niego, bez względu na to, czy je o tym uprzedziła, czy nie.

- To był cios poniżej pasa, Pat - automatyczna sekretarka zaczęła nagrywać wiadomość.

- To pani Shanahan! - szepnęła w panice Angie, jak gdyby Mary mogła ją usłyszeć.

- Owszem - wyszeptał w odpowiedzi Patrick.

Charakteryzatorka wiała się, ujeżdżając go okrakiem, a wspinała masa kruczoczarnych włosów dziewczyny całkowicie zasłaniała jej twarz. Wallingford widział tylko jedno ucho Angie, choć po zapachu poznał, że nowa guma wydziela malinowy albo truskawkowy aromat.

- Nie odezwałeś się, nawet mi nie pogratulowałeś - ciągnęła Mary. - Trudno, jakoś to zniosę, ale nie ścierpię tej paskudnej dziewczuchy. Chcesz mnie upokorzyć, o to ci chodzi?

- Ta „paskudna dziewczucha” to mam być ja? - zapytała Angie, która

zaczęła tymczasem dyszeć, wydając jednocześnie z głębi gardła niski, przypominający warczenie dźwięk, jak gdyby zakrztusiła się gumą.

- Tak, chodzi o ciebie - odpowiedział nie bez trudności Patrick, bo włosy dziewczyny wpadały mu do ust.

- A co ma do mnie pani Shanahan? - zapytała Angie takim głosem, jak gdyby brakło jej tchu.

Wallingford miał nadzieję, że nie będzie zachowywać się w łóżku jak Crystal Pitney.

- Przespałem się wczoraj z Mary. Może być w ciąży - powiedział Patrick. - Chciała mieć ze mną dziecko.

- To jakby wszystko wyjaśnia.

- Wiem, że jesteś w domu! Odbierz telefon, dupku! - zawyla Mary.

- Rany... - zaczęła Angie, usiłując wciągnąć Wallingforda na siebie, bo pozycja jeździecka najwyraźniej już jej się znudziła.

- Powinieneś się pakować! Wyjeżdżasz do Wisconsin! Powinieneś odpocząć przed podróżą! - krzyczała Mary.

Jedna z pracownic redakcji starała się ją uspokoić, a kelner mówił coś właśnie na temat sezonu na trufle.

Patrick rozpoznał jego głos. Pracował we włoskiej knajpie na Siedemnastej Zachodniej.

- Więc co z tym twoim wyjazdem do Wisconsin? - jęknęła Mary. - Chciałam się do ciebie przenieść na weekend, żeby zobaczyć, jak będzie mi się mieszkać...

I zaczęła płakać.

- O co chodzi z tym Wisconsin? - zadyszała Angie.

- Wyjeżdżam jutro z samego rana do Green Bay - odparł krótko Patrick.

Sekretarka wyemitowała teraz inny głos - to jedna z kobiet z redakcji dorwała się do komórki Mary, kiedy ta zalała się łzami.

- Jesteś chujkiem, Pat - powiedziała.

Oczami wyobraźni Wallingford widział jej chirurgicznie wyszczuploną twarz. Wyjechał kiedyś z tą kobietą do Bangkoku, kiedy miała jeszcze okrągłą buzię. Ale pierwsze nagranie na tym się skończyło.

- Ha! - zawołała Angie. Udało się jej wykręcić ciało tak, że znaleźli się w jakiejś bocznej pozycji, której Wallingford nie znał, a która okazała się

dla niego bolesna. Tymczasem charakteryzatorka zbierała siły do ostatniego ataku, a wydobywający się z jej gardła warkot przeszedł w jęk.

Kiedy na sekretarce zaczęło się drugie nagranie, Angie wbijała Patrickowi piętę w krzyż. Leżeli ciągle zespoleni w pozycji bocznej, a charakteryzatorka stękała głośno, podczas gdy kobiecy głos pytał żałośnie:

- Czy jest tam moja dziewczynka? Och, Angie, Angie... Kochanieńka, kochanieńka! Nie powinnaś tak robić! Łamiesz mi serce!

- Mamo, na litość boską... - zaczęła Angie, nie mogąc zaczerpnąć tchu. Jej jęk przeszedł znów w warkot, a warkot - w ryk.

Wallingford doszedł do wniosku, że Angie należy do kobiet, które podczas orgazmu drą się wniebogłosey. Sąsiedzi gotowi pomyśleć, że ją morduje. Powiniennem zacząć się pakować, przemknęło mu przez głowę, kiedy Angie gwałtownym szarpnięciem przewróciła się na plecy. Choć Patrick tkwił w niej głęboko, dziewczynie udało się zarzucić mu nogę na ramię. Próbował ją pocałować, ale dostęp do ust Angie blokowało jej kolano.

Matka dziewczyny lkała tak miarowo, że automatyczna sekretarka zaczęła wydawać dźwięki zwiastujące jakby jej własny, mechaniczny orgazm. Wallingford nie słyszał odgłosu odkładanej słuchawki, ostatni szloch matki zagłuszyły bowiem wrzaski córki. Patrick mniemał mylnie, że kobiety nie krzyczą tak głośno nawet przy porodzie - i że nawet Joanna d'Arc, smażąc się na stosie, nie wrzeszczała równie rozdzierająco. Krzyki Angie jednak gwałtownie ustały. Przez chwilę leżała jak sparaliżowana, a potem zaczęła się miotać. Chłostała włosami twarz Wallingforda i szarpała go, a jej paznokcie rozorały mu plecy.

Oho, więc wrzeszczy i drapie, pomyślał Patrick, któremu Angie przypominała mimo wszystko młodszą i niezamężną Crystal Pitney sprzed lat. Skrył twarz pod brodą dziewczyny, żeby nie rzuciła mu się do oczu, a szczerze mówiąc, przestraszył się kolejnego etapu jej orgazmu, bo charakteryzatorka obdarzona była chyba nadludzką siłą. Bez jednego dźwięku, nawet bez stęknięcia, wygięła plecy w łuk i zrzuciła go z siebie,

najpierw na bok, potem na plecy. Patrick cudem ani razu z niej nie wyszedł, jak gdyby nie mieli się rozłączyć po kres czasu, a ich splecione ciała stanowiły jedną istotę, niby nowy gatunek biologiczny. Wyczuwał bicie jej serca - pierś dziewczyny wibrowała, ale Angie ucichła. Nie wzdychała nawet.

Dopiero po chwili zorientował się, że charakteryzatorka nie oddycha. A więc krzyczy, drapie i na dodatek mdleje... Zebrał wszystkie siły, wyprostował ramiona i zepchnął z siebie dziewczynę, wciskając zdrową dłoń i kikut w jej piersi. Dopiero wtedy zrozumiał, że zakrzuszyła się gumą - twarz jej zsiniała, a z ciemnobrązowych oczu było widać tylko białka. Podtrzymał zwiśla szczękę dziewczyny i uderzył ją pod żebro pozbawionym pięści kikutem. Ból, jaki poczuł, przypomniał mu okres rekonwalescencji po przeszczepie - był mdlący i wystrzelił w górę ramienia, po bark, skąd sięgnął nawet szyi. Na szczęście Angie odetchnęła nagle, wypływając gumę.

Telefon zadzwonił po raz trzeci, kiedy przerażona dziewczyna położyła mu głowę na piersi, drżąc jeszcze spazmatycznie i wciągając powietrze potężnymi haustami.

- Myślałam, że umrę - wydyszała.

Patrick, któremu wydawało się, że dziewczyna po prostu przeżywa intensywny orgazm, nie odpowiedział, automatyczna sekretarka zaczęła natomiast rejestrować kolejne nagranie.

- Umierałam i szczytowałam jednocześnie - dodała dziewczyna. - Coś niesamowitego.

Tym razem telefonowano z ponurych podziemi miasta - słychać było metaliczne zgrzyty i chwiejny, urywany łoskot kolejki metra, a potem wyraźny głos ojca Angie, funkcjonariusza policji celnej.

- Dziewczyno, co ty, chcesz wpędzić matkę do grobu, czy jak? Nie je przez ciebie, nie sypia, nie była na mszy... — Biadającego gliniarza zagлуszył ponownie hurkot kolejki.

- Tatuś - zwiźle powiadomiła Wallingforda Angie, której biodra zaczęły się znów poruszać.

Połączył się z nią na wieki - jak podrzędny bożek z podrzędną boginią, symbolizujący śmierć z rozkoszy.

Zaczęła krzyczeć, kiedy telefon odezwał się po raz czwarty. Patrick chciał sprawdzić godzinę, ale gdy rzucił okiem na cyfrowy budzik, okazało się, że tarczę zasłania jakaś różowa plama. Wyglądała upiornie, niczym fragment ludzkiej anatomii, na przykład kawałek płuca, była to jednak tylko guma do żucia - niewątpliwie o smaku jagodowym. Światelko tarczy budzika podświetlało gumę w taki sposób, że przypominała żywą tkankę.

- Boże... - powiedział w chwili orgazmu, który osiągnęli jednocześnie.

Zapewne z braku gumy Angie wpiła się zębami w jego lewe ramię. Potrafił znieść ten ból, bo nie takie cierpienia w życiu znosił, dziewczyna wykazała się jednak większym entuzjazmem, niż przypuszczał. Nie tylko krzyczała i dusiła się, uprawiając seks - lubiła też gryźć. Zaczęła zaciskać znów zęby na jego ciele, kiedy straciła przytomność.

- Ej, ty, kaleka. - Sekretarka Patricia zaczęła nagrywać głos nieznanego mężczyzny. - Te, panie Jednoreki, wiesz pan co? Stracisz coś więcej niż rękę, jak ci, kurwa, zrobię przeciąg między nogami.

Wallingford spróbował ocucić Angie pocałunkami, ale zemdlona dziewczyna uśmiechnęła się tylko.

- To do ciebie - szepnął jej Patrick do ucha. - Chyba powinnaś odebrać.

- Ty mordo jebana - powiedział mężczyzna. - Nie słyszałeś, że nawet gwiazdorzcy telewizyjni czasami po prostu znikają?

Mężczyzna dzwonił chyba z samochodu znajdującego się w ruchu. W radiu śpiewał Johnny Mathis - wprawdzie cicho, ale było go słyhać. Wallingfordowi przyszedł na myśl sygnet, który Angie nosiła w charakterze wisiorka - jego średnica była tak duża, że wszedłby nawet na wielki paluch u nogi. Ale dziewczyna zdjęła go przed wejściem do łóżka, a o ofiarodawcy wyraziła się lekceważąco, nazywając go „zerem” - miał to być jakiś facet, bawiący „za oceanem”. Więc w takim razie kto telefonował?

- Powinnaś chyba posłuchać, co ten facet mówi - szepnął Patrick, ostrożnie przywracając Angie do pozycji siedzącej.

Włosy opadały jej na twarz, okrywając również kształtne piersi. Pachniała niby rozkoszny koktejl kwiatów i owoców, a jej ciało pokrywała cienka, lśniąca warstewka potu.

- Posłuchaj, panie Jednoreki - powiedziała automatyczna sekretarka.
- Roztrzępię ci chuja w mikserze, a potem cię złapię za łeb i każę ci wypić ten koktajl.

Ta obietnica szczęśliwie zamknęła pozbawione wdzięku nagranie.

Wallingford pakował już bagaże, kiedy Angie odzyskała przytomność.

- Rany, ale mi się chce siku! - oznajmiła.

- Był jeszcze jeden telefon, tylko że tym razem nie dzwoniła twoja matka, niestety. Jakiś facet zagroził, że zmiksuje mojego członka w mikserze.

- To pewnie Vittorio, mój brat. Mówimy na niego Vito. - Angie zostawiła otwarte drzwi do łazienki, gdzie oddawała mocz. - Powiedział „członka”? - krzyknęła.

- Nie, „chuja” - odparł Patrick.

- To na pewno Vito - orzekła. - Jest nieszkodliwy. Nawet roboty nie ma.

Patrick nie pojął, dlaczego bezrobocie Vito czyniło go nieszkodliwym.

- Po co właściwie jedziesz do tej Minnesoty? - spytała Angie.

- Do Wisconsin - poprawił ją Patrick.

- No, ale do kogo?

- Do pewnej kobiety, którą chcę prosić o rękę - odpowiedział. - Przypuszczam, że odmówi.

- No to masz problem, facet - oświadczyła Angie, wciągając Wallingforda z powrotem do łóżka. - Chodź no tu. Musisz uwierzyć w siebie. Uwierzyć, że powie „tak”. Inaczej po co zawracać sobie głowę?

- Ona mnie chyba nie kocha.

- Na pewno cię kocha! Musisz się tylko podszkolić w oświadczeniach - rzekła charakteryzatorka. - Dawaj, możesz spróbować na mnie. No, już! proś mnie o rękę!

Patrick zgodził się - treść oświadczeń przygotował sobie przecież wcześniej - i wyjawił Angie, co zamierza powiedzieć pani Clausen.

- Jejku... to okropne - zaopiniowała Angie. - Przede wszystkim nie możesz zaczynać od przeproszenia, że żyjesz. Musisz jej od razu wałnąć prosto w oczy: „Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie!” albo coś w tym stylu. No, powiedz to!

- Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie - powtórzył bez przekonania Wallingford.

- Jejku...

- Coś nie tak? - spytał Patrick.

- Musisz to powiedzieć jakoś lepiej!

Wtedy aparat odezwał się po raz piąty. Była to znowu Mary Shanahan, telefonująca zapewne z samotni swojego mieszkania przy Pięćdziesiątej Którejś Wschodniej - Wallingford słyszał niemal szum samochodów, sunących po FDR Drive.

- Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi - zaczęła Mary. - To tak traktujesz przyjaciół? Kobiętę, która urodzi twoje dziecko...

Tu głos się jej załamał albo zgubiła wątek.

- Ma rację - powiedziała Angie. - Może z nią lepiej pogadaj.

Wallingford chciał pokręcić głową przecząco, leżał jednak z twarzą wtuloną w piersi dziewczyny i wydawało mu się, że kręcić głową byłoby w tej sytuacji niegrzecznie.

- Nie pieprzysz się chyba ciągle z tą dziewczuchą! - zawołała Mary.

- Jeżeli ty nie chcesz, to ja z nią pogadam. Któreś z nas powinno z nią porozmawiać - odezwała się współczująco charakterzatorka.

- W takim razie ty odbierz - odparł Wallingford, zsuwając głowę niżej, na brzuch dziewczyny. Usiłował zatkać sobie uszy, kiedy Angie podniosła słuchawkę.

- Mówi Angie, panno Shanahan - zaczęła dziewczyna o gołębim sercu. - Niech się pani nie denerwuje. Wcale nie było tak fajnie, naprawdę. Przed chwilą o mało nie zakrztusiłam się na śmierć. Prawie umarłam, nie żartuję.

Ale Mary odłożyła słuchawkę.

- Co, coś nie tak? - zapytała Angie.

- Nie, było dobrze. Świetnie. Wypadłaś znakomicie - powiedział szczerze Patrick.

- Austriackie gadanie - skwitowała to Angie. - Pewnie chcesz się znowu rznąć czy jak?

Pokochali się więc jeszcze raz. A co innego mieli do roboty? Tym razem, kiedy zemdląła, Wallingford przezornie odkleił gumę z tarczy budzika, zanim go nastawił.

Zatelefonowała powtórnie matka Angie, a w każdym razie Patrickowi wydawało się, że to była ona, bo nikt się nie odezwał, słyszał jednak jakby melodyjny szloch kobiety, zapadając w sen i budząc się na przemian.

Ocknął się, zanim zadzwonił budzik. Leżał, przyglądając się śpiącej dziewczynie, której nieskrępowana dobroduszość była przejawem najprawdziwszego piękna. Wyłączył budzik, żeby Angie mogła dalej spać, ogolił się, wziął prysznic, po czym zbadał swoje pokiereszowane ciało: na nodze miał siniak po zderzeniu z krytą szkłem ławą u Mary, u której ponadto poparzył się gorącą wodą, plecy natomiast podrapała mu Angie. Lewy bark Patricka zdołał spory, podbiegnięty krwią bąbel, fioletowy krwiak i otarcia naskórka, powstałe, kiedy dziewczyna ukąsiła go w ekstazie.

W tym stanie nie powinien raczej oświadczać się w Wisconsin ani gdziekolwiek indziej. Zaparzył kawę i podał śpiącej dziewczynie do łóżka szklankę zimnego soku pomarańczowego.

- Ale tu bałagan... - zaczęła po chwili Angie, przechadzając się nago po mieszkaniu. - Zupełnie jakbyś się z kimś wczoraj kochał! - Zdjęła poszewki z poduszek i prześcieradło, a potem zabrała się do ręczników. - Pralkę chyba masz, nie? Spieszysz się na samolot, więc ja tu posprzątam. Bo może ta kobieta powie „tak”? Może przyjedzie tu z tobą?

- To mało prawdopodobne. To znaczy, nawet jeżeli powie „tak”, chyba nie wróci ze mną do Nowego Jorku.

- Oszczędź sobie przypuszczeń... A może wróci? To ci powinno wystarczyć. Ty musisz złapać samolot, więc ja posprzątam mieszkanie. I przewinę kasetę w sekretarce. Słowo.

- Nie musisz.

- Chcę ci pomóc! - powiedziała Angie. - Wiem, jak to jest, kiedy człowiekowi się coś pieprzy w życiu. Jazda, spadaj już! Bo spóźnisz się na lotnisko.

- Dziękuję ci, Angie. - Patrick pocałował ją na pożegnanie. Jej usta miały tak cudowny smak, że niewiele brakowało, a nie wyjechałby jednak do Wisconsin. Bo koniec końców, co jest złego w anarchii seksualnej?

Wychodził już, kiedy zadzwonił telefon, a na sekretarce rozległ się głos Vita.

- No, to posłuchaj sobie, panie Jednoręki... Panie Bezchujowy - powiedział Vittorio, po czym w słuchawce rozległ się straszliwy, mechaniczny hurkot.

- To tylko ten głupi mikser. No idź już, bo nie zdązysz! - nagliła Patricia Angie. Wallingford zamykał za sobą drzwi, kiedy podniosła słuchawkę.

- Hej, Vito - usłyszał jej głos. - To ty posłuchaj, sflaczały kutasie.

Przystanął na korytarzu: zapadła krótką, ale pełną napięcia cisza.

- Oto dźwięk, który w mikserze wydałby twój chuj. Cisza. Bo ty nie masz nic między nogami, Vito!

Na korytarzu pojawił się najbliższy sąsiad Wallingforda - wyglądający na niewyspanego mężczyznę z mieszkania za ścianą, który wybierał się na poranny spacer z psem. Odnosiło się wrażenie, że zwierzę również spędziło bezsenłą noc. Pies dygotał z lekka, czekając u szczytu schodów na swojego pana.

- Wyjeżdżam do Wisconsin - powiedział z nadzieją Patrick.

Oszolomiony mężczyzna o twarzy ozdobionej srebrzystosiwą, hiszpańską bródką patrzył obojętnie w dal, jak gdyby z obrzydzeniem do samego siebie.

- Kup sobie lupę, żebyś mógł walić konia! - krzyknęła Angie.

Pies nastawił uszu.

- Wiesz, co się robi, kiedy się ma takiego małego chujka, jak ty, Vito? Wallingford i jego sąsiad przyglądali się w milczeniu psu.

- Idzie się do sklepu zoologicznego. Kup sobie mysz, a potem poproś, żeby zrobiła ci laskę.

Pies zdawał się zastanawiać nad tymi słowami z ponurą powagą. Był to chyba sznaucer miniaturka o srebrzystosiwej bródce, jak zarost jego pana.

- Szczęśliwej podróży - życzył Wallingfordowi sąsiad.
- Dziękuję - odparł Patrick.

Ruszyli razem po schodach. Po drodze sznaucer dwukrotnie kichnął, a sąsiad poinformował Wallingforda, że jego zdaniem, pies złapał „przeziębienie klimatyzacyjne”.

Byli już na półpiętrze, kiedy Angie wykrzyknęła coś, czego na szczęście nie dało się zrozumieć, ale heroiczna lojalność dziewczyny wystarczyła, żeby Patrick miał ochotę do niej wrócić - na pewno przyjęłaby jego oświadczenia prędzej niż pani Clausen.

Był jednak wczesny, letni, sobotni poranek i dzień aż kipiał nadzieją. (Choć niekoniecznie w Bostonie, gdzie kobieta, która nie nazywała się Sarah Williams, oczekiwała na przerwanie ciąży).

Ruch w drodze na lotnisko był niewielki i Patrick skończył odprawę, zanim zaczęto przyjmować pasażerów na pokład. Ponieważ pakował się po ciemku, gdy Angie jeszcze spała, uznał za rozsądne sprawdzić zawartość bagażu podręcznego: zabrał ze sobą podkoszulek, koszulkę polo, bluzę, dwie pary kąpielówek, dwie pary bokserek, dwie pary białych skarpetek sportowych i przybory do golenia, a także szczoteczkę do zębów, pastę, kilka jak zawsze pełnych optymizmu kondomów i tanią edycję „Stuarta Malutkiego”, lekturę dla dzieci w wieku od ośmiu do dwunastu lat.

Nie zapakował „Pajęczyny Charlotty”, wątpił bowiem, czy Doris będzie miała okazję wysłuchać w jeden weekend aż dwóch książek - tym bardziej że Otto junior zapewne nie umiał chodzić i ledwie raczkował. Na głośną lekturę nie będzie wiele czasu.

Można by zapytać, dlaczego wziął „Stuarta...”, a nie „Charlotte...”. Otóż wyłącznie dlatego, że zakończenie tej pierwszej książki uważał za lepiej przystające do jego obecnego sposobu życia, „życia w drodze”. Ponadto miał nadzieję, że melancholia „Stuarta...” zadziała na panią Clausen perswazyjnie - była z pewnością bardziej romantyczna niż narodziny chmury małych pajęczków.

Współpasażerowie przyglądali się, jak Wallingford wyjmuje wszystko z torby, by po chwili zapakować ją na nowo. Ubrany był w dzinsy, adidas

i hawajską koszulę, a przez ramię przewiesił kurtkę, coś w rodzaju sztormiaka, by zakryć kikut amputowanej dłoni. Jednoręki mężczyzna, przepakowujący torbę podróżną, nie może jednak nie zwrócić na siebie uwagi, więc kiedy Patrick sprawdził, co zabiera ze sobą do Wisconsin, wszyscy pasażerowie w poczekalni wiedzieli już, kim jest.

Przyglądali się, jak facet od lwów kładzie sobie na kolanach komórkę, wciska ją kikutem lewej ręki w udo i wybija numer palcami prawej. Potem wziął telefon i przyłożył go do ucha, a kiedy sztormiak ześlizgnął się na podłogę, wyciągnął lewe ramię, żeby go podnieść, w ostatniej chwili zmitygował się jednak i bezużyteczny kikut powędrował z powrotem na kolana.

Współpasażerów pewnie to zdumiało: po tylu latach życia bez dłoni lewe ramię Patricka reaguje tak, jak gdyby mimo wszystko wieńczyła je ręka! Nikt jednak nie ośmielił się podnieść sztormiaka, dopóki sympatycznie wyglądający rodzice nie naszeptali czegoś do ucha swojemu mniej więcej ośmioletniemu synkowi. Chłopczyk nieufnie podszedł do Wallingforda, podniósł kurtkę i ułożył ją starannie na pustym krześle, obok torby podróżnej. Gdy Patrick uśmiechnął się i skinął chłopcu głową, spłoszony dzieciak umknął do rodziców.

Wciąż czekał na połączenie z telefonem przy uchu. Dzwonił do siebie - chciał porozmawiać z Angie albo zostawić jej wiadomość w nadziei, że dziewczyna odsłucha sekretarkę. Chciał jej powiedzieć, że jest naturalna i cudowna - pomyślał, że powie coś, co zaczynałoby się od słów: „Gdybym się urodził jeszcze raz...”, czy jakoś tak. Ale wyłączył się w końcu - porażająca dobroć dziewczyny zabroniła mu ryzykować i słuchać brzmienia jej głosu. (Poza tym byłoby straszną bzdurą oznajmić kobiecie, z którą spędziło się zaledwie jedną noc, że jest „naturalna”).

Zatelefonował więc do Mary Shanahan. Telefon dzwonił i dzwonił, więc Wallingford układał już w myślach treść nagrania, kiedy Mary podniosła wreszcie słuchawkę.

- To możesz być tylko ty, dupku - odezwała się.

- Mary, nie jesteśmy małżeństwem... Nie jesteśmy nawet parą. I nie zamienię się z tobą na mieszkania.

- Nie było ci ze mną dobrze?
- Wiele trzymałaś przede mną w tajemnicy - zauważył Wallingford.
- Taka praca.
- Rozumiem - powiedział. W słuchawce rozległ się odległy, pusty dźwięk, rodzaj pełnej echa ciszy, kojarzącej się Patrickowi z połączeniami transkontynentalnymi.

- Obawiam się, że to nie jest odpowiedni moment, żeby zapytać cię o nową umowę o pracę - dodał. - Mówiłaś, żeby poprosić o pięć lat...

- Porozmawiamy na ten temat, kiedy wrócisz z Wisconsin - odparła. - Ale trzy lata to chyba bardziej realistyczna propozycja niż pięć.

- A czy powinienem... Nie wiem, jak to ująć... Zwolnić fotel prezentera? Taka jest twoja rada?

- Jeżeli chcesz zawrzeć nową długoterminową umowę, to tak... Może w ten sposób dałoby się to załatwić.

- Nie wiem, jak historia obchodziła się dotąd z ciężarnymi prezenterkami - przyznał Wallingford. - Czy dzieje telewizyjki w ogóle znają ciężarną prezenterkę? Ale tobie może się chyba udać. Bo o to ci chodzi, prawda? Żebyśmy patrzyli, jak ci rośnie brzuch. Wszystko opatrujemy oczywiście ciepłutkim komentarzem i kilkoma ujęciami twojej osoby z profilu. Najlepiej, żebyś poszła na możliwie krótki urlop macierzyński, co dowodziłoby, że jeśli pracuje się w firmie wyczulonej na wartości rodzinne, urodzenie dziecka nie stanowi problemu. A potem, w czasie nie dłuższym niż zwyczajny urlop, mogłabyś wrócić na wizję, prawie tak zgrabna i szczupła, jak zawsze.

Zapadła transkontynentalna cisza. Dźwięczało tylko puste echo dzielącej ich odległości, przypominające Patrickowi jego małżeństwo.

- Taka praca, nie? - zapytał Patrick. - Czy może się mylę?

- Pamiętaj tylko, że kiedyś cię kochałam - przypomniała mu Mary i odłożyła słuchawkę.

Ucieszył się, że przynajmniej pierwszy etap redakcyjnych rozgrywek politycznych mają już za sobą. Wiedział, że kiedy zechce, sam znajdzie sposób, by wyrzucono go z pracy, a jeśli postanowi pójść za radą Mary,

ona dowie się o tym ostatnia. Jeżeli natomiast okazałoby się, że jest w ciąży, Patrick podejmie opiekę nad dzieckiem w wyznaczonych przez matkę granicach, ale nie pozwoli, żeby ciosała mu kolki na głowie.

Kogo chciał oszukać? W takiej sytuacji każda kobieta dałaby facetowi popalić! A Patrick już raz nie docenił Mary Shanahan. Znalazłaby setki sposobów, żeby uprzykrzyć mu życie.

Spostrzegł, że mimo wszystko zaszła w nim przemiana, zniknęła gdzieś bowiem jego niegdysiejsza uległość. Być może był już więc jednak nowym albo przynajmniej częściowo odmienionym Patrickiem Wallingfordem. Zachęcający wydał mu się ponadto chłód głosu Mary Shanahan - wyczuł, że jego własne szanse na zwolnienie z pracy rosną.

W drodze na lotnisko przejrzał należąca do kierowcy gazetę, a właściwie tylko stronę poświęconą prognozie pogody. W północnym Wisconsin dzień zapowiadał się ciepło i bezchmurnie. Nawet pogoda dobrze mu wróżyła.

Pani Clausen martwiła się warunkami atmosferycznymi, ponieważ nad leżące na północy stanu jezioro mieli polecieć małym samolotem, hydroplanem, który ona nazywała wodnopłatem. Zatoka Green Bay należała do jeziora Michigan, wybierali się zaś w rejon położony mniej więcej między jeziorem Michigan a Jeziorem Górnym, a zatem w tę część Wisconsin, która graniczy niemal z Półwyspem Wyższym.

Doris postanowiła wynająć samolot, ponieważ Wallingford nie mógł przylecieć do Green Bay wcześniej niż w sobotę, a w poniedziałek musiał zameldować się z powrotem w Nowym Jorku. Weekend był krótki, natomiast droga nad jezioro za długa, by jechać samochodem, dzięki pomysłowi z hydroplanem Patrick mógł jednak spędzić dwie noce w domu na przystani, w posiadłości Clausenów.

Podróżując poprzednio do Green Bay, dwukrotnie przesiadał się w Chicago i raz w Detroit, tym razem jednak postanowił wypróbować połączenie z Cincinnati. W poczekalni dopadło go typowe dla nowojorczyka

zaćmienie umysłu (zaledwie na kilka sekund przed wejściem na pokład). Dlaczego w lipcową sobotę do Cincinnati wybiera się taki tłum ludzi?

On oczywiście miał powód, by lecieć do tego miasta, w jego przypadku będącego po prostu pierwszym z trzech odcinków podróży nad jezioro - ale co, u licha, ciągnęło do Cincinnati tylu współpasażerów? Nie przyszłoby mu do głowy, że ludzie, znający przyczyny, które skłoniły go do tej wycieczki, mogliby uznać pamiętny czar osoby pani Clausen za wyjątkowo nieprawdopodobne usprawiedliwienie podróży do Cincinnati.

Rozdział jedenasty

Na północy

W pewnym momencie hydroplan przechylił się na skrzydło i Doris Clausen zamknęła oczy, ale Patrick nie chciał przegapić brawurowego zejścia do lądowania nad małym, ciemnym jeziorkiem. Za nic, nawet za nową lewą dłoń, nie mrugnąłby ani nie odwrócił wzroku od uciekającego bokiem pejzażu ciemnozielonych drzew i pochylającego się gwałtownie horyzontu. Samolot przechylił się na bok, bo przez okienko nie było widać nic oprócz przybliżającej się błyskawicznie wody.

W locie pod ostrym kątem zadrżały pontony i samolot zatrzęsł się tak gwałtownie, że pani Clausen przycisnęła małego Ottona do piersi. Ruch przestraszył śpiącego chłopca, który rozplakał się, zanim pilot wyrównał trym i niezbyt gładko posadził samolot na wzburzonej wiatrem powierzchni jeziora. Z boku śmigły jodły, a kanadyjskie sosny wyglądały niczym ściana zieleni, jadeitowa plama, która pojawiła się w miejscu, gdzie widniało przedtem błękitne niebo.

Doris odetchnęła z ulgą, ale Wallingford nie bał się ani trochę. Choć nigdy przedtem nie był nad jeziorem na północy ani nie leciał hydroplanem, woda, linia brzegowa i każdy kadr, który oglądał podczas zejścia do lądowania, były mu znane równie dobrze, jak sen błękitnej kapsułki. W tym momencie lata, które minęły od utraty dłoni, wydały się Patrickowi krótsze niż jedna noc, a przecież przez cały ten czas pragnął, by spełnił

się sen, który śnił kiedyś po indyjskim środku przeciwbólowym. I wreszcie, teraz, nie miał najmniejszych wątpliwości: oto naprawdę wyłądował w końcu we śnie błękitnej kapsułki.

Nieprzeliczeni członkowie rodziny Clausenów nie dokonali masowej inwazji na domki i inne zabudowania posiadłości, co uznał za dobry znak. Czyżby z szacunku dla delikatnej sytuacji Doris, samotnie wychowującej dziecko wdowy, której trafiał się kandydat do ręki, krewni Ottona seniora postanowili w ten weekend nie zjechać nad jezioro? A może to pani Clausen poprosiła, by okazali jej w ten sposób respekt? Czy w takim razie sądziła, że weekend kryje w sobie romantyczny potencjał?

Jeżeli tak, to nie dała tego po sobie poznać. Jak gdyby nigdy nic, przystąpiła do wykonywania rutynowych, gospodarskich zajęć. Nosząc na rękach dziecko, Wallingford patrzył, jak zapalają się światełka kontrolne na propanowych bojlerach, lodówkach gazowych i kuchence.

Podtrzymywał małego Ottona lewym ramieniem, pozbawionym dłoni, bo musiał co chwila oświetlać pani Clausen drogę latarką. Klucz do głównego domku wisiał na gwoździu wbitym w belkę pod werandą, a klucz do pokoi mieszkalnych w domku na przystani na gwoździu tkwiącym w deseczce pod pomostem.

Nie trzeba było szukać kluczy do wszystkich domków i drewniaków, bo nie mieli zamiaru z nich korzystać. Mniejsza z dwu szop, używana obecnie do składowania narzędzi, była wygodką, zanim właściciele założyli kanalizację i zaczęli tłoczyć wodę z jeziora. Pani Clausen sprawnie załąła pompę i pociągnęła linkę wprawiającą w ruch silnik spalinowy, który napędzał urządzenie.

Poprosiła Patricka, żeby usunął z kuchni zdechłą mysz. Wzięła małego na ręce, a Wallingford wydobyl zwierzątko z pułapki i pogrzebał je naprędce pod liśćmi i igłami sosnowymi. Pułapkę zastawiono w szafce kuchennej - pani Clausen odkryła martwego gryzonia, kiedy układała zapasy na półkach.

Nie przepadała za myszami - uważała, że są brudne. Brzydziła się odchodami, które pozostawiały w kuchni, jak mawiała, w „nieoczekiwanych miejscach”, i poprosiła, żeby Patrick usunął też mysi kał, choć jeszcze

bardziej niż nieczystości nie cierpiała gwałtownych ruchów myszy. (Wallingford zmartwił się na myśl, że lepiej byłoby przywieźć „Pajęczynę Charlotty” niż „Stuarta Malutkiego”).

Żywność pakowaną w papier, plastikowe torebki albo kartonowe pudełka trzeba było przechowywać w blaszanych pojemnikach ze względu na gryzonie, a zimą należało zabezpieczać nawet konserwy, bo pewnego razu jakieś zwierzę przegryzło się przez blachę - zapewne szczur, ale równie dobrze mogła to być norka albo łasica. Innego roku do głównego domku włamał się najprawdopodobniej rosomak, który urządził sobie w kuchni zimowe leże i narobił nieopisanego bałaganu.

Patrick zrozumiał, że pobyt w posiadłości przypomina wakacje na obozie. Bez trudu wyobraził sobie życie, jakie się tu prowadzi, nawet pod nieobecność pozostałych członków rodziny Clausenów. W głównym domku, mieszczącym kuchnię, jadalnię i największą łazienkę, jego oczom ukazały się na półkach gry planszowe i puzzle. Nie było książek, wyjąwszy słownik (używany niewątpliwie do rozstrzygania sporów w grze w scrabble'a) oraz popularne atlasy węży, płazów, owadów, pająków, roślin, ssaków i ptaków.

W domku dały się także zauważyć wizualizacje duchów, które nawiedzały to miejsce bądź przewinęły się przez nie w przeszłości. Wizualizacje przybierały formę pozbawionych artyzmu fotografii o zwiniętych rogach. Niektóre wyblakły pod wpływem długotrwałego działania światła słonecznego, inne zaś zdobne były plamami rdzy toczącej stare pinетки, którymi poprzipinano zdjęcia do ścian z nieobrobionych sosnowych bali.

Pozostałe pamiątki także przywodziły na myśl duchy. Na ścianach wisiały jelenie łby i rogi, czaszka kruka, świecąca idealnie okrągłym otworem, pozostawionym przez dwudziestodwumilimetrową kulę, i nieznaną Patrickowi ryba, zamocowana domowym sposobem na płytach z powleczonych szelakiem desek sosnowych. (Ryba też wyglądała, jakby ktoś ją naprędce polakierował).

Najbardziej imponujące wrażenie sprawiał jednak szpon wielkiego ptasiego drapieżcy. Pani Clausen wyjaśniła, że jest to szpon orła, który

nie stanowi myśliwskiego trofeum, lecz raczej wstydliwą pamiątkę, przechowywaną w szkatułce na kosztowności w charakterze przestrogi dla innych Clausenów. Choć zabicie orła było strasznym czynem, poważyl się nań jeden z mniej zdyscyplinowanych członków rodziny, za co poniósł surowe konsekwencje. Był wówczas młodzieniaszkiem, ukaranym, jak oświadczyła Doris, „aresztem domowym” bez możliwości uczestniczenia w polowaniach przez dwa sezony łowieckie. A na wypadek gdyby chłopak nie nabral rozumu, szpon zamordowanego orła przechowywano w domu jako uzupełniające świadectwo jego winy.

- Donny - powiedziała Doris i pokiwała głową, wymawiając imię orlego zabójcy.

Na fotografii, przypiętej agrafką do pluszu, którym wyłożona była szkatulka, Donny miał minę szaleńca. Dziś był dorosłym mężczyzną i ojcem - a ilekroć jego dzieci oglądały szpon orła, zapewne za każdym razem wstydziły się za ojca na nowo.

Pani Clausen opowiedziano tę historię rzeczowo i zwięźle, toteż zre-lacjonowała ją Patrickowi w ten sam sposób, nadając jej wymiar przestrogi i moralnego ostrzeżenia. **NIE ZABIJAJCIE ORŁÓW!**

- Donny był zawsze narwany - zakończyła.

Wallingford widział ich wszystkich oczami wyobraźni duchy na fotografiach, wędkarzy, którzy złowili polakierowaną rybę, i myśliwych, którzy zastrzelili jelenia, kruka i orła. Zobaczył grupkę mężczyzn słóczonych kręgiem wokół rusztu, który przykryty brezentem, stał na wierzandzie pod okapem dachu.

Clausenowie mieli dwie lodówki - jedną wewnątrz, drugą na zewnątrz domku. Patrick przypuszczał, że obie są pełne piwa, ale pani Clausen skorygowała później te domysły - piwo znajdowało się jedynie w lodówce stojącej na zewnątrz. Była to tak zwana lodówka piwna, w której nie wolno było przechowywać żadnych innych produktów.

Mężczyźni pilnowali więc skwierczących się na ruszcie mięs i popijali piwo, kobiety natomiast karmiły dzieci - jeśli pogoda sprzyjała, na wierzandzie, a jeśli aura była nieprzychylna, przy długim stole w jadalni. Panująca w domku ciasnota kazała Wallingfordowi domniemywać, że

dzieci i dorośli jadają osobno, a pani Clausen, która uśmieła się z pytania Patricka, potwierdziła, że tak właśnie jest.

Szereg fotografii przedstawiał leżące w łóżkach kobiety, odziane w szpitalne koszule i tulące nowo narodzone dzieci. Wśród kobiet nie było Doris, a Wallingford boleśnie odczuł uderzającą na zdjęciach nieobecność pani Clausen i małego Ottona. (Zabrakło dużego Ottona, który mógłby ich sfotografować). Dalej widać było mężczyzn i chłopców w mundurach wojskowych oraz strojach sportowych, a także kobiety i dziewczęta w wieczorowych sukniach i kostiumach kąpielowych, przy czym większość pań została uchwycona w pozach znamionujących sprzeciw, tak jakby nie życzyły sobie być fotografowane.

Jedną ścianę pokrywały wyłącznie fotografie psów - pływających, aportujących patyki albo poprzebieranych w dziecięce ubranka i pozostawionych samym sobie. W sypialni, we wnęce nad komódkami, tkwiły wsunięte za ramę poplamionego lustra zdjęcia starszych osób, zapewne już nieżyjących. Była wśród nich staruszka na wózku inwalidzkim, trzymająca na kolanach kota, i stary mężczyzna, siedzący na dziobie indiańskiego czółna bez wiosel - miał długie, siwe włosy i był owinięty pledem jak Indianin. Wydawało się, że czeka na kogoś, kto usiądzie na rufie i znacznie wiosłować, unosząc starca w dal.

W korytarzu, naprzeciwko drzwi do łazienki, wisiały zdjęcia tworzące razem kształt krzyża - był to relikwiarz poświęcony pamięci pewnego młodego Clausena, który zaginął podczas wojny w Wietnamie. W łazience znajdowało się natomiast sanktuarium, poświęcone dniom chwały klubu Green Bay Packers, a składały się nań święte zdjęcia ze starych czasopism, przedstawiające futbolowych „niezwycięzonych”.

Wallingford miał poważne trudności z rozpoznaniem sportowych bohaterów - wyrwane z czasopism stronicie były pomarszczone i splamione wodą, a podpisy pod zdjęciami stały się nieczytelne. „W szatni w Milwaukee po zdobyciu drugiego tytułu mistrzowskiego Ligi Zachodniej w grudniu 1961 roku” - przesyłabizował z trudem. Zdjęcie przedstawiało

między innymi Barta Starra, Paula Hornunga i trenera Lombardiego, który trzymał w ręku butelkę pepsi. Jim Taylor krwawił z rozbitego nosa. Wallingford nie znał nazwisk poszczególnych graczy, ale mógł się zidentyfikować z Taylorem, bo brakowało mu kilku przednich zębów.

Kim są Jerry Kramer albo Fuzzy Thurston, i co oznacza wyrażenie „packersowska nawałnica”? Kim jest ten cały oblepiony błotem facet? (Był to Forrest Gregg). Albo Ray Nitschke, ubłocony, łysy, półprzytomny, zakrwawiony - siedział na ławce podczas meczu w San Francisco, trzymając w rękach swój kask niczym kamień. Wallingford zastanawiał się, kim są albo kim byli ci ludzie.

Zauważył też słynne zdjęcie kibiców podczas finału Ice Bowl na Lambeau Field, trzydziestego pierwszego grudnia 1967 roku. Byli ubrani niby polarnicy na wyprawie arktycznej, a mgiełki oddechów na mrozie zasłaniały im twarze. Z pewnością byli wśród nich jacyś Clausenowie.

Wallingford nie miał się nigdy dowiedzieć, co oznaczała bezładna sterta ciał zawodników ani jak czuli się futboliści Dallas Cowboys, widząc Barta Starra, leżącego w strefie końcowej - nawet jego koledzy z drużyny Green Bay nie wiedzieli, że Starr zaimprovizuje atak z linii pierwszego jardu. Jak pamiętali wszyscy Clausenowie, rozgrywający Packersów zawołał w młynie: „Brown z prawej! Klin na trzydziestym pierwszym”, a rezultat tej akcji wszedł do historii sportu, choć była to historia, której Wallingford nie znał.

Poczuł się bardzo niepewnie, uświadomiwszy sobie, jak mało wie o świecie pani Clausen.

Oglądał też bardziej osobiste, ale niejasne dla niego fotografie. Ich znaczenie trzeba było tłumaczyć nie należącym do rodziny gościom, i Doris podjęła się tego zadania. Na przykład ciężki, niezgrabny głaz, widoczny w śladzie torowym za rufą ślizgacza, był czarnym niedźwiedziem, który pewnego lata zażywał kąpieli w jeziorze. Zamazany kształt, przypominający poklatkowe zdjęcie krowy pasącej się wbrew utartym zwyczajom wśród wiecznie zielonych drzew, należał w rzeczywistości do losia wędrującego na bagna położone, jak oświadczyła pani Clausen,

„nie dalej niż ćwierć mili stąd”. Itede... Spotkania z przyrodą i zbrodnie przeciw naturze, lokalne sukcesy i świąteczne imprezy, klub Green Bay Packers i narodziny dzieci, psy i wesela.

Kiedy tylko nadarzyła się sposobność, Wallingford wskazał weselne zdjęcie Ottona seniora i pani Clausen, na którym kroili tort - Otto nakrywał silną lewą dłonią drobną rękę pani Clausen, trzymającą nóż. Na widok znajomej dłoni Patricka przeszył dreszcz, chociaż nie widział jej przedtem z obrączką ślubną na palcu. Zastanawiał się, co pani Clausen zrobiła z obrączką męża. A ze swoją?

Przed grupą gości otaczających krajany przez nowożeńców tort stał młody chłopak z talerzykiem i widelcem w ręku. Mógł mieć dziewięć albo dziesięć lat, a ponieważ był uroczyście ubrany, jak reszta weselników, Patrick domyślił się, że chłopak na ślubie był drużbą. Nie znał go, dzieciak dziś był już jednak młodym mężczyzną, którego, jak mu się wydawało, gdzieś już widział. (Biorąc pod uwagę okrągłą buzię i stanowczą wesołość, chłopak należał zapewne do rodu Clausenów).

Obok drużby, przygryzając dolną wargę, stała druhna - ładna młoda kobieta, na pierwszy rzut oka roztargniona i kapryśnie impulsywna. Jak Angie?

Patrick zorientował się od razu, że nigdy jej przedtem nie widział, choć ten typ kobiety nie był mu obcy. Druhna nie była jednak tak sympatyczna, jak Angie. Być może nosiła kiedyś miano najlepszej przyjaciółki Doris, ale jej wybór na druhnę mógł być podyktowany względami czysto dyplomatycznymi - kto wie, czy zezuwająca na boki dziewczyna nie była na przykład młodszą siostrą Ottona seniora? Ale bez względu na to, jak bliskie były sobie kiedyś Doris i druhna, zdaniem Patricka, nie łączyła ich obecnie przyjaźń.

Względem miejsc do spania wszystko się wyjaśniło, kiedy Wallingford obejrzał oba pomieszczenia mieszkalne w domku na przystani. Doris wstawiła kołyskę do sypialni z dwoma łózkami, z których jedno wykorzystywała do przewijania malca - leżały już na nim pieluchy i ubranka Ottona juniora. Powiedziała, że drugie łóżko w tym pokoju zajmie ona, Patrickowi pozostawała zatem druga sypialnia, wyposażona

w duże małżeńskie łóże, wyglądające na jeszcze większe w ciasnym pokoju.

Rozpakowując się, Patrick zauważył, że lewy brzeg łóżka jest dosunięty do ściany - zapewne więc po tej stronie sypiał Otto senior. Ponieważ pokój był wąski, do łóżka można było wejść tylko od strony, którą zajmowała Doris, choć nawet tu nie było wiele miejsca. Może więc Otto senior wchodził do łóżka od tyłu.

Ściany pokoju wykonano z nieheblowanej sośniny, jak w głównym domku, choć tutaj deski były jaśniejsze, niemal koloru blond, nie licząc sporego prostokąta przy drzwiach, gdzie wisiał kiedyś obrazek albo lustro. Pod wpływem słońca inne deski spłowiały. Ciekawe, co pani Clausen zdjęła z tej ściany?

Nad okupowaną przez Ottona seniora stronę łóżka wisiały przypięte pinezkami do ściany fotografie, przedstawiające proces wykańczania pomieszczeń mieszkalnych na przystani: oto Otto senior, półnagi, bez koszuli, opalony i muskularny (jego pas narzędziowy przypominał ten, który Monice przez „k” ukradziono w cyrku w Dżunagadh). Następne zdjęcie przedstawiało Doris w jednoczęściowym ciemnofioletowym kostiumie kąpielowym o półkolistym dekolcie i konserwatywnym kroju. Ręce trzymała skrzyżowane na piersiach, co zasmuciło Wallingforda, który wolałby, żeby pani Clausen odsłoniła jak najwięcej ciała.

Stała na pomoście, przyglądając się Ottonowi seniorowi, obsługującemu piłę mechaniczną. Ponieważ nad jeziorem nie było elektryczności, piłę napędzał zapewne silnik spalinowy z domku na przystani. Ciemna kałuża u bosych stóp Doris wskazywała, że kostium był mokry, możliwe zatem, że skrzyżowała ręce na piersiach, ponieważ było jej zimno.

Kiedy Wallingford zamknął drzwi do sypialni, chcąc włożyć kąpielówkę, zobaczył wiszący na gwoździu po wewnętrznej stronie drzwi ciemnofioletowy kostium Doris ze zdjęcia. Nie mógł się oprzeć, żeby go nie dotknąć. Jednoczęściowy opalacz spędził wiele czasu w wodzie i na słońcu, więc można było wątpić, czy zachował choć cień zapachu jej ciała, ale Wallingford wsunął twarz w jego fałdy, wyobrażając sobie, że wącha panią Clausen.

Prawdę mówiąc, kostium pachniał lycrą, jeziorem i drewnem przy-
stani, a mimo to Patrick przycisnął go do siebie tak mocno, jak gdyby
obejmował panią Clausen - jak gdyby była mokra, zimna i drżąca, a oni
oboje zrzucili przed chwilą przemoczone stroje kąpielowe.

Była to reakcja zaiste żalсна wobec tradycyjnego, a niektórzy po-
wiedzieliby nawet, że staroświeckiego jednoczęściowego kostiumu, osła-
niającego szczelnie cały przód i wyposażonego w krzyżujące się na ple-
cach ramiączka. Wszyty w kostium fiszbinowy stanik o cienkich, mięk-
kich miseczkach znakomicie spełniał swą praktyczną rolę w przypadku
kobiety o wydatnym biuście, ale wąskich ramionach, czyli kobiety o
budowie ciała Doris Clausen.

Wallingford powiesił ciemnofioletowy kostium z powrotem na gwoź-
dziu w drzwiach - za ramiączka, jak powiesiła go wcześniej właścicielka.
Obok, na drugim gwoździu, wisiała jedyna poza tym część garderoby
pani Clausen, pozostawiona w sypialni, a mianowicie niegdyś biały,
teraz zaś przybrudzony aksamitny szlafrok. Patrick poczuł się zażeno-
wany, ponieważ ów mało ekscytujący element kobiecego stroju mimo
wszystko wzbudził w nim podniecenie.

W poszukiwaniu bielizny Doris penetrował szuflady najciszej, jak po-
trafił, ale w najniższej leżały tylko prześcieradła i poszwy na poduszki,
środkowa była pełna ręczników, a w najwyższej zagrzechotały głośno
świece, baterie do latarek, zapalki, zapasowa latarka i pudełko pluskie-
wek.

W nieszlifowanych deskach sosnowych nad częścią łóżka zajmowaną
przez panią Clausen Patrick dostrzegł maleńkie otworki po pinezkach.
Zapewne kiedyś wisiały tam fotografie — co najmniej kilkanaście. Mógł
tylko zgadywać, kogo lub co przedstawiały, i nie miał pojęcia, dlaczego
Doris je zdjęła.

Zawiazywał tasiemki kąpielówek, co już od dawna umiał robić prawą
ręką i zębami, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. To pani Clausen
przyszła po kostium i szlafrok. Poinformowała Patricka, gdzie leżą ręcz-
niki, nie wiedząc, że już je znalazł, i poprosiła go, żeby trzy wyniósł na
pomost.

Spotkali się w ciasnym korytarzyku w strojach kąpielowych i zesłzi razem na dół po stromych schodach - nie były zabezpieczone, co następnego lata mogło stanowić zagrożenie dla małego Ottona. Otto senior zamierzał je obudować.

- Ale już nie zdążył - skomentowała pani Clausen.

Musieli pokonać kładkę i wąski pomost, oddzielający dwie łodzie od rodzinnego ślizgacza i mniejszej motorówki. Okazało się, że z przystani prowadzi do jeziora drabinka pływacka. Po co komuś drabinka łącząca domek z jeziorem? Patrick nie wspomniał jednak nic na ten temat, bo pani Clausen zaczęła przygotowywać na przystani legowisko dla małego.

Przyniosła zabawki i kołderkę wielkości piknikowego koca. Chłopak nie raczkował tak energicznie, jak sądził Wallingford. Potrafił już samodzielnie siadać i siedział czasem tak długo, że zapominał, co się z nim dzieje, a wtedy przechylał się na bok. Ba, skończył już osiem miesięcy i umiał nawet dźwignąć się na nogi, jeżeli miał pod ręką niski stół albo jakiś inny twardy i mocny przedmiot, o który mógł się oprzeć. Często zapominał jednak, że stoi, a wtedy siadał znienacka albo przewracał się.

Raczkował na ogół do tyłu, bo z niewiadomych względów łatwiej przychodziło mu się cofać niż wędrować do przodu. Jeżeli znajdował się w otoczeniu jakichś interesujących przedmiotów, które mógł brać do rąk i oglądać, siedział ukontentowany w jednym miejscu, choć, jak twierdziła Doris, zwykle niezbyt długo.

- Za kilka tygodni nie moglibyśmy już przyjść z nim tak na przystań. Będzie bez przerwy biegał na czworakach.

Tymczasem jednak z uwagi na słońce mały Otto ubrany był w koszulkę z długim rękawem, długie spodnie i kapelusik. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne, których wcale nie ściągał tak często, jak mógł przypuszczać Patrick.

- Idź do wody, a ja go przypilnuję. Potem ty się nim zajmiesz, a ja pojedę popływać - powiedziała pani Clausen.

Patrick był pod wrażeniem ogromnej liczby dziecięcych utensyliów, które przywiozła pani Clausen na weekend, jak również spokoju i swobody

z jaką grała rolę matki. Być może macierzyństwo działa w tak niezwykle sposób na kobiety, pragnące dziecka równie gorąco i długo, jak pani Clausen - nie był tego pewien.

Woda w jeziorze wydawała się zimna, ale tylko w pierwszej chwili. Od strony przystani, gdzie było głęboko, miała barwę szaroniebieską, przy brzegu natomiast przybierała kolor zielonkawy, ponieważ odbijały się w niej jodły i sosny. Dno było piaszczyste i mniej zamulone, niż mu się zdawało, a w pobliżu znalazła się nawet niewielka plaża, usiana grubym piachem i kamieniami. Wallingford wykapał się tam z małym Ottonem. Z początku chłopczyk aż trząśł się w chłodnej wodzie, nie zapłakał jednak, więc Patrick z malcem na rękach brodził po płyciźnie, a pani Clausen zrobiła im nawet zdjęcie. (Robiła wrażenie osoby po mistrzowsku obchodzącej się ze sprzętem fotograficznym).

Dorośli, bo tak Patrick zaczął myśleć o sobie i pani Clausen, kąpali się na zmianę, skacząc do wody z przystani. Pani Clausen dobrze pływała, a Wallingford wyjaśnił, że dysponując tylko jedną dłonią, czuje się bezpieczniej, leżąc po prostu na wodzie albo pływając na stojąco. Razem wytarli małego Ottona do sucha, a potem Doris pozwoliła Patrickowi go ubrać. Ponieważ robił to po raz pierwszy w życiu, musiała mu pokazać, jak się zakłada pieluszkę.

Zrecznie zdjęła swój kostium pod osłoną aksamitnego szlafroka, ale Wallingford z uwagi na kalectwo nie umiał równie sprawnie ściągnąć kąpielówek, zakrywając się ręcznikiem. W końcu Doris wybuchnęła śmiechem i zaproponowała, że się odwróci, a on odłoży ręcznik i zdejmie kąpielówki bez osłony. (Nie powiedziała mu o wyposażonym w lunetę podglądaczu na drugim brzegu jeziora - jeszcze nie).

Razem przenieśli chłopca i jego ekwipunek do głównego domku. Wysokie dziecięce krzeselko stało już w pogotowiu, a Wallingford, ubrany jedynie w owinięty wokół bioder ręcznik, wypił piwo, gdy pani Clausen karmiła Ottona juniora. Powiedziała, że muszą nakarmić małego, przyrządzić obiad dla siebie i zrobić wszystko, co mają do zrobienia w głównym

domku, przed zapadnięciem zmroku, o zmroku nadciągnie bowiem plaga komarów, a wtedy powinni znajdować się już w domku na przystani.

Na przystani nie było jednak łazienki i Doris zwróciła Wallingfordowi uwagę, że trzeba korzystać z toalety w głównym domku i tamże myć zęby nad umywalką w łazience. Gdyby zachciało mu się siusiu w środku nocy, może po prostu wyjść na zewnątrz z latarką, nie powinien jednak zabawić na dworze zbyt długo.

- Żebyś zdążył wrócić do pokoju, zanim dopadną cię komary - ostrzegła.

Używając aparatu Doris, Patrick zrobił zdjęcie jej i małemu Ottonowi na werandzie głównego domku.

Na obiad dorosli upiekli na ruszcie steki, które zjedli z ryżem i zielonym groszkiem. Pani Clausen przywiozła dwie butelki czerwonego wina, ale tego dnia wypili tylko jedną. Gdy Doris zmywała naczynia, Patrick poszedł z jej aparatem na przystań i dwukrotnie sfotografował ich kostiumy wiszące obok siebie na sznurze.

Miał wrażenie, że osiągnął szczyty intymności i spokoju domowego ogniska, gdy przepasany tylko ręcznikiem na biodrach jadł obiad z Doris ubraną w stary szlafrok. Nigdy i z nikim nie przeżył dotąd czegoś podobnego.

Gdy wychodzili do domku na przystani, zabrał ze sobą jeszcze jedno piwo. Manewrując na usłanej sosnowymi igłami ścieżce, spostrzegli, że zachodni wiatr ustał, a tafla jeziora stała się gładka jak szkło. Zachodzące słońce oświetlało ciągle szczyty drzew na wschodnim brzegu, ale ponieważ wieczór był bezwietrzny, komary wyruszyły już na żer, nie czekając na zmierzch. Musieli odpędzać owady, niosąc małego Ottona i jego ryszczunek na przystań.

Wallingford przyglądał się nadciągającej ciemności z okna swojej sypialni i słuchał, jak pani Clausen usypia za ścianą małego. Śpiewała mu kołysankę. Okna w pokoju Patricka były otwarte, słyszał więc bzyczenie komarów, usiłujących sforsować moskitierę, a także krzyki nurów i terkoczący daleko na jeziorze silnik motorówki, ponad który wzbijały się ludzkie głosy. Może to rybacy powracający z połowu, a może gromadka rozbawionej młodzieży. Po chwili motorówka zacumowała w oddali, a

pani Clausen nie śpiewała już małemu - w sąsiedniej sypialni zapanowała cisza. Teraz, nie licząc komarów, słychać było wyłącznie nury i od czasu do czasu pojedyncze kaczki.

Patricka ogarnęło poczucie odosobnienia, jakiego dotąd nigdy w życiu nie zaznał, chociaż nie było jeszcze całkiem ciemno. Osłonięty ciągle tylko ręcznikiem, leżał na łóżku i obserwował zapadający w pokoju mrok. Próbował odgadnąć, co przedstawiały fotografie, które Doris przypięła kiedyś na ścianie nad swoją stroną łóżka.

Spał już głęboko, kiedy pani Clausen pojawiła się z latarką w rękę, żeby go obudzić. Stała u stóp łóżka w starym białym szlafroku, kierując snop światła na siebie, więc wyglądała jak duch. Potem przez chwilę na przemian zapalała i gasiła latarkę, chcąc zapewne pokazać Patrickowi, jaka gęsta jest nocna ciemność, choć księżyc był niemal w pełni.

- Chodź - powiedziała. - Pójdziemy popływać. W nocy kostiumy nie będą nam potrzebne, zabierz tylko ręcznik.

Wyszła na korytarz i sprowadziła Patricka po schodach. Trzymała go za rękę, oświetlając latarką ich boscie stopy. Wallingford niezgrabnie usiłował przytrzymać kikutem ręcznik, żeby się nie rozwiązał i nie zsunął z bioder. W domku na przystani było bardzo ciemno. Doris poprowadziła go dalej na kładkę i wąski pomost, wokół którego cumowały łodzie, a potem oświetliła rozciągającą się przed nimi przestrzeń i drabinę, wieńczącą kraniec przystani.

Drabinka służyła zatem do nocnych kąpieli, a Doris zaprosiła Patricka do uczestnictwa w rytuale, który odprawiała kiedyś ze swoim nieżyjącym mężem. Droga, którą ostrożnie pokonali gęsiego na wąłym, ciemnym pomoście, wydała mu się święta.

W świetle latarki ukazał się spory pająk, biegnący zwawo wzdłuż linki cumowniczej. Przestraszył Wallingforda, ale nie panią Clausen.

- To tylko pająk - powiedziała. - Lubię pająki. Są bardzo przedsiębiorcze.

Ach tak, więc Doris ceni przedsiębiorczość i pająki, pomyślał. Był zły na siebie, bo przywiózł „Stuarta Malutkiego”, a nie „Pajęczynę Charloty”. Może nie wspomni nawet, że ma tę głupią książkę, tym bardziej że

chciał ją najpierw przeczytać pani Clausen, a potem dopiero małemu.

Stojąc już przy drabinie, pani Clausen zdjęła szlafrok. Najwyraźniej posiadała umiejętność układania latarki na szlafroku w szczególny sposób, tak żeby jej promień wybiegał nad jezioro. Latarka pełniła funkcję latarni morskiej, bo mieli się kierować ku jej promieniowi w drodze powrotnej na przystań.

Wallingford zdjął ręcznik i stanął nagi obok pani Clausen, która nie dała mu czasu, żeby jej dotknął - zesła szybko po drabinie i zsunęła się do wody niemal bezgłośnie. Patrick ruszył do jeziora jej śladem, nie stąpał jednak wdzięcznie i bezszelestnie, jak ona. (Spróbujcie zejść po drabinie, podtrzymując się tylko jedną ręką). Poradził sobie jednak, chwytając poręcz zgiętym w łokciu ramieniem i wspierając ciężar ciała głównie na prawej ręce.

Pływali blisko siebie. Pani Clausen starała się nie wypływać daleko przed Patricka, a kiedy wysforowała się do przodu, pływała na stojąco lub kładła się na wodzie, czekając, aż ją dogoni. Wypłynęli na głębiny za przystanią, skąd widać było ciemne zarysy nieoświetlonego głównego domku i mniejszych zabudowań - prymitywne chatynki przypominały z tej perspektywy opuszczoną kolonię na dzikim pustkowiu. Na brzegach zalanego księżycowym światłem jeziora widać było inne domki letniskowe, również tonące w ciemności. Letnicy kładli się tutaj spać z kurami, wstawali zaś bladym świtem.

Oprócz latarki wycelowanej nad jezioro z przystani dało się dostrzec jeszcze jedno światełko - w sypialni Ottona juniora. Doris zostawiła zapaloną lampę gazową, na wypadek gdyby dzieciak się obudził - nie chciała, żeby przestraszył się ciemności. Ponieważ okna były otwarte, na pewno usłyszałyby, gdyby chłopiec obudził się i płakał. Wyjaśniła, że dźwięk na wodzie niesie się bardzo daleko, szczególnie nocą.

Rozmowa podczas pływania przychodziła jej z łatwością - ani razu nie straciła oddechu. Gadała jak najęta, opowiadając Patrickowi o wszystkim. Mówiła, że ona i Otto senior nie mogli pływać w nocy i skakać

do wody z przystani, bo usłyszeliby ich Clausenowie mieszkający w pozostałych domkach posiadłości. Jeśli schodzili jednak do jeziora po drabince, bezpośrednio z domku, nikt nie mógł ich zauważyć.

Wallingford usłyszał duchy hałaśliwych, rozrywkowych Clausenów, buszujących nieustannie w piwnej łódźce, trzask osłoniętych moskitierą drzwi i krzyk:

- Nie wpuszczać komarów do środka!

I głos kobiety:

- Ten pies jest cały mokry!

A potem dziecko:

- To sprawka wujka Donny'ego.

Czasami nad jezioro zbiegał pies. Jak opętany obszczekiwał panią Clausen i Ottona seniora, którzy pływali nago niezauważeni przez nikogo - z wyjątkiem psa.

- Czy ktoś mógłby wreszcie zastrzelić tego bydlaka?! - wołał wtedy rozgniewany głos, a potem ktoś inny mówił:

- Pewnie zwietrzył norkę albo wydrę.

- Nie, ten pies to kretyń. Szczeka z byle powodu, a nawet bez powodu - odpowiadał rozmówcom trzeci głos.

Wallingford nie był pewien, czy naprawdę pływa teraz nago z Doris Clausen, czy może wdowa w bezsennej wyobraźni powtarza tylko jedną ze swoich nocnych eskapad z Ottonem seniorem. Z rozkoszą płynął jednak u jej boku, pomimo oczywistej melancholii, kładącej się cieniem na ich wspólnej kąpeli.

Kiedy namierzyły ich komary, zanurkowali, ale pani Clausen chciała już wracać do domku. Płynąc pod wodą, nawet na krótkim dystansie, nie usłyszeliby płaczącego dziecka i nie zauważyliby gasnącego światełka gazowej lampy.

Ciemne niebo północy rozświetlały gwiazdy i księżyc - nagle krzyknął nur, a potem w pobliżu zanurkował następny. Przez chwilę wydawało im się, że słyszą strzępy piosenki. Widocznie ktoś w domku na drugim brzegu słuchał radia, choć zdaniem Patricka i Doris, muzyka pochodziła z innego źródła.

Oboje znali melodię, która wzbudziła w nich osobiste refleksje. Była to popularna piosenka o tęsknocie, a pani Clausen tęskniła przecież za

swoim zmarłym mężem, Patrick natomiast tęsknił za panią Clausen, choć jako para, prawdę rzekłszy, istnieli dotąd tylko w jego fantazji.

Doris weszła na drabinkę pierwsza. Pływając na stojąco, Patrick widział jej sylwetkę w świetle latarki. Szybko włożyła szlafrok, podczas gdy Wallingford wspinał się o jednej ręce na przystań, a potem oświetliła latarką deski, na których leżał ręcznik. Kiedy owijał nim biodra, czekała spokojnie, kierując snop światła na swoje bosc nogi, by ująć po chwili prawą dłoń Patricka, który znów pozwolił się jej prowadzić.

Poszli popatrzeć, jak śpi mały Otto. Wallingford był zaskoczony - nie wiedział, że niektóre matki mogą oglądać śpiące dziecko jak film. Kiedy usiadła na łóżku, przyglądając się uspijonemu synkowi, Patrick usiadł obok. Nie miał zresztą wyboru, bo Doris nie puściła jego ręki. Jak gdyby mały Otto był dramatem, który właśnie zaczyna się odsłaniać.

- Bajeczka na dobranoc - szepnęła głosem, którego wcześniej nie słyszał.

Wydawało mu się, że jest zawstydzona. Delikatnie ścisnęła jego zdrową rękę, na wypadek gdyby poczuł się dezorientowany albo źle ją zrozumiał, bajeczka była bowiem przeznaczona dla niego, nie dla małego Ottona.

- Zaczęłam się z kimś umawiać... Znaczy z jednym facetem - powiedziała. - Chciałam z nim chodzić.

Czy nawet w Wisconsin „chodzić z kimś” znaczyło to, o czym myślał?

- Poszłam z nim do łóżka, chociaż nie powinnam była tego zrobić - wyjaśniła pani Clausen.

- Och... - rzucił bezwiednie, bo była to całkowicie mimowolna odpowiedź. Nasłuchiwał oddechu śpiącego dziecka, ale słychać było tylko tchnienie posykującej lampy gazowej.

- Znałam go od lat, ale dawniej wszystko było inaczej. Jest młodszy ode mnie - dodała, nadal trzymając Wallingforda za rękę, którą przestała już ścisnąć.

Teraz z kolei Patrick chciał lekko uściśnąć dłoń wdowy, dodać jej otuchy i okazać współczucie, ale zmartwiało mu ramię, jak po znieczuleniu. (Stan tego odrętwienia wydał mu się znajomy).

- Był mężem mojej przyjaciółki - ciągnęła pani Clausen. - Za życia Ottona często się spotykaliśmy. Robiliśmy wszystko we czworo, wiesz, jak dwa zaprzyjaźnione małżeństwa.

Patrickowi udało się w końcu delikatnie ścisnąć Doris za rękę.

- Ale on rozstał się z żoną... Już po śmierci Ottona - tłumaczyła dalej pani Clausen. - Kiedy zadzwonił i chciał się ze mną umówić, nie zgodziłam się od razu. Zatelefonowałam najpierw do mojej przyjaciółki, żeby mieć pewność, że się naprawdę rozchodzą i że nie będzie miała nic przeciwko temu, jeżeli pójdę z jej mężem na randkę. Powiedziała, że mogę się z nim spotykać, ale nie mówiła tego szczerze, co wyszło na jaw dopiero po fakcie. A ja nie powinnam była się umawiać z tym facetem, bo i tak mi się nie podobał. W każdym razie nie pod względem erotycznym.

- To dobrze! - powiedział Wallingford, z trudem powstrzymując się od krzyku.

- Zakomunikowałam mu, że nie będę się z nim dłużej spotykać. Przyjął to spokojnie i ciągle traktuje mnie po przyjacielsku, ale ona już ze mną nie rozmawia. A wyobraź sobie, była druhną na moim ślubie.

Wallingford był w stanie to sobie wyobrazić, choćby na podstawie wiadomej fotografii.

- To wszystko, co chciałam ci powiedzieć.

- Cieszę się, że mi się z tego zwierzyłaś - zdołał wykrztusić Patrick, choć określenie „cieszyć się” nawet odlegle nie oddawało stanu jego uczuć, czyli druzgocącej zazdrości, połączonej z nieokielznaną ulgą. Więc Doris po prostu przespała się ze starym przyjacielem, i tyle! A to, że ten związek nie przetrwał próby czasu, nie tylko ucieszyło, ale wręcz uradowało Wallingforda. Z drugiej strony, wydał się sobie naiwny - nie będąc piękną, pani Clausen była jedną z najbardziej atrakcyjnych seksualnie kobiet, jakie w życiu poznał, należało się zatem spodziewać, że mężczyźni będą wydzwaniać do niej z zaproszeniami na randki. Jak mógł nie przewidzieć czegoś takiego?

Nie wiedział, od czego zacząć. Być może rozochocił się zbyt, bo pani Clausen ścisnęła go znów za rękę, znacznie mocniej niż przedtem.

Zapewne odczuła ulgę, spostrzegłszy, że Patrick okazał się takim wdzięcznym słuchaczem.

- Kocham cię - powiedział na początek. Z przyjemnością skonstratował, że Doris nie cofnęła dłoni, chociaż jej uścisk zelżał. - Chcę żyć razem z tobą i z małym Ottonem. Chcę się z tobą ożenić.

Teraz pani Clausen przybrała pozę słuchaczki, a Patrick nie umiał odgadnąć, o czym Doris myśli.

Nie spojrzeli na siebie ani razu, wciąż przyglądając się śpiącemu malcowi. Otwarte usta dziecka zapraszały jakby do opowiadania, Walingford rozpoczął więc opowieść. Nie było to wyznanie, od którego należało zacząć, ale Patrick był dziennikarzem - specem od faktów, nie od opowieści.

Zlekceważył coś, co ku jego ubolewaniu generalnie lekceważyło się w zawodzie dziennikarskim - kontekst! Powinien był zacząć od Bostonu, od wyprawy do doktora Zajaca, podjętej ze względu na ból i mrowienie w miejscu, gdzie przyszyto mu dłoń Ottona seniora. Powinien był opowiedzieć pani Clausen o spotkaniu z nieznaną kobietą w hotelu „Charles” - i o tym, jak rozebrani do naga czytali sobie książki E.B. White'a, chociaż nie doszło między nimi do zbliżenia, a także o tym, że przez cały czas myślał o pani Clausen. Bo przecież tak było, naprawdę!

A wszystkie te wydarzenia składały się na kontekst, w którym Patrick uległ Mary Shanahan pragnącej urodzić jego dziecko. I choć dla Doris Clausen byłoby chyba lepiej, gdyby Patrick, jako się rzekło, zaczął od Bostonu, to byłoby jeszcze lepiej, gdyby zaczął od Japonii - od tego, jak po raz pierwszy poprosił Mary, wówczas młodą, ciężarną mężatkę, żeby pojechała z nim do Tokio, i tego, że czuł się z tej przyczyny winny, toteż bardzo długo opierał się Mary, próbując ze wszystkich sił być „tylko jej przyjacielem”.

Albowiem czy do kontekstu nie należał również fakt, że Patrick w końcu przespał się z Mary Shanahan bez żadnych zobowiązań? Ze właśnie będąc „tylko jej przyjacielem”, postanowił jednak dać jej to, czego chciała? A chciała jedynie dziecka, niczego więcej. Dopiero później okazało

się, że chce także zająć jego mieszkanie albo po prostu zamieszkać w nim razem z Patrickiem, że chce jego posady i od początku wiedziała, że lada moment zostanie mianowana jego szefem... Psiakrew, no, to wszystko rzeczywiście było zaskakujące! Ale czy mógł przewidzieć, że sprawy przybiorą taki właśnie obrót?

Jeżeli istniała kobieta mogąca zrozumieć inną kobietę, która chciała mieć z Patrickiem dziecko, czy wolno mu było przypuszczać, że tą kobietą może być Doris Clausen? Nie, nie był to domysł zasadny! Zresztą jak pani Clausen mogła zrozumieć postępowanie Mary, skoro Patrick opowiadał jej o sobie w sposób tak niemądry i nieczuły?

Rzucił się po prostu na głęboką wodę. Był szczery i otwarty w najgorszym znaczeniu tych słów - zachował się ordynarnie, jak skończony dureń. Zaczął od czegoś, co sprowadzało się do następującego wyznania:

- Nie wydaje mi się, żeby ta historia ilustrowała przyczynę, dla której miewam problemy z utrzymywaniem monogamicznych związków z kobietami, ale mimo wszystko jest w niej coś zastanawiająco niepokojącego.

Czy w taki sposób zaczyna się oświadczyń? Czy można się dziwić, że Doris Clausen puściła jego dłoń i odwróciła się, żeby mu spojrzeć w oczy? Wallingford, który po tym chybnym prologu wyczuł, że wpakował się znowu w tarapaty, nie zdobył się na to, by spojrzeć na panią Clausen. Wpatrywał się w śpiące dziecko, jak gdyby niewinność Ottona juniora mogła osłonić Doris przed wszystkim, co w związku Patricka z Mary Shanahan było seksualnie niepoprawne i naganne moralnie.

Pani Clausen była przerażona i wstrząśnięta. Przestała zwracać uwagę na syna, nie była bowiem w stanie odwrócić wzroku od profilu przystojnej twarzy Wallingforda, który nieporadnie przytaczał rozmaite szczegóły swojego haniebnego zachowania. Plótł już teraz głupstwa i jąkał się, poniekąd ze zdenerwowania, ale i z obawy, że wrażenie, jakie wywiera na Doris, jest całkowicie niezgodne z jego intencjami.

Co mu strzeliło do głowy? Przecież gdyby Mary Shanahan poczęła jego dziecko, znalazłby się w kolosalnych kłopotach!

Wciąż pozostając jednak w konfesyjnym nastroju, podciągnął ręcznik, żeby pokazać pani Clausen siniec na nodze, który nabił sobie o oszkloną ławę w mieszkaniu Mary. Pochwalił się także oparzeliną, jakiej nabawił się od gorącej wody, biorąc u niej prysznic. Doris już wcześniej zauważyła zadrapania na plecach Patricka i ślad po miłosnym ukąszeniu na jego lewym barku. Zauważyła wszystko.

- Ach, to nie była Mary - przyznał Wallingford.

Mógł się pokusić o nieco szczęśliwszą odpowiedź.

- Z kim jeszcze się spotykałeś? - zapytała Doris.

Rozmowa nie przebiegała po jego myśli. Ale czy mógł pogorszyć sytuację, opowiadając pani Clausen o Angie? Przypadek charakterizatorki był o wiele mniej skomplikowany.

- Umówiłem się raz ze swoją charakterizatorką, ale tylko na jedną noc - zaczął. - Po prostu miałem ochotę na seks, i już.

Był obdarzony prawdziwie krasomówczymi zdolnościami, zaiste! (To było dopiero lekceważenie kontekstu!).

Opowiedział też o telefonach od wzburzonych członków rodziny Angie, ale pani Clausen nie całkiem go zrozumiała - sądziła, że Patrick chce powiedzieć, iż Angie jest nieletnia. (A wzmianki o gumie do żucia umocniły ją tylko w tym mniemaniu).

- Angie ma dobre serce - powtarzał Patrick, co skłoniło Doris do przypuszczeń, że charakterizatorką jest, być może, słaba na umyśle.

- Nie, skąd! - zaprotestował Wallingford. - Nie jest ani nieletnia, ani umysłowo chora, ona po prostu... ona...

- Jest puszczalska? - zapytała pani Clausen.

- Nie, nie! Niezupełnie - zaprotestował znów lojalnie Patrick.

- Myślałeś pewnie, że jeżeli przyjmę twoje oświadczenia, Angie będzie ostatnią kobietą, z którą poszedłeś do łóżka - spekulowała Doris. - A ponieważ nie wiedziałeś, czy zechcę z tobą żyć, nie było powodu, żeby się z nią nie przespać.

- Może i tak - odpowiedział załamującym się głosem.

- W takim razie nie stało się nic strasznego - oświadczyła pani Clausen. - Rozumiem. To znaczy rozumiem tę charakteryzację.

Patrick po raz pierwszy ośmielił się na nią spojrzeć, ale Doris odwróciła wzrok, żeby popatrzeć na Ottona juniora, który wciąż błogo spał.

- Więcej problemów sprawia mi natomiast zrozumienie Mary - dodała. - Nie wiem, jak mogłeś myśleć o życiu ze mną i małym Ottonem, kiedy usiłowałeś zapłodnić tę kobietę. Gdyby rzeczywiście zaszła w ciążę, to czy, twoim zdaniem, nie skomplikowałyby nam życia? Mnie, tobie i małemu?

- Owszem - zgodził się Patrick i zaczął się znów zastanawiać, co mu strzeliło do głowy. Czyżby zignorował i ten aspekt kontekstu?

- Chyba już wiem, o co jej chodziło - ciągnęła pani Clausen. Chwyliła nagle dłoń Patricka obiema rękami, wpatrując się w niego tak uporczywie, że nie starczyło mu sił, żeby się odwrócić. - Czy jest na świecie kobieta, która nie chciałaby mieć z tobą dziecka?

Przygryzła dolną wargę i potrząsnęła głową - nie chciała krzyczeć ani złościć się, a w każdym razie nie w pokoju, w którym spało jej dziecko.

- Zachowujesz się jak śliczna dziewczyna, która nie ma zielonego pojęcia, jaka jest ładna. Nie zdajesz sobie sprawy, w jaki sposób działasz na kobiety. Nie jesteś niebezpieczny dlatego, że jesteś przystojny, ale dlatego, że nie jesteś świadom swojej urody! Poza tym jesteś nieczuły i bezduszny.

Zapiekł go te słowa niczym siarczasty policzek.

- Jak mogłeś o mnie myśleć, skoro świadomie starałeś się zapłodnić inną kobietę? Wcale o mnie nie myślałeś! W każdym razie nie wtedy.

- Bo wydawało mi się... że nie mam u ciebie prawie żadnych szans - odpowiedział krótko, zdając sobie sprawę, że Doris mówi prawdę.

Zachował się jak idiota! Mylił się, sądząc, że może jej opowiadać o swoich ostatnich wyczynach seksualnych i liczyć, iż okażą się jasne i zrozumiałe, jak budząca współczucie historia, którą opowiedziała pani

Clausen. Jej związek, chociaż okazał się pomyłką, był przynajmniej normalny - próbowała spotykać się z przyjacielem sprzed lat, który podobnie jak ona, stracił akurat życiowego partnera. Nic z tego nie wyszło, i tyle.

W porównaniu z niemłą przygodą, jaka przytrafiła się pani Clausen, świat Wallingforda był światem seksualnego bezprawia. Jawna abnegacja jego sposobu myślenia i przekonań sprawiła, że poczuł wstyd.

Widział, że Doris jest nim rozczarowana, jak widział jej włosy, wciąż wilgotne i zmierzwione po kąpieli w jeziorze. Rozgoryczenie pani Clausen było widoczne równie jasno, jak ciemne, półkoliste sińce pod jej oczami, jak wszystkie części jej ciała, które dostrzegał nieosłonięte ciemnofioletowym kostiumem, i jak jej nagość, którą oglądał w świetle księżyca i w wodzie. (Przybrała nieco na wadze, a może po prostu nie schudła od czasu ciąży).

Zrozumiał, że to, co kocha w niej najbardziej, wykracza daleko poza otwartość erotyczną. Wszystko, co mówiła, mówiła poważnie, a wszystko, co robiła, robiła celowo i zdecydowanie. Jeśli nie liczyć jej kobiecości, stanowiła całkowite przeciwieństwo Mary Shanahan: była bezpośrednia, praktyczna, ufna i godna zaufania, a jeśli darzyła kogoś uczuciem, poświęcała się takiej osobie bez reszty.

W świecie Patricka Wallingforda rządziła natomiast anarchia seksualna, której pani Clausen zabroniła dostępu do swojego świata. Wallingford zdał sobie także sprawę, że Doris potraktowała jego oświadczenia serio - bo ona wszystko traktowała poważnie. Prawdopodobnie miał u niej większe szanse, niż sądził, tyle tylko, że właśnie je zmarnował.

Siedziała teraz na łóżku z dala od niego, splótłszy dłonie na kolanach. Nie wpatrywała się w Patricka ani w małego Ottona, lecz w jakieś nieokreślone acz niepomierne zmęczenie, które znała od dawna i w które wpatrywała się już wielokrotnie, nierzadko późno w nocy, jak dzisiaj, albo wcześniej rano.

- Muszę się trochę przespać - oświadczyła lakonicznie.

Gdyby można było prześledzić drogę jej odległego spojrzenia, Patrick powiedziałby, że pani Clausen przebija wzrokiem ścianę, by przyjrzeć się

ciemnemu prostokątowi przy drzwiach w przyległym pokoju, gdzie wisiał kiedyś jakiś obraz, zdjęcie albo lustro.

- Na ścianie w tamtej sypialni coś kiedyś wisiało - rzucił domyślnie Patrick, bez większych nadziei próbując ją rozruszać. - Co to było?

- Reklama piwa. Plakat - poinformowała zwięźle, nieznośnie głuchym głosem.

- Aha.

Reakcja Patricka była znów mimowolna, jak gdyby odpowiadał na bokserki cios. Oczywiście, mógł to być tylko plakat z reklamą piwa, i było zatem całkiem zrozumiałe, dlaczego pani Clausen nie chciała go zatrzymać.

Wyciągnął zdrowe ramię i nie pozwalając dłoni opaść na kolana Doris, delikatnie pogładził jej brzuch grzbietem prawej ręki.

- Nosiałaś kiedyś w pępku metalowy klejnocik. Jakąś ozdobę - zaryzykował. - Widziałem ją tylko raz.

Nie dodał już, że było to wtedy, kiedy ujeżdżała go w gabinecie Zajaca. A nie wyglądała na osobę, która może mieć przekłuty pępek!

Wzięła go za rękę i przytrzymała ją na swoich kolanach. Nie był to gest jakiegokolwiek zachęty - po prostu nie chciała, by Patrick jej dotykał.

- To podobno był szczęśliwy talizman - wyjaśniła. Powiedziała „podobno” takim głosem, że Patrick natychmiast wyczuł w nim lata zwątpienia.

- Otto kupił go w pracowni tatuażu. Próbowaliśmy wszystkiego, że bym mogła zająć w ciążę. Nigdy nie zadziałał, jeżeli nie liczyć stosunku z tobą, ale ty i tak nie potrzebowałaś pewnie talizmanów.

- Więc już go nie nosisz?

- Nie chcę zająć drugi raz w ciążę - zakomunikowała.

- Rozumiem.

Pewność, że stracił ją na zawsze, przyprawiła go o mdłości.

- Muszę się trochę przespać - powtórzyła.

- Chciałem ci coś przeczytać - powiedział. - Ale mogę to zrobić innym razem.

- Co?

- Przeczytać ci książkę, którą zamierzam właściwie przeczytać małemu,

jak tylko trochę podrośnie. Dlatego najpierw chciałem przeczytać ją tobie.

Wallingford urwał. Bez kontekstu jego wypowiedź nie brzmiała ani krztynę sensowniej niż wszystko, co powiedział do tej pory. Pomyślał, że jest absurdalny i śmieszny.

- Co to za książka? - zapytała znów Doris.

- „Stuart Malutki” - odparł, żalując, że w ogóle zaczął ten temat.

- Ach, ta powieść dla dzieci. Jej bohaterem jest mysz, prawda?

Skinął głową ze wstydem.

- Ma specjalny samochód - uzupełniła pani Clausen. - Którym wyrusza w podróż w poszukiwaniu jakiegoś ptaka. To jakby „W drodze”*, tylko że o myszy, nie?

* „W drodze” („On the Road”, 1957, wyd. pol. 1993), powieść Jacka Kerouaca (1922-1969), człowiego przedstawiciela pokolenia bitników (przyp. tłum.).

Wallingford nie określiłby tego w ten sposób, ale przytaknął w milczeniu. Zdziwił się, że pani Clausen czytała „W drodze”, a nawet że w ogóle słyszała o tej powieści.

- Muszę się już położyć - powtórzyła znów Doris. - A na wypadek gdybym nie mogła spać, przywiozłam sobie inną książkę.

Patrick, co prawda z wielkim trudem, ale powstrzymał się od komentarza. Zdawało mu się, że stracił w tej chwili ogromnie, ogromnie dużo - tym bardziej że przedtem nie zdawał sobie sprawy, że mógłby *nie* utracić pani Clausen.

Zostało mu jednak przynajmniej dość rozsądku, żeby nie opowiadać jej o tym, jak czytał „Stuarta Malutkiego” i „Pajęczynę Charlotty” na głos (i nago) z panią Williams, czy jak się naprawdę nazywała ta kobieta. Bez kontekstu ta historia - choć niewykluczone, że w każdym kontekście - uwypukliłaby jedynie ekscentryzm Wallingforda. Pora, kiedy mógłby opowiedzieć o tym Doris z pożytkiem dla siebie, dawno już minęła, a chwila obecna w żadnym wypadku nie była odpowiednia.

Grał teraz na zwłokę, bo nie chciał jej utracić. Oboje byli tego świadomi.

- Jaką książkę przywiozłaś? - zapytał Patrick.

Skorzystała z okazji, żeby wstać. Podeszła do otwartej ortalionowej torby, nie większej od innych, w których przywiozła bety i manele dziecka. Sama spakowała się tylko w tę jedną torbę i nie zawracała sobie na razie głowy (albo nie miała czasu), żeby ją rozpakować.

Wyciągnęła książkę spod sterty bielizny i wręczyła wolumin Patrickowi, jak gdyby była zbyt zmęczona, żeby o niej rozmawiać. (Bo była naprawdę zmęczona). Okazało się, że przywiozła „Angielskiego pacjenta”, powieść Michaela Ondaatje. Wallingford jej nie czytał, znał jednak film.

- To ostatni film, jaki oglądałam z mężem przed jego śmiercią - powiedziała pani Clausen. - Podobał się nam.

Mnie tak bardzo, że miałam ochotę przeczytać także książkę, ale ciągle odkładałam lekturę na później. Nie chciałam przypominać sobie ostatniego filmu, który oglądałam razem z Ottonem.

Patrick Wallingford zmierzył wzrokiem „Angielskiego pacjenta”. Doris interesuje się poważną powieścią dla dorosłych, a on chciał jej czytać „Stuarta Malutkiego”. Pod jakim jeszcze względem okaże pani Clausen nonszalancję i protekcyjność?

To, że pracowała jako bileterka w klubie Green Bay Packers, nie oznaczało przecież, że nie może czytać poważnych książek, choć Patrick, ku swojemu zakłopotaniu, był do tej pory przeciwnego zdania.

Przypomniał sobie, że i jemu podobał się „Angielski pacjent”. Jego była żona twierdziła, że film jest lepszy od książki. Słusznie nie ufał sądom Marilyn na niemal każdy temat, bo przy tej okazji wygłosiła komentarz, z którym Wallingford spotkał się już wcześniej w jakiejś recenzji. Otóż Marilyn twierdziła, że film jest lepszy niż powieść, ponieważ powieść jest „zbyt dobrze napisana”. Idei „zbyt dobrze napisanej” książki hołdować mógł wyłącznie krytyk literacki - albo była żona Patricka, Marilyn.

- Nie czytałem książki - powiedział krótko Wallingford pani Clausen, która schowała powieść z powrotem do torby, ale położyła teraz „Pacjenta” na wierzchu, na swojej białej bieliźnie.

- To dobra rzecz - poinformowała Doris. - Tak mi się podoba, że czytam bardzo powoli. Podoba mi się chyba bardziej niż film, ale o filmie

staram się nie pamiętać. (Co oczywiście oznaczało, że film nie zawiera ani jednej sceny, którą kiedykolwiek mogłaby zapomnieć).

Czy zostało im coś do powiedzenia? Wallingford poczuł parcie na pęcherz, ale jakimś cudem powstrzymał się od poinformowania o tym pani Clausen - powiedział już dość jak na jedną noc. Oświetliła mu latarką korytarz, żeby nie musiał szukać wejścia do pokoju po omacku.

Był zmęczony i nie chciało mu się zapalać lampy. Wziął latarkę, którą znalazł na komódce, i szedł na dół stromymi schodami. Księżyc zapadł za horyzont i na dworze zrobiło się jeszcze ciemniej, ale zbliżał się już pierwszy brzask. Patrick skrył się za drzewem, żeby się wysuszać, chociaż dookoła nie było nikogo, kto mógłby go zobaczyć. Kiedy skończył oddawać mocz, dopadły go komary, więc oświetlając sobie drogę latarką, szybko wrócił do domku na przystani.

Mijając pokój pani Clausen i małego Ottona, zauważył, że światło w środku już zgasło. Doris mówiła, że nigdy nie sypia przy zapalanej lampie gazowej. Lampy na propan były zapewne bezpieczne, ale płonęły mimo wszystko żywym ogniem, co napędzało panią Clausen niepokojem, nie pozwalając jej zasnąć.

Wallingford zostawił otwarte drzwi do swojego pokoju. Chciał słyszeć Ottona juniora, gdyby chłopiec się zbudził. Może zaproponuje nawet, że zajmie się małym, żeby Doris mogła spokojnie pospać. Czy trudno jest zabawić niemowlaka? Czy publiczność telewizyjna nie jest bardziej wymagającym odbiorcą? Nie zastanawiał się jednak dłużej nad tym problemem.

Zdjął wreszcie ręcznik z bioder, włożył bokserki i wsunął się do łóżka, ale zanim zgasił latarkę, upewnił się, że pamięta, gdzie ją odłożył, na wypadek gdyby musiał jej potem szukać w ciemnościach. (Położył latarkę na podłodze, po tej stronie łóżka, po której sypiała kiedyś Doris). Ponieważ księżyc zaszedł, dookoła zapanowały niemal egipskie ciemności, nieprzeniknione niczym perspektywy jego dalszego związku z panią Clausen.

Zapomniał zasunąć zasłony, choć Doris ostrzegła go, że wschodzące

słońce świeci prosto w okna. Później, kiedy jeszcze spał, w jakiś nadprzyrodzony sposób uzmysłowił sobie, że na niebie pojawiło się światło zapowiadające świt. Wtedy rozległo się krakanie wron - i nawet przez sen Patrick słyszał raczej krzyki wron niż nurów. Nie widział światła, wyczuwał jednak jego stopniowe natężenie.

Potem obudził go płacz małego Ottona. Przez chwilę leżał bez ruchu, nasłuchując, jak pani Clausen uspokaja dziecko. Mały szybko przestał płakać, ale grymasił ciągle, kiedy matka zmieniała mu pieluszkę. Po tonie głosu Doris i rozmaitych odgłosach, jakie wydawał Otto, Wallingford zorientował się, co robią. Zeszli na dół po schodach, a pani Clausen zagadywała wciąż chłopca, kiedy znaleźli się na ścieżce wiodącej do głównego domku. Patrick przypomniał sobie, że odżywkę dla dziecka trzeba rozmieszać w butelkowanej wodzie, którą pani Clausen podgrzewała na kuchni.

Spojrzał najpierw na okolice amputowanej lewej dłoni, a dopiero potem na prawy przegub. (Nigdy nie miał się przyzwycząić do noszenia zegarka na prawej ręce). Kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca uderzyły zza jeziora w okna jego sypialni, okazało się, że jest dopiero parę minut po piątej.

Był reporterem, zjechał cały świat i wiedział, co znaczy brak snu, ale zaczynał sobie zdawać sprawę, że pani Clausen nie wysypia się od ośmiu miesięcy - i było z jego strony zbrodnią, że nie pozwolił jej spać prawie przez całą noc. To, że Doris przywiozła dla siebie tylko jedną torbę, a dla dzieciaka aż sześć, miało więcej niż symboliczne znaczenie: mały Otto był całym jej życiem.

Jakie szaleństwo kazało mu mniemać, że będzie umiał zabawić małego Ottona, by pani Clausen mogła się wreszcie wyspać? Nie potrafiłby go nawet nakarmić, a tylko raz (wczoraj) widział, jak Doris przewija dziecko. Nie potrafiłby też zapewne podtrzymać odpowiednio małego, żeby odbiło mu się po jedzeniu. (Nie wiedział, że pani Clausen przestała zmuszać Ottona, żeby bekał).

Myślał właśnie, że powinien zdobyć się na odwagę, wskoczyć do jeziora i utopić się, kiedy do pokoju weszła pani Clausen z Ottonem juniorem na ręku. Chłopczyk miał na sobie tylko pieluchę, a Doris zbyt obszerny na nią podkoszulek, zapewne należący kiedyś do Ottona seniora.

Opatrzona klubowym logo koszulka była koloru wyblakłej zieleni Green Bay Packers. Zakrywała pani Clausen całe uda, sięgając jej niemal do kolan.

- Obudziliśmy się na dobre, co? - zwróciła się pani Clausen do malca.
- To chodźmy zobaczyć, czy tatuś też już nie śpi.

Wallingford posunął się, żeby zrobić im miejsce w łóżku. Usiłował nie zdradzać niepokoju. (Doris po raz pierwszy nazwała go „tatusiem”).

Przed świtem było chłodno, można było więc spać pod kocem i prześcieradłem, ale teraz pokój zalało światło słońca. Pani Clausen przykryła prześcieradłem siebie i chłopca, a Wallingford zrzucił koc na podłogę.

- Powinieneś nauczyć się go karmić - powiedziała, po dając Patrickowi butelkę z odżywką. Położyła Ottona juniora na poduszce, a jego bystre oczka śledziły butelkę, którą przekazywali sobie rodzice.

Później posadziła malca między poduszkami. Wallingford patrzył, jak jego syn bierze do ręki grzechotkę, potrząsa nią i wkłada ją sobie do buzi - nie były to może fascynujące czynności, ale świeżo upieczony ojciec obserwował je jak zaczarowany.

- Jest bardzo spokojnym dzieckiem - oświadczyła pa ni Clausen.

Wallingford nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Może poczytasz mi tę książkę o myszy? - zapytała. - Nie musi cię rozumieć, ważniejsze będzie brzmienie twojego głosu. Zresztą ja też mam ochotę posłuchać.

Patrick wstał z łóżka i wrócił po chwili z książką.

- Masz ładne bokserki - pochwaliła Doris.

Wallingford zakreślił niektóre fragmenty „Stuarta Malutkiego”, sądząc, że będą miały dla pani Clausen szczególne znaczenie - na przykład opis pierwszej niedoszłej randki Stuarta z Harriet Ames. Niedoszłej, ponieważ Stuart był tak zmartwiony zniszczeniem swojego czółna, że nie przyjął zaproszenia Harriet na tańce. A potem Harriet pożegnała go, niestety, „zostawiając Stuarta samego, z niespełnionymi marzeniami i zniszczonym czółnem”.

Patrick sądził kiedyś, że ten epizod przypadnie Doris do gustu, ale teraz nie był już tego pewien, postanowił więc przejść od razu do ostatniego

rozdziału, zatytułowanego „Na północ”, i odczytać z niego jedynie ten fragment, w którym Stuart prowadzi filozoficzny dialog z konserwatorem urzędzeń telefonicznych.

Rozmowa dotyczy początkowo ptaszka, którego szuka Stuart. Konserwator prosi Malutkiego, żeby go opisał, i notuje rysopis ptaka na kartce. Kiedy Wallingford czytał ten fragment, pani Clausen, leżąc na boku, przyglądała się Patrickowi, podobnie jak jego synek. Otto, który tylko chwilami zerkał na matkę, zdawał się uważnie słuchać ojca. Rodzice znajdowali się w zasięgu ręki, więc czuł się bezpiecznie.

Następnie Patrick dotarł do tej części rozdziału, w której konserwator pyta Stuarta, dokąd się wybiera. Ten fragment odczytał z wyjątkowym przejęciem.

„Na północ - powiedział Stuart.

- Na północy jest ładnie - odparł konserwator. - Lubilem wyjeżdżać na północ. Choć oczywiście południowy zachód to też wspaniały kierunek.

- Pewnie tak - odpowiedział w zamyśleniu Stuart.

- No i jest jeszcze wschód - ciągnął konserwator. - Na kursie wschodnim przytrafiła mi się kiedyś ciekawa rzecz. Chcesz, żebym ci o tym opowiedział?

- Nie, dziękuję - odpowiedział Stuart.

Konserwator zdawał się zawiedziony, ale mówił dalej.

- Jest w północy coś, co różni ją od wszystkich innych stron świata. Ktoś, kto zdąża na północ, w moim mniemaniu nie popełnia błędu.

- I ja tak myślę - powiedział Stuart. - A spodziewam się, że od tej pory będę podróżował na północ do końca moich dni.

- Ludziom zdarzają się czasem gorsze rzeczy - zauważył konserwator.

- Wiem o tym - odparł Stuart”.

Wallingford należał do ludzi, którym zdarzyło się coś znacznie gorszego. Nie podróżował na północ, kiedy poznał Mary Shanahan, Angie, Monikę przez „k” - albo, nie przymierzając, swoją byłą żonę. Poznał Marilyn w Nowym Orleanie, gdzie kręcił trzyminutowy reportaż na temat

karnawałowych szaleństw podczas zapustów. Wdał się wówczas w romansik z niejaką Fioną, charakteryzatorką, jak Angie, ale porzucił ją natychmiast dla Marilyn. (I od dawna wiedział, że popełnił błąd).

Trywialna statystyka - ale nie potrafił przypomnieć sobie żadnej kobiety, z którą kochałby się na północy. Na północ wyjechał tylko z Doris Clausen, z którą chciał pozostać, i to wcale niekoniecznie tu, w Wisconsin, lecz byle gdzie, do końca swoich dni.

Zawieszając na chwilę głos dla zwiększenia efektu dramatycznego, Patrick powtórzył tę właśnie frazę - „do końca moich dni”, po czym spojrział na małego Ottona w obawie, że zanudził dziecko, ale bystry jak wieiórka chłopczyk popatrywał na ojca i kolorowy obrazek, zdobiący okładkę książki. (Widniał na niej Stuart w czółnie z kory brzozonej, opatrzonym na dziobie napisem LETNIE WSPOMNIENIA).

Wallingford był zachwycony, że udało mu się utrzymać uwagę syna, ale kiedy spojrział na panią Clausen, chcąc wyrzucić na niej odkupicielskie wrażenie, okazało się, że Doris zasnęła - i to najprawdopodobniej zanim zrozumiała w pełni znaczenie rozdziału pod tytułem „Na północ”. Leżała na boku, zwrócona twarzą w kierunku Patricka i Ottona, a chociaż włosy częściowo zasłaniały jej twarz, Wallingford zauważył, że pani Clausen uśmiecha się przez sen.

No... Jeżeli nawet nie uśmiechała się, to przynajmniej nie miała marsowej miny. Patrząc na wyraz jej twarzy i błogą swobodę pozycji, w jakiej zasnęła, Patrick uznał, że nigdy dotąd nie widział spokojniejszej pani Clausen - albo uśpionej głębiej, bo tego nie był do końca pewien.

Traktując poważnie nowe obowiązki, wziął Ottona juniora na ręce i ostrożnie, by nie zbudzić matki, wysliznął się z łóżka. Zaniósł chłopca do drugiego pokoju, gdzie starał się jak najlepiej naśladować opiekuńcze czynności, które przedtem wykonywała Doris. Śmiało przystąpił do wymiany pieluszki na łóżku zastępującym stół do przewijania, ale ku jego zdumieniu, pielucha była sucha, a Otto junior czysty. Jednak kiedy dziwował się niesłychanie małym rozmiarom członka swojego synka, Otto

wypuścił nagle strumień moczu prosto w górę, na jego twarz. Dało to Patrickowi podstawy, aby mimo wszystko zmienić pieluszkę, co nie było proste, biorąc pod uwagę, że posługiwał się tylko jedną ręką.

Uporawszy się z pieluchą, zastanawiał się, co robić dalej. Posadził Ottona juniora na łóżku między poduszkami, którymi opatulił go dla bezpieczeństwa, niemal zupełnie krępując mu w ten sposób ruchy. Potem niedoświadczony ojciec przeszukał torby z dziecięcym ekwipunkiem, gromadząc ostatecznie następujący zestaw: paczkę odżywki, czystą butelkę, dwie czyste pieluszki, koszulkę na wypadek, gdyby wyszli na dwór, gdzie mogło być chłodniej, i wreszcie skarpetki oraz buciki, nie było bowiem wykluczone, że największą radość sprawi małemu przemieszczanie się na specjalnym dmuchanym krzeselku, na którym mógł podskakiwać.

Ten wynalazek znajdował się w głównym domku, gdzie Patrick zaniósł następnie Ottona. Skarpetki i buciki, jak sądził Patrick, przejawiając właściwą dobrym ojcom zapobiegliwość, osłonią maleńkie paluszki dzieciaka, dzięki czemu malec nie powbija sobie drzazg w delikatne stopki. Po namyśle, tuż przed wyjściem z domku na przystani wraz z chłopcem i torbą z manelami małego, Wallingford dorzucił jeszcze czapkę i należący do pani Clausen egzemplarz „Angielskiego pacjenta”. Gdy sięgał po książkę, delikatnie musnął zdrową ręką bieliznę Doris.

W głównym domku było nieco chłodniej, Patrick włożył więc chłopcu koszulkę, po czym, chcąc się sprawdzić, włożył mu również skarpetki oraz buty. Posadził malca na dmuchanym krzeselku, ale ten rozplakał się, więc Wallingford przeniósł go na wysokie krzesło, na którym chłopcu bardziej się podobało. (Jednak tylko przez chwilę, nie dostał bowiem nic do jedzenia).

Znalazszy dziecięcą łyżeczkę na suszarce do naczyń, Wallingford rozgniół chłopcu banana, a Otto z upodobaniem wypluwał kawałki owocu, smarował sobie nimi buzię, po czym wycierał rączki w koszulkę.

Patrick zastanawiał się, czym jeszcze można by nakarmić dziecko. Czajnik na kuchence był wciąż ciepły, rozpuścił więc sproszkowaną

odżywkę w mniej więcej ośmiu uncjach przegotowanej wody i dodał do płynu trochę płatków dla dzieci, ale małemu bardziej smakował banan. Wtedy Patrick zmieszał płatki z łyżeczką przetartych brzoskwiń ze słodzika przetworów dla niemowląt i Otto ostrożnie zaczął jeść tę mieszankę, mażąc sobie włoski, usmarowane wcześniej resztkami banana, płatkami wzbogaconymi brzoskwiniową pulpą.

Wallingford stwierdził, że więcej jedzenia znalazło się na ciele i ubranku chłopca niż w jego brzuszku. Zmoczył papierowy ręcznik ciepłą wodą i wytarł dzieciaka do czysta - albo prawie do czysta. Potem przesaadził go z wysokiego krzeselka na dmuchane siedzisko, na którym malec skakał przez kilka minut po kuchni, aż zwymiotował wreszcie pół śniadania.

Wtedy Wallingford wziął syna na ręce i usiadł w bujanym fotelu, trzymając dziecko na kolanach. Próbował jeszcze karmić Ottona z butelki, ale usmarowany resztkami jedzenia chłopiec wypił najwyżej dwie uncje odżyvky, po czym wypluł wszystko na kolana Patricka, który był wciąż w samych bokserkach, uznał więc, że nie ma się czym przejmować).

Podtrzymując Ottona lewym ramieniem, Patrick zaczął krążyć po pokoju, dzierżąc w prawej ręce otwartą książkę niczym zbiór hymnów kościelnych. Ponieważ jednak lewemu ramieniu Wallingforda brakowało dłoni, nie mógł w ten sposób nosić dzieciaka zbyt długo, ten okazał się bowiem za ciężki, Patrick usiadł więc z powrotem na fotelu. Posadził syna na swoim udzie i pozwolił mu oprzeć się o siebie - chłopczyk wsparł tył główki o jego pierś i lewy bark, ojciec zaś otoczył go kalekim ramieniem i zaczął się z nim kołysać, a po mniej więcej dziesięciu minutach Otto wreszcie zasnął.

Kołysząc się teraz nieco wolniej, Patrick z uśpionym chłopcem na kolanach zaczął czytać „Angielskiego pacjenta”. Trzymanie otwartej książki w jednej ręce sprawiało mu mniej trudności niż przewracanie stronic, wymagające stosunkowo znacznej sprawności manualnej, równie niełatwej do opanowania, jak protezy, z których próbował kiedyś korzystać, ale te wysiłki skojarzyły mu się z początkowym opisem poparzonego

bohatera, cierpiącego prawdopodobnie na zanik pamięci.

Przeczytał zaledwie kilka stron, zatrzymując się na chwilę na zdaniu, które pani Clausen podkreśliła na czerwono - był to fragment, w którym tytułowy „angielski pacjent” traci i na przemian odzyskuje przytomność, podczas gdy pielęgniarka czyta mu na głos książkę.

„Dla Anglika zaś, niezależnie od tego, czy słuchał uważnie, czy nie, książki zawierały luki w toku akcji, tak jakby powódź rozmyła odcinek drogi, brakowało pewnych epizodów, jakby mole wygryzły dziury w kilimie albo też jakby z popękanych od wstrząsów ścian wykruszył się nocą płat fresku”^{*}.

^{*} Wszystkie cytaty z „Angielskiego pacjenta” Michaela Ondaatje w tłumaczeniu Wacława Sadkowskiego (przytł., tłum.).

Można było oczywiście często wracać do tego fragmentu z podziwem, lecz świadczył on również dobrze o czytelniku, który go zaznaczył. Wallingford zamknął powieść i delikatnie odłożył ją na podłogę, po czym przymknął powieki i skupił się na kojącym kołysaniu fotela. Kiedy wstrzymywał oddech, słyszał, jak oddycha jego syn - dla wielu rodziców takie chwile są namaszczone świętością. Kołysząc się w fotelu, powziął pewien plan. Postanowił mianowicie przeczytać „Angielskiego pacjenta” po powrocie do Nowego Jorku i zaznaczyć w książce swoje ulubione fragmenty, by on i pani Clausen mogli następnie porównać i omówić te partie powieści, które najbardziej przypadły im do gustu. Być może nawet uda mu się namówić Doris, żeby wypożyczyli „Pacjenta” na kasecie i obejrzeni film razem.

Zasypiając w bujanym fotelu, z synem na kolanach, Wallingford zastanawiał się, czy „Angielski pacjent” nie byłby bardziej obiecującym tematem rozmów z panią Clausen niż wędrówki myszy albo wyrafinowana namiętność skazanej na śmierć pajęczycy.

Pani Clausen zastała ojca i syna śpiących na fotelu. Była dobrą matką, przeanalizowała więc dokładnie ślady, jakie pozostały po śniadaniu

Otona - resztki odżywki w butelce, barwnie umazana koszulka, splamione brzoskwiniami włosy dziecka, pobrudzone bananem skarpetki i buciki oraz wymowne znaki, świadczące o tym, że mały obrzygał Patrickowi bokserki. Najwidoczniej spodobało się jej to, co zobaczyła, a chyba szczególnie widok uśpionej na fotelu pary, zrobiła bowiem ojcu i synowi dwa zdjęcia.

Wallingford obudził się, dopiero kiedy Doris zaparzyła kawę i zabrała się do podsmażania bekonu. (Przypomniał sobie, że powiedział jej, że lubi bekon). Miała na sobie ciemnofioletowy kostium kąpielowy. Patrick pomyślał o swoich kąpielówkach, wiszących samotnie na sznurze od bielizny niby żalony symbol niemal pewnego odrzucenia jego oświadczeń przez Doris.

Spędzili ten dzień razem, leniwie, by nie powiedzieć, że w całkowitym spokoju. Doris ani słowem nie wspomniała o jego oświadczeniach, co wytwarzało jednak między nimi pewne napięcie.

Pływali na zmianę, skacząc do wody z przystani, i na zmianę pilnowali Otona, a Wallingford znów brodził z chłopcem na płyciźnie przy piaszczystej plaży. Popłynęli razem na wycieczkę motorówką. Patrick siedział na dziobie, trzymając małego na kolanach, a pani Clausen kierowała łodzią - wybrali motorówkę, ponieważ Doris miała większą wprawę w jej prowadzeniu. Motorówka nie była tak szybka, jak ślizgacz, a poza tym Clausenowie nie mieliby większych pretensji, gdyby porysowała ją albo wgniotła kadłub.

Przewieźli śmieci do pojemnika na przystani po drugiej stronie jeziora. Wszyscy letnicy tam je składowali. Gdyby Patrick i Doris nie wyrzucili odpadków do pojemnika, musieliby w drodze powrotnej zabrać je na pokład hydroplanu: butelki, puszki, papiery, resztki jedzenia i brudne pieluszki Otona.

Głośny warkot silnika zagłuszał ich słowa, ale Wallingford spojrzął na panią Clausen, po czym starannie i wyraźnie powiedział:

- Kocham cię.

Zobaczył, że Doris czyta z ruchu jego warg i rozumie, co on mówi, nie usłyszał jednak jej odpowiedzi. Było to jednak zdanie dłuższe niż:

„Kocham cię”, i Patrick wyczuł, że pani Clausen powiedziała mu coś poważnego.

Kiedy pozbywszy się śmieci, wracali na przystań, Otto junior zasnął. Wallingford zaniósł śpiącego chłopca na piętro i ułożył go w kołysce. Doris powiedziała, że Otto zazwyczaj ucina sobie drzemkę dwa razy w ciągu dnia, a teraz uspił go głęboko jednostajny ruch płynącej motorówki. Zastanawiała się też, czy nie trzeba będzie go obudzić w porze karmienia.

Nadeszło późne popołudnie, prawie wieczór, i słońce zaczęło zachodzić.

- Nie budź jeszcze Ottona. Chodź ze mną na przystań - poprosił Wallingford. Oboje byli w strojach kąpielowych, a Patrick dopilnował, żeby zabrali ręczniki.

- Po co? - zapytała Doris.

- Wykąpiemy się jeszcze raz - powiedział. - A potem posiedzimy chwilę na przystani.

Pani Clausen obawiała się, że nie usłyszą płaczącego chłopca, jeśli się obudzi, mimo że okna od sypialni zostawili otwarte. Wychodziły na jezioro, nie na przystań, a przepływające od czasu do czasu w pobliżu łodzie motorowe czyniły sporo hałasu, Patrick przysięgał jednak, że usłyszy dziecko.

Wskoczyli do wody z przystani i szybko wspięli się na górę po drabinie, a przystań niemal zaraz utonęła w ciemności. Słońce opadło poniżej linii drzew po drugiej stronie jeziora, ale wschodni brzeg wciąż zalewało słońce. Kiedy siedzieli już na ręcznikach, Wallingford opowiedział pani Clausen o tabletkach przeciwbólowych, które brał w Indiach, i o tym, że we śnie błękitnej kapsułki czuł nagrzane słońcem deski przystani, choć była pogrążona w cieniu.

- Jak teraz - powiedział.

Doris siedziała w milczeniu. Miała mokry kostium i dygotała lekko.

Patrick z uporem opowiadał, że słyszał we śnie głos niewidzialnej kobiety i że był to najseksowniejszy głos na świecie, który powiedział w końcu: „Zimno mi w mokrym kostiumie. Zdejmę go. A może i ty zdejmiesz kąpielówki?”.

Drżąca pani Clausen wciąż przyglądała się tylko Patrickowi.

- Powiedz to - poprosił Wallingford.

- Nie mam ochoty - odparła.

Patrick opowiedział jej dalszy ciąg kobaltowo-błękitnego snu i przyznał, że powiedział: „Tak”. Wspomnił też szmer wody ściekającej z mokrych kostiumów kąpielowych przez szczeliny między deskami pomostu do jeziora. Opowiedział, że on i niewidzialna kobieta byli nadzy, że czuł zapach słońca, który wchłonęły ramiona nieznajomej, a potem, wodząc językiem po jej uchu, poczuł smak jeziora.

- Kochałeś się z nią we śnie? - zapytała pani Clausen.

- Tak.

- Nie mogę się z tobą kochać - powiedziała. - Nie te raz i nie tutaj.

Poza tym po drugiej stronie jeziora stanął nowy domek. Clausenowie mówili, że facet, który w nim mieszka, ma lunetę i podgląda sąsiadów.

Patrick dojrzał domek, o którym mówiła. Był koloru surowego drewna, kontrastującego z otaczającymi go zieleniami i błękitami.

- Myślałem, że spełnia się mój sen - powiedział krótko. (Właściwie chciał powiedzieć, że prawie się spełnił).

Pani Clausen wstała i podniosła ręcznik. Zasłaniając się ręcznikiem, zdjęła mokry kostium, a potem powiesiła go na sznurze i szczelnie owiła się ręcznikiem.

- Obudzę Ottona - powiadomiła Patricka.

Wallingford ściągnął kąpielówkę i powiesił je obok kostiumu Doris. Ponieważ pani Clausen weszła już do domku, nie troszczył się o to, by okryć swoją nagość, a nawet stał przez chwilę frontem do jeziora, żeby ten dupek z lunetą dobrze mu się przyjrzał. Potem owiął się ręcznikiem i wszedł po schodach na górę, do sypialni.

Ułożył suche kąpielówki i koszulkę polo. Kiedy zajrzał do sąsiedniej sypialni, okazało się, że i pani Clausen zdążyła się już przebrać w suche ubranie. Miała na sobie starą bluzę z płytkim, półokrągłym dekoltem i nylonowe szorty. Był to strój, jaki noszą chłopcy na sali gimnastycznej, ale wyglądała w nim cudownie.

- Wiesz, sny nie muszą przypominać jawy w każdym szczególe, żeby

się spełnić - powiedziała, nie patrząc na Patricka.

- Wydaje mi się, że nie mam u ciebie szans - odparł Patrick.

Ruszyła przodem ścieżką do głównego domku, niosąc na rękach małego.

- Ciągłe się zastanawiam nad twoją propozycją - rzekła, nie odwracając się.

Wallingford policzył sylaby, z których złożona była ta wypowiedź. Wydawało mu się, że to samo powiedziała przedtem w motorówce, kiedy jednak nie usłyszał jej słów. („Ciągłe się zastanawiam nad twoją propozycją”). A zatem mimo wszystko miał u niej jakieś szanse, choć zapewne marne.

Zjedli spokojny obiad na osłoniętym ganku głównego domku, wychodzącym na ciemniejące jezioro. Akompaniowało im bzyczenie komarów zlatujących się do osłaniających ganek moskitier. Wypili drugą butelkę czerwonego wina, a Wallingford opowiadał o swoich naiwnych wysiłkach, mających zmusić kierownictwo stacji, żeby zwolniono go z pracy. Tym razem okazał się dość inteligentny, by nie wspominać o Mary Shanahan. Nie powiedział Doris, że pomysł odejścia z pracy po raz pierwszy przyszedł mu do głowy pod wpływem czegoś, co powiedziała Mary, ani że Mary ułożyła szczegółowy plan działań mających doprowadzić do wyrzucenia Patricka z dziennikarskiej posady.

Mówił dalej o tym, że nosi się z zamiarem wyjazdu z Nowego Jorku, ale pani Clausen zdawała się tracić cierpliwość do jego paplaniny.

- Nie chciałabym, żebyś rzucił pracę z mojego powodu - oświadczyła.

- Jeżeli mielibyśmy mieszkać razem, możemy mieszkać gdziekolwiek. To, gdzie będziemy mieszkać, ani to, gdzie pracujesz, nie ma żadnego znaczenia.

Patrick krążył wokół, trzymając Ottona na rękach, a Doris zmywała naczyńia.

- Nie chciałabym tylko, żeby Mary urodziła twoje dziecko - oznajmiła w końcu pani Clausen, kiedy oganiali się od komarów w drodze powrotnej do domku na przystani.

Nie widział jej twarzy, bo szła znowu przodem, z latarką w jednej ręce i torbą z manelami Ottona w drugiej. Wallingford niósł syna.

- Trudno mi ją winić... za to, że chce mieć z tobą dziecko - dodała Doris, kiedy wchodzili po schodach. - Mam po prostu nadzieję, że go nie urodzi, chociaż ty nie możesz ani nie powinieneś nic w tej sprawie robić. Teraz już nie.

Wallingford pomyślał, że oto w charakterystyczny dla siebie sposób nierozsądnie uruchomił wpływający na jego przyszłe losy czynnik, nad którym nie panował - albowiem to, czy Mary Shanahan zaszła w ciążę, czy nie, było wyłącznie kwestią przypadku.

Przed wyjściem z głównego domku, kiedy skorzystał już z toalety i umył zęby, wyjął kondom z kosmetyczki zawierającej przybory do golenia, i ścisnął go w dłoni przez całą drogę do domku na przystani. Teraz, kiedy posadził chłopca na łóżku, na którym go przewijali, pani Clausen zauważyła, że zaciśnięta w pięść dłoń Wallingforda kryje niewielki przedmiot.

- Co tam masz? - zapytała.

Patrick otworzył dłoń i pokazał jej kondom, a Doris pochyliła się nad Ottonem juniorem i zaczęła zmieniać mu pieluszkę.

- Lepiej wracaj i przynieś jeszcze jeden. Będziesz potrzebował co najmniej dwóch.

Patrick wziął latarkę i ruszył znów do boju z komarami. Do sypialni na przystani wrócił z drugim kondomem i flaszką zimnego piwa.

Zapalił lampę gazową w swoim pokoju. Choć dla osób dwuręczkich jest to zadanie łatwe, Patrickowi wykonanie go przyszło z niejakim trudem. Potarł drewnianą zapalną o draskę, a potem, trzymając płonące drewno w zębach, odkręcił gaz. Wyjął z ust zapalną, przytknął ją do szumiącego strumyczka propanu i lampa wystrzeliła jasnym płomieniem. Zmniejszył dopływ gazu, ale światło w sypialni przygasło bardzo nieznacznie. Pomyślał, że okoliczności nie są zbyt romantyczne, po czym zdjął ubranie i położył się do łóżka nago.

Przykrył się do pasa prześcieradłem. Leżał na brzuchu, wspierając się na łokciach i przyciskając do piersi dwie poduszki. Patrzył przez okno

na odbijający się w jeziorze ogromny księżyc - pełnia miała nadejść dopiero za dwa albo trzy dni, ale księżyc wyglądał, jakby już osiągnął czwartą kwadrę.

Nieodkapslowaną butelkę piwa postawił na komódce z myślą, że wypiją je później razem. Kondomy w foliowych opakowaniach schował pod poduszkę.

Nury podniosły rejwach, a kaczki wszczęły kłótnię gdzieś przy brzegu, nie słyszał więc, jak Doris wchodzi do pokoju, ale kiedy położyła się na nim, przyciskając obnażone piersi do jego pleców, zrozumiał, że jest naga.

- Zimno mi w mokrym kostiumie - szepnęła mu do ucha. - Zdejmę go. A może i ty zdejmiesz kąpielówki?

Jej głos do tego stopnia przypominał głos kobiety ze snu błękitnej kapsułki, że Wallingford miał trudności z odpowiedzią.

- Tak - wykrztusił wreszcie, ale pani Clausen przewróciła go już wtedy na wznak i ściągnęła z niego prześcieradło.

- Daj mi prezerwatywę - powiedziała.

Sięgnął ręką za głowę, pod poduszkę, ale Doris była szybsza. Znalazła kondom i rozerwała opakowanie zębami.

- Pozwól, że ja to zrobię. Chcę ci go włożyć - oznajmiła. - Nigdy jeszcze tego nie robiłam.

Wydawała się zdziwiona, że tak wygląda kondom, ale nie zawahała się. Niestety, próbowała go włożyć Patrickowi na lewą stronę.

- Prezerwatywy są specjalnie rolowane - wyjaśnił Wallingford.

Rozśmieszyła ją ta pomyłka. Teraz włożyła mu kondom prawidłowo, ale tak się śpieszyła, że Patrick nie miał czasu, żeby ją zagadnąć. Być może wcześniej nie nakładała nikomu prezerwatywy, Wallingford pamiętał jednak, jak go ujeżdżała - tyle tylko, że tym razem leżał na wznak, a nie siedział wyprostowany na krześle w gabinecie lekarskim doktora Zajaca.

- Powiem ci coś. Chcę, żebyś był mi wierny - powiedziała wsparta na jego barkach Doris, poruszając biodra mi w górę i w dół. - Jeżeli masz

problemy z monogamią, lepiej od razu się przyznaj. I lepiej mnie teraz powstrzymaj.

Wallingford nie odpowiedział i nie uczynił nic, żeby ją powstrzymać.

- Nie miej już z nikim dzieci. Proszę cię - dodała pani Clausen jeszcze poważniej. Napierała na niego całym ciężarem, a Patrick dźwignął nieco biodra, żeby dostosować się do jej ruchów.

- Dobrze - obiecał.

W mdłym świetle lampy gazowej ich ruchome cienie padały na ścianę w miejscu, gdzie uwagę Wallingforda zwrócił ciemniejszy prostokąt - pozostałość po plakacie reklamowym. Wyglądało to tak, jak gdyby ich złączone w miłosnym uścisku ciała tworzyły upiorny portret: jak gdyby ich wspólna przyszłość nie została wciąż postanowiona.

Kiedy skończyli się kochać, wypili piwo, osuszając butelkę w ciągu kilku sekund. Potem poszli wykąpać się nago w jeziorze. Wallingford wziął tylko jeden ręcznik, a pani Clausen niosła latarkę. Kiedy stanęli na przystani, Doris poprosiła Patricka, żeby zszedł do jeziora pierwszy. Ledwie zanurzył się w wodzie, kazała mu podpłynąć do niej z powrotem pod wąskim pomostem.

- Kieruj się na latarkę - powiedziała.

Świeciła w szczelinę pomiędzy deskami pomostu, oświetlając jeden z podtrzymujących go pali, który niknął niżej w mrocznej wodzie. Był grubszy niż udo Wallingforda. Kilka cali nad powierzchnią wody, tuż pod pomostem, na wysokości poziomej deszczułki, Patrick zauważył jakiś złoty przedmiot. Podpłynął bliżej, żeby zobaczyć go z bliska. Musiał utrzymywać się w wodzie w pozycji stojącej, żeby mu się przyjrzeć.

W palu tkwił potężny hufnal, na którym wisiały dwie złote obrączki. Główka wygiętego w łuk gwoździa była wbita w pal. Patrick zdał sobie sprawę, że również pani Clausen musiała pływać na stojąco, kiedy wbijała gwóźdź, wieszala na nim obrączki, a potem wyginała go uderzeniami młotka. Nie było to łatwe zadanie nawet dla sprawnego, silnego pływaka, dysponującego dwiema zdrowymi rękami.

- Wiszą tam jeszcze? Widzisz je? - zapytała Doris.

- Tak - odpowiedział.

Ułożyła latarkę w taki sposób, żeby światło padało na jezioro. Patrick wypłynął spod pomostu w promień światła, gdzie zobaczył czekającą na niego panią Clausen. Pływała na plecach, więc jej piersi wystawały nad wodę.

Milczała, zatem i Wallingford się nie odzywał. Pomyślał, że jeśli zima skuje jezioro wyjątkowo grubą warstwą lodu, kra może uderzyć w przystań i zerwać obręczki z pała, a zimowy sztorm mógłby nawet przewrócić i zniszczyć całą konstrukcję. Ale bez względu na wszystko, obręczki znajdowały się tam, gdzie było ich miejsce - to właśnie chciała mu pokazać pani Clausen.

Po drugiej stronie jeziora nowy lokator, podglądacz, zapalił światło w domku. Miał włączone radio i słuchał transmisji meczu bejsbolowego, Patrick nie słyszał jednak, jakie drużyny grają.

Popłynęli z powrotem do domku na przystani, kierując się w stronę światła latarki i gazowych lamp, świecących w oknach sypialni. Tym razem Wallingford wysiusiał się przezornie do jeziora, by nie wychodzić znów do lasu w nocy i nie wystawiać się na atak komarów.

Oboje ucałowali dziecko na dobranoc, a Doris zgasila lampę w pokoju chłopca i zaciągnęła zasłony. Potem zgasila też światło w drugiej sypialni i położyła się do łóżka nago. Jej skóra była chłodna po kąpieli, ale pani Clausen przykryła się tylko prześcieradłem. W promieniach księżycyca było widać, że ma jeszcze mokre i zimne włosy, podobnie jak Wallingford. Nie zasłoniła okien, bo chciała obudzić się wcześniej, przed Ottonem juniorem. Zasnęli natychmiast w zalanej księżycowym światłem sypialni. Tej nocy księżyc zaszedł bardzo późno, tuż przed trzecią.

W poniedziałkowy rano słońce wstało kilka minut po piątej, ale pani Clausen od dawna była na nogach. Kiedy Wallingford się obudził, pokój zalewała perłowszara czy może raczej cynowa poświata, a Patrick uświadomił sobie, że jest podniecony - i to w stopniu, przywodzącym na myśl najbardziej erotyczne momenty ze snu błękitnej kapsułki.

Pani Clausen właśnie wkładała mu na członka drugi kondom. Zastosowała przy okazji nowatorską, nawet dla Wallingforda, metodę -

naciągała prezerwatywę zębami. Jak na osobę nie mającą doświadczenia z kondomami, wykazywała niebywałą przemyślność, ale przyznała zaraz, że dowiedziała się o tej technice z książki.

- Czy to była powieść? - chciał wiedzieć Wallingford. (Oczywiście, że tak!).

- Daj mi rękę - poleciła pani Clausen.

Patrick pomyślał naturalnie, że chodzi o prawą dłoń, bo innej przecież nie miał. Ale kiedy wyciągnął prawe ramię, Doris powiedziała:

- Nie. Daj mi czwartą rękę.

Pomyślał, że chyba się przesłyszał. Powiedziała zapewne: „Nie, daj mi drugą rękę” - amputowaną albo nieistniejącą rękę, jak mówili o niej niemal wszyscy.

- Co takiego? - zapytał na wszelki wypadek.

- Daj mi swoją czwartą rękę - powiedziała Doris.

Chwyliła jego kikut i ścisnęła go mocno między udami, a Patrick poczuł, jak jego nieistniejące palce powracają do życia.

- Urodziłeś się, mając dwie ręce - tłumaczyła tymczasem pani Clausen. - Jedną straciłeś. Ręka Ottona była twoją trzecią. Natomiast ta - ciągnęła, zakleszczając uda, żeby podkreślić wagę swoich słów - nigdy mnie nie zapomni. Jest moja. To twoja czwarta ręka.

- Aha.

Być może dlatego czuł, że jego czwarta ręka istnieje realnie.

Kiedy skończyli się kochać, znowu kąpali się nago, ale tym razem osobno - gdy pani Clausen pływała, Patrick przyglądał się jej z okna sypialni małego Ottona, a potem zamienili się rolami. Junior obudził się o wschodzie słońca, podczas wachty pani Clausen.

Później musieli się zająć pakowaniem, a Doris przed zamknięciem domku zrobiła niezbędne porządki. Znalazła nawet czas, żeby przenieść śmieci do pojemnika na drugą stronę jeziora. Wallingford został z chłopcem, bo pani Clausen prowadziła motorówkę znacznie szybciej, kiedy nie płynął z nią synek.

Hydroplan przyleciał, gdy wynieśli już na przystań swoje bagaże i

manełe małego. Pilot i pani Clausen wnosili torby na pokład, a Wallingford podtrzymywał prawą ręką Ottona juniora i machał kikutem do podglądacza na drugiej stronie jeziora. Chwilami oślepiały ich promienie słońca, odbijające się w soczewce lunety.

Kiedy hydroplan wzniósł się w powietrze, pilot postanowił przelecieć nisko nad przystanią podglądacza. Facet udawał, że luneta to wędka teleskopowa i że po prostu łowi z przystani ryby. Głupi dupek wykonywał nawet gesty pozorujące zarzucanie wędki, choć trójnóg od lunety sterczał oskarżycielsko pośrodku przystani niczym podstawa prymitywnej armaty.

W kabinie panował zbyt duży hałas, żeby Wallingford i pani Clausen mogli rozmawiać, nie krzyżąc, ale nieustannie spoglądali na siebie i dziecko, które przekazywali sobie z rąk do rąk. Kiedy hydroplan podchodził do lądowania, Patrick powiedział znowu bezdźwięcznie, poruszając jedynie wargami:

- Kocham cię.

Początkowo nie zareagowała, a w końcu również nie odezwała się głośno, lecz pozwoliła Patrickowi odczytać z ruchu jej ust to samo zdanie, dłuższe niż „kocham cię”, którym odpowiedziała mu już wcześniej. („Ciągłe się zastanawiam nad twoją propozycją”).

Mógł zatem tylko czekać, co przyniesie przyszłość.

Hydroplan wylądował, a Patrick i pani Clausen pojechali dalej samochodem na lotnisko imienia Austina Straubela w Green Bay. Otto junior marudził na samochodowym krzeselku, kiedy Wallingford próbował go zabawiać. Prowadziła Doris. Teraz, chociaż hałas już nie przeszkadzał im w rozmowie, można było sądzić, że nie mają sobie nic do powiedzenia.

Na lotnisku, gdzie Patrick ucałował na pożegnanie najpierw panią Clausen, a potem małego, Doris wsunęła mu coś do prawej kieszeni spodni.

- Nie patrz, co to jest - poprosiła. - Obejrzyś sobie później. Pamiętaj tylko, że skóra mi się zrosła, a otwór się zasklepił. Nie mogłabym dłużej nosić tej ozdoby, nawet gdybym chciała. Poza tym wiem, że jeśli skończę z tobą, nie będzie mi potrzebna. Tobie zresztą też nie. Podaruj ją komuś, proszę cię.

Wallingford nie musiał oglądać przedmiotu, który Doris włożyła mu do kieszeni, by wiedzieć, że jest to talizman płodności, tkwiący kiedyś w jej pępku: przekłuła sobie skórę na brzuchu, by nosić właśnie ten kolczyk. Nie mógł się doczekać, kiedy go wreszcie zobaczy.

Nie czekał długo. Głowił się nad dwuznacznością pożegnalnych słów pani Clausen - „jeśli skończę z tobą” - kiedy ukryty w jego kieszeni klejnocik wzbudził alarm wykrywacza metalu na lotnisku, wyjął więc talizman i zaczął mu się przyglądać. Równie uważnie obejrzała go także pracownica ochrony lotniska - prawdę mówiąc, uprzedzając Patricka.

Kolczyk był zdumiewająco ciężki, biorąc pod uwagę jego niewielkie rozmiary. Szaro-biały, metaliczny drobiazg połyskiwał niczym złoto.

- To platyna - orzekła ochroniarka.

Była mocno zbudowaną, ciemnoskórą Indianką o kruczoczarnych włosach i smutnym wyrazie twarzy. Sposób, w jaki obchodziła się z dawną ozdobą pępka pani Clausen, świadczył o tym, że zna się na biżuterii.

- To chyba droga rzecz - powiedziała, oddając talizman Patrickowi.

- Nie wiem. Nie ja go kupowałem - rzekł Wallingford. - To specjalny kolczyk. Niektóre kobiety noszą takie w pępku.

- Wiem - przytaknęła ochroniarka. - Wykrywacze metalu często reagują na kolczyki w pępkach pasażerek.

- Ach tak - powiedział Patrick. Dopiero teraz zobaczył, co wyobraża szczęśliwy talizman Doris. Była to małeńka dłoń - i to w dodatku lewa.

Wśród ludzi zajmujących się sztuką przekłuwania ciała ten typ kolczyka nazywano „sztangą”, ponieważ był umocowany na pręciku, na który z jednej strony wsuwano kulistą nakładkę, podobnie jak w niektórych kolczykach do uszu, żeby ozdoba nie spadła. Drugi koniec przypominającego smukły nadgarstek pręcika zdobiła natomiast najdelikatniejsza, najbardziej wytworna małeńka dłoń, jaką Patrick w życiu widział. Palec środkowy był skrzyżowany z palcem wskazującym, tworząc powszechnie znany znak, mający przynosić szczęście. Patrick spodziewał

się raczej jakiegoś bardziej konkretnego symbolu płodności - na przykład miniaturowego bóstwa albo plemiennego totemu.

Do stolika, przy którym stał Wallingford i ochroniarka, podszedł kolejny pracownik ochrony, szczupły, drobny Murzyn o idealnie równo przystrzyżonych wąsach.

- Co to takiego? - zagadnął koleżankę.

- Kolczyk do pępka - wyjaśniła.

- W takim razie ja tego nosił nie będę! - zapewnił mężczyzna, uśmiechając się szeroko.

Patrick podał talizman Murzynowi, a wtedy sztormiak zsunął mu się z ramienia i oczom ochroniarki ukazało się jego okaleczone ramię.

- Hej, to facet od lwów! - rzekł ochroniarz, tylko po bieżnie obrzucając wzrokiem maleńką platynową dłoń ze skrzyżowanymi palcami, spoczywającą w jego szerokiej garści.

Ochroniarka instynktownie wyciągnęła rękę, by dotknąć lewego przedramienia Patricka.

- Przykro mi, że pana nie poznałam, panie Wallingford - powiedziała.

Co było powodem smutku widocznego w jej twarzy? Od razu zauważył, że kobietę coś gryzie, ale dopiero teraz zaczął się zastanawiać nad możliwymi przyczynami depresji ochroniarki. Na jej szyi widniała niewielka blizna w kształcie haczyka na ryby - mogła być skutkiem Bóg wie jakiego wypadku, począwszy od nieszczęśliwej zabawy nożyczkami w dzieciństwie po nieudane małżeństwo albo brutalny gwałt.

Jej kolega, drobny, szczupły Murzyn, obejrzał talizman z rozbudzonym na nowo zainteresowaniem.

- No cóż, to jest ręka. Lewa. Aa, rozumiem! - powiedział poruszony. - To twój talizman szczęścia, prawda?

- Właściwie to jest talizman płodności. A w każdym razie tak mi powiedziano.

- Naprawdę? - zapytała Indianka, wyjmując kolczyk z ręki ochroniarza. - Daj, chcę to sobie jeszcze raz obejrzeć. Działa? - zapytała Patricka, który zorientował się, że kobieta pyta całkiem poważnie.

- Raz zadziałał - odparł Wallingford.

Kusiło go, żeby odgadnąć przyczynę jej przygnębienia. Mogła być tuż przed albo tuż po czterdziestce. Na lewej ręce nosiła obrączkę ślubną, a na serdecznym palcu prawej dłoni pierścionek z turkusem. Miała przekłute uszy, w których tkwiły kolczyki z turkusami, niewykluczone zatem, że miała też przekłuty pępek. Może nie mogła zająć w ciąży.

- Chce go pani wziąć? - zapytał Wallingford. - Mnie się już na nic nie przyda.

Murzyn roześmiał się i odszedł, machając ręką.

- Uuuu! To nie najlepszy pomysł! - rzucił do Patricka, potrząsając głową. Może nieszczęsna kobieta miała już kilkanaścioro dzieci, może błagała męża, żeby pozwolił jej podwiązać jajowody, a bydlak nie chciał się zgodzić.

- Cicho bądź! - krzyknęła za odchodzącym ochroniarka.

Murzyn ciągle się śmiał, ale kobiecie nie było wcale do śmiechu.

- Proszę go sobie wziąć, jeżeli się pani podoba - po wtórzył propozycję Wallingford. Ostatecznie Doris prosiła go przecież, żeby podarował komuś kolczyk w prezencie.

Kobieta zacisnęła palce wokół talizmanu.

- Chciałabym, ale nie stać mnie na taki drogi kolczyk.

- Ależ nie! Daję go pani za darmo. Proszę, należy do pani - powiedział Patrick. - Mam nadzieję, że okaże się skuteczny, jeśli tylko pani tego zechce.

Nie wiedział, czy kobieta zatrzyma talizman dla siebie, czy może zamierza oddać go przyjaciółce albo po prostu sprzedać.

W pewnej odległości za bramką wartowniczą Wallingford odwrócił się i rzucił Indiance spojrzenie. Wróciła do swoich zajęć i w oczach innych pasażerów była zwyczajną pracownicą ochrony lotniska, ale kiedy złowiła wzrokiem Patricka, pomachała mu z ciepłym uśmiechem, unosząc w górę mikroskopijną dłoń. Wallingford był już za daleko, żeby zobaczyć skrzyżowane palce, ale klejnocik pomrugiwał do niego w jasnych światłach lotniska, a platyna zaśniła znów jak złoto.

Przypomniał sobie obrączki ślubne Doris i Ottona Clausenów, migoczące

w promieniu światła latarki między mroczną powierzchnią wody a przystanią. Ile razy wdowa, odkąd umocowała obrączki na gwoździu, wpływała pod przystań z latarką w ręku, żeby im się przyjrzeć?

A może nigdy tam nie zaglądała? Czy widziała je tylko, jak odtąd Wallingford, w snach albo marzeniach, w których złoto wygląda zawsze jaśniej niż w rzeczywistości, a odbłask obrączek zdaje się wiecznotrwały?

Jeżeli miał szansę zdobyć panią Clausen, powodzenie jego planów nie zależało od tego, czy Mary Shanahan zaszła w ciążę, czy nie. Znacznie ważniejsze było to, jak jasno świeciły pod przystanią obrączki w snach i wyobraźni Doris.

Kiedy wystartował samolot do Cincinnati, Wallingford szybował - dosłownie - równie wysoko, jak myśli pani Clausen. Musiał po prostu czekać na dalszy obrót spraw.

Był poniedziałek, dwudziesty szósty lipca 1999 roku. Wallingford miał na długo zapamiętać tę datę, bo następnym razem zobaczył panią Clausen dopiero dziewięćdziesiąt osiem dni później.

Rozdział dwunasty

Lambeau Field

Czas goił rany Patricka. Siniec na goleni (nabity o oszkloną ławę w mieszkaniu Mary) najpierw zżółkł, potem przybrał barwę jasnobrązową, aż w końcu pewnego dnia zniknął, jak ślad po oparzeniu (pozostawiony przez gorącą wodę z prysznicą Mary). Zbliżyły się też zadrapania na plecach, zadane paznokciami Angie, dowód burzliwego spotkania Patricka z charakteryzatorką z Queensu, i nawet nabiegły krwią bąbel na lewym barku - pamiątka po miłosnym ukąszeniu - wygoił się zupełnie. Ciemnofioletowe ślady po zębach dziewczyny porastał nowy naskórek, wyglądający niewinnie niczym ramionko małego Ottona - nagie i nieskalane.

Patrick wspominał, jak nacierał gładką skórę synka olejkami do opalania - brakowało mu chłopca, którego miał ochotę dotykać i przytulać. Tęsknił też za panią Clausen, choć dobrze wiedział, że nie powinien nalegać na szybką odpowiedź.

Wiedział także, że minęło jeszcze za mało czasu, by wypytywać Mary Shanahan, czy zaszła w ciążę. Zaraz po powrocie z Green Bay powiedział tylko swojej nowej szefowej, że zamierza skorzystać z jej propozycji re-negocjacji umowy o pracę. Jak zauważyła Mary, stara umowa obowiązywała go jeszcze przez półtora roku. Czy to nie był jej pomysł, by Patrick poprosił o umowę na trzy lata, a może nawet pięć?

Ależ tak. (Powiedziała: „Poproś o umowę na trzy lata... Nie, lepiej na pięć”) Ale Mary jakby nie pamiętała tamtej rozmowy.

- Wydaje mi się, że nawet prosząc o umowę na trzy lata, prosisz o bardzo wiele, Pat - rzekła krótko.

- Rozumiem - odparł Wallingford. - W takim razie zachowam chyba stanowisko prezentera.

- Jesteś pewien, że naprawdę tego chcesz?

Nie sądził, by Mary zachowywała ostrożność tylko dlatego, że w jej gabinecie obecni byli Wharton i Sabina. (Urzędnik o księżycowym obliczu i zgorzkniała Sabina siedzieli w milczeniu, z pozorną obojętnością). Jednocześnie Patrick wiedział, że Mary niepokoi się i denerwuje, ponieważ nie może odgadnąć, jakie są w istocie jego zamiary.

- To zależy - odparł. - Trudno jest mi sobie wyobrazić, że zamieniam fotel prezentera na obsługi reporterskie w terenie, nawet jeżeli mógłbym w nich przebierać. Wiesz, jak to mówią: „Ja już swoje zrobiłem”. Trudno o radość na myśl, że człowiek się cofnie. Złóż mi konkretną ofertę, żebyś wiedział, co dla mnie chowasz w zanadrzu.

Mary spojrzała na niego z promiennym uśmiechem.

- Jak było w Wisconsin?

Wharton, który zrozumiał, że jego mroźna nijakość za chwilę całkowicie upodobni go do mebla, jeśli nie odezwie się w ciągu najbliższych trzydziestu sekund albo przynajmniej nie wykrzywi twarzy, zakaszał cichutko w zwiniętą w trąbkę dłoń. Niewiarygodna pustka jego spojrzenia przywodziła na myśl zamaskowanego kata, bo nawet kaszlowi Whartona brakowało wyrazu.

Sabina, z którą seks Wallingford przypomniał sobie z trudem - choć teraz pamiętał, że skomliła przez sen niczym śpiący pies - odchrząknęła, jak gdyby przypadkiem połknęła włos łonowy.

- W porządku.

Powiedział to tak beznamietnie, jak tylko mógł, ale Mary wysnuła z jego słów słuszny wniosek, że pomiędzy nim a Doris Clausen nie zapadły żadne ostateczne ustalenia. Patrick nie wstrzymywałby się z informacją, że on i pani Clausen zaczynają wspólne życie, tak jak Mary nie czekałaby ani sekundy, by powiadomić Patricka, że jest z nim w ciąży.

Ponadto oboje wiedzieli, że musieli odegrać tę komedię z uwagi na obecność Whartona i Sabiny, którzy również zdawali sobie z tego sprawę. W zaistniałych okolicznościach Patrick Wallingford i Mary Shanahan nie powinni raczej przebywać ze sobą sam na sam.

- Rety, ale w tej redakcji wieje chłodem! - powiedziała Wallingfordowi Angie, kiedy zostali sami w garderobie, a Patrick usiadł na krześle do charakteryzacji.

- Święte słowa! - przyznał. Ucieszył się na widok dobroniusznej dziewczyny, która wypucowała mu mieszkanie - nie było tak czyste od dnia, w którym Patrick się do niego wprowadził.

- To co... nie opowiesz mi, jak było w Wisconsin? - zapytała Angie.

- Jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić - wyznał Wallingford. - Ale ciągle krzyżuję palce na szczęście - dodał niezbyt fortunnie, bo przyszedł mu na myśl talizman płodności pani Clausen.

- Ja też trzymam za ciebie kciuki - oświadczyła Angie. Przestała flirtować z Patrickiem, ale pozostała otwarta i przyjacielska wobec niego.

Chciał kupić nowy budzik i pozbyć się starego, bo ilekroć na niego patrzył, przypominała mu się przyklejona do tarczy guma Angie, podobnie jak niemal śmiertelne drgawki i konwulsje, po których dziewczyna z niebывałym impetem wypluła wreszcie gumę. Nie chciał leżeć w łóżku i rozmyślać o Angie, chyba że Doris Clausen zdecydowałaby się odrzucić jego oświadczenia.

Stanowisko wdowy było na razie niejasne. Wallingford musiał przyznać, że nie bardzo wiedział, jak ma interpretować fotografie, które mu przysłała, choć towarzyszące im zagadkowe uwagi jej pióra wydawały mu się raczej szelmowskie niż romantyczne.

Nie przysłała Patrickowi wszystkich zdjęć z Wisconsin, brakowało bowiem dwóch fotografii, na których uwiecznił jej ciemnofioletowy kostium kąpielowy, wiszący na sznurze w bezpośrednim sąsiedztwie jego kąpielówek. Zrobił wtedy dwa zdjęcia, na wypadek gdyby Doris zechciała zachować jedno dla siebie, a tymczasem zatrzymała je oba.

Pierwsze dwie fotografie nie były zaskakujące: jedna przedstawiała Wallingforda brodzącego na płyciźnie z golutkim Ottonem juniorem na rękę, druga natomiast Doris i małego na tarasie przed głównym domkiem. Wallingford zrobił to zdjęcie pierwszej nocy nad jeziorem, kiedy pomiędzy nim a panią Clausen jeszcze nic nie zaszło. Doris na fotografii zdawała się nawet nie przypuszczać, że może dojść między nimi do zbliżenia, i miała całkowicie zrelaksowany wyraz twarzy, w której nie było widać śladu oczekiwania.

Niespodzianką okazało się natomiast trzecie zdjęcie, bo Wallingford nie wiedział, że Doris je zrobiła: przedstawiało Patricka śpiącego z synem na bujanym fotelu.

Nie wiedział, jak interpretować komentarze pani Clausen, spisane na dołączonej do fotografii kartce, a szczególnie utrzymaną w niewzruszonym tonie informację, że zrobiła dwa zdjęcia małego Ottona, śpiącego w ramionach ojca, i zatrzymała jedno z nich dla siebie. Charakter jej listu, który w pierwszej chwili wydał się Wallingfordowi szelmowski, był również niejednoznaczny. „Na podstawie załączonych zdjęć można przypuszczać, że stanowisz materiał na dobrego ojca”.

Jak to, tylko „materiał”? Patrick poczuł się urażony. Mimo to czytał „Angielskiego pacjenta” w żarliwej nadziei, że znajdzie w książce fragment, którym zdoła ją zainteresować - i który może sama zaznaczyła, a co za tym idzie, który przypadł do gustu im obojgu.

Kiedy telefonował do pani Clausen z podziękowaniem za zdjęcia, miał wrażenie, że znalazł coś takiego.

- Bardzo podobał mi się fragment z „listą blizn”, a zwłaszcza opis, jak dziewczyna dziabnęła go widelcem.

Pamiętasz? Widelec wbija się w łopatkę, a lekarz podejrzewa potem, że to ślady po ukąszeniu lisa.

W słuchawce odpowiedziało mu milczenie.

- Nie podobała ci się ta scena? - zapytał Patrick.

- Wolalabym w tej chwili nie przypominać sobie o śladach po ukąszeniach i innych ranach na twoim ciele - powiedziała pani Clausen.

- Aha.

Wytrwale czytał jednak „Angielskiego pacjenta”. Starał się po prostu śledzić powieść uważnie, ale pozbył się wszelkiej ostrożności, kiedy

natknął się na wypowiedź Almásy'ego o Katharine: „Ale ona była ... bardziej złakniona odmiany, niż przypuszczałem”.

W tym ostatnim zdaniu Patrick znalazł symboliczne potwierdzenie wrażenia, jakie zrobiła na nim pani Clausen w roli kochanki - była bowiem zdumiewająco nienasycona. Zadzwoił do niej natychmiast, zapomniawszy, że w Nowym Jorku jest już bardzo późno, a w Green Bay wcześniej zaledwie o godzinę. Ze względu na rozkład dnia małego, Doris zazwyczaj kładła się spać z kurami.

Jej głos zabrzmiał nieswojo, gdy odebrała telefon, a Patrick natychmiast uderzył w przeprasający ton.

- Przepraszam. Spałeś już.

- Nieważne. O co chodzi?

- Chciałem przypomnieć ci fragment „Angielskiego pacjenta”, ale mogę to zrobić innym razem. Zadzwoń do mnie rano, tak wcześnie, jak tylko ci przyjdzie ochota. Obudź mnie, proszę! - błagał.

- Przeczytaj mi ten fragment.

- To coś, co Almásy mówi o Katharine...

- No, już, czytaj.

„Ale ona była ... bardziej złakniona odmiany, niż przypuszczałem” - przeczytał Patrick. Wyrwane z kontekstu zdanie nagle wydało się Wallingfordowi niemal pornograficzne, ufał jednak, że pani Clausen dobrze pamięta kontekst.

- Tak, znam ten fragment - przytaknęła bez emocji, jak gdyby wciąż w półśnie.

- No... - zaczął Wallingford.

- Uważasz pewnie, że łaknęłam seksu z tobą bardziej, niż myślałam. Mam rację? (Powiedziała to takim tonem, jak gdyby chciała zapytać, czy to już wszystko).

- Tak - przyznała Patrick, a Doris westchnęła.

- Cóż... - zaczęła, ale rozmyśliła się i nie powiedziała tego, co chciała.

- Jak dla mnie jest nieco za późno na telefoniczne pogaduszki - ucięła.

W tej sytuacji Wallingfordowi nie pozostawało nic innego, jak ją przeprosić. Czytał dalej „Angielskiego pacjenta” i nie tracił nadziei.

Pewnego dnia wezwała go do siebie Mary Shanahan - ale, jak szybko zrozumiał, nie po to, aby go poinformować, czy jest lub nie jest w ciąży,

myśli Mary zaprzętało bowiem coś innego. Choć stacji informacyjnej nie bardzo spodobał się pomysł Wallingforda, żeby renegecjować jego umowę o pracę i podpisać nową na trzy lata, nawet w świetle propozycji porzucenia przez niego prezenterkiego fotela i powrotu do terenowej reporterki, to kierownictwo całodobowego kanału o międzynarodowym zasięgu chciało wiedzieć, czy Wallingford jest skłonny przyjmować „okazjonalne” obsługi reporterskie.

- Czy to ma znaczyć, że chcecie, żebym zaczął się powoli wycofywać z pozycji prezentera? - zapytał Patrick.

- Gdybyś się zgodził, moglibyśmy renegecjować umowę o pracę - kontynuowała Mary, nie odpowiadając na pytanie. - Oczywiście zachowałbyś dotychczasową pensję.

Starła się, żeby brak propozycji podwyżki z jej strony zabrzmiał zachęcająco.

- Moim zdaniem, możemy rozmawiać o kontrakcie na dwa lata.

Nie powiedziała tego ze zbyt wielkim zaangażowaniem, a umowa na dwa lata była zaledwie o sześć miesięcy dłuższa od aktualnie obowiązującej.

Ale z niej cwaniara! - pomyślał Wallingford, powiedział jednak zupełnie co innego.

- Jeżeli chcecie mnie zdjąć ze stanowiska prezentera, czy nie powinienem wziąć udziału w dyskusji na ten temat? Może zapytacie, w jakim trybie pragnąłbym ustąpić? Może najlepiej stopniowo... A może nie. W każdym razie chciałbym przynajmniej wiedzieć, jakie są wasze długofalowe plany.

Mary Shanahan uśmiechnęła się tylko. Patrick był zdumiony, jak szybko zadomowiła się w kręgu nowej, nieokreślonej władzy, która niedawno przypadła jej w udziale. Z pewnością nie miała uprawnień, by samodzielnie podejmować tego rodzaju decyzje, i zapewne nie wiedziała jeszcze, jak wiele osób bierze udział w procesach decyzyjnych w stacji, ale oczywiście nie zdradziła się z tym przed Wallingfordem. Jednocześnie była dość inteligentna, aby nie kłamać otwarcie, dlatego nie zamierzała utrzymywać, że żaden długofalowy plan nie istnieje, podobnie jak nie przyznałaby się nigdy, że istnieje, choć nawet ona go nie zna.

- Wiem, że zawsze chciałeś zrobić reportaż w Niemczech - powiedziała, na pozór zupełnie nieoczekiwanie, choć w rzeczywistości nigdy nie mówiła i nie robiła niczego bez namysłu.

Wallingford zabiegał kiedyś, by pozwolono mu zrobić reportaż o zjednoczeniu Niemiec - dziewięć lat po fakcie. Sugerował, by, obok innych szczegółów, zbadać, jak zmienił się język reunifikacji, w większości oficjalnych gazet zwanej obecnie „unifikacją”. Nawet „The New York Times” używał tego terminu, choć przecież Niemcy, niegdyś jeden kraj, zostały podzielone, a następnie zjednoczone ponownie. Czy zatem nie była to reunifikacja? Większość Amerykanów uważała, że tak.

Jakie wpływy polityczne zadecydowały o tej niebagatelnej zmianie językowej? I czy istniała wśród Niemców różnica zdań na temat unifikacji bądź reunifikacji?

Stacja informacyjna nie była jednak zainteresowana tematem.

- Niemcy nikogo u nas nie obchodzą - oświadczył Dick.

Fred był tego samego zdania. (Ludzie w redakcji nowojorskiej mówili zwykle w takich sytuacjach, że czymś „rzygają” - rzygali religią, sztuką, dziećmi i Niemcami).

A teraz Mary, mianowana niedawno na stanowisko redaktora wiadomości, podsuszała wahającemu się osiołkowi marchewkę w postaci Niemiec.

- Co miałbym robić w Niemczech? - zapytał podejrzliwie Wallingford, bo Mary oczywiście nie poruszyłaby kwestii „okazjonalnych” zleceń reporterskich dla Patricka, gdyby stacja nie zaplanowała ich za czasu. Więc o co chodziło?

- Właściwie mamy dwa towary - odparła Mary takim tonem, jak gdyby dwie obsługi były lepsze niż jedna.

Określiła jednak reportaż mianem „towarów”, co stanowiło ostrzeżenie dla Wallingforda - a zjednoczenie Niemiec „towarem” nie było, bo tak poważny temat nie zasługiwał na epitet, którego używano w redakcji w stosunku do trywialnych, dziwacznych materiałów o charakterze rozrywkowym, aż za dobrze znanych Patrickowi. Otto senior, który palnął sobie w łeb w ciężarówce po meczu Super Bowl - to był „towar”. Sam

facet od lwów był „towarem”. Jeżeli stacja miała dla Patricka dwa „towary”, to należało się spodziewać, że materiał będzie sensacyjnie głupi albo trywialny do bólu - co gorsza, niewykluczone, że głupi i trywialny jednocześnie.

- Co to za towary, Mary? - zapytał Patrick. Starał się nie tracić cierpliwości, bo wyczuł, że to nie ona wybrała tematy reportaży. W wahaniu Mary było coś, co kazało mu przypuszczać, że domyśla się, jak Patrick zareaguje na jej propozycje.

- Pewnie wydadzą ci się idiotyczne, ale oba są do zrobienia w Niemczech.

- O co chodzi, Mary?

Stacja Patricka emitowała już kiedyś półtoraminutowy materiał, związany z pierwszym „towarem”, więc widział go cały świat. Otóż pewien czterdziestodwuletni Niemiec stracił życie w wypadku samochodowym pod Kaiserslautern, obserwując sierpniowe zaćmienie słońca. Przypadkowy świadek zauważył auto jadące zygzakiem po jezdni, a po chwili samochód nagle przyśpieszył i uderzył w filar mostu czy jakiś inny słup. Okazało się, że kierowca podróżował w specjalnych okularach, umożliwiających obserwację zaćmienia, które chciał zobaczyć za wszelką cenę. Soczewki były jednak na tyle ciemne, że nie widział przez nie nic, z wyjątkiem częściowo zasłoniętego słońca.

- Ten towar już pokazywaliśmy - przypomniał lapidarnie Wallingford.

- Myślmy o drugiej części. O czymś nieco głębszym - powiedziała Mary.

Jaką „drugą część” mogło mieć takie wariactwo? I jak „głęboko” można było potraktować równie absurdalny wypadek? Czy ten gość miał rodzinę? Jeśli tak, reportaż z pewnością sprawiłby jej ból. Czy Wallingford mógł przeprowadzić dłuższy wywiad ze świadkiem wypadku? Ale w jakim celu? W imię czego?

- A ten drugi towar?

O nim też już słyszał, wiadomość o tym zdarzeniu podała bowiem jedna ze stacji radiowych. Otóż w Schwarzwaldzie znaleziono przy samochodzie martwe ciało pewnego pięćdziesięcioletniego Niemca,

myśliwego z takiego czy innego Badu. Został zastrzelony. Jego strzelba wystawała z okna samochodu, w którym miotał się oszalały pies martwego myśliwego. Policja ustaliła, że zastrzelił go pies. (Oczywiście nieumyślnie, wobec czego nie postawiono zwierzęcia w stan oskarżenia).

Chcieli, żeby Wallingford przeprowadził wywiad z psem?

Sprawy te, nie kwalifikujące się do zwyczajnych wiadomości, skazane były na żywot w postaci rozpowszechnianych w Internecie dowcipów - zresztą i tak brzmiały humorystycznie. Z drugiej strony, stanowiły codzienną pożywkę całodobowej stacji informacyjnej, przedstawiającej fakty dziwaczne i błahe jako zwyczajne, codzienne wydarzenia. Nawet Mary Shanahan była zażenowana, że poruszyła ten temat.

- Miałem ochotę zrobić reportaż o Niemcach - powiedział Patrick.

- Wiem - odparła współczująco Mary, dotykając go w budzące czułość kobiet lewe przedramię.

- Nie było nic innego?

- Mieliśmy jeszcze jedną sprawę w Australii - rzekła z wahaniem. - Ale wiem, że nigdy nie wyrażałeś chęci, żeby pojechać na antypody.

Wiedział, o jakiej sprawie Mary mówi - widocznie powstał więc plan drażnienia i tej bezsensownej śmierci. Tym razem chodziło o trzydziesto-trzyletniego technika komputerowego, który zapił się na śmierć w turnieju pijackim w pewnym barze hotelowym w Sydney. Turniej nosił pożałowania godną nazwę Feralnego Piątku, a zmarły wypił podobno cztery szklaneczki whisky, siedemnaście kieliszków tequili i trzydzieści cztery piwa w ciągu godziny i czterdziestu minut. Zmarł, mając we krwi cztery i dwie dziesiąte promila alkoholu.

- Znam tę historię - powiedział Wallingford.

Mary ponownie dotknęła jego ręki.

- Przykro mi, że nie mam dla ciebie lepszych wiadomości.

Wallingforda jeszcze bardziej pognębiła świadomość, że te głupawe sprawy nie były nawet świeżymi informacjami. Stanowiły raczej nieistotne skrawki tematu obwieszczającego idiotyczność świata, a ich

puenty były już powszechnie znane.

Całodobowy kanał informacyjny o zasięgu międzynarodowym prowadził letni program dla stażystów - zamiast pensji obiecywano studentom możliwość zdobycia „autentycznego doświadczenia” dziennikarskiego. Ale czy nawet za darmo stażyści nie mogliby robić czegoś więcej niż odnotowywać głupie albo komiczne wypadki śmiertelne? Gdzieś na południu Stanów zginął wskutek obrażeń odniesionych po upadku z trzeciego piętra młody żołnierz, uczestnik konkursu płucia na odległość. (Historia autentyczna). W północnej Anglii żona miejscowego farmera została zaatakowana przez stado szarżujących owiec i poniosła śmierć, spadając z urwistej skały. (Ta historia także była prawdziwa).

Stacja informacyjna od dawna folgowała kolegialnemu poczuciu humoru, współgrającemu z kolegialnym wyobrażeniem o śmierci. Krótko mówiąc, rezygnowała z kontekstu. Życie to wielki żart, a śmierć jest ostatnim gagiem istnienia. Wallingford podejrzewał, że na kolejnych posiedzeniach zarządu Wharton albo Sabina powtarzają:

- Niech się tym zajmie facet od lwów.

Pomyślne wiadomości, jakie chciał usłyszeć, sprowadzały się do informacji, że Mary nie jest w ciąży. Zrozumiał jednak, że na tę wiadomość musi jeszcze poczekać.

Nie lubił czekać, co w tym wypadku przyniosło nie najgorsze rezultaty, postanowił bowiem poszukać sobie innego dziennikarskiego zajęcia. Tak zwany kanał edukacyjny (czyli PBS) był rzekomo nudny, ale - szczególnie jeśli chodzi o wiadomości - można sobie wyobrazić rzeczy znacznie gorsze niż nuda.

Filia PBS na Green Bay mieściła się w Madison, w Wisconsin, a zatem w mieście uniwersyteckim. Wallingford napisał list do Publicznej Telewizji Wisconsin, w którym wyłuszczył swój pomysł - chciał stworzyć program polegający na analizie wiadomości i zaproponował, że zajmie się badaniem braku kontekstu w programach informacyjnych, zwłaszcza telewizyjnych. Twierdził, że wykaże, iż za oficjalnymi wiadomościami

kryją się często inne, bardziej interesujące informacje, oraz że wiadomości emitowanych na antenie zwykle nie warto w ogóle emitować.

„Rozwinięcie złożonego, skomplikowanego materiału wymaga czasu, podczas gdy w telewizji sprawdzają się materiały, którym nie trzeba poświęcać go zbyt wiele. Katastrofy nie tylko posiadają wymiar sensacyjny, lecz następują nieoczekiwanie, a zaskoczenie sprawdza się w mediach najlepiej, zwłaszcza w telewizji. Pisząc «najlepiej», mam na myśli marketingowy punkt widzenia, który nie zawsze przynosi pożytek programom informacyjnym” - pisał Wallingford.

Wysłał swój życiorys i podobną propozycję prowadzenia programu analizującego wiadomości w mediach do publicznych stacji telewizyjnych w Milwaukee i St. Paul, jak i do dwóch publicznych stacji telewizyjnych w Chicago. Dlaczego jednak ograniczył się do Środkowego Zachodu, skoro pani Clausen powiedziała, że jeśli zdecyduje się na życie u jego boku, będzie jej wszystko jedno, gdzie zamieszka?

Nakleił fotografię Doris i małego Ottona na lustrze w swojej garderobie. Zauważywszy zdjęcia, Mary Shanahan przyjrzała się uważnie dziecku i matce, choć matce znacznie uważniej, po czym orzekła złośliwie:

- Ma ładne wąsy.

To prawda, że górną wargę Doris Clausen porastał cieniutki, delikatny meszek, ale Wallingforda zdęło oburzenie, kiedy Mary nazwała ten najdelikatniejszy z puchów wąsem! Znając swoją własną, wypaczoną wrażliwość, i nie mając złudzeń co do niektórych nowojorczyków, Patrick uznał, że Doris nie powinna wyprowadzać się daleko z Wisconsin. Było w niej coś charakterystycznego dla mieszkańców Środkowego Zachodu, co uwielbiał nade wszystko.

Gdyby przeniosła się do Nowego Jorku, któraś z pracownic redakcji na pewno namówiłaby ją, by wydepilowała woskiem górną wargę, i w ten sposób Doris postradałaby urok, za którym przepadał. Dlatego napisał tylko do filii stacji PBS, umiejscowionych na Środkowym Zachodzie, chciał bowiem pozostać jak najbliżej Green Bay.

W poszukiwaniu nowego miejsca pracy nie ograniczał się do niekomercyjnych nadawców telewizyjnych. Słuchał wyłącznie publicznego

radia, a jego ulubioną stacją była NPR, dysponująca rozgłośniami w całym kraju. Dwie nadawały z Green Bay i dwie z Madison, wysłał więc ofertę do wszystkich czterech, nie licząc filii w Milwaukee, Chicago i St. Paul. (Stacja nadawała nawet z Appleton w Wisconsin, rodzinnego miasta pani Clausen, ale Patrick postanowił nie starać się tam o pracę).

Mijał już sierpień, kiedy wpadł na kolejny pomysł: jeśli nie wszystkie dziesięć największych uniwersytetów w kraju, to z pewnością większość z nich prowadzi magisterskie studia dziennikarskie. Najgłośniejszą placówką edukacyjną w tym zakresie była Medill School of Journalism, działająca na Northwestern University. Patrick wysłał więc propozycję prowadzenia u nich zajęć z analizy programów informacyjnych, składając jednocześnie identyczną ofertę na Uniwersytecie Wisconsin w Madison, Uniwersytecie Minnesota w Minneapolis i Uniwersytecie Iowa w Iowa City.

Rozwodził się z entuzjazmem o skrywanym kontekście wiadomości. Skonstruował treściwą filipikę przeciwko emitowanym w mediach informacjom, trywializującym informacje istotne. Był to temat, który zamierzał poruszać na zajęciach, a którego sam był najlepszym przykładem. Kto mógłby lepiej od faceta od lwów naświetlić problem wysuwania na pierwszy plan banalnych, żalonych sensacji, ukrywających kontekst, jakim jest śmiertelna choroba świata?

Najlepiej odejść z pracy, nie czekając na wymówienie. Czy nie byłoby dobrze, gdyby dostał inną robotę i dopiero potem porzucił dotychczasowe zajęcie w całodobowej stacji informacyjnej? Zapomniał wprawdzie, że jeśli to oni go zwolnią, będą musieli renegecować jego umowę, ale tak czy owak Mary Shanahan zdumiała się, kiedy Patrick wsunął głowę - tylko głowę - do jej gabinetu i oznajmił wesoło:

- W porządku. Zgadzam się.
- Na co?
- Umowa na dwa lata, pensja bez zmian, okazjonalne reportaże z terenu, oczywiście pod warunkiem, że zaakceptuję temat. Zgadzam się.

- Naprawdę?
- Miłego dnia, Mary - powiedział Patrick.

Ciekawe, czy znajdą temat reportażu, który zaakceptuje! Nie tylko zamierzał wymusić na nich, żeby go zwolnili, ale spodziewał się, że kiedy te chujki wreszcie go odstrzelą, będzie na niego czekała nowa posada. (I pomyśleć tylko, że dawniej nie miał zdolności do snucia długofalowych planów).

Nie czekali długo z kolejną reportażową propozycją dla Wallingforda. Łatwo sobie wyobrazić, co myśleli: „Czy facet od lwów mógłby się oprzeć takiemu tematowi?”. Zaproponowali mianowicie, żeby pojechał do Jerozolimy. Trudno o bardziej odpowiednie miejsce dla katastrofiary! Dziennikarze uwielbiali Jerozolimę bezgranicznie, dziwaczne wypadki były tam bowiem na porządku dziennym.

Niedawno w Izraelu doszło do wybuchu dwóch samochodów-pułapek. Około siedemnastej trzydzieści czasu izraelskiego, w niedzielę, piątego września, w dwóch różnych miastach eksplodowały ładunki wybuchowe. Terrorysty transportujący bomby do miejsca przeznaczenia zginęli, a ładunki eksplodowały dlatego, że ich mechanizmy zegarowe zostały nastawione na czas letni, władze izraelskie natomiast trzy tygodnie wcześniej przedterminowo wprowadziły czas zimowy. Terrorysty, którzy zapewne zmontowali bomby na terenach kontrolowanych przez Palestyńczyków, padli ofiarą ogólnopalestyńskiej niechęci przyjęcia, jak powiadali, „czasu syjonistycznego”. Kierowcy samochodów-pułapek przestawili zegarki ręczne na czas izraelski, zapomnieli jednak o skorygowaniu mechanizmów zegarowych w bombach.

Całodobowa stacja informacyjna pękała z uciechy, ponieważ nadęci butną pychą szaleńcy wylecieli w powietrze wskutek własnej głupiej omyłki, ale Wallingford wcale nie uważał tego wypadku za śmieszny. Obląkańcy, być może, zasłużyli sobie na śmierć, terroryzm w Izraelu nie był jednak odpowiednim tematem do żartów, a umieszczenie w wiadomościach informacji o tak kretyńskim incydencie trywializowało wagę konfliktów wstrząsających tym krajem. Wiadomo było, że w kolejnych

zamachach zginie mnóstwo ludzi, co wcale nie będzie zabawne. Ponadto i w tym wypadku brakowało kontekstu całej historii, nie podano bowiem przyczyny, dla której Izraelczycy przeszli przedwcześnie z czasu letniego na zimowy.

Otóż zmiana ta została wprowadzona, aby uwzględnić okres modlitw pokutnych. *Selihoth* (dosłownie „błagania”, „przeprosiny”) to poetyckie modlitwy błagalne, będące niejako kontynuacją psalmów. (Ich podstawowym wątkiem są cierpienia Izraela na wygnaniu w cudzoziemskiej niewoli). Modlitwy te stały się częścią liturgii żydowskiej, odmawia się je zaś z okazji niektórych świąt oraz w dni poprzedzające żydowski Nowy Rok - wyrażają one uczucia wiernych, którzy odbyli pokutę i proszą Boga o łaskę.

Choć w Izraelu zmieniono czas właśnie ze względu na owe pokutne modły, wrogowie Żydów uknuli spisek, by zgładzić pokutników. I to był właśnie kontekst, czyniący wybuch obu samochodów czymś więcej niż tylko komedią omyłek, która nie miała w istocie nic wspólnego z komedią. Dla mieszkańców Jerozolimy była to codzienność przywołująca dramatyzm minionych i przyszlých zamachów, ale Mary i kierownictwo stacji informacyjnej traktowali doniesienie o eksplozji wyłącznie jak opowieść o terrorystach, których spotkało to, na co zasłużyli.

- Chciałabys pewnie, żebym odrzucił ten temat. O to ci chodzi, prawda? - zapytał Patrick. - Bo kiedy nie przyjmę kilku kolejnych zleceń, będziecie mnie mogli usunąć całkowicie bezkarnie.

- Uważamy, że to ciekawa sprawa. W twoim stylu - odpowiedziała krótko Mary.

Palili za sobą mosty tak szybko, że kierownictwo stacji nie nadążało z budowaniem nowych - było to podniecające zajęcie, które tymczasem nie przynosiło jednak definitywnych rozstrzygnięć. A w wolnych chwilach, kiedy nie starał się aktywnie o utratę pracy, czytał „Angielskiego pacjenta” i marzył o Doris Clausen.

Pani Clausen, podobnie jak on, niewątpliwie poczułaby się oczarowana pytaniem, które Almásy zadaje Madoxowi, indagując go o „zagłębienie u nasady kobiecej szyi”. „Co to jest, czy ma jakąś anatomiczną

nazwę?” pyta Almásy. Madox w odpowiedzi mruzczy: „Weź się w garść”. Potem jednak, wskazując palcem punkt w okolicy własnego jabłka Adama, informuje Almásy'ego, że prawidłowa nazwa tej części anatomii brzmi „węzeł naczyniowy”.

Wallingford zatelefonował do Doris z głębokim przekonaniem, że jej podobał się ten epizod tak samo, jak jemu, ale pani Clausen dała wyraz swoim wątpliwościom.

- W filmie pojawia się jakaś inna nazwa - powiedziała.

- Naprawdę?

Ile czasu minęło, odkąd widział „Angielskiego pacjenta”? Wypożyczył kasetę i nie zwlekając, zaczął oglądać nagranie, ale kiedy doszedł do sceny, o której rozmawiali, nie dosłyszał wyraźnie nazwy tej części kobiecej szyi. Pani Clausen miała jednak słuszość - nazwa nie brzmiała tak, jak podano w książce.

Przewinął kasetę i obejrzał scenę po raz drugi. Almásy i Madox żegnają się. (Madox jedzie do domu, żeby popełnić samobójstwo). Almásy mówi: „Boga nie ma”. I dodaje: „Mam jednak nadzieję, że ktoś będzie cię miał w swojej opiece”.

Madox jakby coś sobie przypomina, po czym wskazuje palcem własne gardło. „Jeżeli ciągle jeszcze się nad tym zastanawiasz, to miejsce nazywa się «karb nadmostkowy»”. Tym razem Patrick usłyszał nazwę wyraźnie. Czyżby ta część kobiecej szyi nosiła dwie różne nazwy?

Kiedy obejrzał film po raz drugi i skończył lekturę książki, postanowił powiedzieć pani Clausen, jak bardzo podoba mu się fragment, w którym Katharine mówi Almásy'emu: „Chcę, żebyś mnie porwał”.

- To jest w książce? - spytała pani Clausen.

- I w książce, i w filmie - odparł Patrick.

- W filmie nie ma tej sceny - powiedziała Doris. (Patrick dopiero co oglądał film i był absolutnie pewien, że pada w nim to zdanie!).

- Wydawało ci się, że słyszałeś ten dialog, bo spodobał ci się w książce.

- A tobie nie?

- Takie teksty podobają się przede wszystkim facetom, a moim zdaniem, ona nic takiego by nie powiedziała.

Czy Patrick tak szczerze i głęboko uwierzył Katharine, mówiącej „Chcę, żebyś mnie porwał”, by w swojej zwodniczej pamięci umieścić te słowa także w dialogu filmowym? Czy może raczej przytoczone zdanie wydawało się Doris tak nieprawdopodobne, że wycięła je niejako z filmu? A zresztą co za różnica, czy ten dialog znalazł się w filmie, czy nie? Ważne, że Patrickowi się podobał, a pani Clausen nie.

Znów poczuł się jak idiota. Próbował zagarnąć dla siebie książkę, którą Doris Clausen uwielbiała, i film, który, przynajmniej w jej wypadku, wiązał się z bolesnymi wspomnieniami. Ale książki, a czasami filmy, mają bardziej osobisty format - można cenić dane dzieło, nie sposób jednak zadowolająco wyjaśnić, dlaczego je kochamy.

Dobre powieści i filmy nie przypominają wiadomości - czy raczej tego, co uchodzi za wiadomości w telewizji - są bowiem czymś więcej niż tylko „towarami”. Składa się na nie cała gama naszych własnych nastrojów, towarzyszących lekturze bądź odbiorowi filmu. Dlatego, jak przekonał się Patrick, nie można przyswoić sobie cudzego uwielbienia dla filmowego czy literackiego utworu przez proste naśladownictwo.

Doris wyczuła chyba rozgoryczenie Patricka i zlitowała się nad nim. Przesłała mu dwie kolejne fotografie, dokumentujące ich wspólny pobyt w domku nad jeziorem. Wallingford od dawna miał nadzieję, że dostanie zdjęcie przedstawiające ich stroje kąpielowe, suszące się obok siebie na sznurze do bielizny, toteż był wniebowzięty, kiedy je wreszcie otrzymał, i nie mieszkając przykleił je taśmą do lustra w garderobie. (Niech Mary Shanahan spróbuje wygłosić na ich temat jakąś zgryźliwą uwagę! Niech tylko spróbuje).

Zaszokowało go jednak drugie zdjęcie. Spał jeszcze, kiedy pani Clausen je zrobiła. Fotografia była w pewnym sensie autoportretem Doris, a chociaż naciskając migawkę, pani Clausen przekrzywiła aparat, nie było wątpliwości, co przedstawia odbitka. Doris zrywała zębami opakowanie z drugiego kondomu, uśmiechając się do obiektywu, jak gdyby Wallingford krył się za aparatem i jakby wiedział już, w jaki sposób ona włoży mu kondom na członka.

Tego zdjęcia nie przykleił do lustra w garderobie -trzymał je w domu, na stoliku koło telefonu, by móc mu się przyglądać, kiedy telefonowała do niego pani Clausen albo kiedy on telefonował do niej.

Pewnej nocy, o późnej godzinie, kiedy leżał już w łóżku, nieoczekiwanie zadzwonił telefon, zapalił więc lampkę nocną, żeby patrzeć na zdjęcie, rozmawiając z Doris. Ale po drugiej stronie odezwał się ktoś inny.

- Hej, panie Jednoręki... Panie Bezchujowy... - To był Vito, brat Angie. - Mam nadzieję, że ci w czymś przeszkodziłem... (Vito często dzwonił, choć nigdy nie miał nic do powiedzenia).

Patrick odłożył słuchawkę i ogarnął go smutek, nie przechodzący jednak całkiem w tęsknotę. Odkąd wrócił z Wisconsin, przesiadując w domu, tęsknił nie tylko za Doris Clausen, ale i za tamtą szaloną nocą, spędzoną z Angie i jej gumą do żucia. W takich chwilach tęsknił nawet za Mary Shanahan - za dawną Mary, z czasów, kiedy nie posiadała jeszcze konkretnego nazwiska ani kłopotliwej władzy, jaką sprawowała obecnie nad Patrickiem.

Zgasił światło, a odpływając w sen, usiłował myśleć o Mary z wyrozumiałością. Wróciła mu w pamięci dawna litania jej najbardziej pozytywnych cech: skóra bez skazy, naturalny kolor blond włosów, praktyczne, ale seksowne ciuchy, idealnie zgrabne, drobne zęby i - jak przypuszczał Wallingford, ponieważ Mary nie wiedziała jeszcze, czy jest w ciąży - upodobanie do leków, które można kupić bez recepty. Czasami zachowywała się w stosunku do niego jak suka, ale nie można oceniać ludzi wyłącznie powierzchownie. Ostatecznie Patrick odrzucił przecież jej zaloty, co w niejednej kobiecie wzbudziłoby o wiele boleśniej zapiekłą niechęć niż w Mary.

O wilku mowa! Zadzwonił telefon i okazało się, że to Mary Shanahan. Płakała w słuchawkę, ponieważ dostała okresu. Miała nadzieję, że jest w ciąży, miesiączka spóźniła się bowiem aż o sześć tygodni, ale tak czy owak, Mary zaczęła mimo wszystko menstruować.

- Przykro mi, Mary - powiedział Wallingford, bo rzeczywiście było mu jej żal. Osobiście odczuwał niezasłużoną radość, znów bowiem udało mu się wykręcić sianem.

- Trudno sobie wyobrazić, że ktoś taki jak ty może strzelać ślepymi nabojami - rzuciła szlochając Mary. - Dam ci jednak drugą szansę. Spróbujemy jeszcze raz, kiedy tylko zaczną jajczkować.

- Przykro mi, Mary - powtórzył Patrick. - Nie jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną. Ślepe naboje czy nie, dałaś mi już szansę, a ja z niej skorzystałem.

- Co takiego?

- Słyszysz chyba, co mówię. Nie zgadzam się. Nie będziemy się więcej kochać, bez względu na wszystko.

Nim odłożyła słuchawkę, obrzuciła go licznymi i barwnymi wyzwiskami. Ale to, że sprawił Mary zawód, nie przyprawiło Patricka o bezsenność - przeciwnie, nie spał tak dobrze od dnia, kiedy zasnął w ramionach pani Clausen i obudził się, czując na członku jej zęby, gdy nakładała mu prezerwatywę.

Spał jeszcze smacznie, kiedy zadzwoniła pani Clausen. Czas w Green Bay może i biegł o godzinę wolniej, ale mały Otto regularnie budził matkę kilka godzin wcześniej, niż zazwyczaj wstawał Wallingford.

- Mary nie jest w ciąży. Dostała właśnie okresu - oznajmił Patrick.

- Poprosi cię, żebyś spróbował jeszcze raz. Ja też bym tak zrobiła na jej miejscu - powiedziała pani Clausen.

- Już poprosiła. Nie zgodziłem się.

- To dobrze - orzekła Doris.

- Patrę na twoje zdjęcie.

- Chyba wiem, na które.

Mały Otto gaworzył gdzieś w bezpośredniej bliskości telefonu. Wallingford milczał przez chwilę i pomyślał, że tych dwoje zupełnie mu wystarczy. Potem zapytał:

- Jak jesteś ubrana? Czy może jesteś naga?

- Jeżeli chciałbyś pójść ze mną na mecz futbolowy, to mam dwa bilety - padła odpowiedź.

- Dobrze. Pójdę z tobą na mecz.

- To tak zwany Poniedziałkowy Wieczór Futbolowy. Seahawks i Packers zagrają na Lambeau Field - mówiła z szacunkiem, który na Wallingfordzie nie robił wrażenia. - Mike Holmgren wraca na stare śmieci. Nie chciałabym opuścić tego spotkania.

- Ja też nie! - odparł Patrick. Nie wiedział, kim jest Mike Holmgren, co oznaczało, że będzie musiał przeprowadzić w tej sprawie szybkie dochodzenie.

- Mecz odbędzie się pierwszego listopada. Na pewno będziesz miał czas?

- Na pewno! - obiecał. Chciał, by jego głos brzmiał radośnie, choć, prawdę mówiąc, krajało mu się serce na myśl, że musi czekać na spotkanie z Doris tak długo. Była dopiero połowa września.

- A może odwiedzisz mnie wcześniej w Nowym Jorku? - zapytał.

- Nie. Chcę się z tobą spotkać na meczu. Nie mogę wyjaśnić dlaczego.

- Nie musisz niczego wyjaśniać! - odparł pośpiesznie Patrick.

- Cieszę się, że podoba ci się tamto zdjęcie - zmieniła temat pani Clausen.

- Strasznie mi się podoba! To, co mi wtedy zrobiłaś, było niesamowite.

- W porządku. Niedługo się zobaczymy - zakończyła rozmowę pani Clausen, nie mówiąc nawet „do widzenia”.

Następnego ranka na posiedzeniu komisji scenariuszowej Wallingford próbował nie myśleć, że Mary Shanahan zachowuje się jak kobieta przechodząca bolesną menstruację, a nawet jeszcze gorzej, choć chyba tylko on odniósł takie wrażenie. Zaczęła spotkanie od zrugania jednej z pracownic redakcji, która nazywała się Eleanor i z niewiadomych powodów przespała się z jednym z redakcyjnych stażystów - a teraz, kiedy chłopak wrócił na uczelnię, Mary oskarżyła ją o wykorzystywanie seksualne młodego człowieka.

Tylko Wallingford wiedział, że zanim głupio zgodził się mieć z nią dziecko, Mary zaproponowała ojcostwo stażyście. Był przystojny i mądrzejszy od Wallingforda, odrzucił bowiem propozycję Mary. Eleanor spodobała się Patrickowi dlatego, że ostatecznie przespała się z chłopakiem, którego też darzył sympatią, być może z tej przyczyny, że jego letni staż nie był całkowicie pozbawiony elementów „autentycznego doświadczenia” w pracy dziennikarskiej. (Eleanor należała do najstarszych mężatek w redakcji).

I tylko Wallingford wiedział, że Mary w rzeczywistości guzik obchodzi to, jakoby Eleanor przespała się z chłopakiem - była po prostu poirytowana, ponieważ dostała miesiączki.

Myśl, że mógłby przyjąć właściwie dowolny reportaż w terenie, przypadła nagle Patrickowi do gustu. Przynajmniej wydostałby się dzięki temu z redakcji i Nowego Jorku. Oświadczył, że następnym razem przyjmie każdą propozycję pracy w terenie, o ile Mary nie będzie chciała wyjechać razem z nim. (Zaoferowała się, że dotrzyma mu towarzystwa w podróży, kiedy tylko zacznie jajczkować).

W najbliższej przyszłości, jak oświadczył Patrick, nie będzie mógł pełnić obowiązków reporterskich ani prezenterkich tylko jednego dnia, pierwszego listopada 1999 roku wyjeżdża bowiem na mecz futbolowy do Green Bay w Wisconsin, choćby się waliło i paliło.

Ktoś (zapewne Mary) dał cynk redakcji sportowej stacji ABC, że Patrick Wallingford przybędzie na mecz, bo stacja natychmiast zwróciła się do faceta od lwów z prośbą, by odwiedził ich stanowisko komentatorskie w czasie transmisji. („Dlaczego nie miałbyś się zgodzić na dwuminutowe wystąpienie przed wielomilionową widownią?” - zapytała Mary). Może katastrofiara mogłaby skomentować nawet jakieś zagranie. Ktoś z ABC zapytał go przy okazji, czy wie, że kasetą z nagraniem lwa pożerającego jego dłoń sprzedała się niemal tak dobrze, jak film prezentujący najciekawsze fragmenty meczów ostatniego sezonu futbolowego.

Tak, Wallingford słyszał o tej sprawie, odrzucił jednak elegancko propozycję wizyty na stanowisku komentatorskim ABC. Powiedział, że wybiera się na mecz z wyjątkowo „bliską mu osobą”, nie wymieniając jednak nazwiska Doris. Skutek mógł być taki, że podczas meczu kamera będzie koncentrować się na nim, ale co z tego? Nie miał nic przeciwko temu, żeby pomachać widzom raz czy dwa i pokazać im to, co chcieli zobaczyć, czyli amputowaną, albo, jak ją nazwała pani Clausen, czwartą rękę. A chcieli ją zobaczyć nawet starzy, doświadczeni dziennikarze.

Być może dlatego na swoją ofertę pracy Wallingford uzyskał bardziej

entuzjastyczne odpowiedzi z telewizji publicznej niż z radia czy dziennikarskich szkół Wielkiej Dziesiątki uniwersyteckiej. Wszystkie filie PBS wykazały zainteresowanie jego osobą. Ogólnie biorąc, to kolektywne uznanie podniosło Patricka na duchu. Być może dostanie jednak interesującą pracę, do której będzie mógł spokojnie odejść.

Oczywiście nie pisał Mary ani słówka na ten temat, próbując tymczasem przewidzieć, jakie reportaże zaproponuje mu całodobowy kanał informacyjny. Nie zdziwiłby się, gdyby to była wojna, choć z drugiej strony Mary popadła tymczasem w tak podły nastrój, że równie dobrze mógłby to być wybuch epidemii wywołanej przez pałeczki coli.

Wallingford próbował dowiedzieć się za wszelką cenę, dlaczego pani Clausen postanowiła czekać na spotkanie z nim aż do meczu w Green Bay. Zatelefonował do niej trzydziestego października, w sobotę, a choć mieli się zobaczyć już w poniedziałek, Doris temat tajemniczej rangi nadchodzącego meczu traktowała wciąż wymijająco.

- Po prostu denerwuję się, kiedy Packersi są faworytem zawodów - ucieła krótko.

W sobotę wieczorem Patrick położył się spać stosunkowo wcześniej. Około północy zatelefonował Vito, ale Wallingford szybko zasnął znowu. Kiedy w niedzielny, ciemny jeszcze poranek telefon znów się odezwał, Patrick pomyślał, że to ponownie brat Angie, i niewiele brakowało, a w ogóle nie podniósłby słuchawki. Była to jednak zaaferowana Mary Shanahan. Zachowywała się bardzo oficjalnie.

- Dam ci wybór - powiedziała bez żadnych kurtuazyjnych wstępów, nie wymieniając nawet jego imienia. - Możesz zrobić reportaż na lotnisku Kennedy'ego albo wsadzimy cię w samolot do Bostonu, skąd polecisz śmigłowcem do bazy lotniczej Otis.

- Gdzie to jest? - zapytał Wallingford.

- Na Cape Cod. Nie wiesz, co się stało?

- Spałem.

- Kurwa mać, no to włącz wiadomości! Zadzwoń za pięć minut. A wyjazd do Wisconsin wybij sobie z głowy.

- Pojadę do Wisconsin bez względu na wszystko - odpowiedział, ale Mary już odłożyła słuchawkę.

Rozmowa była wprawdzie krótka, a wiadomość, jaką przekazała mu panna Shanahan, zabrzmiała groźnie, Patrick nie potrafił jednak wyrzucić z pamięci nieumiarkowane kwiecistych wzorów na kapie łóżka Mary, jej gustu małej dziewczynki ani emitowanych przez kamionkową lampę różowych fal i ich pierwotniakowych ruchów na suficie w sypialni - cieni pędzących przed siebie niczym plemniki.

Włączył telewizję. Odrzutowiec egipskich linii lotniczych z dwustu siedemnastoma pasażerami na pokładzie wystartował wieczorem z lotniska Kennedy'ego, kierując się do Kairu. Za ledwie trzydzieści trzy minuty po starcie samolot zniknął z ekranów radarowych. Lecząc na wysokości trzydziestu trzech tysięcy stóp, przy dobrej pogodzie, maszyna nieoczekiwanie runęła do Atlantyku około sześćdziesięciu mil na południowy wschód od wyspy Nantucket. Piloci nie wzywali pomocy, a analiza radarowa wykazała, że samolot spadał z szybkością dwudziestu trzech tysięcy stóp na minutę - „jak kamień”, wedle określenia jednego z ekspertów lotniczych. Temperatura wody wynosiła pięćdziesiąt dziewięć stopni Fahrenheita, a głębokość oceanu w miejscu tragedii ponad dwieście pięćdziesiąt stóp. Katastrofy najprawdopodobniej nikt nie przeżył.

Był to wypadek otwarty na medialne spekulacje, toteż wszystkie odnośne reportaże były spekulatywne. Przeważały materiały w centrum zainteresowania stawiające człowieka - na przykład proszącego o zachowanie anonimowości biznesmena, który spóźnił się na lotnisko i nie zdążył wykupić biletu w kasie. Gdy okazało się, że lista pasażerów została zamknięta, zrobił awanturę obsłudze lotniska, a potem wrócił do domu i zbudził się rano - żywy. Tego typu historie powtarzano potem całymi tygodniami.

Jeden z lotniskowych hoteli, „Ramada Plaza”, przekształcono w centrum informacji i poradnictwa dla pogrążonych w rozpacz rodziny ofiar. Informacji nie było zbyt wiele, Wallingford pojechał jednak do hotelu. Wybrał lotnisko Kennedy'ego zamiast bazy lotniczej Otis na Cape Cod, wiedząc, że dziennikarze będą mieli ograniczony dostęp do załóg Straży Przybrzeżnej, przeszukujących miejsce katastrofy. Zresztą do niedzielnego ranka znaleziono tylko nieliczne szczątki kadłuba i zwłoki jednej

ofiary. Ratownicy nie natrafili na wzburzone morzu na ani jedną spaloną część samolotu, co wskazywało, że na pokładzie nie doszło do eksplozji.

Najpierw Patrick przeprowadził wywiad z rodziną młodej Egipcjanki, która zemdląła przed wejściem do hotelu. Padła na ziemię jak długa przed kamerami otaczającymi hotel, a do recepcji zanieśli ją policjanci. Krewni dziewczyny powiedzieli Wallingfordowi, że pośród pasażerów feralnej maszyny znajdował się jej brat.

Oczywiście w hotelu pojawił się też burmistrz Nowego Jorku, który starał się, jak mógł, podnieść na duchu zrozpaczonych ludzi. Wallingford mógł zawsze liczyć na komentarz z jego strony. Giuliani darzył go chyba większą sympatią niż innych reporterów, być może dlatego, że traktował Patricka niczym funkcjonariusza policji, który odniósł rany na służbie, choć bardziej prawdopodobne było to, że Wallingford po prostu zapadł mu w pamięć jako reporter bez ręki.

- Jeśli Nowy Jork może pomóc w czymś rodzinom ofiar, dopilnujemy, aby tak się stało - powiedział Giuliani prasie. Sprawiał wrażenie zmęczonego, kiedy odwrócił się do Wallingforda i stwierdził:

- Czasami pomoc zjawia się nieco szybciej, gdy prosi o nią burmistrz.

Jakiś Egipcjanin zamienił hotelową recepcję w zaimprovizowany meczet.

- Należymy do Boga i do Boga wracamy - modlił się nieustannie po arabsku, Wallingford musiał więc znaleźć kogoś, kto przetłumaczyłby mu treść modlitwy.

Na posiedzeniu komisji scenariuszowej przed niedzielną emisją bez ceregieli poinformowano Patricka o planach stacji w stosunku do jego osoby.

- Poprowadzisz program jutro wieczorem albo wsadzimy cię na kuter Straży Przybrzeżnej - oświadczyła Mary Shanahan.

- Jutrzejszy dzień i wieczór zamierzam spędzić w Green Bay, Mary.

- Jutro kończą się poszukiwania ofiar. Chcemy, żebyś był na morzu albo tutaj, z nami, w Nowym Jorku. Nie w Green Bay.

- Wyjeżdżam na mecz - odpowiedział Patrick. Popatrzył na Whartona, który odwrócił wzrok, a potem na Sabinę, przyglądającą mu się z udawaną bezstronnością. Mary nie zaszczylił nawet przelotnym spojrzeniem.

- W takim razie zostaniesz zwolniony z pracy.

- Trudno.

Nie musiał się nawet nad tym zastanawiać. Bez względu na to, czy dostanie pracę w PBS albo NPR, zarobił sporo pieniędzy, a poza tym nie mogli go teraz zwolnić, nie dając mu żadnej odprawy. Właściwie nie musiał pracować, przynajmniej przez najbliższe dwa lata.

Spojrzał najpierw na Mary, oczekując od niej jakiejś odpowiedzi, a potem na Sabinę.

- Jeżeli tak, to w porządku. Pan już tu nie pracuje - oznajmił Wharnton.

Wszyscy, nie wyłączając Whartona, zdziwili się, że właśnie on to powiedział. Przed posiedzeniem komisji odbyło się tradycyjnie zamknięte spotkanie kierownictwa, na które Patricka nie zaproszono. Zapewne zapadła wtedy decyzja, że to Sabina zwolni Patricka z pracy, patrzyła teraz bowiem na Whartona z pełnym rozdrażnieniem - Mary Shanahan natomiast swoje zdziwienie zdołała szybko ukryć.

Być może pierwszy raz w życiu Wharnton poczuł, że wzbiera w nim fala osobliwego podniecenia, ale na jego zarumienione oblicze powróciła zaraz wieczna ni jakość, po czym znów stał się bezbarwny jak zawsze. Patrick pomyślał, że zostać zwolnionym przez Whartona to jakby dostać w twarz od tchórza w ciemności.

- Kiedy wrócę z Wisconsin, będziemy musieli ustalić wysokość mojej odprawy - powiedział krótko Wallingford.

- Uprzątnij swój pokój i garderobę przed wyjazdem - poleciła Mary.

Była to zwyczajowa procedura, ale zarządzenie zirykowało Patricka.

Przysłali mu do pomocy ochroniarza, który spakował jego rzeczy i zaniósł pudła do czekającej na ulicy limuzyny. Nikt nie wyszedł, żeby go pożegnać, co było również zgodne z procedurą, choć gdyby Angie pracowała tego wieczora, zapewne pożegnałaby się z Wallingfordem.

Kiedy Patrick wrócił do domu, zatelefonowała pani Clausen. Nie oglądał swojego reportażu z hotelu, ale Doris widziała cały materiał.

- Na pewno będziesz mógł przyjechać? - zapytała.

- Tak, i zostanę w Green Bay tak długo, jak zechcesz - zapewnił ją Patrick. - Właśnie zwolniono mnie z pracy.

- To bardzo ciekawe - uznała pani Clausen. - Życzę ci bezpiecznej podróży.

Tym razem Patrick przesiadał się w Chicago i zdążył obejrzeć wieczorny program z Nowego Jorku już w pokoju hotelowym w Green Bay. Nie zdziwił się, że nową presenterką została Mary Shanahan. Znów miał okazję, żeby ją podziwiać. Nie była w ciąży, lecz osiągnęła przynajmniej jeden z kilku celów, do których dążyła.

- Pana Patricka Wallingforda nie ma od dzisiaj wśród nas - zaczęła wesoło. - Dobranoc, Patricku, gdziekolwiek teraz jesteś!

W jej głosie było coś zuchwałego i krzepiącego zarazem. Zachowanie Mary przypomniało Wallingfordowi spotkanie w jego mieszkaniu, kiedy miał trudności z erekcją, a dziewczyna powiedziała współczująco: „Biedny członek”. Dopiero poniewczasie zrozumiał, że działania Mary były obliczone na znacznie szerszą skalę.

Dobrze się stało, że wycofuje się z dziennikarstwa. Widocznie brakuje mu inteligencji, nie może więc dłużej uprawiać tego zawodu. Być może zresztą nigdy nie był dość inteligentny jak na dziennikarza.

Tymczasem z dziennikarskiego punktu widzenia był to wyjątkowo udany wieczór! Oczywiście nie odnaleziono nikogo żywego, więc media ogłosiły żałobę w związku z tragiczną śmiercią pasażerów lotu numer 990 Egipskich Linii Lotniczych. Pokazano między innymi materiał przedstawiający gapiów na szarej plaży w Nantucket - zbiegowisko, jakie powstaje po każdym tragicznym wypadku. Mary nazwała kiedyś takich ludzi „poszukiwaczami ciał”. Wszyscy „tropiciele śmierci”, jak nazywał ich z kolei Wharton, byli ciepło ubrani.

Zbliżenie z pokładu statku Akademii Marynarki Handlowej, przedstawiające stos wyłowionych z Atlantyku rzeczy osobistych pasażerów,

pokazano niewątpliwie na zamówienie Whartona. Po powodziach, tornadach, trzęsieniach ziemi, katastrofach kolejowych, wypadkach lotniczych, strzelaninach szkolnych i innych masakrach Wharton zawsze wybierał do emisji zdjęcia ubrań ofiar, szczególnie butów. Oczywiście nie gardził także dziecięcymi zabawkami, a do jego ulubionych szczątków katastroficznych należały porozrywane na kawałki lalki albo prze-moczone pluszowe misie.

Pomyślnym dla całodobowej stacji informacyjnej zbiegiem okoliczności pierwszą jednostką pływającą, która pojawiła się na miejscu wypadku, był statek szkoleniowy Akademii Marynarki Handlowej z siedemnastoma kadetami na pokładzie. Ci morscy nowicjusze okazali się wymarzonym komercyjnie materiałem ludzkim, byli bowiem mniej więcej w wieku studentów ostatniego roku studiów. Pławili się w rozlanej szeroko płamie paliwa lotniczego, w której unosiły się szczątki maszyny, a wokół na oleistą powierzchnię wypływały z bulgotem torby na zakupy i fragmenty okaleczonych ciał. Wszyscy kadeci, wyciągający z morza rozmaite przedmioty, nosili rękawice, a wyraz ich twarzy Sabina określiła jako „bezcenny”.

Mary wycisnęła z podsumowującego reportaż komentarza wszystko, co tylko się dało.

- Najważniejsze pytania pozostają nadal bez odpowiedzi - powiedziała bez ogródek panna Shanahan. Miała na sobie garsonkę w kolorze morskiego błękitu, w której Patrick widział ją po raz pierwszy. Marynarka Mary była strategicznie rozpięta, podobnie jak dwa górne guziki jej jasnoblękitnej bluzki, przypominającej wieczorową koszulę męską, tyle że połyskliwie jedwabistą. Wallingford przypuszczał, że garsonka stanie się odtąd znakiem firmowym nowej prezenterki.

- Czy katastrofa egipskiego odrzutowca była wynikiem zamachu terrorystycznego, usterki technicznej czy też pomyłki pilota? - zapytała sarkastycznie Shanahan.

Patrick pomyślał, że on zmieniłby kolejność - wydawało mu się oczywiste, że „zamach terrorystyczny” powinien wieńczyć wypowiedź prezentera.

W ostatnim ujęciu kamera nie pokazała Mary, lecz rozpaczające rodziny w recepcji hotelu „Ramada Plaza” - operator brał kolejno na cel

niewielkie grupki krewnych ofiar, a głos Mary konkludował z offu:

- Wielu ludzi pragnie poznać prawdę.

Zważywszy wszystko, oglądalność będzie zapewne wysoka - Wallingford wiedział, że Wharton się ucieszy, chociaż nie uda mu się okazać zadowolenia.

Kiedy zadzwoniła pani Clausen, Patrick wychodził właśnie spod prysznic.

- Ubierz się ciepło - ostrzegła go Doris. Ku zdumieniu Wallingforda, dzwoniła z recepcji. Powiedziała, że będzie miał czas rano, żeby zobaczyć małego, teraz natomiast po winni już jechać na mecz, więc niech się pośpieszy i ubierze. Nie rozumiał, skąd ten pośpiech, ale zrobił, jak mu kazała wdowa.

Do meczu pozostało jeszcze sporo czasu, może pani Clausen lubiła jednak przyjeżdżać na stadion wcześniej. Wyszedł z pokoju i zjechał do recepcji na spotkanie z Doris, gdzie przekonał się, że brak zainteresowania ze strony kolegów po fachu nie razi jakoś jego miłości własnej - albowiem żaden dziennikarz nie wytropił go w Green Bay, żeby zapytać, co miała na myśli Mary Shanahan, kiedy oznajmiła milionom telewizyjów: „Pana Patricka Wallingforda nie ma od dzisiaj wśród nas”.

Z pewnością widzowie zaczęli bombardować już telefonami całodobową stację informacyjną i Wallingford mógł sobie tylko wyobrazić, jak daje sobie z nimi radę Wharton - choć może zlecili to zadanie Sabinie. Nie lubili przyznawać, że kogoś wylali z pracy, i nie lubili przyznawać, że ktoś od nich odszedł z własnej woli. Zazwyczaj udawało im się znaleźć jakiś kłamliwy sposób na zamydlenie ludziom oczu, żeby nikt dokładnie nie zrozumiał, co się naprawdę stało.

Pani Clausen obejrzała program.

- To była ta Mary, która nie zaszła w ciążę? - zapytała.

- Owszem, to ona.

- Tak myślałam.

Doris włożyła starą kurtkę z logo klubu Green Bay, którą miała na sobie podczas pierwszego spotkania z Wallingfordem. Prowadząc samochód, nie nakryła głowy kapturem, ale Patrick pomyślał, że jej drobna,

ładna twarzyczka wyglądała w nim zapewne jak twarz dziecka. Była ponadto w dżinsach i adidasach, a zatem ubrała się tak, jak tamtej nocy, kiedy policja zawiadomiła ją o śmierci męża. Zapewne pod kurtką nosiła bluzę Packersów, choć oczywiście Wallingford jej nie widział.

Dobrze prowadziła. W drodze ani razu nie spojrziała na Patricka - mówiła wyłącznie o meczu.

- Kiedy spotykają się dwie drużyny, grające podobnym systemem, wszystko się może zdarzyć - tłumaczyła. - A my przegraliśmy trzy poniedziałkowe mecze z rzędu.

Nie wierzę jednak w to, co mówią kibice. To nieważne, że Seattle od siedmiu lat nie rozgrywało meczu w poniedziałek ani że wielu ich zawodników nie grało nigdy na Lambeau Field. Ich trener zna ten stadion... I naszego rozgrywającego.

Na pozycji rozgrywającego Green Bay miał wystąpić Brett Favre. W samolocie Wallingford przeczytał gazetę, a ściślej mówiąc, tylko jej strony sportowe. Wiedział już, kim jest Mike Holmgren, były szkoleniowiec Packersów, a obecny drużyny Seahawks z Seattle. Dla Holmgrena ten mecz był w pewnym sensie powrotem do domu, bo cieszył się w Green Bay ogromną popularnością.

- Favre będzie chciał wygrać tak bardzo, że go to sparaliżuje. Zobaczysz - powiedziała Patrickowi Doris. Reflektory jadących z przeciwka samochodów oświetlały migotliwie jej twarz, zwróconą do niego profilem.

Wallingford przyglądał się uporczywie pani Clausen - nigdy nie tęsknił za nikim tak jak za nią. Chciał myśleć, że włożyła te stare ciuchy specjalnie dla niego, wiedział jednak, że stanowiły jej zwykły strój meczowy. Kiedy go uwiodła w gabinecie doktora Zajaca, nie miała zapewne pojęcia, w co jest ubrana, i chyba nie pamiętała, co i w jakiej kolejności wtedy zdjęła. Wallingford natomiast nie miał nigdy zapomnieć ani garderoby pani Clausen, ani kolejności, w jakiej się jej tamtego dnia pozbyła.

Jechali na zachód przez centrum Green Bay, niewarte właściwie wzmianki, bo niekryjące nic poza barami, kościołami i mizernie wyglądającym hipermarketem nad rzeką. Niewiele budynków liczyło więcej niż trzy piętra, a jedyne godne uwagi wzgórze, otulone rzeką, na której

ładowano i rozładowywano statki aż do grudnia, kiedy to zatokę skuwał lód, okazało się olbrzymim wysypiskiem węglowym - dosłownie górą węgla.

- Nie chciałbym być w skórze Mike'a Holmgrena i wracać tu na mecz z drużyną Seattle Seahawks - rzucił śmiało Wallingford. (Sparafrazował zdanie, które wyczytał w gazecie).

- Powtarzasz opinie z gazet albo z telewizji - zauważyła pani Clausen.
- Holmgren lepiej zna Packersów niż Packersi siebie. Seattle ma dobrą defensywę, a my nie zdobyliśmy w tym roku zbyt wielu punktów, grając przeciwko drużynom dysponującym dobrymi obrońcami.

- Aha.

Wallingford postanowił się zamknąć i nie wypowiadać się już na temat meczu.

- Stęskniłem się za tobą i małym Ottonem - zmienił temat.

Pani Clausen uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi. Znała drogę na stadion jak własną kieszeń. Na szybie samochodu miała przyklejoną specjalną przepustkę parkingową - ochroniarz wskazał jej pas, po którym nie poruszały się inne samochody, prowadzący na część parkingu zarezerwowaną dla stałych gości.

Zaparkowali bardzo blisko stadionu i wjechali windą do kabiny prasowej, gdzie Doris nie zadała sobie nawet trudu, żeby okazać bilety starszemu mężczyźnie o urzędowym wyglądzie. Facet przyjaznym gestem przygarnął panią Clausen i ucałował ją, a Doris, wskazując ruchem głowy Wallingforda, powiedziała:

- On jest ze mną, Bill. Patrick, to jest Bill.

Wallingford uściśnął dłoń starszego pana, spodziewając się, że tamten go rozpozna, ale Bill wydawał się nie wiedzieć, kim jest Patrick. Być może nie poznał go dlatego, że Wallingford był w narciarskiej czapeczce, którą wręczyła mu pani Clausen, kiedy wysiedli z auta. Powiedział, że nigdy nie marznie w uszy, ale Doris odparła:

- Na stadionie zmarzniesz. Poza tym nie chodzi mi tylko o to, żeby nie było ci zimno. Chcę, żebyś włożył tę czapkę.

Nie myślała o tym, by zamaskować Patricka, choć dzięki czapce kamerzysta z telewizji ABC mógł go nie zauważyć, istniała więc szansa, że

tym razem nie znajdzie się na wizji. Doris uparła się jednak, żeby włożył czapkę, bo dzięki niej przypominał prawdziwego kibica. Był ubrany w spodnie z szarej flaneli i czarny płaszcz, pod którym miał tweedową marynarkę i golf, a w tak eleganckim płaszczu mało kto przychodził na mecze Packersów.

Czapeczka była zielonej barwy Green Bay, wyposażona w żółtą przepaskę, którą opuszczało się na uszy - poza tym ozdobiło ją, oczywiście, jedyne w swoim rodzaju klubowe logo Packersów. Sfatygowaną ze starości czapkę rozciągała kiedyś głowa większa niż głowa Wallingforda i Patrick nie musiał pytać pani Clausen, do kogo należała. Było jasne, że nosi czapkę jej zmarłego męża.

Przeszli przez kabinę dla dziennikarzy, gdzie Doris przywitała się jeszcze z kilkoma oficjelami, a potem wyszli wysoko na widownię, gdzie stały ławki dla widzów. Kibice nie wchodzili zwykle na stadion tą drogą, ale tu wszyscy wydawali się znać panią Clausen. Ostatecznie była przecież pracownicą klubu.

Zeszli niżej alejką między siedzeniami, ku olśniewającej płycie boiska, porośniętej naturalną murawą na powierzchni osiemdziesięciu siedmiu tysięcy stóp kwadratowych - taki gatunek trawy nazywano „błękitną mieszanką sportową”, a tego dnia wypadał właśnie jej debiutancki mecz.

- O, kurczę - sapnął tylko pod nosem Wallingford. Choć przyjechali wcześniej, stadion Lambeau Field był wypełniony niemal do połowy.

Miał kształt idealnie równej miski, pozbawionej trybuny - konstrukcję Lambeau Field tworzy bowiem pojedyncza kondygnacja, publiczność zajmuje zaś niekryte miejsca siedzące na ławkach. Sceneria podczas przedmeczowej rozgrzewki przywodziła na myśl czasy plemion pierwotnych: widać było pomalowane na zielono i złoto twarze kibiców, gadzety z plastikowej pianki, wyglądające jak wielkie, elastyczne członki, i obłąkańców noszących czapki w kształcie olbrzymich klinów sera - „serogłowych”! Wallingford szybko się zorientował, że nie jest w Nowym Jorku.

Schodzili ciągle długą, stromą alejką między ławkami. Ich miejsca znajdowały się mniej więcej w połowie kondygnacji, na wysokości linii

czterdziestu jardów, po tej samej stronie, gdzie mieściła się kabina prasowa. Patrick siedł za wdową, przeciskając się wśród twardych, ustępujących im miejsca kolan kibiców. Zauważył nagle, że zajmują miejsca między ludźmi, którzy ich znają - nie tylko panią Clausen, ale i jego. Nie rozpoznali go w czapce Ottona seniora i nie witali się z nim dlatego, że był sławny - oni po prostu czekali tu na niego. Zrozumiał nagle, że zna przeszło połowę siedzących wokół widzów, byli to bowiem członkowie rodu Clausenów! Znał ich twarze z niezliczonych zdjęć, poprzypinanych pinezkami do ścian głównego domku w posiadłości nad jeziorem.

Mężczyźni poklepywali go po plecach, a kobiety dotykały jego lewego ramienia.

- Hej, jak się masz?

Mężczyznę, który go przywitał, Wallingford poznał po szalonych oczach, zapamiętanych z fotografii wpiętej agrafką w wyściółkę szkatułki na biżuterię. Był to Donny, który zabił orła. Jedną połowę twarzy pomalował sobie farbą koloru kukurydzy, drugą zaś pokrył przeraźliwie jaszkrawą zielenią, znamionującą jakby jakąś niesamowitą chorobę.

- Szkoda, że nie prowadziłeś dzisiaj wiadomości - zagadnęła go przyjaźnie jakaś kobieta. Ją także Patrick pamiętał z fotografii, jako świeżo upieczoną mamę, leżącą w szpitalnym łóżku z noworodkiem w ramionach.

- Po prostu nie chciałem opuścić tego meczu - powiedział.

Poczuł uścisk palców Doris i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ona trzyma go za rękę. Na oczach Clausenów! Ale oni wiedzieli już wszystko - i to na długo przed nim. Już im powiedziała. A więc przyjęła jednak jego oświadczenia! Chciał spojrzeć jej w oczy, ale osłoniła głowę kapturem. Nie było aż tak zimno - po prostu ukrywała przed nim twarz.

Usiadł obok niej, trzymając ją wciąż za rękę. Tymczasem jego okaleczone ramię chwyciła starsza kobieta, siedząca po lewej stronie. Była to kolejna pani Clausen, znacznie bardziej korpulentna od wdowy, matka świętej pamięci Ottona, babcia Ottona juniora i była teściowa Doris.

(Przemknęło mu przez głowę, że nie należy wyrażać się o niej jako o „byłej” teściowej). Patrick uśmiechnął się do tęgiej kobiety. Dorównywała mu wzrostem, nawet w pozycji siedzącej. Przyciągnęła Wallingforda do siebie, żeby pocałował ją w policzek.

- Miło cię widzieć. Doris powiedziała nam o wszystkim.

I starsza pani Clausen uśmiechnęła się z uznaniem.

Wallingford pomyślał, że Doris powinna w pierwszej kolejności poinformować jego, ale spojrzawszy na nią, przekonał się, że jej twarz przysłania ciągle kaptur. Tylko skutek wściekle silnego uścisku dłoni pani Clausen nabrał całkowitej pewności, że przyjęła jego oświadczenia. Ku zdumieniu Patricka, zaakceptowali go wszyscy Clausenowie.

Przed meczem nastąpiła chwila ciszy; jak sądził Wallingford, dla uczczenia pamięci dwustu siedemnastu zmarłych tragicznie pasażerów lotu 990 Egipskich Linii Lotniczych, czego nie był pewien, nie mógł się bowiem skupić. Okazało się jednak, że minutą ciszy uczczono Waltera Paytona, byłego futbolistę, zmarłego niedawno w czterdziestym piątym roku życia w wyniku komplikacji po infekcji wątroby. Payton był autorem najdłuższych rajdów w historii NFL - Narodowej Ligi Futbolowej.

W chwili rozpoczęcia meczu temperatura wynosiła czterdzieści pięć stopni Fahrenheita, a wieczorne niebo było pogodne. Wiatr wiał z zachodu z prędkością siedemnastu mil na godzinę, w porywach osiągając trzydzieści. Być może podmuchy wiatru przeszkadzały Favre'owi w grze, bo w pierwszej połowie przeciwnicy przejęli dwa jego podania, a w całym meczu cztery.

- Mówiłam ci, że za bardzo będzie chciał wygrać - po wtórzyła Doris czterokrotnie, kryjąc się przez cały czas pod kapturem.

Kiedy spiker przedstawiał drużyny przed meczem, publiczność zgłotowała owację byłemu trenerowi Packersów, Mike'owi Holmgrenowi, a Favre i Holmgren wymienili uściski na boisku. (Nawet Patrick Wallingford zauważył, że stadion Lambeau Field mieści się na rogu Mike Holmgren Way i Vince Lombardi Avenue).

Holmgren wrócił na stare śmieci solidnie przygotowany. Nie licząc przejętych podań, Favre dwukrotnie wypuścił piłkę z rąk. Rozległy się nawet gwizdy - rzadkość na Lambeau Field.

- Kibice Green Bay na ogół nie gwizdzą - powiedział Donny Clausen, dając Patrickowi jasno do zrozumienia, że on nie gwizdże nigdy. Przysunął się do Wallingforda, a żółto-zielone oblicze Donny'ego dodatkowo przydawało obłąkańczej aury jego naznaczonej już i tak piętnem szaleństwa reputacji orlego zabójcy.

- Chcemy szczęścia Doris - wyszeptał groźnie do rozgrzanego pod czapką Ottona ucha Wallingforda.

- Ja też - wyznał Patrick.

A jeżeli Otto zabił się, bo nie potrafił uszczęśliwić pani Clausen? Może to ona doprowadziła go do samobójstwa, a nawet w pewnym sensie podsunęła mu ten zamysł? Czy te okropne myśli przyszły do głowy Patrickowi tylko dlatego, że denerwował się nadchodzącym ślubem? Trudno było wątpić, że Doris Clausen mogłaby doprowadzić Patricka do samobójstwa, gdyby kiedykolwiek zawiódł jej nadzieje.

Otoczył drobne plecy Doris prawym ramieniem i przygarnął ją do siebie, a potem powoli zsunął jej kaptur z głowy. Chciał pocałować ją tylko w policzek, ale pani Clausen odwróciła się i pocałowała go w usta. Poczul łyż na jej zziębniętej twarzy, zanim nakryła znowu głowę kapturem.

Na niewiele więcej niż sześć minut przed końcem czwartej kwarty za Favre'a wszedł na boisko rezerwowi rozgrywający, Matt Hasselbeck. Wtedy pani Clausen spojrzała Patrickowi w oczy i powiedziała:

- Idziemy. Nie będę oglądała żółtodzioba w akcji.

Widząc, że Patrick i Doris szykują się do wyjścia, niektórzy Clausenowie zaczęli szemrać, gderali jednak nad wyraz dobroduszenie i nawet na wariacko umalowanej twarzy Donny'ego widać było uśmiech.

Doris prowadziła Patricka za rękę. Weszli znów na górę do kabiny prasowej, gdzie wpuścił ich jakiś nieco przesadnie uczynny mężczyzna. Był to młody człowiek, atletycznej budowy ciała i na tyle silny, że mógł

być jednym z obecnych albo byłych graczy. Doris nie zwracała na niego uwagi - tylko kiedy odchodzili, mijając nieznanego przy bocznych drzwiach do kabiny prasowej, wskazała go palcem. Dochodzili do windy, kiedy zapytała:

- Widziałeś tego faceta?

- Tak - odparł Patrick.

Młodzieniec wciąż uśmiechał się do nich w przesadnie przyjazny sposób, choć pani Clausen nie spojrzała na niego ani razu.

- To właśnie jest mężczyzna, z którym nie powinnam była iść do łóżka - powiedziała Doris. - Teraz wiesz o mnie wszystko.

W windzie było pełno dziennikarzy sportowych, w większości płci męskiej. Stare wygi zawsze wychodziły nieco wcześniej, żeby zająć jak najlepsze miejsca na pomeczowej konferencji prasowej. Większość z nich znała panią Clausen - bo choć zazwyczaj pracowała w kasie, często wydawała również przepustki prasowe. Dziennikarze rozsunęli się, by przepuścić Doris, a ona ściągnęła kaptur, ponieważ w windzie było ciepło i ciasno.

Dziennikarze przerzucali się statystykami i stereotypowymi uwagami na temat meczu.

- Strata piłki sporo ich kosztowała... Holmgren zna wszystkie słabe strony Favre'a... Dotson wyleciał z boiska, ale to nic nie pomogło... To dopiero druga porażka Green Bay w trzydziestu sześciu spotkaniach u siebie... Packersi nie zdobyli tak niewielu punktów w meczu od czasu, kiedy przegrali w dziewięćdziesiątym szóstym w Dallas, dwadzieścia jeden do sześciu...

- Tamten mecz się nie liczy - powiedziała pani Clausen. - W dziewięćdziesiątym szóstym zdobyliśmy Super Bowl!

- Idziesz na konferencję prasową, Doris? - zapytał jeden z dziennikarzy.

- Dzisiaj nie - odpowiedziała. - Jestem już umówiona.

Dziennikarze zaczęli wydawać różne ochy i achy, a jeden nawet zagwizdał. Patrick ukrył okaleczoną rękę w rękawie płaszcza, a na głowie miał czapkę Ottona Clausena, był zatem pewien, że nikt go nie rozpozna. Poznał go jednak stary Stubby Farrell, leciwy dziennikarz sportowy z całodobowej stacji informacyjnej.

- Witaj, facecie od lwów! - powiedział Stubby, a Wallingford skinął głową i wreszcie zdjął czapkę Ottona. - Wyrzucili cię z roboty czy co?

Zapadła nagle cisza, bo wszyscy dziennikarze chcieli znać odpowiedź na to pytanie. Pani Clausen znów ścisnęła go za rękę, a Patrick powtórzył to, co powiedział Clausenom:

- Po prostu nie chciałem opuścić tego meczu.

Dziennikarzom bardzo spodobała się ta odpowiedź, szczególnie Stubby'emu, choć Wallingford nie zdołał uniknąć kolejnego pytania.

- Kto cię wywalił? Ten kutas, Wharton? - zapytał Stubby Farrell.

- Mary Shanahan - poinformował go Wallingford, informując w ten sposób wszystkich zebranych w windzie. - Chciała zająć moje miejsce.

Pani Clausen uśmiechała się do niego, dając do zrozumienia, że wie, czego naprawdę chciała Mary.

Wallingford pomyślał, że może któryś z nich (na przykład Stubby) powie, że fajny z niego facet albo dobry dziennikarz, ale usłyszał tylko strzępy rozmów na tematy sportowe i znajome przezwiska, które miały mu towarzyszyć do grobowej deski.

Drzwi windy rozsunęły się i dziennikarze sportowi ruszyli truchtem dookoła stadionu, musieli bowiem wyjść na zewnątrz, by dostać się do szatni gospodarzy albo drużyny przyjezdnej. Doris wyprowadziła natomiast Patricka na parking spod podtrzymujących konstrukcję widowni kolumn. Temperatura spadła, ale kiedy szedł w stronę samochodu, trzymając panią Clausen za rękę, zimne powietrze, owiewające nieosłoniętą głowę i uszy Wallingforda, sprawiało mu przyjemność. Temperatura oscylowała w okolicach trzydziestu stopni Fahrenheita, panował więc niemal mróz, uczucie chłodu jednak wzmagał zapewne wiatr.

Doris włączyła radio w samochodzie - słysząc jej wcześniejsze komentarze, Patrick zastanawiał się, dlaczego chce usłyszeć, jak skończy się mecz. Packersi siedmiokrotnie stracili piłkę na rzecz przeciwników, co nie zdarzyło się od czasu spotkania Green Bay z Atlanta Falcons przed jedenastu laty.

- Nawet Levens wypuścił piłkę z rąk - powiedziała z nie dowierzaniem. - I Freeman... Ile podań dzisiaj przyjął? Najwyżej dwa. A mógł spokojnie zdobyć dziesięć jardów!

Matt Hasselbeck, rozgrywający debiutant w drużynie Packersów, wykorzystał swoje pierwsze podanie w lidze zawodowej - zdobył dwa z sześciu możliwych punktów po podaniu na linii trzydziestu dwóch jardów.

- Rety! - zawołała pogardliwie pani Clausen. - Rany boskie!

Ostateczny rezultat: dwadzieścia siedem do siedmiu na korzyść Seattle.

- Było wspaniale - oświadczył Wallingford. - Bawiłem się doskonale przez cały czas. Uwielbiam z tobą być.

Odpiął pas bezpieczeństwa i położył się na przednim siedzeniu, wspierając głowę na kolanach pani Clausen. Odwrócił twarz w kierunku deski rozdzielczej, a prawą dłoń zacisnął delikatnie na udzie Doris. Czuł, jak w jej nodze napinają się mięśnie, kiedy wciska i zwalnia pedał gazu albo hamulec. Poglądziła go łagodnie po policzku, po czym chwyciła znów kierownicę obiema rękami.

- Kocham cię - rzekł Patrick.

- Ja też spróbuję cię kochać - powiedziała pani Clausen. - Naprawdę spróbuję.

Wallingford pogodził się z tym, że Doris nie może powiedzieć mu nic więcej. Poczul na twarzy jej łzę, ale nie odezwał się słowem na ten temat, zaproponował tylko, że poprowadzi samochód, choć dobrze wiedział, że pani Clausen odrzuci tę propozycję. (Kto chciałby jechać samochodem z jednorękim kierowcą?).

- Mogę prowadzić - powiedziała krótko, po czym do dała: - Pojedziemy na noc do ciebie, do hotelu. Otto jest z moimi rodzicami. Poznasz ich rano, kiedy pojedziemy zobaczyć małego. Wiedzą już, że chcę za ciebie wyjść.

Światła jadących z przeciwka samochodów przebiegały wewnątrz zimnego auta. Pani Clausen nie włączyła ogrzewania, ponieważ było zepsute, a prowadziła przy uchylonym oknie. Ruch był niewielki - większość kibiców została na stadionie aż do gorzkiego końca.

Patrick zastanawiał się, czy nie usiąść i nie zapiąć pasa. Chciał znów zobaczyć górę węgla po zachodniej stronie rzeki. Węglowa hałda miała

dla niego symboliczne znaczenie, choć nie był pewien, jakie - pomyślał, że może uosabia wytrwałość.

Chciał też zobaczyć odbiorniki telewizyjne, połyskujące w ciemności na powrotnej trasie, wiodącej do centrum miasta - nie wątpił bowiem, że wszyscy wciąż oglądają dogasający mecz i że telewizory pozostaną włączone na czas pomeczowych analiz i komentarzy. Z głową na kolanach pani Clausen było mu jednak ciepło i bezpiecznie, a poza tym spokojniej znosił jej łzy, skapujące mu co chwila na twarz, niż gdyby siedział obok, zmuszony patrzeć, jak kobieta płacze.

- Zapnij pas. Nie chcę cię stracić - odezwała się pani Clausen, kiedy zbliżali się do mostu.

Dopiero wtedy wyprostował się szybko i zapiął pas. Nie widział w ciemności, czy pani Clausen przestała płakać.

- Możesz wyłączyć radio - powiedziała. Patrick spełnił jej prośbę, przejechali więc przez most w ciszy, a ogromny stos węgla, który początkowo górował nad ni mi, zaczął maleć w oddali za odjeżdżającym samochodem.

Wallingford pomyślał, że człowiek nie zna swojego przeznaczenia, a o przyszłości nie da się powiedzieć nic pewnego. Mimo to zdawało mu się, że potrafi sobie wyobrazić przyszłość z Doris Clausen. Widział ją z nieprawdopodobną i kontrastującą z otoczeniem jasnością, z jaką pod przystanią nad jeziorem zobaczył świecące w mroku obrączki ślubne Doris i jej zmarłego męża. W swojej przyszłości z panią Clausen dostrzegał złoty blask, być może tym wyraźniej, że jego zdaniem, wcale sobie nie zasłużył na Doris. Nie zasługiwał na nią, tak jak te dwie obrączki, wraz z dotrzymanymi i niedotrzymanymi obietnicami, nie zasługiwały na to, by tkwić na gwoździu pod pomostem zaledwie kilka cali nad zimną powierzchnią jeziora.

Jak długo pozostanie z Doris - czy raczej ona z nim? Wszelkie domysły w tej kwestii były bezowocne - równie bezowocne, jak próby odgadnięcia, ile wisconsinskich zim potrzeba, by zdemolować domek na przystani i zatopić go w bezimiennym jeziorze.

- Jak się nazywa to jezioro? - zapytał nagle. - Jezioro, nad którym stoi wasz domek?

- Nie podoba nam się jego nazwa - powiedziała pani Clausen. - Dlatego nigdy jej nie używamy. Mówimy po prostu: „posiadłość nad jeziorem”, i to wszystko.

Po chwili, jak gdyby wiedziała, że myśli o obrączkach wiszących na gwoździu pod pomostem, dodała:

- Wybrałam już dla nas obrączki. Pokażę ci je w hotelu. Tym razem zdecydowałam się na platynowe. Będę nosiła obrączkę na prawej ręce. (Albowiem, jak wszyscy wiedzieli, facet od lwów mógł nosić obrączkę tylko na prawej ręce). - Jest takie powiedzenie - dodała pani Clausen. - „Zejdź z boiska bez żalu”.

Wallingford bez trudu odgadł źródło tej maksymy. Nawet jemu pachniała futbolem - oraz odwagą, którą, jak dotąd, nie mógł się pochwalić. Rzeczywiście, był to stary napis, wiszący u podnóża schodów na Lambeau Field, nad drzwiami prowadzącymi do szatni Packersów.

ZEJDŹ Z BOISKA. BEZ ŻALU

- Rozumiem - powiedział Patrick. W toalecie na stadionie zobaczył jakiegoś mężczyznę z brodą pomalowaną w żółto-zielone barwy, niczym twarz Donny'ego, i teraz zaczynało do niego docierać, jakich poświęceń będzie od niego wymagała pani Clausen.

- Rozumiem - powtórzył.

- Nie, nie rozumiesz - sprzeciwiła się. - Jeszcze nie. Jeszcze niezupełnie.

Patrick przyjrzał się jej bacznie. Przestała płakać.

- Otwórz schowek - powiedziała. Patrick zawahał się, myśląc, że znajdzie wewnątrz naładowany rewolwer Ottona Clausena.

- No, na co czekasz? Otwórz.

W schowku leżała otwarta koperta, z której wystawały fotografie. Zauważył dziurki po pluskiewkach i plamki rdzy. Wiedział, oczywiście, skąd pochodzą zdjęcia, jeszcze zanim zobaczył, co przedstawiają. Były to fotografie, które wisiały kiedyś nad łóżkiem Doris, a które zdjęła ze ściany, nie mogąc dłużej znieść ich widoku w domku na przystani.

- Proszę, obejrzyj je - poprosiła.

Zatrzymała samochód. Widzieli już hotel, ale Doris zjechała na pobocze i stanęła, nie wyłączając silnika. Centrum miasta wyglądało na opustoszałe, bo wszyscy mieszkańcy siedzieli w domach albo wracali dopiero ze stadionu.

Zdjęcia nie były ułożone w żadnej konkretnej kolejności, ale Wallingford szybko uchwycił łączący je motyw. Przedstawiały lewą dłoń Ottona Clausena, a na niektórych z nich ręka stanowiła wciąż integralną część jego ciała. Tu widać było muskularne ramię kierowcy, tam jego obrączkę ślubną na palcu, choć na kilku zdjęciach dłoń - jak domyślał się Wallingford, już martwa - była jej pozbawiona.

Na pozostałych zdjęciach rozpoznał siebie, a raczej swoją rękę po przeszczepie, samego Patricka nie było bowiem widać. Fotografie przedstawiały rozmaite stadia rozwoju opuchlizny na dłoni, nadgarstku i przedramieniu w okolicach szwu, Wallingford potrafił zatem określić, kiedy Doris robiła zdjęcia przeszczepionej ręki Ottona Clausena - ręki, którą nazywała „trzecią”.

A więc to nie był sen. Naprawdę robiono mu zdjęcia, kiedy spał. Dlatego dźwięk migawki wydawał się tak realny. A ponieważ miał zamknięte oczy, błysk flesza był błądny i odległy, niedokończony jak teatralna błyskawica, dokładnie taki, jakim go pamiętał Wallingford.

- Wyrzuć te zdjęcia - poprosiła pani Clausen. - Chciałam to zrobić sama, ale nie mogłam się zmusić. Pozbądź się ich.

- Dobrze - odpowiedział Patrick.

Doris zaczęła znów płakać, wyciągnął więc do niej rękę. Jak dotąd nigdy nie próbował dotknąć jej piersi kikutem. Wyczuwał biust pani Clausen nawet przez grubą kurtkę, a kiedy mocno przycisnęła kikut do piersi, czuł także, jak kobieta oddycha.

- Niech ci się tylko nigdy nie wydaje, że i ja nie straciłam w życiu czegoś bardzo ważnego - powiedziała gniewnie.

Potem ruszyła już prosto do hotelu. Wręczyła Patrickowi kluczyki i poszła do recepcji, musiał więc sam zaparkować samochód. (Zdecydował,

że o zaparkowanie auta poprosi kogoś z obsługi hotelowej).

Pozbył się fotografii, które wrzucił wraz z kopertą do kosza na śmieci. Niedługo znajdował się w posiadaniu tych zdjęć, ale ich treść nie uszła jego uwagi. Wiedział, że na temat swojej obsesji pani Clausen powiedziała mu już wszystko, a pokazując Patrickowi fotografie dłoni, definitywnie postawiła kropkę nad „i”, nie miała bowiem nic więcej do dodania.

Jak to powiedział kiedyś doktor Zajac? Z punktu widzenia medycyny nie było powodu, dla którego przeszczep się nie przyjął, i chirurg nie był w stanie wyjaśnić tej tajemnicy. Rozszyfrował ją jednak Patrick Wallingford, którego wyobraźni nie krępowały ograniczenia umysłu uczonego. Ręka po prostu spełniła swoje zadanie - i koniec.

Ciekawe, że w kwestii „porażek zawodowych” doktor Zajac miał niewiele do powiedzenia studentom medycyny na Harvardzie. Będąc jedną nogą na emeryturze, żył szczęśliwie z Irmą, Rudym i bliźniakami - a zawodowe porażki uważał za równie bezbarwne, jak zawodowe sukcesy.

- Uporządkujcie swoje życie osobiste - powtarzał studentom. - Jeżeli to się wam uda, życie zawodowe samo się ułoży.

Co jednak studenci mogli wiedzieć o życiu, skoro nie mieli jeszcze czasu, by żyć?

Wallingford odszukał Doris w recepcji. Do pokoju na piętrze wjechali windą w całkowitym milczeniu.

Pozwolił jej najpierw skorzystać z łazienki. Mimo misternych planów przyjechała jedynie ze szczoteczką do zębów, a w pośpiechu przygotowań przed pójściem do łóżka zapomniała pokazać Patrickowi platynowe obrączki, schowane w torebce razem ze szczoteczką. (Zrobiła to dopiero rano).

Kiedy zniknęła w łazience, Wallingford obejrzał wieczorne wiadomości - a dla zasady postanowił, że nie będzie oglądał programów informacyjnych stacji, w której jeszcze do niedawna pracował. Okazało się, że jeden z dziennikarzy sportowych dał już cynk innej stacji, która podała

wiadomość o zwolnieniu Patricka. Była to dobra informacja na zakończenie programu, nieprzeciętny „kop”. „Facet od lwów dostaje wilczy bilet od ślicznotki Mary Shanahan”. (Przylgnęło do niej to miano - od tej pory nazywano ją „Mary Ślicznotką”).

Pani Clausen wróciła tymczasem do pokoju i stanęła przed nim, naga.

Kiedy Wallingford uwijał się w łazience, Doris obejrzała końcówkę meczu Packersow. Zdziwiła się, że Dorsey Levens dwadzieścia cztery razy przebiegł z piłką na sto czwarty jard. Levens zaliczył więc przyzwoity występ, choć w przegranym meczu.

Potem wyłączyła odbiornik i kiedy Wallingford, także nagi, wyłonił się z łazienki, czekała już na niego w ogromnym łożu. Zgasił światło i wsunął się pod kołdrę obok niej. Leżeli spleceni w uścisku, przysłuchując się podmuchom silnego wiatru, ale po chwili już ich nie słyszeli.

- Daj mi rękę - powiedziała Doris, a Patrick od razu wiedział, o którą rękę jej chodzi.

Otoczył prawym ramieniem szyję pani Clausen, mocno ściskając jej pierś prawą dłonią. Doris zwarła uda wokół kikuta, a Patrick poczuł, że dotykają jej nierzeczywiste palce jego czwartej ręki.

W hotelu było ciepło. Zimny wiatr na dworze zwiastował mroźną zimą, ale Patrick i Doris słyszeli już tylko swoje chrapliwe oddechy. Jak inni kochankowie, zapomnieli o wirującym wietrze, wiejącym bez opamiętania w dziką, bezlitosną noc w Wisconsin.

Podziękowania

Jestem wdzięczny Charlesowi Gibsonowi, pracownikowi redakcji wiadomości stacji ABC i programu „Good Morning America”, za szesnastostronicowy tekst o pojedynczej spacji, który przysłał mi faksem - były to najbardziej szczegółowe notatki, jakie uzyskałem, pracując nad pierwszą wersją niniejszej powieści, i w ogóle w całej mojej karierze powieściopisarza.

Dziękuję ci, Charlie. Podobny dług wdzięczności zaciągnąłem u doktora Martina Schwartza z Toronto, który nie po raz pierwszy był moim doradcą w kwestii prawdopodobieństwa medycznego w dziele literackim. Dzięki raz jeszcze, Marty.

Dziękuję również Davidowi Maranissowi, z którym konsultowałem się w związku z wątkiem Lambeau Field i Green Bay Packers. Podziękowania składam także Jane Mayer za wnikliwy artykuł, zatytułowany „Zła wiadomość”, opublikowany 14 sierpnia 2000 roku w „New Yorkerze”.

Wielce pouczające okazały się ponadto artykuły z „The New York Times” z 1 i 2 listopada 1999 roku, opisujące wypadek lotu 990 Egipskich Linii Lotniczych - szczególnie teksty Francisa X. Clinesa, Johna Kifnera, Roberta D. McFaddena, Andrew C. Revkina, Susan Sachs, Matthew L. Walda i Amy Waldman. Równie kształcące były trzy felietony doktora Lawrence'a K. Altmana na temat przeszczepów dłoni - opublikował je „Times” 26 stycznia 1999 roku, 15 stycznia 2000 roku i 27 lutego 2001 roku.

Jeśli chodzi zaś o nadmiar komentarzy i opinii, publikowanych po śmierci Johna F. Kennedy'ego juniora, korzystałem ze źródeł bliżej nie zidentyfikowanych, zazwyczaj nieodróżnialnych od siebie i nazbyt licznych, żeby je wymieniać. To samo należałoby powiedzieć o większości programów telewizyjnych, poświęconych temu wydarzeniu.

Prawdziwą wdzięczność winien też jestem trojgu asystentów, którzy pomogli mi w pracy nad tą książką - za jej staranne przepisanie, lekturę „szczotek” i rozważną krytykę dziękuję Chloe Bland, Edwardowi McPhersonowi i Kelly Harper Berkson. Redaktor, Harvey Ginsberg, upiększył mój wizerunek jeszcze bardziej niż zwykle. Wreszcie, jak zawsze, dziękuję mojemu przyjacielowi, Davidowi Calicchio, i mojej żonie, Janet - oboje bowiem przeczytali tę książkę więcej niż jeden raz. Dzięki.

Pomysł „Czwartej ręki” podsunęła mi Janet. Któregoś wieczoru przed snem oglądaliśmy wiadomości w TV. Naszą uwagę zwróciła informacja o pierwszej transplantacji dłoni w kraju. Z przebiegu operacji pokazano tylko kilka krótkich ujęć, nie dowiedzieliśmy się natomiast, w jakich okolicznościach stracił rękę pacjent - albo biorca, jak wtedy nazwałem go w myślach. Na temat dawcy nie było ani słowa, nowa dłoń musiała pochodzić jednak od zmarłej niedawno osoby. A człowiek ten zapewne miał rodzinę.

Janet zadała mi wtedy skłaniające do refleksji pytanie:

- A co by było, gdyby wdowa po dawcy zażądała praw do odwiedzin dłoni?

Doktor John C. Baldwin, dziekan Dartmouth Medical School, zapewnił mnie, że w tak zwanym prawdziwym życiu zapewne nic podobnego by się nie wydarzyło - a w każdym razie nie bez mało prawdopodobnego, jednomyślnego wystąpienia prawników i etyków medycznych w liczbie umożliwiającej założenie niewielkiego uniwersytetu sztuk wyzwolonych. Ja jednak zawsze daję ucha pomysłom mogącym stanowić inspirację fabularną. Wszystkie moje powieści zaczynały się od pytania: „A co by było, gdyby...”.

Jl.

Spis treści

Rozdział pierwszy. Facet od lwów.....	9
Rozdział drugi. Były pomocnik	34
Rozdział trzeci. Przed spotkaniem z panią Clausen	60
Rozdział czwarty. Japońskie interludium	69
Rozdział piąty. Wypadek w niedzielę finału	102
Rozdział szósty. Zobowiązania	119
Rozdział siódmy. Rwący ból	135
Rozdział ósmy. Odrzucenie przeszczepu i sukces.....	151
Rozdział dziewiąty. Wallingford spotyka bratnią duszę.....	168
Rozdział dziesiąty. Jak zostać wylanym z pracy ...	207
Rozdział jedenasty. Na północy	246
Rozdział dwunasty. Lambeau Field	293
Podziękowania	334